Pierwszy

ROCZNIK

Koła literacko-artystycznego

WE LWOWIE.

Wydany
pod redakcyą

Dra WITOŁDA BARTOSZEWSKIEGO.



LWÓW
NAKŁADEM KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO.
Z Drukarni Polskiej.
1896.

Przedmowa.

Powołani uchwałą Wydziału i Walnego Zgromadzenia członków »Koła« z dnia 27. Czerwca 1896 do wydania pierwszego Rocznika »Koła«, oddając tą pracę w ręce Członków »Koła« i szerszej publiczności, czujemy się w obowiązku zdać sprawę z kierunku, jaki wydawnictwu temu zakreślić uważaliśmy za właściwe.

Przedewszystkiem wychodziliśmy z przekonania, że jeżeli Rocznik ma odpowiedzieć swemu założeniu, nie może się ograniczyć na luźnem zszeregowaniu obok siebie prac autorów, którzy z instytucyą wydającą swój rocznik, w żadnych bliższych nie zostawali stosunkach — ale powinien być raczej niejako odzwierciadleniem rzeczywistego nastroju duchowego całej instytucyi, oraz niejako miarą wydatności umysłowej członków »Koła«, którzy w życiu jego najżywszy brali udział i niem częściowo kierowali.

W myśl tych założeń, komisya redakcyjna, tworząc zarazem sekcyę literacką »Koła«, uważała za najgłówniejszy swój obowiązek, zgodnie z przekazaną jej przez poprzedników, tradycyą »Koła«, zorganizować ruch umysłowy i literacki przez urządzanie w ubiegłych latach swego urzędowania, stałych (co piątku) odczytów, dyskussyi i wykładów, i uzyskany w tej drodze materyał stanowi też pierwszą i najgłówniejszą część niniejszego Rocznika.

W myśl tych samych założeń we wydawnictwie niniejszem znalazły zresztą zamieszczenie tylko prace członków »Koła« i tylko prace tych, którzy z »Kołem« w bliższych pozostawali stosunkach i jego życiem żyli lub niem kierowali.

Drugą myślą przewodnią Redakcyi było, że jak z życia pojedynczego człowieka nie można wyrwać jednego tylko momentu i osądzić go sprawiedliwie, bez zapytania o historyę życia tego człowieka, w jakich stosunkach się urodził, czy i jak pracował i co było stałą myślą przewodnią jego życia — tak też aby choć jeden rok życia umysłowego jakiejś instytucyi sprawiedliwej poddać ocenie, wydało nam się wskazanem choćby w najogólniejszych rysach dzieje ostatnich lat nawiązać do przeszłości. Może wydatniejsze pióro późniejszej generacyi objektywniej i szczegółowiej wykaże, jak »Koło literacko artystyczne« przez kilkunastoletni okres swego istnienia nadawało ton stosunkom w ruchu umysłowym i literackim stolicy i czy ciężącym na niem obowiązkom — łączenia i kupienia pracujących na polu literatury i sztuki, oraz popierania wszystkiego co godne, zawsze wedle sił swoich odpowiadało.

Nam wydawało się tutaj wskazanem, co do dziejów powstania i rozwoju instytucyi, równie jak co do jej dążeń, ograniczyć się tylko na rzuceniu drogowskazów, któreby wystarczyły w zupełności dla zajmujących się bliżej życiem umysłowem »Koła«, obcych zaś choćby tylko do bliższego badania tego życia zachęciły.

Wychodząc wreszcie z przekonania, że pracowników na polu literatury i sztuki sprawiedliwą »rangą« dopiero późniejsza generacya obdzielić jest zdolną, nie trzymaliśmy się tutaj w układzie prac żadnych pierwszeństw; ofiarowane zaś utwory zawsze łaskawych artystów malarzy i utwory muzyczne, ze względów technicznej natury, do drugiego tomu Rocznika odłożyć byliśmy zmuszeni.

Jakie będą oceny tej pracy, trudno nam samym przesądzać; oddajemy ją w ręce sprawiedliwej krytyki, ze zaufaniem i nadzieją skorzystania z jej sądów, oraz w nadziei przyczynienia się wedle sił naszych do otarcia tych łez sierocych, które »kroplami wrzącego ołowiu padać powinny na serce i sumienie społeczeństwa polskiego«.

Za redakcyę

Dr. Witołd Bartoszewski.

Koło literacko-artystyczne
we Lwowie.
1880 — 1896.

Po wydaniu przez Rząd ustaw konstytucyjnych, w szczególności po unormowaniu dla obywateli prawa zawiązywania stowarzyszeń, powstało w stolicy kraju mnóstwo różnorodnych instytucyi, stowarzyszeń i związków.

Tylko drużyna literacka i artystyczna, która wówczas jeszcze posiadała salony prywatnych osób do zbierania się i dla wymiany zdań, nie uległa zrazu ogólnemu prądowi i nie stworzyła dla siebie osobnego ogniska. Nie można się temu i dziwić, kto bowiem z literatów bywał na zebraniach u Kornela Ujejskiego, czy też u Małeckich, i t. p., ten nie czuł braku stowarzyszenia lub związku, któryby miał druhów po piórze łączyć i umożliwiać im przyjemne, swobodne pożycie towarzyskie. Do tego trzeba dodać, że z początkiem drugiej połowy bieżącego stulecia Lwów posiadał wielu literatów i artystów o wybitnych zdolnościach, co jednak formalnie kochali się w życiu, które dosadnie scharakteryzowano później mianem »cyganeryi«. Bujna fantazya, żądza rozmaitych wrażeń, a brak środków do ich urzeczywistnienia u tych niezwykłej miary ludzi, nadto jeszcze pewna gorycz i żal wsączony w ich gorące dusze po wypadkach roku 1863, zdawały się ich usprawiedliwiać zupełnie.

I tak się stało, że drużyna literacka i artystyczna najpóźniej skorzystała ze swobody stowarzyszania się, ustawą z r. 1867 zagwarantowanej i że pierwsze stowarzyszenie tej właśnie drużyny we Lwowie to jest »Koło artystyczno-literackie« liczy dopiero 16 rok istnienia.

Zadaniem naszem dzisiaj jest przedstawić przed oczy czytelnika dzieje tych lat 16 istnienia »Koła«, skreślić jego powołanie, rozwój i stanowisko w stolicy, tak pod względem organizacyi, jak również pod względem urzeczywistnienia celów, zakreślonych statutami[1]).

Że to zadanie łatwem nie jest, poświadczą słowa ostatniego sprawozdania »Koła«: »Jeżeli trudnem jest pisać w streszczeniu historję życia poszczególnego człowieka, tem trudniej zdaje się kreślić żywot instytucyi, liczącej blisko pół tysiąca członków, z których nie każdy ma jednakie cele i wymagania«[2]).

I.

W dniu 3. stycznia 1880 roku zebrało się w pomieszkaniu jednego z wybitnych lwowskich literatów kilkanaście osób »celem zawiązania we Lwowie Towarzystwa o celach literackich«. Zadaniem Towarzystwa miało być: »Skupienie rozpierzchłych sił literackich, udzielanie sobie wzajemnych rad i wskazówek i podnoszenie spraw, mogących zainteresować ogół literacki«. Wybrano zaraz komisyę, która ułożyła na razie regulamin »Koła« i pozyskała dla »Koła« gościnne przyjęcie w bibliotecznej sali kasyna miejskiego, gdzie się też odbyło 14. lutego 1880 pierwsze posiedzenie. Obecni postarali się przedewszystkiem

[1]) Rzecz opracowana na podstawie sprawozdań, statutów, regulaminów „Koła". Pomocną mi była również kronika Koła przez p. St. Pepłowskiego napisana do sprawozdania z r. 1890. Protokołów Walnych Zgromadzeń i Wydziału, z lat pierwszych zwłaszcza, zupełny brak jest w archiwum „Koła".

[2]) Sprawozdanie wygłoszone na Walnem Zgromadzeniu Członków Koła dnia 5. marca 1896 przez Dra W. Bartoszewskiego. Wszystkie zresztą ustępy objęte cudzysłowem, wyjęte są ze sprawozdań Koła.

o jakiekolwiek zabezpieczenie podstaw materyalnych nowej instytucyi. Przygodne jednak zebrania odbywane w marcu 1880 już nie wystarczały. W kwietniu 1880 postanowiono więc zawiązać Towarzystwo w myśl ustawy. Po ułożeniu zatem statutów, przesłano je Namiestnictwu do zatwierdzenia, które nadeszło dnia 1. października 1880 do L. 48.188. Tak więc nowe ognisko z nazwiskiem „*Koło literackie*“ zyskało pierwszą podstawę bytu. Założyciele wyposażyli je statutem dobrym i myśl ich jasno została określona:

»Zadaniem »Koła literackiego« jest ożywienie ruchu literackiego i naukowego we Lwowie a tem samem i w kraju, utrzymanie łączności między pracującymi na polu literatury, sztuki i nauki; skupienie sił literackich; popieranie i podejmowanie wszelkich spraw, odnoszących się do literatury narodowej«. Jako środki do osiągnięcia tych celów wskazano: towarzyskie zebrania, na których odbywały się odczyty literackie i naukowe, sprawozdania z umysłowego ruchu w kraju i za granicą; odczyty publiczne, urządzane przez »Koło«, wycieczki naukowe, wydawnictwa i t. p. Członkami nowej instytucyi mogli być tylko »literaci, uczeni lub artyści, tudzież osoby znane z zamiłowania do literatury, sztuk i nauk i rozwój ich popierające«. Członków przyjmował nie Wydział, złożony z prezesa, wiceprezesa, sekretarza i czterech członków, lecz wszyscy członkowie na zebraniach. I właśnie te zebrania literackie jak miały być tak też i rzeczywiście były wybitnem piętnem charakterystycznem nowej instytucyi.

»Koło zbiera się też stale, w myśl tego statutu, w oznaczonych terminach (co 14 dni) na zebrania literackie«. »Wstęp na te zebrania mają tylko członkowie; wszakże literaci, uczeni i artyści do Koła nie należący, a chwilowo

bawiący we Lwowie, byli jako goście wprowadzani i życie literacko naukowe Koła trysnęło żywym promieniem«. Co do funduszów, to statut zapewnił młodemu stowarzyszeniu skromne nader środki egzystencyi. »Fundusze Koła składają się: *a)* z wkładek członków (6 złr. rocznie) i *b)* z opłat wstępu na odczyty publiczne, urządzane przez Koło«. Lecz i te fundusze wystarczały w zupełności, niepotrzeba bowiem było opłacać osobnego lokalu, zbierano się i teraz, jak przed zawiązaniem towarzystwa w sali bibliotecznej kasyna miejskiego, za skromną opłatą światła i usługi. Tam się też w dniu 15. października 1880 odbyły pierwsze wybory.

Wybrany na rok 1880 Wydział ożywiony najlepszemi chęciami, złożony z ludzi tęgich, ruchliwych, celów świadomych, zabrał się energicznie do działania. Pragnął on wywalczyć Kołu nie tyle świetną materyalną podstawę bytu, ile raczej pragnął wcielić w czyn jak najrychlej piękne cele statutu. Toż natychmiast po objęciu urzędowania udano się do Kuratoryi biblioteki Ossolińskich i do Dyrekcyi biblioteki uniwersyteckiej z prośbą, aby raczyły wypożyczać książki dla członków Koła, celem ułatwienia im studyów naukowych. Obiedwie te instytucye w pismach z 19 i 20. listopada 1880 oświadczyły się przychylnie. Nieszczęście, które dotknęło ludność Zagrzebia zwraca uwagę Wydziału w stronę nędzą przygnębionych pobratymców. 2. listopada 1880 powstaje projekt zbiorowego wydawnictwa »dla ludności Zagrzebia«. Wydawnictwo w formacie sporego zeszytu »in folio« wyszło w styczniu 1881 i przyjęte było przez czytającą publiczność nader sympatycznie, skoro dało 600 zł. czystego dochodu. Widocznie firma młodego stowarzyszenia zaczynała budzić zainteresowanie i zaufanie. — Odbywały się też programem objęte »odczyty, i dyskusye naukowe i literackie«, które zwracały na siebie uwagę całego niemal świata naukowego stolicy. Ogłoszony konkurs na napisanie Książki o Janie III. z uwzglę-

dnieniem wyprawy wiedeńskiej, z nagrodą ofiarowaną przez jednego z członków Koła, przysporzył literaturze historycznej popularnej jedną siłę i jedną publikacyę. Nagrodę przyznał komitet p. Wandzie Podgórskiej z Warszawy.

W październiku 1881 dokonano nowych wyborów. Pod egidą nowego Wydziału cieszą się w r. 1881 odczyty, dyskusye i pogadanki naukowe i literackie niezwykłą frekwencyą. 8. lipca braknie miejsca wstępu na odczyt Dra Ochorowicza »o magnetyzmie zwierzęcym«, a na 14 dalszych odczytach zapoznają się członkowie Koła z najnowszymi prądami w literaturze, nauce i sztuce. Równocześnie jak zwykle z postępem prawdziwej wiedzy zaczyna się wyłaniać myśl zespecyalizowania celów Koła. Wydział ustanawia dwie komisye, jedną »filozoficzną«, celem przyswajania polskiej literaturze arcydzieł klasyków »greckich i rzymskich«, drugą »do czuwania nad czystością jezyka polskiego«. Ze szczupłych funduszów Koła rozdziela Wydział pierwsze zapomogi potrzebującym literatom. W marcu 1882 żegna Koło wyjeżdżającego za granicę Dra Ochorowicza, urządza zebranie w 80-letnią rocznicę urodzin Bohdana Zaleskiego i mianuje pierwszych członków honorowych.

Atoli już pod koniec roku 1881 czuć się już daje pewien rozstrój w dotychczasowej organizacyi towarzystwa. Pojawiają się trzy wnioski prawie sprzeczne, celem zmiany w ustroju »Koła«. Udział członków w zwyczajnych zebraniach »Koła« bywa coraz słabszy i skutkiem tego mimo wszelkich starań, dokładanych ze strony Wydziału, »Koło« nie jest w stanie odpowiedzieć swemu zadaniu. Chociaż więc w maju 1882 powstają jeszcze piękne dwie myśli: zawiązania bratniej pomocy literatów i wydawnictwo »Roczników Koła«, to jednak do wykonania tych myśli brak już energii; bratnia pomoc mimo zatwierdzonych już statutów nie weszła w życie, wydawnictwo zaś roczników obecnie dopiero przychodzi do skutku. Koniec roku 1882 i początek

1883 to czas też pierwszej ogniowej próby dla naszej instytucyi, to pierwsza chwila ostrego starcia się różnych zdań tak w łonie Wydziału, jak na Walnem Zgromadzeniu. Wybrany w październiku 1882 Wydział złożył już w styczniu 1883 mandaty, a w dyskusye na zebraniach »Koła« oprócz kwestyi naukowych i literackich, po raz pierwszy wciągnięto teraz sprawy towarzyskie i społeczne. Część członków »Koła« wystąpiła i założyła nowe Towarzystwo »Jedność«, słowem chwila rozbicia nie była daleką.

II.

Przykre to położenie przypadło do naprawy Wydziałowi wybranemu dnia 9. lutego 1883. Obdarzony »zaufaniem 27. członków Towarzystwa« ma 108 wpisanych, widząc, że »egzystencya »Koła« zdawała się zagrożoną«, postanowił Wydział przedewszystkiem zbadać żywotność »Koła« i do tego dopiero zastosować swe dalsze działanie. W tym celu wydał odezwę do wszystkich, którzy kiedykolwiek byli członkami »Koła«, z prośbą, ażeby zechcieli się oświadczyć, azali należą nadal do »Koła«. Zgłosiło się 83 członków. Zaprowadzona lepsza ewidencya i pilniejsze ściąganie wkładek dały Wydziałowi możność obliczenia się z siłami. Nawiązane rokowania z Wydziałem Kasyna miajskiego o stały lakal dla »Koła« nie doprowadziły wprawdzie do pomyślnego rezultatu, Wydział »Koła« jednak wyraził przekonanie, »że stały lokal a temsamem łatwiejsze utrzymanie łączności między pracownikami na polu nauki, literatury i sztuki, niemałoby się przyczynił do utrwalenia rozwoju »Koła« w naszem mieście«. Usiłowania Wydziału naprawy stosunków »Koła« postępowały jednak nader wolno. Koło nie bierze udziału w kongresie literackim w Krakowie (14 września 1883), przeznacza jednak jako fundusz zapomogowy dla wdów i sierót po artystach polskich, zawiązany na Kongresie, kwotę 100 zł. Rok 1883 daje tylko dziewięć odczytów

a choć Wydział »usilnie starał się zastąpić odczyty zbyt specyalnej treści, dyskusyami o bieżących kwestyach literackich i społecznych, które byłyby w stanie budzić w zgromadzonych jak najwięcej interesu i współudziału«, to jednak ruch umysłowy w »Kole« nie był żywszym. Zjazd literacki, projektowany na wrzesień 1884 nie przyszedł do skutku. »Koło« po raz pierwszy staje też w sprzeczności z dziennikarstwem. »Uwagi większości dzienników polskich o zamierzonym Zjeździe«, czytamy w sprawozdaniu z r. 1883/84, »które jednak dopiero wtedy pojawiły się w prasie naszej, kiedy już rzecz cała znajdowała się w pełnym toku, były tego rodzaju, że zmuszały Wydział »Koła literackiego« do wzięcia raz jeszcze pod gruntowną rozwagę wszelkich następstw, które skutkiem odmiennego zdania znacznej części polskiego dziennikarstwa wyniknąćby stąd mogły i uchwalił odroczyć Zjazd do chwili bardziej sprzyjającej«. Praca jednak Wydziału nad rozbudzeniem życia w »Kole« nie ustaje. Urządzono wprawdzie d. 24. marca 1884 przedstawienie p. t.: »Odprawa posłów greckich« w 300-letnią rocznicę śmierci Jana Kochanowskiego, które wypadło świetnie i spowodowało sympatyczne i gorące artykuły dziennikarskie, odbyto kilkanaście zebrań i 12 odczytów, mimo to jednak nie płynie życie w »Kole« takim wartkim korytem, jakby się tego po zwiększonej liczbie członków spodziewać należało. Szukając za powodem tego oziębienia uznano, że zebrania naukowo literackie nie mogły osiągnąć należytego celu, gdyż odbywały się w małej salce Kasyna miejskiego tylko raz na dwa tygodnie a to z powodu, że lokal ten służył zarazem, jako miejsce posiedzeń dla innych towarzystw i co raz to na inny cel był używany i chcąc złemu zaradzić uzyskano uchwałę Walnego Zgromadzenia »Koła« w październiku 1883, »by Wydział postarał się o osobny lokal dla Towarzystwa«.

W myśl tej uchwały, a z dążaniem do rozwoju instytucyi, w listopadzie r. 1883 zamknięto też istnienie »Koła« na

komornem i 23. tego miesiąca otwartą została przez prezesa nowa własna siedziba w Towarzystwie pedagogicznem. Przybywanie członków w ciągu roku 1883 i 1884 spowodowało wynajęcie i otwarcie lokalu jeszcze obszerniejszego, co nastąpiło 7. listopada 1884 »przy współudziale dygnitarzy krajowych i rządowych«. Nie ulegało wątpliwości, że te usiłowania Zarządu zapewniły byt »Kołu« a zmiana jego firmy na »literacko-artystyczne«, która nastąpiła równocześnie, rozszerzyła rozwój instytucyi, wprowadzając w jej organizm ruchliwy żywioł artystów i aktorów w większej liczbie. Publiczność zwraca też już baczniej uwagę na ognisko »kapłanów nauki i sztuki«, napływa mnóstwo podań o przyjecie osób z różnych zawodów inteligencyi a załatwienie ich przychylne zapełnia salony »Koła« tak, że w styczniu 1885 przenosić się musi do jeszcze obszerniejszego lokalu. Tu następuje też pełniejsze urządzenie się. Zarząd zakupuje inwentarz za 1054 zł., lecz równocześnie Wydział z roku 1885 przystępuje do zmiany statutu, który rozszerza zakres »Koła« więcej pod względem towarzyskim i kierunek ten w »Kole« zaczyna stanowczą brać przewagę. Zwrot ten daje się na razie czuć w odczytach więcej belletrystycznej niżli naukowej treści, daje się czuć w uczęszczaniu członków wogóle na odczyty i pogadanki treści nie naukowej, tłumniej i chętniej, niż na ściśle fachowe. Za staraniem artystów-malarzy przychodzi do skutku wystawa dzieł nieśmiertelnego Artura Grottgera. Powstaje również myśl wydania »pierwszej teki Koła«. Wydawnictwo to jednak nie przyszło do skutku, raz z powodu braku materyałów, powtóre z powodu braku środków pieniężnych. Wreszcie wydawnictwo »Lwów-Stryjowi« dokonane z materyałów »Teki« na rzecz pogorzelców Stryja, które się materyalnie niepowiodło, wyczerpało do reszty zasoby Towarzystwa.

Lata 1886 i 1887 to prawdziwa też epoka przełomu dla »Koła iteracko-artystycznego«.

III.

Nadmieniliśmy poprzednio, że już ze zmianą nazwy »Koła« na »literacko-artystyczne« wszedł cały nowy zastęp ludzi w organizm Towarzystwa, którzy celom ściśle naukowym i literackim służyć nie mogli i nie chcieli. Równocześnie uczyniono przyjęcie zależnem tylko od uchwały Wydziału, podczas gdy dawniej decydowało o tem »zebranie członków Koła«, ułatwiono zatem wstęp do instytucyi i nowy statut z r. 1887 musiał zapewnić nowo wstępującym pewne korzyści. Dokonujący zmiany statutu uczynili to w §. 2., gdzie do brzmienia pierwotnego statutu dodano, że środkami do osiągnięcia celów »Koła« są oprócz dawnych: »p r o d u k c y e a r t y s t y c z n e, w i d o w i s k a i z a b a w y, u r z ą d z o n e b ą d ź t o w l o k a l u »K o ł a«, b ą d ź t e ż p u b l i c z n i e, w y c i e c z k i n a u k o w e i t o w a r z y s k i e i t. p.«. W konsekwencyi uległ także §. 3. zmianie niby nieznacznej a jednak doniosłe mającej znaczenie. Dawne określenie kto może być członkiem »Koła« brzmiało: »Członkami »Koła« mogą być literaci, uczeni i artyści, tudzież wszelkie osoby *znane* z zamiłowania do literatury, sztuk i nauk i ich rozwój popierające«. Przy zmianie statutu zaś brzmiał wspomniany ustęp: »Członkami »Koła« mogą być literaci i artyści, oraz miłośnicy literatury, sztuki i nauki«. Te zmiany spowodowane zostały ogólnym prądem w Towarzystwie, wynoszącym ruch towarzyski na pierwszy plan i spowodowane zostały brakiem ludzi, którzyby charakter literacki i ściśle naukowy »Kołu« nadać potrafili. Nie było to bowiem winą żadnego Wydziału, że w tym czasie powstały we Lwowie specyalne towarzystwa, zajmujące się różnemi gałęziami nauki i literatury, (historyczne, Tow. Mickiewicza, pedagogiczne) i że wskutek tego ubyło »Kołu« wiele sił dzielnych zawodowych a lista członków uzupełniała się ludźmi, szukającymi w »Kole« nie nauki, lecz wytchnienia po żmudnej pracy zawodowej. Nastąpiła tedy zmiana w zasadniczej idei »Koła«.

Uznano, że »odczyty ściśle naukowe. mogące zająć jeno szczupłe grono mężów nauki, jakoteż podobne dyskusye nie odpowiadają celom »Koła« w stosunkach obecnych«. Wydział wprowadził zatem do »Koła« odczyty informacyjne, sprawozdawcze, które ułatwiałyby wszystkim jasne głównie zapoznawanie się z licznymi objawami twórczości literackiej«.

»Koło literacko artystyczne« przybiera zatem wybitnie towarzyski chararakter i Wydziały z r. 1887 i r. 1888 poświęciły się przeważnie ulepszeniu administracyi. Kontrakt zawarty z fundacyą Skarbkowską (13. marca 1888) zapewnia członkom »Koła« jeden z najpiękniejszych lokali we Lwowie, zbliża je do teatru i umożliwia członkom spędzanie antraktów we własnej instytucyi. Przyjęcie pań znów w salony »Koła« wywołuje »Rauty Koła literacko-artystycznego«, które nadały zebraniom charakter zebrań familijnych, osłoniętych powagą dobrego smaku. lecz mniejszej naukowej rozrywki. Pogadanki z dziedziny literatury i sztuki, tudzież wydawnictwo rocznika »Koła« pozostało w sferze myśli. »Przyznajemy, pisze sam Wydział, że sprawa rozwoju umysłowych zajęć członków nie jest tem, czem powinna być u instytucyi, noszącej nazwę »Koła literacko-artystycznego«; lecz do przeprowadzenia całkowitego zadania, o którem wspominamy, Wydział za mało miał czasu a i ten musiał wprzód poświęcić na uporządkowanie materyalnych stosunków i czynności organizacyjnej natury«. W każdym razie Wydział w r. 1888 wykonał swój program. Postawił »Koło literacko-artystyczne« na stanowisku instytucyi, któraby jej członkom z rodzinami »dawała przyjemne, poważne a nie kosztowne rozrywki i stała się punktem jednoczącym harmonijnie inteligentne sfery tutejsze, do wspólnego pożycia«. To też wybicie medalu pamiątkowego na cześć Dra Estreichera, adres do Kolberga, pomnożenie czasopism i funduszu zapomogowego do wysokości 507 zł. 70 ct. a. w. były w tym czasie je-

dynym wyrazem działalności »Koła« na polu literatury i sztuki. Ruch jednak towarzyski w »Kole« wzmagał się ciągle a rauty, zabawy i bale »Koła«, odwiedzane tłumnie, cieszyły się sympatyą ogółu publiczności. Wprowadzenie pogadanek treści przystępnej, urządzania wieczorów i bankietów, wycieczek i wieczorków dla mężczyzn, ściągało do salonu »Koła« również mnóstwo osób, słowem »Wydział »Koła« pod względem uprzyjemnienia i udogodnienia pobytu członkom w lokalu Towarzystwa, jakoteż w kierunku rozbudzenia życia towarzyskiego w mieście zrobił wszystko«. I znów ze wzrostem członków Wydział postarał się znowu o rozszerzenie lokalu. Donajęto dwa zaciszne pokoje i przeznaczono je do gry w karty, która od tego czasu stanowi dla znacznej części członków wielką rozrywke w »Kole«. Rok 1890 jest obok wzięcia udziału w pogrzebie Mickiewicza, o tyle ważnym dla »Koła« że w tym roku pomnożony został »fundusz zapomogowy« do kwoty 1000 zł. Spełniła się zatem część uchwały Walnego Zgromadzenia z r. 1889, że »zapomogi z funduszu wdów i sierót będą rozdawane dopiero wówczas, gdy fundusz ten wzrośnie do wysokości kwoty 1000 zł. Walne Zgromadzenie uchwali wówczas dla tego funduszu osobny statut«. Wydział spodziewał się poparcia celów tego funduszu, gdyż »ucywilizowany zachód oddawna posiada instytucye, zabezpieczające spokojną starość weteranom pióra, czy sztuki. U nas tylko pracownicy pióra, pędzla czy dłuta patrzą z trwogą w przyszłość. Szczęśliwi, którym nie dano patrzeć na nędzę własną i najbliższych«.

»Sypią się krocie na rozmaite cele dobroczynne, ale dziwnym zbiegiem okoliczności ci właśnie, którzy służą społeczeństwu najbardziej ofiarnie, którzy poświęcają mu kwiat swej myśli i uczuć, pozostają dotychczas wydziedziczeni«.

Słowa te jednego z Wydziałów nie pozostały bez skutku. Nietylko bowiem po nich członkowie, dobrowolnem opodatkowaniem się na rzecz »funduszu zapomogowego«

poparli jego piękne cele, ale i szersza publiczność, tak że we dwa lata później fundusz ten wyrósł do pokaźnej kwoty około 3000 zł.

Fundusz tak pomnożony nie został jednak aktywowany, mimo wyżej wspomnianej uchwały Walnego Zgromadzenia, że po uzyskaniu wysokości do 1000 zł. zapomogi udzielane być mają Należało najpierw ująć ten fundusz w jakieś przepisy, i dopiero Walne Zgromadzenie z r. 1892 poleciło Wydziałowi, »aby w porozumieniu z reprezentantami prasy, utworzył przy Wydziale komisyę funduszu zapomóg dla weteranów literatury i sztuki, dla wdów i sierót po literatach i artystach, której zadaniem będzie wyszukiwanie środków, mogących ułatwić wzrost wzmiankowanego funduszu«.

Komisya taka została wybrana z 15-tu członków i uchwaliła »Regulamin funduszu zapomogowego i emerytalnego pod zarządem »Koła literacko-artystycznego« we Lwowie«.

Celem funduszu jest:

a) »Udzielanie jednorazowych zapomóg literatom, dziennikarzom i artystom polskim, w razie choroby tychże, chwilowej niezdolności do pracy, lub innej katastrofy, a w razie ich śmierci wdowom i sierotom po nich pozostałym«.

b) »Zapewnienie stałych wsparć dożywotnich, lub też na pewien z góry oznaczony przeciąg czasu, niezdolnym do pracy literatom, dziennikarzom i artystom polskim, lub też wdowom i sierotom po nich pozostałym«.

Tak piękny cel fundacyi naturalnie że znalazł poparcie i u wszystkich dalszych następnych Wydziałów »Koła« lecz poparcie to w ostatnich dopiero latach wybitniej się objawiło. Po uzupełnieniu funduszu do 1000 zł. wybrano do zarządu funduszu osobny komitet, który się »składa z 11 członków a to: z przewodniczącego i skarbnika »Koła« i 2 członków Wydziału »Koła« co roku przez Wydział

do komitetu delegowanych i z 7 członków przez Walne Zgromadzenie członków »Koła« na lat 5 ze sfer literackich, dziennikarskich i artystycznych wybranych«.

Zapewniono w ten sposób przyszłość tej pięknej fundacyi i nie można się też skarżyć aby i ogół członków »Koła« nie interesował się jej celami. To też gdy fundusz ten wynosił w r. 1894 — 4.565.95 zł., w r. 1895 — 5.138.99 zł., z początkiem bieżącego roku dosięga kwoty 5.400 zł 94 ct. a. w. Komitet zatem będzie już mógł przystąpić w myśl §. 2. regulaminu »do urzeczywistnienia celów fundacyi pod względem udzielania *jednorazowych* zapomóg«. Na udzielanie stałych wsparć trzeba jeszcze zaczekać, aż wspomniany fundusz wzrośnie do kwoty 25.000 zł.

IV.

Zdawało się, że »Koło literacko-artystyczne« stanąwszy raz większością swych członków na stanowisku wykwintnego Ogniska towarzyskiego, okraszanego tylko od czasu do czasu przystępnymi odczytami i pogadankami, w tym kierunku dalej rozwijać się będzie, mając raz na zawsze byt zapewniony. Lecz już rok 1891 zaznacza dążność sprowadzenia znów w »Kole« zmiany kierunku lub raczej powrotu do dawnej przewagi ruchu umysłowego nad wir zycia towarzyskiego.

Doroczne Walne Zgromadzenie za rok 1891 będąc widownią burzliwych dyskusyi, zarzucających Wydziałowi »Koła«, że wypacza jego cele, wywołało oświadczenie 87 członków, jako przeważnej mniejszośći, że pod takimi warunkami nadal w »Kole« nie pozostanie, lecz postara się o założenie własnego stowarzyszenia.

Mimo że partya »rządząca« była liczebnie silniejszą, uznano jednak prawa mniejszości do żądania reform w »Kole« i umożliwiono powrót »secesyonistów« w progi instytucyi, z którą wiązały ich najmilsze wspomnienia i tradycye. Mniejszość przedłożyła też deklaracyę, w której

2

w kilkunastu punktach domaga się reformy »Koła« w kierunku rozwinięcia w »Kole« życia umysłowego«. Deklaracyę przyjęło Walne Zgromadzenie i poleciło wybrać komisyę z 10 członków, którąby pod przewodnictwem prezesa »Koła« — potrzebę rozwinięcia życia umysłowego »Koła« zbadała i wynik swych obrad, jakoteż wypracowany plan reformy Walnemu Zgromadzeniu przedłożyła. Komisya nie doszła jednak do pozytywnych rezultatów; inicyatywę przeto ożywienia ruchu umysłowego pozostawił Wydział samym członkom, pragnącym w tym kierunku podnieść »Koło«. Usiłowania garstki literatów i publicystów powiodły się zrazu; w r. 1892 powstaje w łonie »Koła« Sekcya literacka, której celem było skupić tych członków »Koła«, którzy pracują na polu literatury i publicystyki tudzież spełniać postanowienia statutu »Koła«, wyrażone w §. 1. ustawy z tego statutu, a mianowicie: »ożywienie ruchu literackiego i artystycznego we Lwowie i w całym kraju, utrzymanie łączności między pracującymi na polu literatury, nauki i sztuki, i skupienia sił literackich i artystycznych«. Prawie równocześnie powstała także Sekcya artystyczna, »która miała skupić członków »Koła« zajmujących się architekturą, rzeźbą i malarstwem«. Cele sekcyi literackiej objęte w 9 punktach, zaś cele artystycznej w 7 punktach objęte, były bardzo dobrze obmyślone — tylko do wykonania ich znów nie można było znaleść chętnych i powołanych.

Jak już bowiem wyżej wspomnieliśmy, powstanie specyalnych towarzystw, które odebrały »Kołu« dzielne siły zawodowe, uniemożliwiło rozwój »Koła« pod względem ściśle literackim, naukowym lub artystycznym. Zresztą zmieniły się stosunki i warunki »Koła«.

Założenie przez artystów, malarzy i rzeźbiarzy towarzystwa osobnego, stojącego po za »Kołem«, odebrało mu znowu nieco członków, jakkolwiek w liście cyfrowo nie znać wcale tego ubytku. Wysokie powołanie »Koła« do

stworzenia funduszu zapomogowego dla wdów i sierót, tudzież zasługę »Koła« w zebraniu tego funduszu osłabiło zawiązanie »Tow. wzajemnej pomocy dziennikarzy«, które po kilkoletniem istnieniu, kilkanaście tysięcy posiada kapitału. Tak to z macierzystego pnia zaszczepione latorośle osobno rozwinęły się najpomyślniej a jakkolwiek i »Koło« samo wcale dziś nie jest osłabione i ma podstawę do przyszłego jeszcze piękniejszego rozwoju — to tylko uderzyć musi każdego nieuprzedzonego, że wszystkie te specyalne naukowe i humanitarne stowarzyszenia, które z »Koła« niejako wyrosły, snadnie były mogły pozostać w łonie »Koła«, bądź jako sekcye, bądź w połączeniu z funduszem zapomogowym »Koła«. Że się tak nie stało, powodem chyba wrodzony nam separatyzm. Skromną tą słabostkę jednak, jeśli ona tylko powoduje spełnianie dla społeczeństwa celów pięknych, jeśli popiera literaturę, naukę, sztuki, lub wreszcie jest w stanie łagodzić nędzę, każde społeczeństwo winno uznać jako niewinną a nawet pożyteczną.

Stojąc na stanowisku ogniska towarzyskiego,» Koło literacko-artystyczne« spełniało też w zupełności wszelkie obowiązki Towarzystwa polskiego i wysoce inteligentnego. Rozwijano tu w »Kole» skrzętną czynność celem powiększenia funduszu na budowę pomnika dla Fredry, ogłoszono i premiowano jeden z modeli na ten pomnik, zawarto wreszcie z nagrodzonym pierwszą nagrodą d. 4. lutego 1893 profes. Marconim układ, powierzając mu budowę pomnika z terminem wykończenia do 1. maja 1894.

Wzniesienie pomnika znakomitemu komedyopisarzowi, miało być ze strony Koła pięknem uświetnieniem wystawowego roku; nie z winy Koła i Wydziału pomnik ten jednak dotychczas jeszcze nie został postawiony i dodopiero obecny Wydział ma szanse dzieła tego ostatecznie dokonać.

Brało również udział »Koło« w wystawie krajowej roku 1894. Komisya wybrana specyalnie do udziału w wystawie uchwaliła:

1) Wyjednać osobne miejsce w dziale literatury i dziennikarstwa piśmiennictwu ludowemu.

2) Zebrać, o ile to możliwe komplety wydawnictw, podjętych przez Towarzystwa, instytucye i prywatnych wydawców od r. 1848.

3) Wszystkie czasopisma w tej chwili wychodzące.

4) Sprawozdanie z wszelkich prac podjętych za inicyatywą prywatną nad oświatą ludu.

5) Sporządzić statystyczny wykaz czyli graficon wszelkich usiłowań na tem polu.

6) Wydać bibliografię literatury ludowej od 1848 począwszy.

Jak widzimy, program był nader obszerny a wykonanie go zupełne i z talentem, miało przynieść dla badaczy postępu i stanu oświaty ludowej nieobliczone usługi. Czy to jednak krótkość czasu, czy też okoliczność, że najlepsze chęci nie wystarczają, spowodowały, że w stosunku do swych intelektualnych zasobów, »Koło« na wystawie krajowej niezupełny osiągnęło skutek. Cieszył się natomiast nadzwyczajnem powodzeniem odbyty podczas wystawy w dniach 19., 20., 21. i 22. lipca »Zjazd literatów i dziennikarzy polskich«. Wzięło w nim udział 240 osób, wśród nich i panie. Odczytano 21 referatów i powzięto kilkanaście uchwał, doniosłe dla literatury, oświaty ludowej i dziennikarstwa mających znaczenie, a między temi niezwykle ważną i w skutkach doniosłą uchwałę tyczącą się »wprowadzenia w życie instytucyi, mającej na celu zabezpieczenie bytu materyalnego literatom i dziennikarzom, jako też ich rodzinom«. Delegaci »Koła« i Towarzystwa Dziennikarskiego mieli się zastanowić nad utworzeniem »jednej instytucyi, którąby miała powstać z połączenia Towarzystwa Dziennikarzy polskich i fundacyi zapomogowej dla wdów i sierot po literatach, założonej przez Koło literacko-artystycznewe Lwowie«. Do dzisiaj jednak piękna ta uchwała pozostała jeszcze w sferze projektów. Nadmienić też

wypada, że na Zjeździe ofiarował Dr. Stanisław Hassewicz 10.000 na oświatę ludu śląskiego. Pięknym i pozytywnym rezultatem wystawy było wreszcie, że »Koło« darowało »całe urządzenie wystawy wydawnictw ludowych — Towarzystwu oświaty ludowej we Lwowie«. Z dalszej działalności Koła w ostatnim okresie zaznaczyć należy piękne wydawnictwo »Dla Szląska«, które miało świetne powodzenie, przyniosło bowiem 404 zł. czystego dochodu. Zresztą, jak w poprzednich latach, brało »Koło« udział zawsze we wszystkich obchodach i nie brakło jego przedstawicieli nigdy tam, gdzie społeczeństwo święciło narodową pamiątkę lub czciło zasługi.

Jeżeli jednak jeszcze Wydział z roku 1889 postawił sobie za zadanie, że »nie winniśmy dążyć do celów, właściwych akademiom naukowym i literackim i że spełnimy najlepiej nasze zadanie, jeźli umożliwimy pracownikom na polu umysłowem, wypoczynek i wytchnienie wśród koła ludzi mających podobne cele« wybrany w dniu 27. listopada 1895 i dotąd urzędujący Wydział nawiązując do tendencyi »mniejszości« w roku 1891 objawionych, zakreślił dla »Koła« nowy znów kierunek, względnie powrót do dawnych tradycyi »Koła«. Programowe wystąpienie obecnego Wydziału postawiło jako swą dążność »wzmocnienie węzłów łączących członków »Koła«, zapewnienie »Kołu« powagi i uznania na zewnątrz a wreszcie wzmożenie ruchu literacko - artystycznego«. W dążeniach do realizowania tego kierunku, powołano znów do życia i działania Sekcyę literacką i artystyczną, wprowadzono stałe odczyty i wykłady, które co piątku ściągały do »Koła« liczny zastęp sprzyjających nowemu kierunkowi pań i panów. Nie małej wagi było również założenie w bieżącym roku *„Czytelni nowości“*. Członek »Koła« przystępujący do niej za opłatą 30 ct. miesięcznie, otrzymuje najnowsze publikacye nietylko belletrestycznej ale i naukowej treści, co umożliwia zapoznanie

się z literaturą bieżącą w sposób łatwy i tani. Wyrazem tej zasady była wreszcie uchwała wydania pierwszego »Rocznika Koła«. Uchwałę tą urzeczywistnia właśnie redakcya. Publikacya niniejsza, pierwsza w tym rodzaju, niechaj świadczy o intelektualnym poziomie instytucyi, która bądź co bądź przez lat kilkanaście usiłowała nadawać ton stosunkom w ruchu umysłowym i literackim stolicy. Czy »Rocznik« dobrze wypadnie i czy przyniesie zaszczyt Kołu, to będzie głównie rzeczą członków Koła, lwia część bowiem powodzenia wszystkiego, co dotyczy ogółu, spoczywa jak zawsze w szczerem i gorącem zainteresowaniu się tego ogółu. Przymusowych środków przeprowadzania swych myśli i kroków Wydział »Koła« nie posiada.

Stan Koła w roku bieżącym świadczy też, że instytucya rozwija się, że garną się do niej członkowie, że słowem »Koło« stara zasłużyć sobie uznanie u publiczności, które daje podwalinę do dalszego rozwoju. Fundusz zapomóg wzrasta w r. 1896 do kwoty 5.138 zł. 99 ct., zaś fundusz pomnikowy do kwoty 5.895 zł. 28 ct.; czasopism zaś posiada dziś Koło 82, członków 348.

* * *

Dwoiste zadanie, jakie »Koło« w ciągu 16 letniego istnienia spełniać miało, narażało go, jak się z toku opowiadania pokazało, kilkakrotnie na wewnętrzne przejścia, które zasadnicze dla jej rozwoju miały znaczenie. O tem, czy »Koło literacko-artystyczne« spełniło to podwójne zadanie i jak je spełniło, sąd wydać potrafi dopiero przyszłe pokolenie.

Leon Gustaw Dziubiński.

Członkowie honorowi
KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO
we Lwowie.

Asnyk Adam dr.
Brandt Józef
J. E. hr. Dzieduszycki Włodzimierz
Estreicher Karol dr.
Kenig Józef
Kraszewski Józef Ignacy †
Kubala Ludwik dr.
Liske Ksawery dr. †
Orzeszkowa Eliza
Małecki Antoni dr.
Matejko Jan †
Siemiradzki Józef
Sienkiewicz Henryk
Ujejski Kornel
Wilczyński Albert
Zacharjasiewicz Jan
Zyblikiewicz Mikołaj dr. †

Prezesowie i sekretarze
KOŁA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO
we Lwowie.
Od r. 1880 do r. 1896.

Prezesowie:	Sekretarze:
Od 15. Października 1880 do 30. Października 1881.	
Prof. dr. **Ksawery Liske.** Zastępca: **Jan Aleksander hr. Fredro.**	Władysław Bełza.
Od 30. Października 1881 do 20. Października 1882.	
Prof. dr. **Ludwik Kubala.** Zastępcy: Dr. **Julian Ochorowicz,** prof. dr. **Tadeusz Wojciechowski.**	Władysław Bełza.
Od 20. Października 1882 do 9. Lutego 1883.	
Roman książę **Czartoryski.** Zastępca: prof. dr. **Gustaw Roszkowski.**	Władysław Bełza.
Od 9. Lutego 1883 do 26. Października 1883.	
Prof. dr. **Leon Biliński.** Zastępca: **Bolesław Baranowski.**	Romuald Starkel.
Od 9. Listopada 1883 do 10. Października 1884.	
Prof. dr. **Roman Pilat.** Zastępca: prof. dr. **Aleksander Janowicz.**	Władysław Bełza.
Od 10. Października 1884 do 13. Marca 1885.	
Dr. **Tadeusz Rutowski.** Zastępca: **Romuald Starkel.**	Władysław Bełza.
Od 13. Marca 1885 do 15. Marca 1886.	
Dr. **Tadeusz Rutowski.** Zastępca: **Romuald Starkel.**	Władysław Bełza.
Od 15. Marca 1886 do 15. Października 1886.	
Dr. **Tadeusz Rutowski.**	Dr. Witołd Lewicki.

Od 15. Listopada 1886 do 11. Maja 1887.

Dr. Tadeusz Rutowski. — Stanisław Schnürr Pepłowski.

Od 11. Maja 1887 do 26. Listopada 1887.

Dr. Tadeusz Rutowski. — Władysław Bełza.
Zastępca: **Juliusz Starkel.**

Od 26. Listopada 1887 do 7. Lutego 1889.

Albert Wilczyński. — Stanisław Schnürr Pepłowski.
Zastępca: **Leon Syroczyński.**

Od 7. Lutego 1889 do 21. Lutego 1890.

Albert Wilczyński. — Stanisław Schnürr Pepłowski.
Zastępca: Prof. dr. **Ludwik Kubala.**

Od 21. Lutego 1890 do 7. Marca 1891.

Albert Wilczyński. — Stanisław Schnürr Pepłowski.
Zastępca: **Henryk hr. Skarbek.**

Od 7. Marca 1891 do 18. Marca 1892.

Albert Wilczyński. — Stanisław Schnürr Pepłowski.
Zastępca: **Henryk hr. Skarbek.**

Od 18. Marca 1892 do 10. Kwietnia 1893.

Prof. dr. **Ludwik Kubala.** — Dr. Michał Grek.
Zastępca: **Henryk hr. Skarbek.**

Od 10. Kwietnia 1893 do 30. Marca 1894.

Prof. dr. **Ludwik Kubala.** — Dr. Aleksander Lisiewicz.
Zastępca: **Antoni Skotnicki.**

Od 30. Marca 1894 do 27. Listopada 1895.

Prof. dr. **Ludwik Kubala.** — Franciszek Rawita Gawroński.
Zastępcy: dr. **Wojciech hr. Dzieduszycki, Antoni Skotnicki.** — Stanisław Schnürr Pepłowski.

Od 27. Listopada 1895.

Dr. Józef Wereszczyński. — Dr. Witołd Bartoszewski.
Zastępcy: Prof. dr. **August Balasits, Antoni Skotnicki.**

DEOTYMA
(Jadwiga Łuszczewska).

Improwizacya*)

Niechże się święci ta wiosna szczęśliwa,
Co mnie przywiodła do Lwowa.
Podróżną lutnię wziąwszy na ramiona,
Mogiłę Wandy uczciłam po drodze,
I w postać Wandy cała zapatrzona,
Z nad Wisły — do Was przychodzę.

I ja ślub wzięłam z kalinowym wieńcem,
Kapłance pieśni, o! nie zdjąć go z głowy.
I mnie, jedynym w życiu oblubieńcem,
Najświętszy duch narodowy!

I życie pędzę wśród miłosnej troski,
Na wpatrywaniu się w jego oblicze,
Pocięte, jakby obraz Częstochowski,
Jak obraz ów, tajemnicze.

I ziemię moją obchodzę sto razy,
Aby pochwycić z zachodu do wschodu,
Wszystkie odcienia i wszystkie wyrazy,
W licach mojego narodu.

---

*\) *Wiersz wygłoszony przez Autorkę na uroczystem przyjęciu Autorki przez „Koło".*

Gdzieindziej wszędzie, nad Wisłą czy Niemnem,
Gopłem czy Dniestrem, ból serce przenika,
Bo tam oblicze jest bladem i ciemnem,
Istotna twarz męczennika.

Lecz gdy nad Pełtew przybywam z kolei,
O dziwne szczęście! w licach oblubieńca,
W licach narodu widzę ślad rumieńca,
Krew odmłodzonej nadziei.

Co tu rąk, dzielnie niosących sztandary!
Co serc niewieścich z bezdenną skarbnicą!
Ile w młodzierzy zapału i wiary!...
Ach, witaj mi lwia stolico!

Serce mi rośnie wszędzie gdzie tu stanę,
Ale najmocniej, gdy mnie to gościnne
Porywa *Koło* co nie jest jak inne:
To „*Koło zaczarowane*"!

To pierścień, w którym, jak wróży nadzieja.
Stopią się kruszce, zjednoczą klejnoty.
Wszak przed wiekami, z progów Kołodzieja,
Stoczył się Polsce wiek złoty!



Seweryna Duchińska.

Pozdrowienie*)

Pozdrowienie Wam przynoszę z tej ziemi wygnania,
Gdzie mgły tuman półwiekowy świat Boży zasłania.
Tam ponuro gwarzą zdroje, ktoś żałośnie dzwoni,
Tam pierś łaknie macierzanek swych ożywczej woni,
Tam fujarka nam pastusza ucha nie popieści,
Ani bocian zaklekoce, zwiastun dobrej wieści.

Przecież serca nie upadły w tej skwarnej posusze.
Cóż ożywia tych rozbitków, cóż im krzepi dusze?
Oni z okiem obróconem tu, skąd dzionek świta.
Wschodni powiew z ranną rosą chwytają do syta;
I ku skrzętnym Wam oraczom na swoim zagonie
Z pełną wiarą i miłością wyciągają dłonie.
A do taktu z waszą pieśnią i twardym mozołem:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“ przywtarzają społem.

O! tak! Polska nie zginęła! i póty nie zginie,
Póki miłość łączy serca w rozbitej rodzinie.
Jak mi żywo świadczy o niej uścisk waszej ręki!
W imię braci mej tułaczej — serdeczne Wam dzięki.

*) *Wiersz wygłoszony przez Autorkę na uroczystem przyjęciu Autorki przez „Koło“.*

W onem bujnem rojowisku z Piasta barći starej,
Zapędzonem nawałnicą na głuche obszary,
Jam uboga jeno pszczółka, ślad mój mało znaczy;
Wiem, że we mnie chcecie uczcić cały rój tułaczy.
Więc przyjmuję wasze wieńce, rozdzielę je wiernie
Między braci co na przebój brną przez ostre ciernie.
O, niech rany ich zagoi balsamy wonnemi,
Kwiat wykarmion żywą rosą na ojczystej ziemi!

I poniosę tym na groby wiązankę nie małą,
Których usta oniemiały, serce bić przestało;
Ale hasło tych szermierzy w powietrzu drga jeszcze:
„Służba! naprzód! w górę serca! precz widma złowieszcze,
„Co w dusz głębi wiarę, miłość i nadzieję gaszą,
„Wypiastujcie dla przyszłości drogą Polskę naszą!
„Póki tchnienia starczy w piersi — Wam nie tracić chwili.
„Służcie Polsce do ostatka, jak my jej służyli!“



Marya Konopnicka.

Improwizacya*)

Za co, za co tyle cześci?
Za co to witanie?
Jam siew tylko dobrej wieści,
Wy — kłosy na łanie.
Ja ptak tylko, co wam śpiewa,
Wy — owocne drzewa
Ja — głos dzwonka, na rozświcie,
A wy — czyn i życie!

Wasza wola — moja dola,
Mojej pieśni tony...
Jak skowronek lecę w pola,
Lecę nad zagony.
Pieśń się moja skarży, płacze,
Kiedy śpią oracze,
A gdy brzęczą pługi, kosy
Spiewa w niebogłosy!

Gdyby piosnce brakło echa
W żywej piersi brata,
Dawno zgłuchłaby nam strzecha,
Oniemiała chata...
Pieśń jaskółcze gniazdo winie
W serdecznej drużynie,
Pieśń tam rada pióra składa,
Gdzie bratnia gromada.

Zawitajcież Wy mi wzajem
Wy — i wasze progi!
Idę światem, idę krajem,
Jak pątnik ubogi.
Za tą jasną idę zorzą,
Gdzie na przyszłość orzą,
Za tą gwiazdą, za nadzieją,
Gdzie dla jutra sieją.

Daliście mi w swej gościnie
Chleb i wino ducha...
W waszym chlebie, w waszym winie
Jest moc i otucha:
Nie zmarnieje wasza praca,
Gdy ją pieśń ozłaca,
Pieśń — nie zmilknie w ponie-
[wierce
Gdzie jest wasze serce!

---

*) *Wiersz wygłoszony przez Autorkę na uroczystem przyjęciu Autorki przez „Koło“.*



Nabożeństwo czyste i niepokalane u Boga Ojca to jest: Nawiedzać sieroty i wdowy w ucisku ich, a siebie zachować niezmazanym od tego świata. *(Jac. Ap. I. 27).*

Być dobrym ojcem i troskliwym opiekunem opuszczonych wdów i sierót więcej waży przed Bogiem, niż zdobywać warowne ogrody i ujarzmiać narody.

Nie gardź wołaniem opuszczonych wdów i nieszczęśliwych sierót, aby Bóg nie wzgardził i twojem wołaniem, gdy z głębi ucisku i potrzeby twojej wołać będziesz o pomoc do Niego.

Błogosławiony naród, którego wdowy i sieroty krwawemi nie płaczą łzami, a w swej niedoli znajdują opatrzenie i wspomożenie.

We Lwowie 14. Listopada 1896.

† *Isaak Mikołaj Isakowicz*

Arcybiskup lwowski orm. kat. obrz.

Wszystkie te światy, co fantazya tworzy
W głowie poetów, pisze palec Boży...

Józef Ignacy Kraszewski. *)

Nemo sapiens, nisi patiens.

Leon Biliński.

Sukcesa i pochlebstwa mogą zawrócić w głowie — ale tylko temu, kto się więcej ceni aniżeli wart; niepowodzenie i niesprawiedliwa krytyka, mogą przygnębić — ale tylko tego, kto się mniej ceni, aniżeli wart.

Stanisław Madejski.

Dobra książka, to prawdziwe święto śród codziennej pracy.

Edward Rittner.

*) Z Albumu „Koła“.

Dyogenes...

Dyogenes, co przed głupstwem chował się do beczki,
Usłyszawszy zajadłe braci mieszczan sprzeczki,
Zapragnął mądre zdanie rzucić między ludzi.
Wyszedł więc. — Widzi tłumy i wzrok go nie łudzi,
Chłop w chłopa i mąż w męża — same ludzkie twarze.
Więc ku nim zwraca mowę tak — jak rozum każe.
Lecz nim jeszcze wygłosił zdanie całkowicie,
Usłyszał z ust słuchaczy przeraźliwe wycie.
Ucieka więc — wołając: „Żal z nimi i chwilki,
Jam mniemał, że to ludzie — a to: au! au! wilki.“

Karol Estreicher.

Służba społeczeństwu, umiejącemu uznać każdą pracę, jest nietylko obowiązkiem, ale i szczęściem. Niech żyje Koło literacko-artystyczne i niech się rozwija dla powszechnego dobra!

Henryk Sienkiewicz.

Szczęście człowieka leży w jego upojeniu. Natura stwarzając go do ciężkich obowiązków bytu, musiała dla zabezpieczenia trwałości istnienia typu ludzkiego, włożyć do jego duszy daleko więcej pragnień, niż rzeczywiste życie dostarczyć ich może. Gdyby młody człowiek mógł odczuć rozczarowanie starych, z pewnością nie popełniałby szaleństwa w pogoni za szczęściem.

Żyjemy tedy ułudą nas samych i choć wiemy, że to ułuda, chętnie się jej oddajemy, bo ona życie nam umila

Od marzeń nieraz dziecinnych nikt nie jest wolny Osoby więcej inteligentne i wrażliwe, więcej zasobne w bogactwo imaginacyi, zawsze znajdą gotowy materyał do marzeń. Są to natury arsystyczne, pełne wiary w siebie i moc swoją. Życie ich bywa często życiem samych marzeń, gonitwą za ideałem nigdy nieziszczonym.

Lecz i natury więcej poziome a temsamem mniej wrażliwe, nie są wolne od marzeń o szczęściu. Wytwarzają je tak samo jak i artyści, choć może w lichszym gatunku. Uboga ich imaginacya zmusza częstokroć do sztucznego podniecania nerwów i w tem jak mi się zdaje, spoczywa tajemnica alkoholizmu, wpajania się opium, morfinowania i innych rozbudzających imaginacyę środków. Człowiek oddaje się im z przyjemnością, bo dają mu chwilowe zapomnienie smutnej rzeczywistości, rozwijając natomiast marzenia o szczęściu. Nie należy zatem tak pochopnie rzucać na nich kamieniem potępienia, bo anormalny stan taki jest potrzebą ich duszy, tak samo jak nieokiełzane dziwactwa artystycznych natur — koniecznością stworzenia sobie innego życia niż to, co ich otacza.

Albert Wilczyński.

Deotyma.

Bohdanowi Zaleskiemu. *)

Gościniec naszej pieśni, laurem wyścielany,
Tryumfalnymi niegdyś przerżnięty rydwany,
Przycichł i osamotniał. — Już w połowie drogi,
Ku słońcu się zerwałeś, królewski Adamie,
I pomiędzy pieśniowe odszedłeś półbogi.

A naród na mogile swej usiadłszy, łamie
Serca swojego klejnoty,
I szczątki swojej zbroi złotej,
I stuletnie ogniwa swojego łańcucha,
Aby z nich odlać posąg dla monarchy ducha.

I nie sam nas odbiegłeś. W koło twej mogiły
Coraz milczeniu szerzej, coraz grobom ciaśniej,
Już wszystkie hetmany pieśni
Do snu nieśmiertelnego skronie ułożyły.

Wszystkie? Nie! Jeszcze jeden zadumany stoi,
Z głową osiemdziesięciu zimami srebrzystą...
Witaj-że nam wspaniały w samotności Twojej,
Tułaczy-teorbanisto.

Jakże Ci się gościniec musi zdawać pusty!
Z kim-że dzielić wspomnienia błogie, czy żałośne?
Z pokoleń, co zgodnemi hołdują Ci usty,
Mało kto widział Twą wiosnę!

---

*) Wiersz wygłoszony przez Autorkę na urządzonym przez „Koło“ obchodzie 80-letniej rocznicy urodzin Bohdana Zaleskiego.

Jednak i my, choć mniejsi, choć wam nie współcześni,
Umiemy się rozgadać z duchem Twojej pieśni,
Co ma świst chorągiewki na pice zwiniętej,
Rusałek strój różnowzory,
Stepowe podków tententy,
A czasem, przerażone oczy, Wernyhory.

Tem droższa pięśń, że idzie z tej ziemi kresowej,
Co porodziła Polsce najmocniejsze głowy,
I najsprężystsze ramiona;
Z tej ziemi, która solą stoi w oku wroga,
Wiecznie nam wydzierana, podwójnie nam droga,
Jak prawej matce dziecko w sądzie Salamona!

Stanisław Rossowski.

Zacharjasiewiczowi.*)

Witaj nam, w imię tej, co budzi cisze,
Co pieśnią w wietrze i mgłach się kołysze,
Co kwieciem wschodzi na życia ugorze,
Wśród mroków jasną rozpromienia zorzę;
Witaj nam, w imię tej, która porywa
Duchy i myśli jako ogniwa
W jeden je łańcuch spaja nieskruszony;
Co kwiatom wonie, ptakom daje tony,
A w sercu całe światy uczuć stwarza;
W imię tej, która żadnego mocarza
Nie zna nad sobą; której białe ramię
Przestrzeni, czasu nawet szranki łamie...
Witaj nam w imię Poezyi!

Witaj nam w imię tej, co w dyademie
Cierniową drogą stąpa i swe plemię
Widzi zakute w haniebną obrożę...
A za nią płynie krwi przelanej morze,
A za nią płyną dymy pogorzeli,
A za nią jęki, tych którzy cierpieli...
Witaj w tej imię, co dotąd oddecha
Zatrutej tchnieniem kaźni — a pociecha,
Jak cień, zaledwie przed nią się majaczy...
Witaj w tej imię, co jednak rozpaczy
Pocisk odparła pogardą i mocą,
Dumna boleścią nawet swą sierocą...
Witaj nam w imię Ojczyzny!

*) Wiersz wygłoszony przez Autora na święconym przez „Koło“ obchodzie 40-letniej pracy literackiej Jana Zacharjasiewicza.

Witaj nam w imię tej, co jest ochroną,
Co jest podnietą, z niebios nam rzuconą;
Witaj nam w imię tej, co narodowi
Kiedyś ołtarze zdruzgotane wznowi,
Kiedyś przywróci wielkość jego, chwałę;
Witaj nam w imię tej, co każde małe
Drgnienie jasności przywodzi przed oczy.
Wołając: „Słońce już, słońce się toczy!“
Witaj nam w imię tej, co na ruinie
Wznosi gmach nowy; z której siła płynie,
Jak źródło, skale wydobyte z łona...
Witaj nam w imię tej, która nie kona —
Witaj nam w imię Nadziei...

Poezya Twymi kierowała loty,
A Ty ją w kruży podawałeś złotej,
Spragnionym skwarne orzeźwiając usta;
Słowo twe nigdy, jak igraszka pusta,
Brzękiem układnym uszu nie nęciło,
Brzemienne wiary i miłości siłą.
Ojczyzna była Twą jedyną panią.
Więc my tu dzisiaj witamy Cię za nią.
Nie w laur uwieńczym skroń od trudów znojną,
Bo nasza dola ciągle jeszcze wojną
I przy odgłosach dalekiego jęku
My się nie ważym stawać z laurem w ręku.
Toż tylko: witaj nam i cześć Ci!

Mikołaj Rodoć Biernacki.

Pięćdziesiąt lat...*).

Pięćdziesiąt lat minęło od pamiętnej chwili,
Kiedyśmy tu, w tych murach, piękny dzień święcili,
Dzień, w którym scena nasza, w swym własnym przybytku
Poczęła nowy żywot — chwały i pożytku.
Toż radując się dzisiaj tem jasnem wspomnieniem,
Pochylmy wdzięczne czoła nasze przed imieniem
Męża wielkiego serca i wielkiej ofiary,
Który dzieląc Ojczyźnie wiekopomne dary,
Biednej, gnębionej sztuce dźwignął tą świątynię.

Lecz, ażeby myśl tkwiąca w tym wspaniałym czynie,
Nie spłonęła świetlanym, ani czczym momentem,
Winna bujnie zakwitnąć pracą i talentem.

Praca jest świętą - każda — czy to żywi ciało,
Czy to w zawody idzie z naturą zuchwałą,
Czy stawia ład społeczny; lecz najwyższa praca,
Co gorzką troskę życia słodzi i ochładza,
Co w męty duszy ludzkiej wlewa strumień czysty,
Szlachetna i wspaniała — jest praca artysty.
Trud to ciężki — i siły targa i pierś pali,
Więc tym, którzy w tym trudzie pół wieku wytrwali,
I cześć i uwielbienie!
Wśród naszego grona,
Mamy dziś takich: Oto wielka i wsławiona,
Artystka, która piękna rozsypując czary,
Sztuki polskiej wysoko nosiła sztandary
Oto mąż, co Ojczyznę w jej nieszczęściu srogiem,
Mężną piersią zasłaniał przed nikczemnym wrogiem,

*) Wiersz wygłoszony przez Autora na urządzonym przez „Koło" obchodzie 50-letniej rocznicy otwarcia teatru narodowego hr. Skarbka i 50-letniej rocznicy pracy dla tej sceny p. Anieli Aszpergerowej i Karola Langa.

A gdy walka ustała, przez szereg lat długi,
Resztę życia oddaje sztuce na usługi...
Cześć im i uwielbienie!
Są szczęśliwe ludy,
Które, za półwiekową wytrwałość i trudy,
Które siłom zlamanym półwiekową pracą
Hojne niosą zaszczyty i wspaniale płacą.
Nas jeszcze nie stać na to — jesteśmy ubodzy;
Lecz jeżeli los trzyma dłoń naszą na wodzy,
Serc nam zamknąć nie może.

Toż Wam z serca głębi
Hołd składamy. — I — wierzcie — nic go nie wyziębi,
Bo piękne życie, tryumf nieśmiertelny święci,
I nic go z ludzkiej wydrzeć nie zdoła pamięci.
Wy zawsze żyć będziecie w braterskiem wspomnieniu,
Jasną gwiazdą — młodszemu świecąc pokoleniu.

Platon Kostecki.

Trzy nadzieje.*)

Kiedy się patrzę na tą przyszłość białą,
Z temi dużema oczyma,
Co tak pogląda pogodnie a śmiało,
To chociaż pierś się od bolu mi zżyma,
Chociaż pięść pragnie, bodaj garść bodiaków
Rzucić na drogę niecnych wilkołaków,
I drga na ustach przeciw Bogu bunt —
To kiedy spojrzę na tą przyszłość białą,
Co tak spogląda pogodnie a śmiało,
Widzę już ranka nowego promienie,
Jak łanem kwiatów idą przez cierpienie,
Ponad wyjącą niewoli bezednią:
Afflavit Deus, dissipati sunt...

Toś Ty Korona... A wiesz, co Korona?
To twarde grzbiety i tęgie ramiona!
Tyś zasię Litwa... A wiesz co to Litwa?
To serca dzielne, to szczera modlitwa!
A Ty Ruś moja... ach, ta Ruś jedyna,
Halicz, Podole, Wołyń, Ukraina,
W której jelitach wróg grzeje swe stopy,
Boleścią swoją jak stepem niezmierna,
Poezyą swoją jak anioł powiewna —
Tam się rozstrzygną losy Europy...

Jak tu jesteście — trzy młode Nadzieje,
Każda z was godna, aby na turnieje,
Walki ze smokiem, bisurmańskie boje
Wiedli rycerze pułki i narody,
Zanim was który pojmie w ślubne gody —
Lecz wielka Matka, lecz Ojczyzna nasza,
Ta jedna: ruska, litewska i lasza,
Wielka i piękna, jak wy razem troje.

---

*) Wiersz wygłoszony przez Autora na święconym przez „Koło“ obchodzie 30-letniej pracy dziennikarskiej Autora.

Więc prawy Polak, choć serdecznie kocha,
Powie, że kochać kobietę, rzecz płocha,
Dopóki prosi miłości Ojczyzna...
I Polska słuszność Polakowi przyzna...
Więc każda Polka, choć bez granic kocha —
Kiedy Ojczyzna zatrąbi do boju —
„Idź bracie, mężu, synu!“ powie, szlocha,
I nadsłuchuje z pustego pokoju...
Na polu, kula w jedno serce zmierza —
A w tym pokoju w serc kilka uderza...

Pamiętam czoła poważne i sumne,
Pamiętam czoła odważne i dumne,
Bo na nich jeszcze gorzały ostatki
Blasków wolnego słońca, wolnej Matki,
Ach, jam te blaski gorące oczyma,
Sercem pochwycił, pochwyciłem duszą —
I wiem napewne, że wnet minie zima,
I wiem napewne, że zatory ruszą —
Choćby po żebrach naszych, ale ruszą!

I gdy na wasze patrzę główki święte,
To już je w nowym, przyszłym widzę blasku,
Jako Dziewicę, szatany przeklęte,
Depcącą widzę na wiejskim obrazku...

Oto poświęcam jasne główki wasze,
I pamiętajcie, co wam mówię ninie;
Że polskie iście, że polskie jedynie,
Co wraz litewskie i ruskie i lasze! —
Co luzem chodzi, w polskiem piekle na dnie
Nieodkupionym grzechem niech przepadnie!

I zmieńmy hasła: „Jeszcze nie zginęła!...“
Niechaj wam, Polki nowa pieśń przewodzi!
Marne są wrogów, bo chwilowe dzieła, —
Wolność nadchodzi!... śpiewaj polska młodzi!

Aureli Urbański.

Walcz! Nie my, to wnuki.*)

Bóg świadkiem — w żądz mych pogoni zuchwałej
Tytanów nigdy jam nie bieżał śladem;
Na szczyt tarpejskiej nie piąłem się skały,
Butnie po bardów sięgając dyjadem...
Bóg świadkiem — w rojeń zadumie, gdy czarni
W mózgach nam wichrzą podżegacze pychy,
Nie lauru widmo na mogilnej darni,
Jeno bukszpanu kierz mnie wabił cichy —
I z druhów dłoni snop bławatów siny,
Łezką odżywian bladej mej dzieciny...

Ot — i ambicyi tyle...
Duch ubogi
Dał, co mógł; wątła rychło przebrzmi struna.
Lecz jam i mistrzów nie czepiał się togi,
By mnie ich blasków ozłacała łuna —
I gęśl ma nigdy nie żebrała gładkiem
Pochlebstw skomleniem... — Nigdy — Bóg mi świadkiem.

Dziś — każdy fibr mi drży; więc drży i nuta...
Bracia — od pióra — słowa — penzla — dłuta!
Garść nas, przeświętej Idei szermierzy;
Strzęp zbroczonego spaja nas sztandaru;
Otośmy zbrojnych poczt, co w cuda wierzy,
Jak ongi Marji wojacy z pod Baru —
Więc nam wiadomo, jak się działa bierze
Gołą prawicą!... Wszyscyśmy — żołnierze.

---

*) Wiersz wygłoszony przez Autora na święconym przez „Koło“ obchodzie 25-letniej pracy literackiej poety.

Surm huk — i werbel dudni tarabanów;
Obozy dawne... ah... i dawne błędy!
O lederwerków krój, o szych kaftanów,
Nie dbam — lecz uchem głos łowię komendy.
Gdzie hasłem: „Walcz!...“ „Nie my — to wnuki nasze!“

Leon Gustaw Dziubiński.

Fantazya. *)

I.

Siedemnaście miała lat,
Wdzięczył jej się cały świat,
Była istna czarownica...
Jej śniadawe zdobił lica
Brzoskwiniowy puch...
Miała duże czarne oczy,
Bujny ciemnych splot warkoczy...
Wszystkie — wszystkie mieścił wdzięki
Najdrobniejszy — każdziuteńki
Jej gest i jej ruch.
W małej rączce jej
Biała róża tkwi,
A przy każdej sposobności
Na jej ustach uśmiech gości,
Wytłaczając w licach dołki,
Kędy mogłyby aniołki
Zlatać... albo łzy!
Gdyby jej natura cała
Nie tak szybko się zmieniała,
Gdyby te jej oczy cudne
Nie tak bardzo były złudne,
Niby wiotkie mgły —
Gdyby nie motyle loty,
Ten jej śmieszek szczerozłoty,
O, niedobry śmiech!
Bo on dźwięczał zbyt wyraźnie,
Bo on ranił szybko, raźnie —
Naraz... najmniej trzech!

*) Wiersz deklamowany przy muzyce mazurka Chopinowskiego na wieczorze przez „Koło“ ku czci Chopina urządzonym.

II.

Dwa lata wiodła tym trybem życie,
Jak róża, która w pierwszym rozkwicie
Wszystkie motylki karmi słodyczą,
Pojąc się każdą nową zdobyczą,
Tak ona. Temu rzuci spojrzenie,
Ów lekkie rączki czuje ściśnienie,
Tamten usłyszy srebrny jej głos...
A gdy którego miłość zniewala
Poważne słówko rzec... nie pozwala,
Z figlarnym śmiechem, pustym wyrazem
Szepnie... „Ach panie, to innym razem.“
Nie wie, jak ciężki zadaje cios!...
Aż raz zdobywczem oczkiem spojrzała...
Uczuła nagle, że twarz jej pała,
Że serce jakoś kołace dziwnie...
Więc się pytała mamy naiwnie,
Czemu tak puka? czemu?... Już ona
Nie mogła ranić. Była zraniona!
Ona kochała... pierwszy raz w życiu
I jak fiołek drobny w ukryciu,
Spragniony świeżej kropelki rosy,
Wdzięczną swą główkę zwraca w niebiosy,
Tak ona: każde swoje spojrzenie,
Każde przelotne rączki ściśnienie
I każdy oddźwięk głosu srebrnego
Tylko dla niego miała... dla niego.
Kiedy zraniona gołąbka biała
W jego objęciach walca pląsała,
Wznosiła oczy z taką rozkoszą,
Jak w przekonaniu, że ją unoszą
Boskie aniołki w niebios podwoje —
Kędy tak błogo... zwłaszcza we dwoje.

III.

A on? On znał dobrze świat
I pomimo młodych lat,
Był jak wulkan wypalony,
Jak kwiat sztucznie zasuszony,
Biedny zwiędły kwiat.
On wyleciał z objęć matki
Wychuchany, skromny. gładki,

Uniósł w piersiach serce tkliwe,
Wszystko, nawet niemożliwe...
Byłby czynił rad
Lawę w żyłach miał
I jakowyś szał
Miotał nim na wszystkie strony;
Tak to wicher rozsrożony,
Gdy do lasu wpadnie głębi,
Chwyta drzewa, liśćmi kłębi,
Rzuca, pędząc w dal...
On żył szybko — bez wytchnienia,
Najszaleńsze urojenia
Podejmował bez obawy!
Obcym był mu zawód krwawy,
Obcym był mu żal!
Toż tak żyjąc wśród zepsucia,
On nie zaznał co uczucia,
On boleści nie łkał łzami,
Bo on igrał z uczuciami,
Szydził z własnej krwi. —
A więc nie dziw, że gdy ona
Zakochana .. rozpłoniona,
W jego twarz zwracała oczy,
Które perła-łezka mroczy:
On nie dojrzał w nich miłości,
On nie zadrżał z wzajemności,
Nie ocenił jej...

IV.

Raz nad wieczorem między kląbami
W ogrodzie razem chodzili sami,
Ona wpoiła w ziemię oczęta,
A jego pierwszy raz niepojęta
Rzewna owładła jakaś tęsknota,
Gdy myślą sięgnął w męty żywota.
Ostatni romans wspomniał — niemiły!...
I wnet wspomienia wszystkie odżyły,
On je westchnieniem witał głębokiem,
Na towarzyszkę rzucając okiem.
Ona też właśnie podniosła oczy!...
Wzrok się ich dwojga miesza... jednoczy...

Aż machinalnie ujął jej ręce
I tak jak słowik w rzewnej piosence
Wyśpiewał życie ubiegłe swoje,
Chwile radości, ból, niepokoje,
A w końcu wznosząc wzrok zaogniony,
Rzekł: „Ty mnie wybaw, lub jam zgubiony!..."

V.

W dali cichła słowicza piosenka,
Dziewczę drżało... wszakby zadrżał głaz!...
I całując tkliwie pierwszy raz...
„Przestań, rzekło, bo mi serce pęka!"...



Aby można wydać wyrok na złodzieja, który ukradł np. cielę z obory albo chustkę na jarmarku, sędzia musiał przedtem ukończyć cztery klasy normalne, ośm gimnazjalnych, przebyć cztery lata na wydziale prawniczym, złożyć doktorat, egzamina państwowe, praktykować w sądzie a wreszcie wykonać uroczystą przysięgę, że będzie sądzić sprawiedliwie i bezstronnie. Tyle jest zachodów, gdy idzie o sądzenie przestępcy. Tymczasem gdy idzie o wydanie sądu o nowej książce, sztuce, o nowym obrazie lub rzeźbie, nad czem artysta mozolił się miesiące, a czasem lata, wystarczy umieć czytać, jako tako pisać i być reporterem jakiegobądź dziennika.

Michał Bałucki.

Mózg jest źródłem rozkoszy, lecz i tortur największych; nie dziw zatem, że są chwile, w których pozbyć się go pragniemy.

Dr. Piotr Chmielowski.

Każda łza wdowia i sieroca jest gorzka i paląca, ale łzy wdów i sierót po literatach polskich, kroplami wrzącego ołowiu powinny padać na serca i sumienia społeczeństwa polskiego.

Wiktor Gomulicki.

Nieocenieni, łudzą się nadzieją, że potomność sprawiedliwość im odda. Ta marna pociecha przypomina zdanie że prawda niby oliwa na wierzch zawsze wychodzi. Ludzie w to wierzą bo nie znają wielkości, których potomność nie wydobyła z pyłu zapomnienia, ani prawd, na zawsze ukrytych.

Walerya Marrené Morzkowska.

Publicysta może i w naszych stosunkach zrobić trochę dobrego, ale tylko wtedy, jeżeli o sobie zapomni i pożegna się z powodzeniem.

Jan Łada.

Polityka dla myślicieli i artystów staje się coraz bardziej nieprzyjemną — każde stronnictwo reprezentuje część prawdy, a każde twierdzi — że ma na tą prawdę wyłączny monopol.

Józef Kotarbiński.

Ludzkość dla wyrównania swych sprzeczności zniżała dotąd wielkich, zamiast podnosić małych.

Łatwiej przerzucić most przez przepaść między dwiema górami, niż przez przepaść między głupim a mądrym.

Prawdy gasną szybko jak zapałki, a uczucia górują ciągle jak gwiazdy.

Najlotniejszym gazem jest potwarz, a najcięższym chwalba.

Okropność niewoli nie tkwi w uległości, ale w rozkazie.

Nie ma cnoty, którąby nie mogła być córką miłości.

Nie pragnę żadnej innej sławy u potomnych, tylko uwiadomienia ich, że się wstydziłem ciemnoty i oburzałem na uprawnione zbrodnie mojego czasu.

Aleksander Świętochowski.

Aureli Urbański.

Toast.*)

Tandem tedy — chłop to setny;
Tak go widzim, tak go piszem.
Owóż *data occasione*
Trąćmy w kielich z „Towarzyszem!“

Jest okazja — i nie lada;
Item... haust zdrowieczku służy —
Item... uczcim laureata —
I człek z człekiem pobajdurzy.

A towarzysz nasz — „personat
Całą gębą“, zewsząd słyszę;
Na kamieniu niech się rodzą
Tacy aby „Towarzysze“.

Walne, za się, *argumentum*,
Że-ć *Achates* i druh wierny;
Nie z czeladzi, mospaneńku,
Lecz: *„Towarzysz“* — ba *„pancerny!“*

Miasto korda — pióro dzierży,
Kopji wolen i szyszaku.
Cóż ztąd? — Zawsze-ć on *orężny*,
„Poważnego“ zawsze-ć *„znaku“*.

I acz z marsem mi nie chadza,
Przyznasz muzo, mościa panno;
Jest animusz — jest fantazja —
Jak to było *anno... anno*...

*) Wygłoszony w „Kole“, na cześć podejmowanego przez „Koło« Michała Wołowskiego, po uwieńczeniu jego „Towarzysza pancernego“ pierwszą nagrodą konkursową.

Sic po fluktach nawigując,
Rzecz traktuje swą *ab ovo*,
Nie dla marnej krotofili —
Ale sztuką tnie krzyżową!

A że, zasię, zacnej sprawie,
Pod chorągwią służysz stale —
Ungue — rostro — semper idem —
Bóg Ci zapłać, nasz Michale!....

Fiat lux!... Niech ci się stanie,
Jako śnisz i jako marzysz...
Sursum jasny Twój proporzec!
Swojak *vivat* — i Towarzysz!!

Gdziem się urodził" — pytacie mnie?...
W kraju niebieskich migdałów,
Gdzie rusałczany prowadzi szlak,
Gościńcem z tęcz i kryształów.

„Kiedym się rodził?"... Ujrzałem świat
W miesiącu róż, bzu i dzwonków,
I polny konik mym ojcem był,
A matka — z rodu skowronków.

Wykołysały mnie wróżki trzy
W pieluszkach z babiego lata,
I otrzymałem od każdej z nich
Wiatyk na drogę świata.

Pierwsza mi w usta włożyła miód,
I sól i pieprzu dwa ziarka,
I złotostrunną dała mi gęśl,
Co strojem dzwoni Bekwarka.

Druga mi dała różowe szkła,
Bym na świat przez nie pozierał,
I wśród zawodów życia i trosk
Mej wiary w ludzi nie sterał.

A trzecia z czarnych wyrwała chmur
Słoneczny promyk — jedyny!
I — bym rozpraszał nim smutku mgłę —
W pierś go zaklęła dzieciny...

Tak uzbrojony idę przez świat,
I pędzę, wiosna czy lato;..
Westchnienia lilij, rumieńce róż,
Królewską są mi zapłatą.

Jak polny konik, strzygę mą pieśń,
Czy żniwo, czy też przednówek,
I jest mi obcym pszczół chciwych trud,
I niemych obyczaj mrówek.

Jak polny konik, nie dbam o zysk
I próżny zawsze mój worek,
Bo — żeby nie mieć o środę trosk —
Zjadam ją naprzód — we wtorek...

Więc mrówek ze mnie smieje się ród,
I nad mą urąga pracą,
Że tylko umiem śpiewać i śnić,
Żem leniuch, płochy, ladaco!...

Te głupie mrówki nie wiedzą nic,
Że śpiew polnego konika
Wiośniany w kwiatach rozbudza dreszcz
I łona różom odmyka.

Te głupie mrówki!.. Ni im się śni,
Gdy w krąg hejnały me dzwonią,
Zkąd róże biorą swych krasę lic,
Zkąd lilje tchnień swoich wonie?...

Włodzimierz Zagórski.

Mikołaj Rodoć Biernacki.

Nie będąc mężem głośnym wiedzą i zasługą,
Byłbym śmiesznym i nudnym, gdybym mówił długo.
Więc powiem jak najkróciej: Mamy nasze „Koło",
Co w bratni węzeł splata nam serca i dłonie;
Jest nam dobrze — swobodnie, poczciwie, wesoło...
Więc z wiarą w lepszą przyszłość i miłością w łonie,
Idźmy tym samym szlakiem dalej a powoli,
Gdy każdy z nas drugiemu będzie szczerym bratem,
Zagoi się niejedna rana co nas boli,
I niwa nasza błyśnie znowu bujnym kwiatem.
Niech żyje nasze „Koło"! Niech w pracy jednoczy
Pałace, dwory, strzechy — kontusze, siermięgi...
Niech żyje nasze „Koło"! Niech się szparko toczy,
A w biegu swym zatacza coraz szersze kręgi!

Wiersz wygłoszony przez Autora na obchodzie 10-letniej rocznicy istnienia „Koła".

Władysław Bełza.

Święty Mikołaj. *)

Zbliż się tu do mnie, drużyno mała,
I niech cię zawsze Bóg szczęściem darzy!
Ciebie nie straszy ma broda biała,
Ni zmarszczki na mej sędziwej twarzy.

Bo wy, dziateczki, włos siwy czcicie,
Ten włos podobny zbielałym kłosom,
Tylko do gruntu zepsute dziecię
Urąga starca szanownym włosom.

Ale wam z oczek cześć dla nich świeci;
Z was się aniołki cieszą tam w niebie;
Więc ja was kocham, jak własne dzieci,
I co rok, dziatwo, schodzę do ciebie.

Nieraz aniołków ślicznych gromada,
Widząc że patrzę ku ziemi zgięty,
Jak stado ptasząt w krąg mnie opada:
„Czego tam szukasz, nasz ojcze święty?“

A ja o dobrych dzieciach im prawię,
Co się na ziemi uczą ochoczo,
A oni tak się patrzą ciekawie,
Że mało z nieba mi nie wyskoczą.

*) Wiersz ofiarowany przez Autora dziatwie członków „Koła“, w dzień św. Mikołaja przez „Koło“ u siebie goszczonej.

Dziś, gdym opuszczał niebios podwoje,
I szedł tu do was wieczorną dobą:
Klękło przedemną aniołków dwoje
Z prośbą, bym także wziął ich ze sobą.

A tak błagały, tak się modliły,
Tak mię ścigały swemi prośbami,
Że im odmówić nie miałem siły
I obiecałem poznać ich z wami.

Patrzcie! te oto aniołki oba
Nie darmo noszą gwiazdki na głowie:
Z nich jest największa niebios ozdoba
Bo to najlepsi w niebie uczniowie!

O! bo i u nas jest także szkoła,
W której aniołki uczyć się muszą;
Lecz tam nauka jest dla anioła
Największem szczęściem, a nie katuszą.

Święty Jam Kanty i święta Anna
Małych aniołków uczą w tej szkole;
I aż się cieszy Najświętsza Panna,
Widząc ich pilność i dobrą wolę.

A choć z nich każdy jeszcze tak mały,
Cały dzień z książką siedzi za stołem,
I wciąż do większej zdążając chwały,
Jest ziemskich dzieci Stróżem-Aniołem.

I ma tu sobie oddane dziecię
Pod straż wyłączną przez Stwórcę świata,
Które od przygód strzeże na świecie
I wiedzie rączką, jakby brat brata.

O! dziatwo! skoro nad tobą czuwa
Taki przyjaciel z niebios prawdziwy,
To biada dziecku, co się usuwa
Z pod jego świętej opieki tkliwej.

Bo kto aniołka swego zasmuci,
Kto mu choć jedną łezkę wywoła,
To od takiego Bóg się odwróci,
I precz mu weźmie Stróża-Anioła!

Lecz tu nie trafił siew złego ducha,
Tu, wśród was nie ma krnąbrnych koziołków,
Tu, wiem, że każde z was chętnie słucha
Swoich rodziców i swych aniołków.

Więc błogosławię was dzieci lube!
Rośnijcie zdrowe, rośnijcie choże!
Bogu na chwałę, bliźnim na chlubę,
I niech was strzegą aniołki Boże!



Adam Krechowiecki.

Bajka.

Szedł Śmiech przez Polskę i huczał.

Roztrącał przechodniów śmiało a nawet zuchwale, albowiem czuł, że go każdy chętnie wita. Więc pozwalał sobie żarty stroić i szydzić a nieraz cynicznym się okazywał.

I wszystko mu uchodziło...

Aż w tem widzi naprzeciwko idzie Łza. Bardzo była wielka, a jeszcze bardziej bolesna.

Rozstępowano się przed nią i uciekano.

Lecz śmiech zastąpił jej drogę i rzekł:

— Po co ty jeszcze chodzisz po świecie, stara wiedźmo! Za dawnych lat, za bardzo dawnych, bo jeszcze za saskich — myślałem — Boże odpuść! — ożenić się z tobą i godziłem się nieraz, albowiem gdym był pijany, to mi stawałaś w oczach... Ale teraz ciebie nie cierpię! Ty bo na tej ziemi zagnieździłaś się i dyablo mi zawadzasz... Idź precz!

Łza zaś spojrzała na niego oczyma, z których biły blaski brylantowe, i odparła łagodnie:

— Z ciebie byłby dobry chłop, Śmiechu, gdybyś zawsze miał rozum i znał miarę. Jabym sama rada odejść już z tej ziemi i ustąpić ci miejsca. Ale nie mogę; trzyma mię bowiem ciągle własna lekkomyślność twoja... Umiej w czas zniknąć, nie bałamuć ludzi, nie rozpraszaj ich myśli, nie napawaj goryczą, szyderstwem lub cynizmem; bądź pogodą nie swawolą, bądź siłą nie rozstrojem, bądź dromieniem a nie błyskiem, równowagą, nie zboczeniem! Ja zaś wówczas rozpłynę się w tem morzu łez, które na tej ziemi z dawna powstało... A bogdajbyś ty je osuszył...

Śmiech opuścił czerwony nos na kwintę i zamilkł.

Ludwik Kubala.

Kazimierz Korsak.

W pierwszej połowie XVII. wieku zdarzył się w Litwie następujący wypadek:

Kazimierz Korsak, towarzysz pancerny, wyprawiony na podjazd z oddziałem ochotników, napadnięty został w nocy na leżach w pewnej wiosce przez znaczny oddział nieprzyjaciół. Na odgłos trwogi wypadł z chałupy chłopskiej i zebrawszy z wielką przytomnością swoich ludzi, odparł i gonił napastników.

Z brzaskiem dnia, gdy wracali na stanowisko, młody dowódca ujrzał się w sukmanie chłopskiej, którą w pośpiechu zarzucił na siebie. Towarzysze zaczęli z niego żartować. Tymczasem on, jakby wyższej ulegając władzy, jął z pośpiechem rozdawać wszystko, co miał przy sobie i w obozie, poczem zdawszy dowództwo, poszedł sam jeden w pobliskie lasy i — przepadł.

Młodzieniec ten pochodził ze znakomitego rodu, był jedynakiem i dziedzicem wielkiej fortuny. Uczony jak ksiądz, spokojny i mężny w boju, słodyczą charakteru i niezłomną wolą zdobywał serca ludzi i panował nad niemi. Nic dziwnego, że zniknienie jego wywołało żal i zdziwienie. Stary ojciec, pan dumny i głośny srogością dla poddanych, rozesłał posłańców i listy po całej Polsce i Litwie, szukał go wszędzie, — ale napróżno. Umarł i nie doczekał się powrotu jedynaka.

Młody Korsak przebywał jakiś czas w puszczy i żywił się, czem mógł; następnie wychudły i zmieniony nie do poznania przyszedł do najbliższej wioski i przyjął służbę u chłopa. Pracował rok cały twardo, ale z dobrym skuskiem, bo gospodarza swego z nędzy wydobył, a dobrym przykładem zachęcił innych do pracy

Chłop, uważając skrzętność i zapobiegliwość młodego parobka, ofiarował mu córkę jedynaczkę za żonę i dziedzictwo swojej chudoby. Wtedy Korsak opuścił go i udał się do swoich dziedzicznych włości, któremi siostra jego władała. Tam jednemu ze swoich poddanych za parobka się ofiarował i za niego służbę we dworze odprawiał.

Bity i poniewierany przez dworskich, a najbardziej wtedy, gdy się w obliczu młodej pani znajdował, cierpiał czyścowe męki; wytężał wszystkie siły, aby zwyciężyć zwątpienie i gładzić winy swego rodu.

Po siedmiu latach pracy, która zniszczyła jego zdrowie, zapadł w śmiertelną chorobę i pragnął się wyspowiadać. Ponieważ kościoła we wsi nie było, prosił gospodarza, aby wyszedł na drogę patrzeć, czy przypadkiem księdza nie zobaczy. I zdarzyło się szczęśliwie, że przejeżdżał tamtędy ksiądz Podolec. Zdziwił się, gdy go chory parobek po łacinie i po imieniu przywitał. Przy spowiedzi opowiedział mu Korsak swoje życie i zobowiązał pod przysięgą, aby tajemnicy dochował i jako parobka na cmentarzu pogrzebał. Ksiądz milczał, póki żył, gdy jednak umarł, całą tą sprawę opisaną w papierach jego znaleziono. Podał ją Naramowicz *(Facies Rerum Sarmaticarum fol. 313)*; przedrukował Niesiecki w Herbarzu, a Syrokomla ubrał w poetyczną szatę, ale przeinaczył, bo zrobił zbrodniarzem człowieka, który w tradycyi naszego narodu czystym i świętym pozostać powinien.

Dr. Wojciech hr. Dzieduszycki.

Historyozoficzny pogląd
na dzieje porozbiorowej Polski*).

Nie wiem, o ile jest politycznem wznawianie sporów o to, co się stało przed laty trzydziestoma. Wszyscy wiemy, że gdyby się stało to, co się żadną miarą stać nie mogło, że gdyby wróciły okoliczności z lat sześćdziesiątych, postępowalibyśmy wszyscy całkiem inaczej jak wówczas i nietylko dzieje Polski, ale dzieje Europy potoczyłyby się całkiem innemi tory. Powstanie nasze bowiem było wypadkiem dziejowym pierwszorzędnej wagi i chwilą, po której wszystko zmieniło się w Europie — na gorsze. Andrzej Zamoyski i Margrabia Wielopolski poczuliby się dziś przedewszystkiem do obowiązku wzajemnego porozumienia i usiłowaliby naród prowadzić w sposób liczący się z tego narodu uczuciami i z jego usposobieniem; naród sam nie lubowałby się w mistycznych demonstracyach, znosiłby cierpliwie niejedną rządową prowokacyę, pracując nad rozwiązaniem kwestyi włościańskiej. Starałby się zdobyć dla siebie jak najwięcej praw obywatelskich a dla polskiej myśli jak najwięcej mocy, wybierając inne środki w Kongresówce, inne w innych dzielnicach Ojczyzny. Demokraci nie liczyliby naiwnie na jakiś ruch rewolucyjny w Rosyi i nie wyprzedzaliby tego ruchu,

---

*) Rzecz wygłoszona przez autora w Kole literackiem. *(Przyp. Red)*

konserwatyści nie ufaliby niejasnym słowom Napoleona III. i nie przecenialiby dyplomatycznej interwencyi trzech mocarstw, Margrabia Wielopolski nie rozpisałby branki, którą naród nazwał proskrypcyą, nie prowadzilibyśmy powstania bez wiary w orężne zwycięztwo a tylko dla demonstracyi. A potem nie byłoby zniesienia wszystkich prawie instytucyi polskich, ukazów zabraniających kupowania dóbr na Litwie i na Rusi, bezwzględnej rusyfikacyi, prześladowania Kościoła, reakcyi w Rosyi i zboczenia Aleksandra II. z drogi liberalnej, na którą był zestąpił, spisków nihilistycznych i zamordowania cara; nie byłoby prusko-rosyjskiego przymierza, klęski Austryi i Francyi, panowania bismarkowskiego, hasła obwołującego w Europie pierwszeństwa siły nad prawem a spaczenia i sponiewierania wszystkich ideałów młodości tego stulecia. Nie byłoby zaś przedewszystkiem u nas zwątpienia, nie byłoby młodzieży uwiedzionej przez hasła kosmopoliczne, w braku innych ideałów.

Przeszłość się nie wróci; musimy żyć wśród teraźniejszości a przeszłość sądzić jako przeszłość dziejową — spokojnie — choć nie bez głębokiego wzruszenia. Nie należy się też spierać o to, kto był winien strasznym klęskom, jakie na naród spadły, bo wiemy, że usposobienie całego narodu przed trzydziestoma laty musiało wywołać beznadziejne powstanie. Samego powstania nie należy się ani potępiać ani wynosić, ono było tylko symptomatem ówczesnego narodowego nastroju. Wszyscy, we wszystkich stronnictwach zawinili podówczas zarówno a raczej nikt nie był winien, bo wszyscy działali ofiarnie, działali z poświęceniem, w przekonaniu, że spełniają święty obowiązek. Winnym byłby tylko ten, ktoby dziś nie umiał dobyć nauki z ówczesnych strasznych doświadczeń.

Historykowi nie wolno sądzić powstania osobno; winien zasiąść do sądu nad całą trzydziestu dwuletnią epoką, która powstanie poprzedziła, jeśli chce być sędzią

sprawiedliwym, bo powstanie było dojrzałym tej epoki owocem. Mamy zasiąść do sądu nad epoką Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Czy kto potrafi ją potępić? Nie — nikt z Polaków.

Dzieje Polski, począwszy od pierwszego rozbioru, są dziejami strasznych klęsk politycznych, spowodowanych po części przez zewnętrzne okoliczności i konieczność dziejową a po części przez ułomność lub niedostateczną dojrzałość ducha narodowego; są jednak zarazem dziejami moralnego odrodzenia i należy się te dzieje dzielić na epoki, podług zwrotów dojrzewającego narodowego sumienia. A dzieje ostatniego stulecia zrozumie tylko ten, kto rozumie dawniejsze dzieje Polski.

Polska wyrosła w wielką na Północy potęgę nie tylko dla tego, że jako naród katolicki o zachodnim duchu, była basztą wysuniętą cywilizacyi, wśród barbarzyńskiej jeszcze Słowiańszczyzny, ale także dla tego, że stanowiła zaszczytny wyjątek wśród ludzkości feodalnej, opierającej byt państwa jedynie na wierności i posłuszeństwie dla człowieka, dla króla lub cesarza feodalnego. Idea społeczeństwa opartego na cnocie obywatelskiej, obywatelskiem sumieniu i prawie, znalazła wprawd. ie niezmiernie swietny wyraz w małych rzeczachpospolitych miejskich Włoch i Niderlandów, ale jedna Polska zastosowała już u schyłku średnich wieków tę ideę do życia mnogiego narodu a Polska wyprzedziła te rzeczypospolite miejskie tem, że za panowania Jagiellonów rosła, przypuszczając coraz to insze żywioły społeczne i coraz to nowe ludy do wspólności praw i od praw nieodłącznych obowiązków, będących usprawiedliwieniem i podstawą ich istnienia. Niestety! Po wygaśnięciu Jagiellonów znalazła się rzesza mnoga obywateli Rzeczypospolitej, ówczesna szlachta, bez przewodnika tradycyjnego i okazało się, że nie umiała swemu powołaniu podołać. Byli wśród Rzeczypospolitej ludzie tak możni, że mogli nieraz przekładać

5*

interes rodzinny nad sprawę publiczną; były tłumy ubogie, a przeto ciemne, niezdolne do powzięcia politycznej myśli. Szlachta polska, będąca podówczas całym politycznym narodem, zasklepiła się tedy w wyłączności i w samolubstwie, nie chciała już nikogo więcej dopuścić do praw obywatelstwa a sama obowiązków politycznych nie pełniła; nagromadziły się najcięższe narodowe winy, nastał największy moralny upadek, po którym musiał nastąpić upadek polityczny.

Pierwszy rozbiór obudził sumienie części rozumniejszej narodu; nastała doba reformatorskich usiłowań, zakończona sejmem czteroletnim. Niejedna mrzonka nieprzetrawiona a naniesiona z Zachodu, zaciemniała najświatlejsze nawet podówczas umysły, ale jednak zrozumiano, że trzeba stworzyć przybytek praw obywatelskich dla zasługi, postanowiono się zaprzeć wyłączności i samolubstwa i chociaż nie zdobyto się naprawdę ani na aukcyę wojska, ani na stworzenie skarbu narodowego i chociaż sprowadzono tą nieudolnością dalsze rozbiory, przekazano narodowi szlachetniejszą tradycyę, umożliwiającą zachowanie ciągłości dziejowej i dalszą narodu poprawę.

Nastała druga epoka, wojskowa, rozpoczęta przez powstanie Kościuszkowskie. Naród otrząsł się wreszcie z całowiecznej gnuśności i z całowiecznego domatorstwa i bił się bez pamięci, często bez politycznej myśli, w San Domingo i w Hiszpanii. Ale samo istnienie karnego i bitnego wojska polskiego umożliwiło autonomię Królestwa Polskiego, a stworzenie instytucyi narodowych na Litwie i Rusi. Ludzie poważni mogli myśleć o odbudowaniu Polski pod dynastyą rosyjską.

Katastrofa roku 1831 była jednak nieuniknioną. Świat cały europejski dzielił się na dwa obozy: ludy żądały instytucyi wolnych i demokratycznych; rządy, a na ich czele rządy rozbiorowe, stały przy absolutyzmie i przy utrzymaniu kastowych przywilejów. Tradycye na-

rodu ciągnęły go na stronę ludów, możniejsza szlachta nie chciała okupić łaski u rządu rozbratem z narodem i epoka walk rewolucyjnych musiała się rozpocząć.

Była to epoka emigracyjna, mistyczna, poetyczna, romantyczna, która się skończyła powstaniem roku 1863. Naród zaprawiał się do ciągłych ofiar, do milczenia, do zachowania tajemnicy, Polacy byli gotowi ponieść śmierć bez chwały, utracić majątek, ponosić przez całe życie najcięższe ofiary, służąc ukochanej idei. Równocześnie dojrzewało u nas przekonanie, że Polska chcąc żyć, winna wyobrażać poczucie prawa i sprawiedliwości, i szlachta polska narażała się na srogie prześladowania, upominając się o zniesienie pańszczyzny — na własną materyalną szkodę. Stworzono przytem wielką poetyczną literaturę, postawiono podwaliny pod przyszłą, poważną, naukową pracę. Był zaiste dalszy postęp moralny narodu, był dziejowy dorobek.

Ale naród nie był jeszcze dojrzałym; najszlachetniejsze uczucia radziły polityczne fantasmagorye; niecierpliwość opanowała społeczeństwo wtedy właśnie, kiedy można było zbawczą pracę na polskiej rozpocząć ziemi; zawiści i niechęci jednostek a namiętne i najczęściej bezcelowe spory arystokracyi i demokracyi odwracały uwagę od najważniejszych zagadnień, a uniemożliwiały nieraz męską rozwagę, ustępując pola młodzieńczej jedynie egzaltacyi. Te niedostatki i grzechy sprowadziły klęski 1863 r. i cięższe stokrotnie tych klęsk skutki.

A jakżeż mamy dać słuszność tym, którzy twierdzą, że bohaterskie i męczeńskie ofiary nie były daremnemi, choć tyle nieszczęść i zawodów przyniosły? Otóż łącząc ducha ofiary i niezłomną wiarę w zwycięstwo prawdy z rozwagą i spokojem męskim. Rok 1863 nie przeminął marnie, jeśli potrafimy skorzystać z doświadczenia. W Galicyi otrzymaliśmy swobody, jakich żadna dzielnica Polski od rozbiorów nie miała; nie jednośmy zapewne w ciągu

trzydziestu lat swobody zaniedbali, ale możemy pochwalić się i tem, żeśmy zrobili wiele, żeśmy sił nie przeceniali, żeśmy pracowali rozumnie. Daj Boże, aby praca podobna mogła się rozpocząć także po za Galicyą, a na każdy sposób, winno odtąd każde polskie pokolenie pamiętać o tem, że nikt wielkich celów dziejowych jednym zamachem nie dopiął, ani wielkich win dziejowych w krótkim czasie nie odkupił i że to się tylko pokolenie około Ojczyzny zasłuży, które zostawi naród zamożniejszy i światlejszy a przeto potężniejszy i szczęśliwszy. Żaden Polak dojrzały a prawdziwie miłujący Ojczyznę, bez względu na to, do jakiego obozu się zalicza, nie szuka zbawienia dla narodu w spiskach i powstaniach i owszem, wie, że żadne oręże a przez nikogo nie poparte powstanie, nie może przynieść nic innego, prócz nowego pogromu. Wiemy także wszyscy, że mocarstwa Europy wcale nie myślą o jakiejś restauracyi w Polsce, że usiłują tylko nasz zapał wyzyskać dla celów swojej polityki i nie uwierzymy już obietnicom niejasnym i ułudnym uśmiechom, nie damy się uwieść przez podstępne prowokacye zkądkolwiekby pochodziły. Nie wierzymy także w to, aby Opatrzność chciała porządek spraw dziejowych cudownie dla nas zmienić, nie pochwalamy chęci bezcelowego męczeństwa; wiemy, że trzeba przyjąć każdą sposobność, jaka nam zostanie daną do pracy organicznej i sposobność tą wyzyskać w sposób pożyteczny i dla nas i dla drugich przez służbę Bogu, sprawiedliwości, prawu, nauce, sztuce, wszystkiem, co jest prawdziwą cywilizacyą. Wiemy, że trzeba dbać o moralny, materyalny i obywatelski rozwój mas ludowych, usiłując lud podźwignąć, usiłując jemu dobrze robić, nie przez polityczną rachubę, ale zupełnie bezinteresownie — dlatego, że tak nam każe sumienie; wiemy, że lęgł się w naszym narodzie nowy wewnętrzny wróg, w postaci kosmopolitycznych i socyalistycznych haseł, uroczych dla wielu, choćby tylko dla tego, że isto-

tne błędy dzisiejszych społeczeństw usprawiedliwiają ich krytyki, ale zgubnych dla tego, że nie są zdolne nic u nas stworzyć, dla tego, że niosą w sobie zarzewie okropnej walki domowej, któraby nasze społeczeństwo pozbawiła wszelkiej siły i wszelkiej samodzielności, dla tego, że prowadzi do niewidzianej dotąd omnipotencyi państwa i niewoli człowieka, dlatego wreszcie, że wypierają się idei narodowej dla jakiegoś olbrzymiego a niewyraźnego kosmopolityzmu. Wiemy, że możemy tego wroga zwalczyć wtedy tylko, kiedy staniemy gorąco przy dawnych ideałach, przy naszej jedności narodowej, przy pracy dodatniej, rozumnej a skutecznej około wzmożenia wszystkich szlachetnych sił w naszem społeczeństwie. Ale wiemy równocześnie, że w każdej dzielnicy winni Polacy inaczej pracować, innych dobierać środków, odmiennych domagać się rzeczy, w miarę położenia swojego i sił swoich, i tego, czego się dziś rozumnie spodziewać i domagać mogą. Wiemy, że są miejsca, gdzie trzeba tylko bronić narodowego bytu, a inne miejsca, gdzie się należy dążyć do narodowego i społecznego postępu, do dodatniej twórczości, stwierdzającej życie narodu i to, że potrafi być cennym czynnikiem w rozwoju ludzkości.

Na to wszystko godzimy się wszyscy, którzy chcemy i umiemy być Polakami. A czy to dość, czy to nam zapewni już nastanie doby nieustannych dorobków, czy to ochroni nas już od nowych a okropnych klęsk? — Nie. Nie zgadzam się ze stanowiska filozofii historyi na teoryę upadku państwa, jaką p Stanisław Koźmian w swojej książce wygłosił, ale nie myślę się o nią sprzeczać — bo o to wreszcie mniejsza — ale prawda, że nasze położenie jest niezmiernie trudne, że trzeba nam niezmiernych a cierpliwych wysiłków, aby naprawić błędy przeszłości. Jeśli chcemy sprostać w zupełności naszemu zadaniu, jeśli chcemy uczynić zadość naszym najświętszym, naszym nieodzownym obowiązkom, trzeba nam uzupełnić moralną

i obywatelską poprawę nabyciem najtrudniejszej cnoty, wyparciem się uporczywego a najniebezpieczniejszego błędu. Łatwiej człowiekowi poświęcić mienie, wolność, zdrowie i życie, jak wyprzeć się osobistej, kastowej albo partyjnej miłości własnej — a my musimy się jej wyprzeć. Nie ma dla człowieka trudniejszej ofiary, nad milczenie w chwili, w której możemy zawołać dawnemu przeciwnikowi »ty błądziłeś a ja miałem słuszność« i najtrudniej oprzeć się pokusie obrócenia słów dawnego przeciwnika na jego własne potępienie, i nie masz większego bohaterstwa nad to, kiedy kto dawnemu i to domowemu przeciwnikowi, człowiekowi innego temperamentu i innych torzyskich przyzwyczajeń, poda rękę do wspólnej pracy na teraz i jutro, wypominając poswarki dnia wczorajszego. Do tej jednak cnoty dojść musimy koniecznie, jeśli mamy się oprzeć zewnętrznym nieprzyjaciołom i wewnętrznemu wrogowi wszelkiej idei narodowej, jeżeli nie mamy przed potomnością dźwigać odpowiedzialności za błędy i grzechy, których żadne niedoświadczenie już nie wytłumaczy.

Jeśli nam potrzeba już koniecznie walczyć z wewnętrznym przeciwnikiem, mamy przed sobą przeciwników, których zwalczać jest obowiązkiem: mamy próżniaków, którzy pozbywszy się wiary w jakikolwiek ideał narodowy, a nie zmuszeni do pracy przez zbawienny nieraz niedostatek, wraz z poczuciem polskiem, tracą powoli poczucie godności ludzkiej i popadając sami w przepaść, bezczeszczą całe społeczeństwo. Z tymi walczyć trzeba — ci zasługują na potępienie. Mamy szaleńców, którzy się świadomie wyparli patryotyzmu jako rzeczy niby przestarzałej i potępionej a dążąc do fantastycznych społecznych przewrotów, mających objąć całą ludzkość, udają nieraz głośny patryotyzm, aby ogół narodu pociągnąć za sobą i jego uwiedziony zapał dla swoich wyzyskać celów; tych także zwalczać trzeba, trzeba ich zamiary przejść i udaremnić, trzeba tych, którzy idą za nimi przez niedo-

świadczenie i w dobrej wierze, oświecać i przestrzegać. Wreszcie będziemy się nieraz różnić pomiędzy sobą i różnimy się już dziś co do niejednej kwestyi politycznej lub teoretycznej, co do ustawy, która ma być uchwaloną, co do politycznego kroku, który ma być zrobiony, co do sposobu zaradzenia tej lub owej społecznej potrzebie. A wtedy będzie naszym obowiązkiem zszeregować się w przeciwne obozy i przeprowadzić pomiędzy sobą stanowczą rozprawę. Ale spierając się, nie potrzebujemy się kłócić, nie potrzebujemy się nienawidzić, ani podejrzywać wzajemnie o brak patryotyzmu i nie powinniśmy sobie nieustannie wypominać przeszłości, bo takie wypomnienia drażnią najbardziej, one najłatwiej zamienią dyskusyę w spór, a spór w kłótnię, one mogą sprawić, że w chwilach, w których każdy musi się z każdem słowem i z każdą myślą liczyć, jeśli ma dobrze zasłużyć się wspólnej sprawie, że w chwilach, w których wszyscy powinni w zwartym szeregu postępować, waśń domowa odda zwycięstwo w ręce obcym prowokatorom i domowym nieprzyjaciołom.

Więc trzeba panować nad sobą. Największe zbierze zasługi, największe da dowody patryotyzmu i rozumu politycznego, kto będzie unikał dania jakiegokolwiek powodu do wzajemnych rekryminacyi, kto nie dostrzeże nawet wezwania wyszłego z przeciwnej strony, nie wzmagając jego znaczenia przez danie niecierpliwej odpowiedzi. Usiłujmy mówić o sprawach przeszłości spokojnie i nie namiętnie, jako o kartce oprawionej już w księgę historyi. Niechaj ci, którzy na wspólnym gruncie narodowym stoją, unikają przyczyn dalszych wewnętrznych rozdziałów na niechętne partye. Zapomniawszy o dawnych sprawach, nie czyńmy sobie łatwo wzajemnych zarzutów; nie mówmy, że ktoś jest szaleńcem, spiskowcem i prowokatorem, dlatego, że wyznaje bardziej demokratyczne zasady, choć zwalcza nieroztropne porywy, a przedewszystkiem mata-

ctwa kosmopolitów domowych albo ościennych prowokatorów; nie mówmy, że ktoś, który wyznaje bardziej konserwatywne zasady, jest odstępcą od idei narodowej, choć życiem poważnej i nieustannej pracy dowiódł, że dla niej żyje i że o niej nieustannie myśli. Wykreślmy z naszego słownika narodowego słowo »potępienie«, zastosowane do tych, którzy stoją na wspólnym patryotycznym gruncie. Czuję, że się domagam trudnych rzeczy, niejeden czytając uśmiechnie się nad moją kaznodziejską naiwnością. Ale jeśli jest rozumnym człowiekiem i dobrym Polakiem, niech ten uśmiech szyderczy na chwilę stłumi, niech się obejrzy po dzisiejszem nadzwyczaj trudnem położeniu, niech pomyśli o bliskiem może jutrze — a wierzę, że przyzna mi słuszność — i że niejeden osobisty a głęboki żal stłumi, aby tylko dziś nie dopuścić do niszczącej niezgody! W narodach niepodległych bywa nagannym, zresztą politycznym obyczajem, że konserwatyści przedstawiają umiarkowanych demokratów, jako rewolucyonistów, na to tylko, aby pozyskać wyłączne dla siebie zaufanie korony, a postępowcy przedstawiają postępowych konserwatystów, jako zwolenników zastoju i nieprzyjaciół wszelkiej wolności na to tylko, aby dla siebie jedynie zaskarbić miłość narodu. Podobna gra jest u nas zabroniona i najświętszy obowiązek patryotyczny, najprostsza przezorność względem jutra każe jej zaniechać.

A przedewszystkiem nie wznawiajmy kwestyi o to, czy kto stoi przy ostatecznych narodowych celach, czy kto ich się wypiera? Gdyby się ich kto z Polaków wyparł, niktby jemu nie uwierzył, a choćby wreszcie kto przypuścił, że mówi szczerze, nie przywiązywałby do tego żadnej wagi, nie wierząc bynajmniej, aby mówił w imię narodu. Nie znajdzie wiary człowiek twierdzący, że nie pragnie szczęścia — bo to jest niepodobieństwem; podobnież nie znajdzie wiary ktoś głoszący, że jego naród nie chce własny los mieć w ręku, i że nie chce zająć pośród

narodów przynależnego stanowiska, że nie pragnie wielkości i chwały; bo to u żywego narodu także niepodobieństwem. Otóż wszyscy wiedzą, żeśmy naród żywy, który się nie zrzekł i zrzec nie może ani swoich nadziei, ani swojej narodowej dumy; i dlatego liczą się z nami politycy, i dlatego uważają, żeśmy figurą, którą można zagrać na dziejowej szachownicy; dlatego uciskają albo prowokują nas jedni, a drudzy myślą o tem, czyby nie było warto z nami się porozumieć i pozyskać naszą pomoc, choćby tylko do rozwiązania zadań wewnętrznej polityki. Gdybyśmy się wyparli nadziei normalnego życia narodów, przestalibyśmy być żywym narodem i czynnikiem historycznym, i niktby się z nami nie liczył, niktby z nami nie gadał i niktby na nas nie budował, wiedząc na pewno, że rozkład ostateczny musi rychło nastać w martwem ciele. Ale tak samo nie zbliżyłby się do nas nikt, gdyby nie wiedziano o tem powszechnie, że nie żądamy niepodobieństw, żeśmy gotowi na polityczne kompromisa, że nie myślimy nikogo zdradzać, że umiemy być wdzięczni i dla przyjaciół pożyteczni, że dotrzymujemy danego słowa, a służymy dobroczyńcy wiernie i radą i czynem. Trzydzieści lat autonomii galicyjskiej ugruntowało to o nas przekonanie u potężnych tego świata, a chcąc mieć jak najszerszą możność do dodatniej dziejowej pracy, musimy dbać o to, aby się to przekonanie nie zachwiało.

I niechaj nikt nie zarzuca ani nieszczerości, ani dwulicowości temu programowi, który wygłosiłem i którego się wszyscy trzymamy. Między postępowaniem rozumnego człowieka a postępowaniem rozumnego narodu, nie masz różnicy. Jeden i drugi winni się przedewszystkiem wystrzegać rozpaczy i pessymizmu, które upadlają, ubezwładniają i wreszcie zabijają; jeden i drugi powinien strzedz swojej dumy i swojej godności, a stawiać sobie jak najwyższe moralne zadania; jeden i drugi winien wierzyć

silnie, że dojdzie do swego celu, jeżeli tylko nie zwątpi o sobie i powinien pragnąć, aby tego celu dopiął jak najzupełniej i jak najprędzej. Ale znowu ani człowiek, ani naród rozumny, nie dają się porwać ułudnej a dziecinnej nadziei i niecierpliwości niemęskiej, tak, jak się nie dają złamać i zniechęcić, choćby najcięższem niepowodzeniem; nie wierzą we własną nieomylność, ale spuszczają się na własny rozum, czerpiący coraz nowej nauki z coraz to nowych doświadczeń; nie wyzywają silniejszego, nie usiłują głową muru rozbić, nie odrzucają warunków możliwego szczęścia, dlatego, że nie są zgodnemi z ideałem; nie dają uczuciu zagłuszyć mowy, rozumu, chociaż rozumowi każą szukać dróg mogących zadowolnić uczucie; nie wyzywają przemożnych i nierozważnych, nie rozpoczynają przedsięwzięć, aby dogodzić uczuciu, nie słuchając przestrogi rozumu. Człowiek i naród rozumny szukają przyjaciół, a skoro przyjaciela znajdą, trzymają się przyjaźni wiernie, rachując się z położeniem i potrzebą przyjaciela, i wiedząc, że przyjaźń potrwa tylko, jeśli się na wzajemnych oprze przysługach; dążą do pomnożenia swojego mienia, swojego znaczenia i swojego wpływu, ale wiedzą, że mienia, owej najrealniejszej podstawy ziemskiego bytu nie otrzyma nikt, jak tylko przez mozolną pracę, przez zawieranie rozważne układów, i przez sumienne dotrzymywanie raz zawartych; że wpływ i znaczenie wzrastają tylko przez rozum, naukę, słowność i dobrą radę; szanują pamięć przodków i rozpamiętując własną przeszłość, nie wypierają się jej nigdy i nie zatracają nigdy swojej indywidualności i swojej osobistej jedności, ale mają wzrok przedewszystkiem zwrócony ku przyszłości i w niej szukają środków i celów. Zresztą z wiedzą człowiek i naród wie o tem, że przyszłość nie zwykła chodzić po ścieżkach przeszłości, że szczęście i potęga jutrzejsza nie będą podobne do wczorajszej, choć mogą być większe i promienniejsze; nie usiłują przedrzeć proroczym wzro-

kiem zasłony, zakrywającej przyszłość przed śmiertelnemi oczyma, a wiedzą tylko, że są środki i drogi, których się muszą trzymać, aby swoich nadziei nie udaremnić. Nikt nie może oznaczyć dnia i godziny, w którą dotrzemy do celu, nikt nie może przewidzieć, na czyją korzyść, na czyją szkodę nasze wyjdzie szczęście. Warunki żywota dziejowego narodów, formy społeczne i formy państwowego bytu, zmieniają się nieustannie, pośród wielkiego potoku dziejów; niezawisłość narodów jest dziś opartą na innych podstawach, jak u schyłku ośmnastego wieku a podstawy te zmienią się znowu w wieku dwudziestym; ludzkość cywilizowana poczuwa się do coraz większej jedności, myśl rozjemczych sądów międzynarodowych i europejskiej federacyi zdobywa coraz liczniejszych zwolenników, wciela się powoli w życie polityczne, jest myśl przyszłości, jest środkiem, zapomocą którego zbytnia omnipotencya i sztuczna centralizacya dzisiejszych państw ustąpią wobec wyższej jedności, szanującej wszelką indywidualność i wszelką tradycyę, ale gotującej dalsze drogi postępu, wiodące ku zwycięztwu prawa i sprawiedliwości. Darmoby się kto silił przewidzieć jakim sposobem spełnią się wielkie zadania przyszłego stulecia i kto będzie stanowczym i zwycięzkim czynnikiem sprowadzającym najbliższą przemianę, ale to pewna, że każdy naród zajmie w przyszłości to stanowisko, na które zasłuży mocą moralnej i intelektualnej wartości a rozumnych dziejowych zasług. Nam trzeba o tem pamiętać, aby wartość i zasługi nasze uprawniały nasz naród wtedy do odegrania znakomitej dziejowej roli; i oto zadanie, o którem powinien każdy Polak pamiętać, oto wielkie zadanie, które nie powinno dopuścić, aby jakikolwiek Polak znikczemniał, oto zadanie nad którem możemy i musimy pracować, w okolicznościach w których się znajdujemy, nie zdradzając nikogo, nie szkodząc nikomu i owszem, pomagając każdemu, który zechce być naszym przyjacielem.

Trzeba jednak o jednem pamiętać. Naród podobnie jak człowiek nie tylko wobec siebie samego ma obowiązki i w tem znowu jest podobny do człowieka, że ma także obowiązki wyższe, obowiązki wobec Boga, których przestrzeganie jest zresztą nierozłącznie i nierozdzielnie połączone z obowiązkami wobec samego siebie. Pierwszym bowiem i najprostszym obowiązkiem narodu wobec Boga, jest zachowanie własnego życia, własnego narodowego bytu, które skoro zostało narodowi dane, nie zostało jemu danem nadaremno i jest snać potrzebnem w życiu zbiorowem rodzaju ludzkiego, objawiającem się biegiem dziejów. I dlatego unikanie wszelkiej formy narodowego samobójstwa jest obowiązkiem narodu tak wobec Boga, jak wobec samego siebie; a formy narodowego samobójstwa są przeróżne. Najnikczemniejszą jest marnowanie sił żywotnych przez próżniactwo i bezmyślną lekkomyślność, ale samobójstwem jest także szukanie bezcelowego męczeństwa, poryw niby bohaterski, podyktowany przez rozpacz, albo kuszący Boga do cudów, a byłoby nim najwyraźniej wyrzeczenie się wiary, języka, obyczajów, tradycyi, przeszłości i wiary w przyszłość własną dla okupienia znośnego życia jednostek z których się naród składa.

Ale tak jak samozachowawczy zmysł jednostki ludzkiej i dozwolone zresztą a nawet poniekąd nakazane osobiste jednostki, samolubstwo, zamieniają się w zgubny a obrzydliwy występek, skoro człowieka doprowadzą do czynów nikczemnych, do odstępstwa narodowego, albo do szkodzenia innym ludziom i całemu społeczeństwu, tak samo nie wolno narodowi zaprzeć się przekonań najświętszych, i dopomagać do zwycięztwa złego, na to, aby swój byt zachować. Taka polityka nietylko jest polityką godną potępienia, ale jest ostatecznie polityką głupią, bo naród traci w skutek niej racyę narodowego bytu, staje się w dziejach nikczemną nulą, o którą nikt nie dba i zo-

staje wreszcie wymazanym z ksiąg dziejowego żywota, w których jest jedynie miejsce na cyfry a nie masz miejsca na nule cyframi nie poprzedzone. Aby wyrwać jeden tylko przykład z pośrodka mnogich przykładów, w które obfituje historya, spytam się, coby się było stało ze średniowieczną historyą, gdyby była przyszła na roztropny niby polityczny pomysł i gdyby, chcąc ratować narodowy byt, była się wyparła chrześciaństwa i była przyjęła islamizm? Albo byłaby znikła bez śladu, albo byłaby dziś barbarzyńskim muzułmańskim narodem, niezdolnym do cywilizacyi i nie mogącym zachować swojej niepodległości w obliczu cywilizowanej, chrześcijańskiej Europy.

A zresztą małe narodziki bez wielkiej przyszłości i bez usprawiedliwionej dumy narodowej, taka Serbia albo Norwegia, mogłaby wreszcie stawiać sobie jako jedyny i ostateczny cel, to aby namalowano na mapie plamę ich mianem przezwaną i aby tylko Serbowie albo Norwegczycy piasowali urzęda w granicach tą plamą zakreślonych. Polska jest i musi być dumniejszą, jeźli chce żyć i jeźli chce naprawdę pozostać Polską. Już w jej przeszłości odzywają się wielkie hasła, które łączyły z sobą narody i rozszerzały granice ludzkiego na prawdę świata; tym hasłom zawdzięczała swoją wielkość i swoje dziejowe znaczenie. Nic to nie znaczy, że historyk przypatrujący się zbliska dziejom najświetniejszych naszych czasów odkrywa w nich drobne skazy i większe brzydkie plamy i rozpoznaje mizerne ludzkie namiętności i zimne polityczne rachuby, które o każdym pojedynczym wypadku dziejowym stanowiły. Prawdziwym kształtem drzewa jest ten, który oko ludzkie z daleka dostrzega, a nie powie nam o niem nic mikroskop rozbierający liść każdy na włókna i komórki; o prawdziwej istocie naszych dziejów stanowi ich całość, a szczegóły mogą bardzo wiele rzeczy ciekawych opowiedzieć, mogą nas pouczyć o tem jak wszędzie i zawsze rozumne ludzkie środki wiodą do celu; o tym celu nie

powiedzą nam nic. Przyszłości Polski nie może sobie żaden Polak wyobrażać inaczej, jak tylko wierząc w to, że Polska będzie czynnikiem moralnym i cywilizacyjnym, oddziałującym na tok nie wewnętrznych tylko wypadków, a dzisiejsze położenie nasze zmusza nas do tego, abyśmy się zajmowali nie tylko swojemi sprawami, nakłada na nas obowiązek wyrobienia w sobie sądu o wszystkich prądach, chwili bieżącej i podawania dobrej rady, każdemu, który się o naszą radę spyta; czy jest od nas słabszym, czy możniejszym. Przez rozum, przez dobrą radę, mamy zdobyć dla siebie przyszłe dziejowe stanowisko, a jako materyalnie słabsi i nieszczęśliwi, zapatrujemy się koniecznie na sprawy ludzkości naszej od tych, którzy moc mają w ręku, od tych, którym się szczęście dzisiejsze uśmiecha; sofizmata przezywające bezprawie prawem i wynoszące przemoc nad sprawiedliwość, albo tłómaczące, że nie potrzeba narodowi obywatelskiej cnoty, że wystarczy dla niego mechaniczny nacisk dobrego rządu, nie mają i nie mogą mieć przystępu do nas; z konieczności we własnej obronie musimy być wędrownikami prawa i sprawiedliwości, zdrowej wolności tej karnej cnoty, która wolność jedynie umożliwia. Stany oświecone i zamożniejsze narodu polskiego są pozbawione mechanicznych środków, zapomocą których utrzymuje się gdzieindziej masy ludowe w karności, łudząc je przytem rozmaitemi hasłami kastowej albo międzynarodowej nienawiści; muszą przeto szukać poparcia dla siebie u ludu dbając o istotne dobro, a prawdziwe podniesienie i uobywatelnienie tego ludu i przeto Polacy muszą się zajmować z miłością istotną zagadnieniami społecznemi i muszą się na nie znowu inaczej zapatrywać jak ogół cudzoziemców zastanawiających się nad tak zwanemi socyalnemi zadaniami; niepodobna aby nie pragnęli wzbogacenia się i oświecenia mas, tudzież ich politycznej dojrzałości, ale również niepodobna, aby się dali uwieść hasłom chcącym niszczyć swobodę je-

dnostki i rodziny dla ułudnych społecznych nadziei, albo chcącym zburzyć podstawę cywilizacyi i moralnego porządku; niepodobna, aby nie usiłowali lepszej przyszłości oprzeć na tych fundamentach, które przeszłość już położyła i w narodzie naszym i w owem cywilizowanem chrześcijaństwie, którego częścią żywotną jest naród nasz.

Te wszystkie okoliczności sprawiają, że posiadamy niewzruszone przekonanie o tem, co jest niezbędnem nietylko dla dobra naszego narodu, ale także dla dobra ludzkości, i że pozostając Polakami, możemy się tylko różnić co do szczegółów, ale musimy się koniecznie zgodzić co do ogólnych zarysów budowy dziejowej. A te nasze narodowe przekonania są naszą siłą, stanowią o naszem powołaniu, są rękojmią naszej, nietylko dla nas zbawiennej przyszłości. Zawinilibyśmy tedy wobec Boga i wobec rodzaju ludzkiego, a pozbawilibyśmy się zarazem nikczemnie warunków narodowego życia, gdybyśmy się dla jakiejś przemijającej korzyści, albo z powodu jakiegoś chwilowego niebezpieczeństwa, naszych najświętszych przekonań zaparli, gdybyśmy się dali skusić do tego, abyśmy byli podporami czy to absolutystycznego, czy to rewolucyjnego bezprawia, gdybyśmy się zaparli sprawy cywilizacyi zachodniej, czy to dla starodawnego azyatyckiego, czy to dla nowożytnego materyalistycznego barbarzyństwa.

Ale na to, abyśmy mogli nasze obowiązki pełnić z korzyścią dla siebie i dla świata, potrzeba dwóch rzeczy: większej u nas, intenzywniejszej i samodzielniejszej pracy i swobodnego pola, na któremby się ta praca mogła rozwinąć. Błędem radykalnym ostatnich dziesiątków lat naszego życia umysłowego, jest pewien lękliwy brak zaufania do własnej myśli, jest nieustanne oglądanie się na obce formy narodowe i na mody ościennej nauki, jest skłonność do wychwalania tej tylko polskiej rzeczy, która jest kopią rzeczy obcej, i pogardliwe pomijanie milcze-

niem każdego oryginalnego pomysłu, jeśli to pomysł polski. Błąd to, którego się pozbyć musimy koniecznie, bo niewola umysłowa, w którą się podajemy naumyślnie, jest gorszą i zgubniejszą od każdej niewoli politycznej, bo pozbawia nas racyi narodowego bytu. Błąd ten wytknąłem tedy, przerażony łatwością, z którą zagraniczny paradoks bywa przyjętym przez mnogie rzesze naszego społeczeństwa. Nie chciałem jednak bynajmniej zapoznać wielkiej a dodatniej, oryginalnej, naukowej, literackiej i artystycznej pracy, dokonanej przez naród nasz w ostatnich dziesiątkach lat, mimo tak dziwnie niesprzyjających okoliczności; nie myślę zaprzeczyć nietylko teoretycznemu, ale i praktycznemu postępowi politycznemu i czynom dokonanym tam, gdzie nam działać wolno, zaprawdę nie bez pożytku dla państwa, które nam swobodę działania dało, i dla przeróżnych ludów tego państwa. Nie myślę także wzywać do spuszczania się na genialność, pozbawioną gruntownej znajomości tego, co inne narody już zdziałały, bo taka genialność doprowadziłaby nas w najlepszym razie do bezużytecznego dyletantyzmu. I owszem, domagam się pracy skrzętnej, nauki pilnej, a dyskusyi wyczerpującej, i chcę tylko, abyśmy się przytem czuli zawsze narodem samoistnym, mającym do spełnienia własne zadanie cywilizacyjne, i abyśmy zawsze wierzyli, że wielkiemu zadaniu sprostamy.

Ale jeśli mamy być tem, do czego nas Bóg przeznaczył, trzeba, abyśmy mieli możność rozwijania naszego narodowego życia i naszej cywilizacyi. I na razie programem naszej polityki — że tak rzekę zewnętrznej — jest domaganie się tych warunków, któreby nasze działanie wewnętrzne umożliwiły, któreby nam rąk nie wiązały i polskiego ducha nie dławiły. A gdy się tego domagamy, wiemy, że mamy najświętszą słuszność po sobie, a kto nam tego odmawia, ten powinien wiedzieć, że nie nas tylko krzywdzi, że nie dopuszcza do naturalnego roz-

woju jednej z sił żywych w rozwoju dziejów, że nie pozbawia cywilizacyi jednego ze swoich ogniw, a przeto krzywdzi wszystkich, krzywdzi także własny naród i własne państwo.

Dr. Henryk Biegeleisen.

Do genezy Nieboskiej.

Jeżeli zasługą jest krzewienie uczuć miłości społecznej, rozświetlanie nadziei, w niemym zwątpienia mroku, podsycanie wiary w zwycięstwo cnoty nad występkiem: to wieniec tej zasługi należy się wśród naszych wieszczów Krasińskiemu. Wcieleniem chrześcijańskich symbolów wiary, miłości i nadziei, zapisanych na chorągwi psalmisty polskiego, poezya jego porywa i wiodła za sobą naród po gruzach wywróconej przeszłości, przez rozpaczy wypaloną pustynię, coraz dalej, coraz wyżej, do przedświtu, do słońca...

Pogrążonym w nędzy lub w rozpuście zapowiadał, że chociażby się świat rozpękł, chociażby wśród zbytków i ubóstwa ducha życie zwierzęce stanęło na najwyższym lub najniższym szczeblu — przecież prawda nie zaginie, słońce wolności nie zagaśnie, nastanie dzień zmartwychwstania. A nie opiera się nadzieja jego na wyżebranej u cudzoziemców jałmużnie, nie budzi pychy, nie drażni namiętności, ale polega na własnej, w piersi naszej poczętej cnocie miłości bliźniego. Choć pot krwawy zlewa ci oblicze, chociaż upadasz na siłach wzgardzony, byleś wzrok trzymał w niebo wzbity, byleś spoglądał w stronę ducha świętego, pełen nadziei — ujrzysz nową Solimę. Takiej wiary sztandar trzymał Krasiński, a że mu — jak owemu wodzowi Izraela — blask bił z oblicza i gwiazda poezyi jaśniała na czole, szedł za nim naród przez pustynię wygnania. »Spiew jego, objawienie miłości chrześcijańskiej

narodowi, krwią ofiar zbroczonemu, rozpędzał chmury, rozbijał zdradę, ogrzewał serca i podnosił ducha«. (Mowa żałobna za duszę Z. Krasińskiego w Poznaniu przez X. A. Rusinowskiego. 1859 str, 12 i nast.).

Idea chrześcijańska ze swej sfery podobłocznej ma zejść w życie i czyn, ma się wcielić na ziemi i stać się prawem dla narodów. W imię tej chrześcijańskiej miłości, przyszłe dzieje świata nie mają być historyą mordów i męczarni, ale pochodem coraz dalszym na drodze postępu, doskonałości i szczęścia. Myśl o tem »ostatecznem przeznaczeniu człowieczeństwa«, jest przewodnią gwiazdą w całym zawodzie poetyckim Krasińskiego (Dr. A. Bełcikowski: Ze studyów nad literaturą polską. Warszawa 1886 str. 564).

Pierwszy akord młodego poety, odkąd stanął na własnych nogach, zapowiadał ten kierunek i charakter. Pomijając pierwsze, nieśmiałe kroki młodzieńca, idącego w ślad za W. Skottem i Byronem, pozostaje geneza »Nieboskiej« sfinksem literackim, którego zagadkę rozwiąże dopiero otwarcie archiwów rodzinnych Krasińskich. Po nich zajmą pierwsze miejsce autografy »Nieboskiej« i listy Zygmunta ofiarowane przyjacielowi młodości, angielskiemu poecie Reeve. — O kompozycyi poematu trudno coś stanowczego orzec, nie znając autografów. To jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że pierwsze dwie części »Nieboskiej« nie są powiązane organicznie z trzecią. W pierwszych odgrywa się krwawy dramat rodzinny, w ostatniej, wystepuje cała ludzkość do walki. Snać pierwotnie zakroił poeta »komedyę« swą, której tytuł opiewał: »Mąż«, na ten pierwszy rozmiar. Później dopiero dodał do »męża« »żonę« t. j. dramat psychologiczny pogłębił dramatem społecznym, dodał więc dla powiązania tych odrębnych niemal całości, dwie sceny pod koniec części II. t j. dyalog z filozofem i spotkanie z Mefistem. Na dowód, że pierwsze części »Nieboskiej« tworzyły — do pewnego

stopnia — całość, służyć może także ekspozycya na wstępie do I. części, w której poruszone są motywy z dziedziny poezyi i przyrody, a o społeczno-politycznych sprawach III. części nawet nie wspomniano.

Do historyi powstania i ogłoszenia »Nieboskiej«, nie będą może obojętne następujące wzmianki, przytoczone z listów poety do przyjaciół. Nie można ich ująć w całość syntetyczną dla licznych braków, które uzupełni dopiero, niecierpliwie wyczekiwane wydanie korespondencyi przez wnuka poety.

W liście Krasińskiego do Konst. Gaszyńskiego z Rzymu, »21. Novembra 1833«, mamy pierwszą wiadomość o »Nieboskiej»: »Teraz Ci powiem coś, ale żądam od Ciebie najświętszego słowa przyjaźni, że nikomu bez wyjątku nie powiesz nic o tem. Mam dramat dotyczący się rzeczy wieku naszego; walka w nim dwóch pryncypiów, arystokracyi i demokracyi, tytuł »Mąż«.

Przeszlę Ci manuskrypt, nie wątpię że zyski będą, bądź łaskaw je przyjąć od przyjaciela. Rzecz, sądzę, dobrze napisana. Jest to obrona tego, na co się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości! Bezimiennie powinno być wydrukowane i nikt nie powinien domyślić się autora. Słyszysz Konstanty! jeśli mnie kochasz! Ten wyraz usta ci na kłódkę zamknie, nie prawdaż? A rzecz ułożysz następującym sposobem.

Pan Jędrzej Firlej zmarł w Korsyce, kiedyś i ty tam był. Młody to był Polak i umierając, powierzył ten manuskrypt, prosił o wydrukowanie. Przyślij mi swój adres, odpisz czy się podejmujesz tajemnicy, a przesłanem ci dzieło zostanie.

Pamiętaj, że mnie kochasz, że żadne względy nie mogą Cię zniewolić do wydania tego, co ci przyjaciel powierza«.

W dopisku dodaje K. Danielewicz: »Zygmunt pisze bez ustanku, musi być w nim *furibunda vena* poetyczna,

a przytem szalona wytrwałość, że go nic nie zraża. Ale rzeczywiście jest to talent, o którym jeszcze nie możesz mieć wyobrażenia, bo go teraz nie znasz. Ja mniemam, że kiedyś się zaprze tego, co teraz pisze, bo epoka jego pisania dotąd nie nadeszła. Jego »Mąż«, o którym Ci donosi, rekomenduje się Twej opiece i największemu sekretowi; jest to dzieło, które się żadnej partyi nie spodoba, na którem mało kto się pozna, przeciwko któremu może wszyscy krzykną, tak jak krzyknęli przeciwko: *„Banquet des Girondins"*. Zaklinam Cię o sekret w imię całej przyjaźni, jaką masz dla niego«. Wspomniane tu przez Konstantego Danielewicza dzieło Karola Nodier p. t. »Ostatni bankiet Żyrondystów«, przedstawia w formie powieściowej rozmowy dwudziestu republikanów przed ścięciem ich w ostatni dzień października 1793 r. Stanowisko autora jest bardzo podobne do tego, jakie zajmuje Krasiński. Wyobraża on sobie wolność, do której dążyli rewolucyoniści, nie jako boginię, schodzącą z pełną dłonią pośród ludzi, ale jako furyę, która ich rozpaja i pożera. »Celem i końcem każdej rewolucyi — powiada tu Vergniaud, duchowy przewódzca żyrondystów — jest tyrania«. W końcu wystąpi jakiś wojskowy, rzucający jak Kamil swój miecz na szalę i podbije wszystko. »Przyjdzie mąż — dodaje Duprat — wiedziony sławą i szczęściem, rozpędzi ich jak wiatr rozpędza plewę«. Te ostatnie słowa odnoszą się do Napoleona Bonapartego, wówczas kapitana artyleryi. »Przyszłość mówi z tego kapitana — odpowiedział Vergniaud — on zostanie Marcelem«. A słowa jego potwierdza Foufrede: »Nadużywani przez ograniczonych arystokratów, patrzących tylko poza siebie i przez rozszalałych demagogów, znających tylko rzeź, mord i zniszczenie, będą Francuzi czuć się szczęśliwymi z rąk jego (Napoleona) otrzymać władzcę«.

Krasiński przepowiada również podobny koniec rewolucyi. Kondotier - Blanchetti, przypomina kapitana artyleryi, obaj zaś przedstawiają przyszłego Napoleona.

W ogóle jest Charles Nodier przeciwnikiem rewolucyi i wyobraża sobie lud jako kanalię, spojoną winem i krwią ludzką, tarzającą się w kałuży kloaków. W tych poglądach zgadza się z nim zupełnie Krasiński. Były one jednak w owym czasie wspólną własnością konserwatystów. Nawet podobieństwo w szczegółach, jak n. p. postać Jakóba w »Nieboskiej« przypominająca żywo Jana Babtystę Moranda, służącego Duprata, mogło mieć swe źródło w ówczesnym patryalchalnym stosunku sług do swoich panów.

Z listu Zyg. Krasińskiego do Konst. Gaszyńskiego (Rzym 16. grudnia 1833), dowiadujemy się o dalszych losach »Nieboskiej«. »Manuskrypt przyślę, kiedy będzie przepisany: jest on po polsku, daruję ci go, zrobisz co zechcesz, jeśli nie wydrukujesz, to będziesz miał pamiątkę po przyjacielu, a pamiętaj imienia jego nigdy nie wydać. Jeśli będę miał fundusze, to ci przeszlę na to: zresztą za miesiąc poszlę samo pismo«. A na innem miejscu: »Manuskryptu ci nie posyłam, bo 1-mo nie jedziesz do Paryża, 2-do goły jestem i nie mam za co drukować, 3-o może lepiej dać pokój, zobaczymy później, tylko nic nie mów o tem nikomu. (Krasiński do Gaszyńskiego 17. stycznia 1834). »Nieboska« wyszła, jak wiadomo, dopiero na początku r. 1835 w Paryżu.

Z listu Zygm. Krasińskiego do Konst. Gaszyńskiego dowiadujemy się, że w marcu tego roku była już w ręku publiczności. »Neapol 29. marca 1835. Jeśli dostaniesz w Paryżu świeżo wyszłe dzieło »Nieboska komedya«, napisz mi zdanie Twoje o niem, ciekawym bardzo, jak je znajdziesz; wtedy ci udzielę moje też nad niem uwagi i spostrzeżenia«.

Do listu A. Sołtana w przypisku 14 kwietnia 1835 dodaje: A propos, napisz mi Twój sąd o mojej »Nieboskiej komedyi«, o formę Cię nie pytam, wiem, że dzika nazbyt, pytam się Twego zdania względem gruntu rzeczy.

W liście do K. Gaszyńskiego z Neapolu 26. kwietnia 1835, usprawiedliwia swoją tajemniczość: »O nieufność względem ciebie oskarżony z powodu Komedyi odpowiadam, że pisząc do Ciebie, nie mam pewności matematycznej, iż mój list do Ciebie dojdzie; może być przypadek, że go inne ręce pochwycą, a wtedy co? Bo mi tak zależy na tem, tak u Was, jak u nas, żeby to było pokryte milczeniem; proszę Cię więc i zaklinam o nie! Jeśli posłyszysz o jakim sądzie względem Komedyi, to mi napisz i wyszczególnij«.

Na propozycyę drugiego wydania »Nieboskiej« opowiada dziwne koleje pierwszej edycyi: »Z Florencyi 9. lutego 1836. Teraz co się tyczy Komedyi, nie mam żadnego egzemplarza. Ta rzecz się stała przez księgarza w Frankfurcie nad Menem, i ten księgarz się przestraszył potem i wstrzymał, i wstrzymuje dotąd gotową edycyę; ładu z Niemcem dojść nie można, tak się boi. Edycya mała, bo tylko dwieście pięćdziesiąt egzemplarzy. Teraz kiedy widać, że chwalą dzieło (nietylko jeden egzemplarz, ale ze dwadzieścia wykradziono i rozesłano) powiedz mi, czy nie możnaby drugiej edycyi zrobić? Mógłbym ją dostać od kogoś, który ma jeden egzemplarz i przesłać Tobie, a jeśli myślisz, że zyskasz na tem, to sobie na swój zysk wydawaj. Odpowiedz mi na to. Nikt się upomnieć o podrobioną edycyę nie może, bo nikt manuskryptu nie kupił«.

Z listu Zyg. Krasińskiego do K. Gaszyńskiego (Heidelberg 9. listopada 1846) dowiadujemy się, że pierwsze wydanie »Nieboskiej« nie rozeszło się. »Egzemplarze wreszcie się odnalazły, powiesz mnie, co każesz z dwustu trzydziestu siedmioma robić, dotąd leżą w składzie, skoro każesz i rozporządzisz się Twoją własnością, stanie się według Twej woli«. Nieboska komedya w pierwszej edycyi wyszła w r. 1835, a do 1846 r. grzęzła gdzieś na składzie księgarskim.

Objaśnia nas o tem list Zygmunta Krasińskiego do Konst. Gaszyńskiego z Drezna (1. września 1841): »Leży ze czterysta lub więcej, dokładnie niewiem egzemplarzy Nieboskiej, przez zbieg okoliczności, nadto długich do opowiadania, zaległych w księgarni, które Tobie autor przeznacza, byś je odebrawszy, w ciągu czasów sprzedał. Trzeba tylko byś dał adres tego, któremu chcesz, by na Twoje konto je oddano w Paryżu. Adres ten przyszlij mi do Münich zaraz, a ja autorowi napiszę, i on każe, w czyje przeznaczysz ręce te egzemplarze złożyć. Są one daleko poprawniejsze i ładniejsze od drugiego wydania!« Jeszcze z Heidelbergu 18. lipca 1843 prosi Gaszyńskiego: »Odpisz, komu chcesz, by Nieboskiej pierwszą edycyę złożono w Paryżu dla Ciebie«. Po roku dodaje: »Na Renie, na statku, 18. września 1844 r. Listu tego dokończę w Frankfurcie, gdy rozmówię się o Nieboską, która, chcę koniecznie, by się dostała w ręce Twoje«. »Dwudziestego Septembra« pisze z Frankfurtu po załatwieniu tej sprawy: Łączę tu adres, udasz się w Babylonie (Paryżu) do tego adresu, będą tam ostrzeżeni już, że Tobie oddać mają i odbierzesz Nieboską.

W dwa lata później proponuje Konst. Gaszyńskiemu zmiany do trzeciego wydania: Poprawki są niektóre do uczynienia. Dedykacye do Maryi w Nieboskiej i Irydyonie winny być opuszczone. W Nieboskiej, w samej ostatniej scenie, trzebaby coś dodać. Jeśli zamiar ten wyd. E. Januszkiewicza do skutku przychodzić będzie, autor Tobie przeszle poprawki i dodatek ten.

(O »Nieznanych pracach z lat młodzieńczych Krasińskiego« w Bibliotece Warszawskiej, na wrzesień 1894).

Stanisław Tarnowski w swem znakomitem dziele o Krasińskim tak opowiada okoliczności pierwszego jej ogłoszenia: »Nieboska komedya«, wydrukowana we Frankfurcie w r. 1834, w skutku jakiejś obawy księgarza nie była puszczoną w obieg. Autor nie pojmował długo

i dowiadywał się, co się z nią stało, aż jakiś jeden egzemplarz przypadkowo dostał się do Paryża i tam przedrukował go Januszkiewicz, nie wiedząc, czyje dzieło i gdzie autora szukać.

Że opowiadanie to, wygrywane na rozmaite waryanty w naszej literaturze, jest mylne, na to przytoczyliśmy dowody z korespondencyi poety. W liście do K. Gaszyńskiego z Neapolu pod datą 29. marca 1835 pisze Krasiński o »Nieboskiej«, jako o dziele po raz pierwszy wydanem. Tytuł tego pierwszego, dziś nadzwyczaj rzadkiego wydania, opiewa (wypisuję go dokładnie podług egzemplarza dobrze zachowanego w bibliotece c. k. uniwersytetu lwowskiego): »Nie-Boska komedya«. — Do błędów, nagromadzonych przez przodków, dodali to, czego nie znali ich przodkowie — wahanie się i bojaźń — i stało się zatem, że zniknęli z powierzchni ziemi i milczenie jest po nich. Koran ks. 2. ver. 18. — To be or not to be, that is the question. Hamlet. — Paryż. W typografii A. Pinard, Quai Voltaire 15. 1835, z dedykacyą: »Poświęcone Maryi.« Tekst obejmuje 164 str. w 12-ce, prócz tytułowych kart i spisu rzeczy.

To, co pisze Tarnowski i inni o wydaniu frankfurckiem z 1834 r. nie puszczonem, rzekomo w obieg (z obawy księgarza), i o przedruku z 1835 r. z jednego egzemplarza, który się przypadkowo dostał do Paryża, prostuje list Krasińskiego do Gaszyńskiego z 9. lutego 1836 r., z którego wynika, że edycya, wstrzymana przez księgarza frankfurckiego, jest właśnie ową wyżej opisaną pierwszą edycyą »Nieboskiej« z 1835 r., o której już współcześnie krążyły rozmaite niezgodne z prawdą wieści.

Drugą edycyę przygotowywał już w następnym roku Gaszyński. Na pozwolenie ze strony autora, ażeby ją »na swój zysk wydawał«, domaga się Gaszyński książki lub rękopisu do druku, na co odpowiada Krasiński, jak zawsze osłaniając się tajemniczością: »Co do

»Nieboskiej komedyi«, proszę cię i zaklinam, byś przeczył zawsze i wszędzie. Jeśli znajdę kogo, każę ze starego rękopisu przepisać i poszlę Ci.« (Florencya 4, marca 1836.) Piszę do Frankfurtu, by ci natychmiast »Nieboską« przesłano. (Kissingen 12. czerwca 1836.) Puka potem do księgarza o egzemplarz do przedruku, ale nadaremnie. Co do »Nieboskiej komedyi« — pisze do Konstantego z Kissingen - d. 7 lipca 1836 r. — ten, do którego oto pisałem, żadnym sposobem nie chciał się odważyć, może sądząc, że w tym jaki podstęp mój.« Druga ta edycya »Nieboskiej« pojawiła się dopiero w grudniu 1836 r., o czem dowiadujemy się z następnego listu Krasińskiego, ciągle wypierającego się jeszcze jej autorstwa. »Ciekawość moją podbechtałeś niepomału — pisze do Gaszyńskiego z Wiednia 1. grudnia 1836 r. — donosząc o powtórnej edycyi. Byłbyś zarazem jej dogodził, gdybyś napisał, kto to do dyabła wykradł i drukuje. Z Panem Bogiem, byleby z tego biedy nie wynikło. Bądź łaskaw donieść, kto to jest?« Tytuł tej drugiej edycyi opiewa: »Nieboska komedya«. Do błędów, nagromadzonych przez przodków, dodali to, czego nie znali ich przodkowie: wahanie się i bojaźń, stało się zatem, że zniknęli z powierzchni ziemi i wielkie milczenie jest po nich.« Koran ks. 2. — ver. 18. — To be or not to be, that is the question.— Hamlet. Tu następuje winieta, wyobrażająca pawia, stojącego na winorośli, okolonego jaskółkami, motylami, wężem i gąsienicą. Wewnątrz i na końcu dzieła jest jeszcze kilka pięknie wykonanych winiet, zastosowanych do treści poematu. U dołu: »Wydanie A. Jełowickiego i Spółki. Paryż. W księgarni i drukarni polskiej, przy ulicy Marais, Saint Germain, N. 17, bis. 1837. str. 174 liczb. i 9 nieliczb. w8 ce większej. Przy końcu po »Omyłkach druku« : »W drukarni Bourgogne et Martinet, Rue du Colombier, N. 30.«

Edycya ta jest dosłownym przedrukiem pierwszej z r. 1835. Zmiany poczynił autor dopiero w trzeciem wyda-

niu, którego tytuł wypisuję: »Nieboska komedya.« Do błędów nagromadzonych przez przodków i t. d. z podpisem »Bezimienny.« Po cytacie z Hamleta: Edycya trzecia Paryż. W księgarni polskiej, przy ulicy de Seine, 20, 1858. Na odwrotnej stronie: »W drukarni L. Martinet, przy ulicy Mignon 2, str. 141., w 8-ce większej i 4 nieliczb. Oto ważniejsze zmiany w »Nieboskiej», poczynione przez autora, zdaje się dopiero pod koniec życia.

Na początku dzieła opuścił dedykacyę: »Poświęcone Maryi.« W scenie ślubów opuścił motto z »Figara«: »De toutes les bouffonneries la plus serieuse est le mariage«. w części drugiej opuścił motto z »Fausta« Goethego »Du Gemisch von Koth und Feuer.«

W wierszu Orcia:

Błąkam się wszędzie,
Wszędzie się wdzieram,
. . . .
Byś, o synku mój,
Był jako są w niebie...

poprawił poeta:

Ja błąkam się wszędzie,
Ja wdzieram się wszędzie
. . . .
Byś ty, o synku mój,
Był jako są w niebie.

Na początku trzeciej części opuścił motto z raportu obywatela Caillota z 1791 r. Il fut administrè parce que le niais demandait un prêtre, puis pendu à la satisfaction gènèral etc. Caillot, comissaire de la sexiéme chambre an III, 5 prairial.

Z drobniejszych odmianek przytaczam:

»Strzegliśmy ołtarze i pomniki święte (ed. 1835, str. 109). poprawiono: »strzegliśmy ołtarzy i pomników świętych« (1858, str. 94). W czwartej części opuszczono motto z Miltona: »Bottomless perdition« i t. p.

Koniec zupełnie zmieniony, opiewa:

Wydanie pierwsze 1835.

LEONARD.

Bledniejesz mistrzu.

PANKRACY.

Czy widzisz tam wysoko — wysoko.

LEONARD.

Nad ostrym cyplem widzę chmurkę pochyłą, oświeconą zachodem słońca.

PANKRACY.

Znak straszny pali się na niej.

LEONARD.

Oprzyj się na mnie, co raz to bardziej rumieniec schodzi ci z twarzy.

PANKRACY.

Milion ludu mnie słuchało, gdzie jest lud mój.

LEONARD.

Słyszysz jego okrzyki, pyta się o ciebie, czeka na ciebie. Zdejm oczy z tej skały; źrenica twoja dogorywa na niej.

PANKRACY.

Stoi niewzruszony, trzy gwoździe, trzy gwiazdy na nim, ramiona jak dwie błyskawice.

LEONARD.

Kto? — gdzie — zbierz siły.

Wydanie trzecie 1858.

LEONARD.

Bledniesz mistrzu.

PANKRACY.

Czy widzisz tam — wysoko — wysoko.

LEONARD.

Nad ostrym szczytem widzę chmurę pochyłą, na której dogasają promienie słońca.

PANKRACY.

Znak straszny pali się na niej.

LEONARD.

Chyba cię myli wzrok.

PANKRACY.

Milion ludu słuchało mnie przed chwilą, gdzie jest lud mój?

LEONARD.

Słyszysz ich okrzyki, wołają ciebie, czekają na ciebie.

PANKRACY.

Plotły kobiety i dzieci, że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień.

LEONARD.

Kto?

Tu następuje w wydaniu trzeciem dodany ustęp:

PANKRACY.

Jak słup śnieżnej jasności stoi ponad przepaściami, oburącz wspart na krzyżu, jak na szabli Mściciel. Ze splecionych piorunów korona cierniowa.

LEONARD.

Co się z tobą dzieje? Co tobie jest?

PANKRACY.

Od błyskawicy tego wzroku chyba mrze kto żyw.

LEONARD.

Coraz to bardziej rumieniec zbiega ci z twarzy, chodźmy stąd — chodźmy — czy słyszysz mnie?

PANKRACY.

Połóż mi dłonie na oczach, zadław mi pięściami źrenice, oddziel mnie od tego spojrzenia, co mnie rozkłada w proch.

LEONARD.

Czy dobrze tak?

PANKRACY.

Nędzne ręce twe, jak u ducha, bez kości i mięsa, przejrzyste jak woda, przejrzyste jak szkło, przejrzyste jak powietrze. Widzę wciąż!

LEONARD.

Oprzyj się na mnie.

PANKRACY.

Daj mi choć odrobinę ciemności.

LEONARD.

O Mistrzu!

PANKRACY.

Ciemności — ciemności.

LEONARD.

Hej! obywatele, hej! bracia Demokraty, na pomoc. Hej! ratunku — pomocy — ratunku.

PANKRACY.

Galilee vicisti.

(Stacza się w objęcia Leonarda i kona.)

Z temi ostatniemi słowy na ustach ginie Pankracy i w pierwszej redakcyi poematu. Pomijając poprawki stylowej natury, uderza przedewszystkiem zmiana widzenia, które w pierwszej koncepcyi wygląda jakby żywcem wyjęte z Apokalipsy (»trzy gwoździe, trzy gwiazdy« i t. d.), w drugiej redakcyi (w wyd. trzeciem) zostało uszlachetnione i podniesione na wyżyny symboliki chrześcijańskiej (»jak słup śnieżnej jasności stoi nad przepaściami« i t d.) Ale i to zakończenie »Nieboskiej“ nie wypływa organicznie z całości, nie rozwiązuje zagadnień tak wspaniale rozwiniętych w dramacie.

Do poznania genezy utworu nie będą obojętne następujące wskazówki wpływu obcych poetów na »Nieboską«. Duch zły pod postacią dziewicy objawiający się zaraz na początku »Nieboskiej« mężowi, który zachwycony cudownem zjawiskiem, porzuca żonę z dzieckiem i leci za niem, przypomina »siódmego« ducha z »Manfreda«, ukazującego się pod postacią pięknej dziewicy, leci za nią bohater Byrona, padając bez zmysłów od zachwytu. Sytuacya, kiedy młodzieniec schodzi przez urwiska i przepaście, oprowadzany myślą przez Algiera, który mu towarzyszy w podróży podziemnej — przez mgły i lodowce, przypomina koniec sceny drugiej z aktu pierwszego w »Manfredzie«, gdzie bohater Byrona schodzi ze strzelcem z przepaści, w którą miał się rzucić, spuszczając się po lodowcach i nagich urwiskach, aby odpocząć w chacie.

Monolog Manfreda w scenie pierwszej Aktu I.:

„Filozofia, świata wielkie wiadomości,
Tajemnice przyrody, wszystkiegom próbował,
. . . .
I spostrzegłem przekleństwo nademną wiszące,
Gdy już wszystkie uczucia w duszy wystraszyło“

służył za model do monologu Męża w wąwozie między górami. (Scena trzecia części II.): »Rachowałem lat wiele — powiada tu Mąż — na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, rozkoszy i myśli i odkryłem — próżnię grobową w sercu mojem«. Monologi zaś obu bohaterów możnaby odnieść do pierwszego monologu Fausta Goethego. Hrabia Henryk jest potomkiem »Hamleta« i »Fausta«, a »Nieboska« ma z temi arcydziełami Szekspira i Goethego, zwłaszcza z tym ostatniem, pewne pokrewieństwo.

Chateaubriand, namiętny obrońca wiary, mający głęboki wstręt do »wyuzdanych swawoli i gwałtów rewolucyjnych«, niemniej głębokie, a tłumaczące się dziedzicznością przywiązanie do tradycyi przeszłości, ma wiele podobieństwa z Krasińskim, który zawdzięcza mu nie jedną myśl »Nieboskiej«. Łucyan Siemieński notuje w Wspomnieniu swem o Mickiewiczu, (Portrety literackie, tom I. Poznań 1865 — str. 321) w rozmowie, jaką miał z Mickiewiczem o autorze Nieboskiej, wpływ Guizota na Krasińskiego.

Było to w październiku 1840 roku, kiedy Mickiewicz z żoną i dziećmi jadąc z Lauzanny do Paryża, zaczepił o Strasburg i tu kilka dni zabawił. Na wzmiankę Siemieńskiego, że zachodzi pewna analogia między Ahasverem Guizota a Nieboską Komedyą i Irydyonem, zapewne — odrzekł po namyśle Mickiewicz — ale tylko w zewnętrznej szacie, u Krasińskiego nierównie większa żywotność, a u Guizota wiele książkowego rozumu.

Z opowiadań Bineta i Reevégo, towarzyszy młodości Zygmunta w Genewie, wiadomo, że notował swem nadzwyczaj drobnem pismem »istnym maczkiem« wykłady Micheleta i Sismondiego. (X. Ar. Knis: Odwiedziny u przyjaciół Z. Krasińskiego »Świat«, — Kraków 1891, str. 505). Poglądy ich nie były bez wpływu na Nieboską. Głos pana dręczonego przez chłopów za ucisk i pańszczy-

znę (»Dzieci moje, litości, litości« — »upiór ssał krew i poty nasze«), przypomina scenę z I. części »Dziadów« Mickiewicza, pod którego zaklętym wpływem pozostawał poeta w młodości.

Na »Nieboskiej«, jak na większej części utworów Krasińskiego, wyryło głębokie bruzdy, smutne, pesymistyczne, pełne goryczy usposobienie autora. Zygmunt Krasiński odziedziczył po matce, z domu ks. Radziwiłłów, skłonność do melancholii; i księżna Marya Lubomirska zmarła na czarną melancholię (1846 r.), a Franciszek, brat Michała Radziwiłła, doszedł z melancholii do obłąkania. Ślady tej choroby u Zygmunta (spotęgowanej chorobą oczu i nerwów) mamy przedewszystkiem w jego korespondencyi (n. p. listy do Sołtana z 24. lutego 1848, 7. stycznia 1851 i 13. marca 1855). »Dziad mój Radziwiłł — pisze do Br. Trentowskiego 29. stycznia 1847 — umarł na melancholię i biedna matka moja toż na tę samą, powoli wszystko w organizmie wyniszczającą chorobę«.

Oto z niezliczonej ilości objawów tej melancholii parę przykładów: Wiek, który nas otacza — pisze do Gaszyńskiego 7. lipca 1833 — cięży na mnie. Tytan starożytności jednej góry, złożonej z warstwy gliny, z popiołu bez myśli, z lawy i ognia bez duszy, zrzucić nie potrafił, gdzież się człowiekowi jednemu spodziewać, że zepchnie z ponad siebie nawał tylu myśli cisnących go na dół, ogrom pełen życia i przekleństwa. Piszę jeszcze czasem, ale nie z taką wiarą, jak dawniej, gdzie się podziały wszystkie wiary moje!

Ja nigdy nie mogę dojść — pisze na innem miejscu — do czegoś słodkiego, niewinnego, potulnego, dobrego. Szatan, nie anioł stróż mój, natchnął mnie od lat dziecinnych. Zawsze pękające, przeklinające same siebie serca, cisnęły się pod moje pióro. Gruz i popiół, oto państwo moje i siedząc na tych ruinach zżarłem ostatki nadziei i miłosierdzia pańskiego.

Podobnie wyraża się w liście do Sołtana: Jak w ciemnych i niskich lochach weneckiego pałacu działo się więźniom, tak mnie się wszędzie dziać będzie, może sam będę już tylko gruzem, nieskalanym jednak żadnym napisem podłości.

Juliusz o mnie powiada — pisze do Małachowskiego — żem duch obłąkany i upadły, prawda, prawda, jakaś zgrzybiałość mnie trupia ogarnęła, co dzień niżej zapadam, już mnie prawie nie ma! Jak Dant przez piekło, jam przeszedł za życia! Może i Pankracy byłby się zdarzył, gdyby nie poprzednie przytrzymania.

Że bohater »Nieboskiej« ma wiele wspólnych rysów z jej autorem, świadczą następujące wyznania jego w listach do przyjaciół: »Kiedyś, Konstanty, miłość i sława bywały mojemi bóstwami: pierwsza jako mgła się rozeszła, zamiast drugiej, doczekałem się hańby. Jednak nie powiem, by we mnie wygasła poezya, jeszcze nieraz natchnienie wraca. Napisałem tego roku dużo rzeczy, wszystkie gorączką i rozpaczą napiętnowane, ale teraz czas nadchodzi, by wziąć się do poezyi czynów, a poezya pióra niechaj mi służy za piosenkę nuconą przez mamkę. (List do K. Gaszyńskiego z Genewy 17. marca 1832): Miłość i sława czytamy i w *„Stances“* Krasińskiego są jego bożyszczem: *Et la gloire et l'amour etoient les beaux fantomes, Qui je voyais passer et repasser“*. Wciąż słaby jestem na duchu — pisze na innem miejscu — roją mi się fantazmata w sercu i mózgu, nieskończone żądze, niewymowne upragnienia, którym nigdy nie stanie się zadość, jako się nigdy nie stało... O, gdybym choć raz mógł na jawie obaczyć wszystkie moje ukryte żądze, sklejone w ciało, ubrane w formę; ponieważ tylko jestem mężczyzną, ta forma musiałaby być kobietą. Nie byłby to posąg Pigmaliona, ale ona, utworzona z żebra duszy mojej, poznałaby mnie, byłaby inną i sobą zarazem. O, wtedy sam na sam, ukląkłbym przed jej śnieżnem ciałem. (Rzym 29.

listopada 1834): To pewna, że dotąd nic nie zaspokoiło pragnień moich na tym świecie. Ani żądzom mojej miłości własnej, ani żądzom serca mego nigdy nie stało się zadość, choć miałem szczęśliwe chwile dla jednych i dla drugich. Ale zawsze więcej, ale zawsze dalej goni myśl moja, często nawet nie wiedzieć gdzie. Sam nie wyróżniłbym czego żądam, ale czuję skorpiona żądań, przewracającego się we wnętrznościach moich, który nie dostawszy nic, sam siebie zakłuwa. (List Krasińskiego do Gaszyńskiego z Medyolanu 30. października 1834). Nędzne to życie moje, które potrzebuje ciągłych podbechtań, by nie zgasło, które prócz gorączki nic nie miłuje, które wciąż z nieba w piekło zapada, a z pierwszego dość wspomnień boskich zatrzymać nie umie, by zwyciężyć drugie. (Rzym 8. lutego 1835). Czyż to nie portret Henryka?

Na motyw ślepoty Orcia, któremu imienia pożyczył Jerzy Lubomirski, złożyły się głównie własne cierpienia Krasińskiego na oczy, od czasu wyjazdu za granicę. »Na pół ślepy jestem — pisze do Konst. Gaszyńskiego z Genewy 9. marca 1832 — i oczy piekielnie mnie bolą«. Albo »na wpół oślepłem, ledwo widzę litery, Bóg daj, by to przeszło, bo mi to jest męczarnią«. »Ledwo mogę pisać. Zacząłem kuracyę nieznośną na oczy, kąpiele lodowate, pigułki, maści etc.« (17. i 22. marca): »Ciąglem słaby na oczy« — (2.—24. kwietnia). Wciąż jestem słaby, z oczyma coraz kiepściej, wczoraj krew w wieczór puszczałem, bo mi tak biła do mózgu, że kazała lękać się apopleksyi (26. maja). Nie wiem, co ze mną będzie, oczy zagrożone ślepotą, całe ciało rozstrojone. (16. czerwca). Oczy mnie mocno bolą. (3. sierpnia 1832). Przeleżawszy cztery miesiące i pół w łóżku, co raz słabszy na oczy i na duszy, wyjechałem do Polski i stamtąd puściłem się do Wiednia z Danielewiczem i tu odbywam kuracyę nudną, nie wiele mi polepszenia przynoszącą. (7. lipca 1833). »Oczy mnie żrą, palą, rozdzierają. Słaby jestem wciąż —

pisze do Gaszyńskiego — oczów choroba moja nie chce minąć, co zima wraca, i wszelkiej działalności pozbawiając, zmusza mnie być zawsze na sam z sobą samym i stąd męka, pożeranie się, trawienie siebie wolnym ogniem«. Neapolitańskie boskie klima — pisze do Sołtana — wcale mi nie pomaga — owszem przymnaża mi boleści oczowych. Mam jakby ciągłą gorączkę. »Ledwo widzę co piszę — donosi nieco później — bo bardzo zapadłem na oczy i krew dzisiaj puszczałem. Ja znowu, zwykłym obyczajem tej pory roku, zacząłem na oczy zapadać, kręcą mi się nieustannie przed źrenicami czarne plamy i nici, jakby gońce przedwczesnej ślepoty. (Rozstrzelone słowa powtarzają się w »Nieboskiej«) »Przeklęte oczy moje, które mi nie dozwolą nigdy żyć na zewnątrz, jedno wewnątrz gryźć się i męczyć przymuszają. Pisz rzadko Adamie, bo ledwo mogę czytać pismo czyje, bo ledwo sam pisać mogę. Zdaje mi się czasem, że jakaś nieskończona ciemność zaczyna się roztaczać koło mnie, że tysiąc tysięcy pająków wiją nici cieniutkie, a jednak widnokrąg od nich ciemnieje, czasem znowu duże plamy czarne, czerwone, żółte jak chmury płyną koło skroni moich, oganiam się. ale to mało pomaga«. Czyż to nie wierny obraz duszy Orcia?

Sauvan, doktor medycyny, przez kilka lat towarzyszący w podróżach Zygmuntowi, o którym poeta tak często wspomina w listach do A. Sołtana, był modelem do figury lekarza w »Nieboskiej«. —

»Komedya Nieboska« Krasińskiego powstała przedewszystkiem pod wpływem nurtujących prądów rewolucyi spółczesnej.

Wszystko, co widział Krasiński od r. 1830, i w ojczyźnie i między swoimi na obcej ziemi, pobudzało go do poważnych rozmyślań.. Z rzadką w młodzieńczym wieku głębokością myśli, tłumaczył sobie ówczesne ruchy społeczne. Przewidywał znaki nadchodzących cza-

sów, dla innych niezrozumiałe. Społeczne wypadki obudzały w nim szczególną przenikliwość ducha, prorocze niemal natchnienie. Pojmował obecność, odgadywał przyszłość. Tego natchnienia owocem był dramat, którego część jedną, przedstawiającą przyszłość, wykończył 1833 r., a który zrozumiał dopiero w kilkanaście lat potem, gdy z przerażeniem ujrzał niektóre objawy rewolucyi, powtórzone w rzeczywistości. (Listy Z. Krasińskiego o poemacie Koźmiana Czarniecki).

W utworach młodości Z. Krasińskiego, wydanych przez Twardowskiego (Poznań 1880), zwraca uwagę jeden drobny szczegół, dowodzący, że Krasiński stykał się bezpośrednio z rozruchem ludowym, który szerzył się w różnych stronach Włoch, a nawet w samym Rzymie. Raz o mało nie padł ofiarą takiego zaburzenia. Przechodząc ulicą, przyglądał się pięknej transtewerance, stojącej na balkonie. Spostrzega to jeden z ludu i zastępując mu drogę ze sztyletem: »przejdź prędko!« woła »albo nigdy więcej przechodzić już nie będziesz«. (Sobótka, Nr. 23).

Pod wpływem dziedzictwa i otoczenia, urabiały się wcześnie zachowawcze poglądy Krasińskiego. Wypadki lipcowe i listopadowe, zacisnęły je bardziej jeszcze w tym kierunku. Nic więc naturalniejszego, że poeta stanął po stronie przeciwników powstania listopadowego i rewolucyi w ogólności. Ustalenie w pojęciach religijnych szło ręka w rękę z temi przekonaniami społecznemi. Już w liście do Gaszyńskiego z 27. marca 1832 stoi na stanowisku Nieboskiej: »Religia — powiada tu — jest skrzydłem, którego cień na poezyę wiecznie zlewać się winien, krzyż i szabla, pod temi znamionami zginiemy«. W liście do przyjaciela z 2. listopada roku następnego powiada o Nieboskiej: »Jest to obrona tego, na co się targa wielu hołyszów: religii i chwały przeszłości«. Za pobytu poety w Rzymie 1833 r. tak się oto zarysowały w myśli jego kontury Nieboskiej. »Tu dopiero masz wszystkie ideje

tego świata rozciągnięte na ziemi i zdeptane. Patrycyat w sarkofagu — zwierzchnictwo ludu w cyrku gladyatorów. Patrycyat choć srogi, nieubłagany. egoista, miał cnoty wielkie, znał co poświęcenie dla swojej idei, co to walka długa, uporczywa i śmierć bez trwogi. Ale lud i Cezar nie znali nic, nie mieli nic — byli zwierzętami zataczającemi się wśród krwi i złota Patrz! jak się rozpili, z Rzymu przodków swoich zrobili rynsztok rozkoszy i legli w nim i przeszło lat trzysta leżeli w nim. Aż zagrzmiała trąba Północy, aż przyszli barbarzyńcy i zmietli ich na wieki....

Ale razem tu jest świętszy widok — krzyż tu panuje — katolicyzm stanął tu na wszystkich wzgórzach. On świat ocalił, a razem w miłosierdziu swojem obronił ostatki starego świata!.. W liście do Gaszyńskiego z Rzymu 21. listopada 1833 woła: »Żebyś tu był, ukląkłbyś i uwierzyłbyś«, kończy zaś słowami: »Poeto, wstydź się nie być katolikiem«.

Przyjacielowi lat dziecinnych, skłaniającemu się ku demokracyi i przejętemu ideałami powstania listopadowego, odpowiada z goryczą, z Rzymu 16. grudnia 1833: »Co ty nazywasz duchem rewolucyjnym u nas, co ty mienisz przez przytłumienie jego? Czyś się dotąd nie przekonał, że wszystko było niedojrzałe; że ideę wielką wcielono w krzyk i hałas i mierność. Jej niedobrze było w tych łachmanach, więc usunęła się. Ale powiedz mi, cóż nie było miernością, co nie wyszło u nas na ostatnią nędzę; i zapał i olbrzymi teroryzm, co miał być nowym 93 rokiem i poezya pisania i elokwencya mówiona, czy to nie małe dzieci wszystko? Krótko mówiąc, nie rozumiem twoich utopij o Rzeczypospolitej, kiedy żyjesz wśród najzepsutszego towarzystwa«. Ciąg dalszy tej rozmowy z dnia 17. stycznia 1834, jest żywym komentarzem »Nieboskiej«: »Z jakich ty ludzi złożysz Rzeczpospolitą we Francyi? Czy z kupców, którzy panują, czy z robotników, którzy

w warsztatach pracują dzisiaj. Bo nikogo więcej już nie widzę na tej ziemi; a przyznasz mi, że ni jedni, ni drudzy, nie zdali się do porządku rzeczy, wymagającego największych poświęceń. Pierwsi są chciwi i srodzy, bo władną, drudzy są chciwi i namiętni i okrutni, bo cierpią. Przy takim stanie świata, dwa systemata być mogą tylko, despotyzm i anarchia, ale Rzeczypospolitej być nie może, osobliwie w kraju tak rozległym, tak ludnym, tak żyjącym interesem. Marne to marzenia i gorzej niż marzenia, bo słowa tylko.

Mniemasz więc, że pięknie i cnotliwie, dojść można do ideału twego; bądź pewnym, że naprzód nigdy się nie sprawdzi, jak każdy ideał; a potem, że usiłowania, dążenia ku niemu będą krwią oblane, otoczone zniszczeniem i same wreszcie się wyniszczą. Bo ludzie nigdy nie wiedzą, ani co zrobią, ani co się stanie. Ludzie to zamyślają, a robota ich wcale inakszą od ich zamiarów. Przeczytaj historyę rewolucyi francuskiej, a zobaczysz, że żaden z aktorów tego strasznego dramatu, nie odegrał zamierzonej roli, a usłyszysz burzę słów i wrzasków, nie ujrzysz żadnej ostatecznej budowy. Ja wiem, że cywilizacya nasza ma się ku śmierci; wiem, że bliskie czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą stare karać i same się potępić w obliczu Boga — ale wiem, że one nic nie utworzą, nie zbudują, przejdą jak koń Atylli i głucho po nich. Dopiero to, czego ani ty, ani nikt nie zna, niepojmuje, nadejdzie, wywinie się z chaosu i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje — ale wtedy i twoje i moje kości pruchnem gdzieś będą.

Wielką pomyłką niszczycieli i zwykłą im w czasach cywilizowanych to, że się mają za ludzi poczciwych i za restauratorów, za wskrzesicieli, za budowników. Oni są tymczasem tylko narzędziem do tortur rodu ludzkiego — i sam ród ludzki kiedyś nimi wzgardzi, jak my dzisiaj gardzim kratami i łańcuchami gotyckich więzień. Na

świecie masy najczęściej idą jak bydło, porwane entuzyazmem chwilowym lub interesem długim. Fanatyków jest bardzo mało prawdziwych. Kto takim jest przez wiarę, li tylko wiarę, tego szanuję, ale fanatyzm wyradza się z interesu powleczonego barwą idei, z kłamstwa często powtarzanego, z udanego szału, udawanego razy kilka, (17. stycznia 1834). Nie ma nic inszego dla człowieka na świecie jak wierzyć i kochać, wiarą i miłością dusze pięknieją i wznoszą się. (List Zyg. Krasińskiego do K. Gaszyńskiego z Neapolu 29. marca 1835).

Stanowisko Krasińskiego wobec walczących z sobą obozów w »Nieboskiej« wyjaśnia autor w odpowiedzi na krytykę listowną Aleksandra Potockiego, syna Szczęsnego, zarzucającą autorowi pobłażliwość dla arystokracyi a niechęć do demokratów.

Powiedz Potockiemu — pisze do Adama Sołtana, 25. kwietnia 1835 z Neapolu — że niesprawiedliwie napadł mnie o powstawanie przeciwko „*un ennemi terrassé*", (demokracyi), bo ten *ennemi terrassé* od początku świata żyje i żyć będzie i zwycięży. Że zaś twierdzi, jakoby był drugi (arystokracya) straszniejszy, to temu nie wierzę, a o pobłażanie przeciwnikom, tego *ennemi* oskarżać mnie nie może, bo niech rzecz odczyta, a znajdzie, że i oni potępieni, w tem, czem godni potępienia, w czem zaś chwały, wyniesieni, bo już ci im, co kończą zawód, więcej chwały się należy, niż tym, co go zaczynają, tym ostatnim za kilka wieków należeć się będzie. Chwała jest gwiazdą, która wschodzi z łoża śmierci czy indywiduów, czy ludów, czy idei! by ją otrzymać, wprzód umrzeć trzeba. Dziękuję zaś mu za to, że powiada, „*que j'ai fait preuve de grand talent comme poete*".

Najwyraźniej odsłonił bezimienny poeta myśl społeczną »Nieboskiej« w odpowiedzi na krytykę Ulricha, przytoczonej tu w całości:

Kissingen 6. lipca 1837.

Dzikie Ulrych gada duby o balsamowaniu szlachty. On chce historyę mieć bez szlachty! Polityczne życie narodu bez szlachty, ciekawym gdzie i kiedy było dotąd? Owszem, w szlachcie jest zwykle potęga, hart, to co składa pierwiastek bohatyrski narodu. Nie w prawnikach, nie w kupcach, nie w izbach, sądach, nie w sejmach, ale w szlachcie jest bohatyrskość, w szlachcie, albo w prostym ludzie. Ale też z prostego ludu po wszystkie czasy z lemiesza i roli, nie zaś z bruku i rzemienia, wywijała się szlachta. W prostem, wieśniaczem plemieniu zaród wszystkich wielkości narodu. Ten zaród, gdy się z błota otrząśnie, a zachowa twardość i połysk żelaza, szlachtą mianowany bywa. Jeśli gdzie poezya, to w niej. Proszę Ciebie napisz mi poemat o episierze?! Chyba farsę zdołasz. Cały wiek nasz jest episierski, kupiecki, materyalny w najwyższym stopniu, cała literatura francuska krawcem cuchnie; stąd też idzie, iż w niej doboru i gładkości żadnej nie ma, szczytności żadnej. ale są talenta na równą wykształcone stopę, są umysły fabrycznie wyrobione i mnóstwo ich takie, jak towarów w sklepie«.

»U nas chłopem w ostatnich czasach i szlachtą w dawniejszych, samą szlachtą, wszystko się stało; coś w tym składzie rzeczy jest starożytnego, rzymskiego, greckiego, coś, że tak powiem, wielkiego. Dziś, jeśli stare rody wygasną i znikczemnieją. zostaną piaski polskie, ale Polska już nie powstanie Usługą największą, jaką oddać można krajowi, zależy na tem, by przechrztom i przemyślnikom nie dozwolić monopolu wszelkich bogactw i wpływów moralnych w Polsce, a trudniejsza to i cierpsza walka niż orężne boje. Właśnie dziś w szlachcie ocalenie Polski, w pogodzeniu się jej i w pojednaniu z ludem wiejskim jedyny zaród siły; w przewodniczeniu jej nad tłumami, jedyny zakład przyszłej, lepszej doli. Kto zamierza ją

wyrznąć, ten nędznie jest głupim, ten niewiniątkiem większem niż dziecko u piersi, ten nie ma wyobrażenia o rzeczach, ten gada próżne słowa, a powietrze samo winno mścić się na nim, że je niepotrzebnie porusza. Uważałem ja często, że to, co zowią pedanteryą, gubi wiele głów i serc na tym świecie. Gdzieś się coś stało: dzięki Bogu, jest na czem się oprzeć, gotowe jest prawidło. *Jurare in verba magistri*, oto dewiza naszych republikanów. Przyznaję im, że łatwiej baranów torem iść na oślep za czemsiś lub kiemsiś, niż własną, prawdziwą sobie obrać drogę. Ale łatwość nie jest narzędziem dobrem w ręku człowieka, palce od niej mięknieją i woskiem się stają: praca myśli i rąk, to jest przeznaczenie ludzi. U nas wielkie panuje lenistwo; wiara nasza często bywa lenistwem, a nie uniesieniem. To tylko prawda dla narodu być może, co wypływa z jego historyi, co wyrosło na jego polu, jak zboże lub sośniny. Ktoby cukrową trzciną chciał Mazowsze zasadzić, byłby szalonym; nie mniej szalonym, kto cudzemi politycznemi sposoby chce w Polsce działać, cukru z tego nie będzie. Wzrośliśmy szlachtą i upadliśmy szlachtą; przez nią się podźwigniem, przez to, co jest nami samymi. Bo proszę, czy tu chodzi o nas, czy o kogo drugiego. A jeśli o nas? to się pytam jakim sposobem działać przez nas i na nas, jeśli nie przez nas i na nas?«

W późniejszych listach jeszcze ostrzej występuje Krasiński z tym zacofanym poglądem na stosunki społeczne, którego też bronił w »Nieboskiej«:

Arystokracya bez demokracyi — pisze z Paryża — tak jak demokracya bez arystokracyi, są tylko rzeczami umierającemi. Pierwsze konają w zgłupieniu, w otrętwiałości, w letargowym kretynizmie, z podejrzliwością wenecką, policyantami łoże śmierci sobie otaczając, drugie w anarchii, w błocie, krwi, z rykiem hyjeny na ustach, z kliszczami kata w ręku, z czarą pełną wódki, z wieńcem tulipanów na głowie; bo taki ich smak estetyczny! To

jedno tylko żyje, trwa i wzrasta, co przez lud odżywia się w indywidua znakomite — a przez indywidua te prowadzi lud. Lud jest materyałem, łodygą — arystokracya kwiatem, owocem zaś jest państwo całe, jest narodowość cała. A z tego owocu nasienie, to znowu lud — a z tego ludu kwiat — to znowu arystokracya. I tak ciągle, coraz roznoszącym się i postępowym kręgiem!...

Rok 1793 — pisze z Monachium — był fałszywym prorokiem wolności. Nie przez gwałt, nie przez śmierć prawda, co przychodzi budować, działa, ale przez życie, przez dopełnianie, przez zbudowanie. W liście do Konst. Gaszyńskiego wraca znów do tej myśli:

»Zanadto dobrze wiem i głęboko czuję, żeśmy doszli do wigilii wielkiego czynu, wielkiego przesilenia, którego wszystkie znaki dają się rozpoznać na niwach naszych koronnych i litewskich. To, gdy się stanie, w tem oczywiście, że przepadną, zaginą, przeobrażą się, siłą samej natury wypadków, wszystkie dzisiejsze stronnictwa, bo zawsze i wszędzie stronnictwa giną przez swoją jednostronność, wyłączność, fanatyzm, ślepotę, a rzecz sama, sam czyn pozostaje niepodobny do tego, co każde z osobna marzyło, ale podobny do summy zbitej i skupionej ich wszystkich, na miazgę rozbitych. W czasie zaś już bliskim końca i wypadku, stronnictwa to mają do siebie, że szaleją, twardnieją w swej dumie i zarozumiałości, stają się fanatycznemi nad miarę«. Czyż obrazy szlachty, ludu, stronnictw w »Nieboskiej« nie są wiernem tych spaczonych poglądów odbiciem?

Jak wiadomo odgrywają Żydzi w Komedyi Nieboskiej ważną rolę. Przedstawia ich poeta w najgorszem świetle.

Niby splotami niezmiernej gadziny skrępowali oni świat cały i osadzili potęgę Izraela »na wolności bez ładu, na rzezi bez końca«. Po zepchnięciu demokratów mają panów »zabić i powiesić«, a świat będzie do nich należał.

Tak przedstawia rzecz autor w pierwszej scenie części III. Po upadku »panów« w okopach św. Trójcy i po zwycięstwie demokratów zapomina o nich zupełnie. Wogóle nie rozumie poeta Żydów ani przechrztów. Ci ostatni, którzy unikają cienia pozorów żydowstwa, jak dyabeł święconej wody, »ssą karty talmudu jako pierś mleczną«, z której płynie dla nich siła i miód, zaś dla chrześcijan gorycz i trucizna. A jeżelibyśmy nawet uważali przechrztów za Żydów, to przedstawianie ich w postaci smoka, który odnóżami swemi oplótł świat czcicieli krzyża, dumnych, głupich gojów, jest w istocie dziecinnym, choć przyznać trzeba, do dziś rozpowszechnionym zabobonem. Żeby »Przechrzta«, naczelnik Żydów, który chełpił się, że »za chwil kilka« — świat cały do nich należeć będzie, odpowiadał Pankracemu i Hrabiemu na każde słowo: »Aj waj«, to także zbyt jaskrawo oddany jeden z charakterystycznych rysów gminu żydowskiego. Te i tym podobne poglądy autora na żydów i przechrztów tłumaczy się niechęcią do nich, która aż nazbyt wyraźnie występuje w jego korespondencyi. Odmalowani tu wiernie przedstawiciele kapitału, Polacy wyznania mojżeszowego, klasa społeczna, przyznać trzeba, moralnie może najniższa u nas. Krasiński popełnia tylko ten błąd, że uważa ich za przedstawicieli Żydów w ogólności i że ich miesza z przechrztami. »Nic śmieszniejszego nie znam od tej namiętności, o której wspominasz — pisze do Gaszyńskiego — z którą kramarze kwapią się naśladować ubiór, poruszenia, słowem układ cały szlachty przeszłego wieku. U nas w Polsce — przechrzty ten oddział małp stanowią. Wiesz, co do konieczności, co do napuszenia się, niema w żadnym kraju równych ludzi przechrztom naszym. Jest to osobny i ze wszystkich bezczelnych najbezczelniejszy ród, który krajem wreszcie owładnie jak *tiers etat* owładnęło Francyą. Z tą wielką różnicą, że stan średni, Francuski ma swoje dzieje ogromne i straszne i odważnie za sobą, kiedy prze-

chrzty nasi muszą albo milczeć zapytani o pochodzenie, albo też do niezmiernie, do zanadto odległych czasów sięgać, jak n. p. do wyjścia z Egiptu lub zdobycia Hierozolimy. Temu dni kilka przejeżdżał tędy cny i godny wyobraziciel plemienia swojego, ekssekretarz dyktatora (model do Ks. Rahogi w Nieboskiej). Nie wystawisz sobie narzutność, z którą się ten człowiek każdemu nastręcza. Kareta pyszna w herby, szklanki, filiżanki w herby, karty wizytowe w herby, a herb Leliwa dawny, jeszcze pogański, słowiański, najstarożytniejszy z naszych polskich, (!) wyrażający miesiąc i gwiazdę, czyli obojga Lelów, brata i siostrę, bogów dnia i nocy. Wystawże sobie, że ta biedna para błądziła długo, długo, od kiedy ją Mieczysław z świętych wyrugował borów; aż wreszcie po hełmach tylu rycerzy, po tarczach tylu hetmanów, gdy pierwsi i drudzy polegli, wygaśli, dostała się na palec, na szlafrok, na poduszkę żyda. I żyd nią się rozporządza, gdyby niewolnik sforą co kupi, to ją wyrznie na tem. Od łańcuszków, pierścieni, żyd cały połyska, rękawiczek innych nie nosi jedno białe, i to rano i w wieczór. Laski złotem sadzone z Londynu sprowadza, spodnie z Londynu, okulary detto. Słowem wielki pan taki, że mnie każdy golibroda, widząc obok niego, weźmie za lokaja, za gatunek pazia lub forysia, a jego za księcia jakiego z Moskwy lub Trebizondu.

Lecz z tem wszystkiem żyd nie zdoła zataić pewnych przycisków w mowie, pewnych poruszeń w grzbiecie, pewnych usterków w chodzie, które go biegłemu oku wydadzą za kuzyna Rotszylda. Potem zanadto niegrzeczny i dumny na prawdziwego szlachcica. Godności żadnej w postawie, wciąż gada o pieniądzach i sypie stami dukatów, nie z worka, ale z gęby. Ta dziwna mięszanina złota zewnątrz, a błota wewnątrz, dziś panuje w Warszawie. Różnorodnemi okolicznościami u nas we Francyi skutek prowadzony jeden i ten sam. Szlachta w dół,

tiers etat w górę, (bo u nas prócz przechrztów tiers-etat nie było). Zresztą w Polsce tiers etat, jest nienarodowy, przybył albowiem z Niemiec lub Palestyny, własnegośmy nigdy nie mieli.

Wdarł się on do Polski z prawami cudzoziemskiemi, odwoływał się do Magdeburga, zarzucił Polskę cudzoziemczyzną, zdobył Polskę i gnębił ją moralnie i ducha słowiańskiego, rodzinnego w niej zatarł. Dziś jeśli znaczne czyni postępy i drze się do potęgi, nie sobie to samemu winien, ale obcym, którzy polegają na jego podłości, na jego nienarodowości. Episier we Francyi, może ci czterdzieści lat zwycięstw przytoczyć i nazwać je swojemi, co ci przechrzta, co niemiecki rzemieślnik w Warszawie, co ci za chwały i czyny opowiedzieć zdoła.

Podobnie wyraża się w liście do Adama Sołtana: Szczególne próbki towarzystwa warszawskiego fashionable, za dni teraz płynących, przechadzają się po Karlsbadach i Marienbadach, przechrzty, celnicy, ludzie spanoszeni arendą, wziętą od rządu na wódkę, tabakę i towarami, ludzie zowiący się . . . . gadający o swoich kucharzach, apartamentach, o balach dawnych w zamku pod kolumną Zygmunta, w których figurują na pierwszem miejscu wraz aj, waj! z panami polskimi pozostałymi.

Był w Marienbadzie jeden egzemplarz tych panów, z matką, siostrami, wlokący się za tymi żydami z prawdziwie świętą rezygnacyą, rozmawiający z nimi, jedzący, piknikujący, tak zupełnie oddany im, jak słyszałeś, że niegdyś starożytni oddawali się Fatum, kiedy poznali, że daremna przeciw Fatum walka. W Karlsbadzie i Marienbadzie już wytrzymać nie potrafisz, tam ni Ukraina, ni Wielkopolska, ni Litwa, ale Warszawa się wylała, wylały się pomyje, co zostały na dnie w tej beczce, braha skiśniała gorzelników i piwowarów. Tam dopiero usłyszysz i pojmiesz, jak wali się z pieca na łeb ostatek godności narodowej, jak z nędzy, hańby powszechnej korzystają

Niemcy i Żydzi, jak Żydzi wszędzie i Żydzi tylko mają wpływy, znaczenie, potęgę, dostatki. A jak zobaczysz na własne oczy te figury naszego tiers-etat, gorsze tysiąc razy niż niemieckie, lub francuskie, podlejsze i chciwsze niż najlichszy agent de change, czekający w przedsieniu Rotszyldów, bogatsze i potężniejsze w dzisiejszym stanie rzeczy niż największy pan polski, to ci coś przeklętego w sercu się stanie, to i łzy zakręcą się w oczach, i świat cały ci się wyda tylko marną farsą, której chyba koniec jest początkiem czegoś szlachetnego i lepszego, lub przynajmniej ciszą.

Nie — Nie! mój drogi! to jest wieczne prawo: kraj, który stał przez arystokracyą, gdy ta arystokracya ginie, musi przejść przez długie lata poniżenia i podłości. Nie odrazu siły żywotne, zgromadzone w niej, mogą inny kierunek znów wziąć i być jasnym płomieniem. Gdzie lud jeszcze nie wywyższony na wieki — oświeceniem, tam bez arystokracyi nic nie będzie i być nie może. Lud sam działać nie zdoła nigdy, reprezentanci jego prawdziwi, to arystokracya, nie kupcy, nie tiers etat, nie bankiery. Kto porywa masy? Kto się sam porywa na drogi niebezpieczne, którym tylko przyświeca gwiazda honoru lub sławy? Kto? Lud tylko i arystokracya. Lud zaś umie tylko przez trzy dni być zgodnym, wielkim, potężnym, reszta czasu musi wpaść w ręce mniejszej liczby ludzi. Smutny jestem bardzo, wszystko dokoła kirem powleczone mi się wydaje.

Uważałeś ty kiedy ogólnie — pisze poeta na innem miejscu — czem istotnie Żydy wśród świata naszego, wśród epoki chrześcijańskiej? Oto duchownym zabytkiem, nietkniętym, nienaruszonym ideału ojczyzny starożytnej, pogańskiej, która na tem zależała, by odgraniczyć się od całej ludzkości, być ciasną, być egoistyczną, starać się pod swoją jednostką ludzkość całą zamordować.

Nie, inny ideał Rzeczypospolitej greckiej, nie, inny Rzym, nie, inny żydowskiego państwa: »Mój Bóg jest Bogiem zazdrosnym, Bogiem gniewu, każe zabijać cudzoziemców, rugować inne ludy z ich ojczyzn, by moja ojczyzna pierwszą się stała, przez zniszczenie ludzkości«. To żydowska miłość ojczyzny, i dlatego nam się podłymi, obrzydliwie szkaradnymi wydają, że starym ideałem żyją wśród wyższego ideału, wśród chrześcijaństwa. Stara cnota, najwyższa, stała się najniższą, nową zbrodnią! Teraz czemże ideał ojczyzny chrześcijańskiej? Zupełnie przeciwny.

Ideał ojczyzny chrześcijańskiej, nowożytnej, na tem zależy, by służyć najdzielniej ludzkości, nie już by się od niej odgraniczać, ale owszem by ją całą, jeżeli można, wziąć do piersi swojej, stanąć na jej czele, światłem, wiedzą, geniuszem lub czynem. Żydzi, gdziekolwiek idzie o ludzkość, cofają się. Ni plac boju ich nie ujrzy, ni wiedza chrześcijańska ich nie widzi na swoich katedrach, (Spinoza przechrzcił się, by zostać filozofem), tamci owszem, gdzie tylko o ludzkość sprawa się toczy, natychmiast stają — przychodzą, walczą, giną, lub nauczają, oświecają — za to przezwę szaleńców dostali. To jednak ich szaleństwo Europę zbawiło, oni przez szlachetność, żydzi przez podłość wieczną działają«. »Wszędzie stek kupców, wszędzie ród kramarzy. Ze wszystkich plemion najnędzniejsze plemię. Z czołem pogodnem, gdy ich hańby brzemię tłoczy — z natchnionem — gdy o zyskach marzy. — A wtedy tylko z rozpaczy wyrazem — gdy u giełd wszystkich spadną ceny razem«. Feudalność finansowa — powiada w liście do Trentowskiego — stokroć gorsza od średniowiecznej, bo podlejsza, a równie bezmiłosierna.

I finansowa arystokracya stąpa drogą zepsucia ku rusztowaniu, zbrodnie jednych staczają się ku zbrodniom drugich, wywołują je i zginą od nich! — I stanie się go rzej jeszcze światu, bo na jego sumieniu nowe góry przestępstw zaciężą i będzie bardzo z tym światem źle!...

Wypadki lutowe 1846 r. w Galicyi zapędziły Krasińskiego jeszcze bardziej w kierunku wrogim demokracyi. Stąd w listach jego z tego czasu odwołuje się często do myśli i obrazów przepowiedzianych w »Nieboskiej«. Oto co donosi Stan. Małachowskiemu z powodu ogłoszenia proklamacyi demokratów: Proklamacyi brak imienia Chrystusa. Bez wywodu od Chrystusowej wszechmyśli, idee takie społeczne kończą się na zwierzęctwie; oparte na Chrystusie, pomyślane w Bogu, dążą do królestwa Bożego na ziemi. Zresztą cokolwiek się stanie, zaczął się nowy okres dziejów europejskich. To »Nieboska« w naj piekielniejszem znaczeniu. List wczoraj, z drugiego marca, od Sołtana miałem z Wiednia. Pisze, że aż niepodobna wierzyć takich okrucieństw dopuszczali się chłopi nad szlachtą w Galicyi, dzieciom tylko przypuszczali, a kobiety i mężczyzn, panów, księży, oficyalistów w imieniu rządu mordowali, rabowali, łupili.

Wściekłość porywa duszę — pisze z Nicei — że frazesy nikczemne jednego stronnictwa, wymysły śmieszne, sekreta na wytrucie wojsk nieprzyjacielskich, rzezie marzone na skalę ogromną, a nie mogące udać się nigdy, bo natura rzeczy dziewiętnastego wieku nie dozwala już takich antiludzkich głupstw, że to wszystko spadnie na cały naród. — Dowiedziawszy się od przyjaciela Stanisława Małachowskiego, że i na Śląsku zaczynają się rozruchy ludowe, dodaje zdziwiony: »Jakto i tam zaczęło się nieboskować, tak jak w Galicyi«. Po odebraniu wiadomości o wybuchłej rewolucyi powiada: »Doktryny nie ma absolutnie zbawczej — trzeba umieć w pewnych razach uchwycić konieczność położenia i według niej postąpić. Biedne głowy (nasi demokraci) przerobione na karb rewolucyi francuskiej; jak gdyby jedna tylko rewolucya mogła być na świecie — zawsze ta sama, nigdy w innych kształtach!...

Pod wpływem strasznych rzezi pisze 17. marca 1846 o »demagogach«: Odbierać się starają, co mają prawdy

w sobie, to jest teoryę o wzniosłem, powolnem, stopniowem podnoszeniu ludu, a poddawać piekielne zasady o możności odzwierzęcenia zwierząt przez najstraszniejsze rozpasanie zwierzęcych ich chuci, w dniu jednym. Na tem albowiem kończy się nauka demagogiczna: wyrznąć szlachtę i koniec; jakimbądź sposobem wyrznąć i koniec, a będzie wielki naród polski, silny, dwudziestomilionowy, który nasamprzód na krwi szlacheckiej się zaprawiwszy, później siły i ducha i oświecenia i poznania swoich praw nabrawszy takim sposobem, porwie się jak jeden bohatyrski, cnotliwy, świętokradztwem święty duch, głęboko pobożny niewiarą w Boga i podeptaniem wszelkiej religii, odwiecznie historyczny przecięciem wszystkich z przeszłością historyczną związków, doskonale ludzki, wszelkiej ludzkości zgwałceniem; rozumny szaleństwem, myśli odrodzonych pełen, nabytych przez pożogi, gwałcenie kobiet, kradzież, łup i dzieci mord i zduchowniony ucieleśnieniem, strojny rozstrojem. Ludu zaś anielstwem: wiara w Boga i wiara w tych, którzy go widzą, a są wielkimi i sprawiedliwymi! Inaczej wszystko się tylko na łupieży kończy, i gdy kilka dworów złupionych, opadają ręce. Kto socyalną podnosi chorągiew, a nie wie o tem, że pierwszą wszelkiego systematu socyalnego podstawą — Bóg i religia, bo wszelki nowy społeczny porządek usprawiedliwia się tylko w źródle niebieskiem, ten niewolnikiem zbuntowanym, a nie mężem zwycięskim jest, i ten zginie na trupach tych, których wprzód pomordował«. Czyż nie odbija się w tych słowach tendencya »Nieboskiej«, o której w nastepnym liście sam autor napomyka: »Czy śni ci się po nocach — pyta Małachowskiego — ta tłuszcza Rusinów, te przeklęte hufce bezbożnego zwierzęcego ludu, przechadzające się po halickiej ziemi z łupami zdartemi z nas. I mieli co opiewać Poznańscy poeci, mieli co wynosić pod obłoki, cnoty ludowe, świętość ludową, poczciwość ludową, sprawiedliwość ludową, zapał ludowy do

wielkich rzeczy, sens niezawodny ludowy, taki niezawodny jak papieża!

Chcieć dla tego, że jest obowiązkiem zwierzę przeprowadzić do stanowiska ludzkiego, chcieć mówię, już to zwierzę mieć za człowieka, jest szaleństwem bez nazwy. To, co masz uczynić, mieć już za dopełnienie! Ileż to razy, ileż *miserrimus vates fui* pod tym względem!

Dowiedziawszy się o zamiarze zawiązania przez szlachtę komitetu powszechnego w celu przeciwdziałania żywiołom »destrukcyjnym«, rozwija szczegółowo, a zarysowany z lekka tylko w „Nieboskiej", obraz przyszłości:

Bodajby pomysł powszechnego komitetu dojrzał, prawdziwie wspaniała myśl, pachniąca zbliżeniem się wieków ludzkości, ale nim te oznaki przyszłych dni, błąkające się śród naszych, zdołają poruszyć i z poruszenia umysłów wydobyć czyn jakibądź rzeczywisty, nam pomyślniejszy, ileż to mąk i tortur niesłychanych ciało nasze dozna! Jakżeż pany polskie mają się feodalnić, kiedy rozbrojeni na całym obszarze dawnych swoich państw. Okropny rzeczy stan, gdyby potrwał, okropny jad, wlany w pokłady ostatnie towarzystwa, jeśli ma się rozszerzyć, istna Niebosk a. W istocie wtedy marzenie stałoby się prawdą i Henryki, Hrabiowie musieliby z przekleństwem życia gorzkiego bronić się tłuszczom i nie obroniliby się, wyginęliby z powierzchni ziemi, język tylko ich po nich by został i połączył idealnym związkiem przeszłości z przyszłością. Lud na tych gruzach i trupach, obalonych wieków, na nowe puściłby się kształty społeczne, niezawodnie komunistyczne i prób tysiące niesfornych nastąpiłoby, nimby taka organizacya dostąpiła stopnia jakiegoś wyższego dokształtu, światby chrześcijański tak skończył jak pogański, tylko że przez napływ wewnętrznych barbarzyńców, a prawo Chrystusa dopiero po niesłychanych gwałtach i rozstrojach wygórowałoby w no-

wej zupełnie formie nad tym zamętem, w formie nowej, ale w tym samym duchu wszechmiłości.

I niezawodnie wyższyby był to świat od naszego, ale dopiero po wiekach kilku burzy i klęsk, jakich ludzie nie oglądali dotąd.

Komunizm uważa Krasiński za objaw przedwczesny. Stan komunistyczny państwa — powiada — może być celem, ku któremu cięży historya świata, ale to chyba jako najwyższy stan społeczny. I dla tego, by nie być najstraszniejszą ironią, najszaleńszym despotyzmem, musi nastać dopiero w dni owe, gdy Chrystusowe oświecenie wszystkich oświeci. Po prostu, to reguła klasztorna, do społeczeństwa takiego zastosowana. Dziś pytam, czy ją można, czy podobna zastosować, czy ją lud zrozumie? Lud właśnie tylko własność zrozumie, bo jej pozbawion, a nie wyzucie z wszelkiej własności! Napomina więc poeta, że nie powinni nastawać na zgon przyspieszony starszej braci, który to zgon już i bez nich zawarty w losach przyszłości, owszem powinniby wszystko uczynić, by go odwrócić, bo „tylko szlachty wyżyciem Polska nie stanie się chaosem piekielnym i zdoła po Chrystusowemu przejść do królestwa Bożego“. „Kto dziś popycha koniecznie do gwałtu i tak gwałtownie, ten chyba rozmiłowany w brudzie, w błocie, w krwi, w złem. Prędzej się nawet dojdzie drogą miłości do panowania miłości; bo obiecując drogę nienawiści, to czekać będzie trzeba nie wiem wiele lat, aż nienawiści fale się ukołyszą i nawrócą do zgody, harmonii i Chrystusowości.

Nie rzezią — pisze w liście do Gaszyńskiego — nie rzezią ludzie dojdą do raju politycznego, nie demagogia ustali harmonią. By dojść z poniedziałku do niedzieli, nie sposób przeskoczyć dni tygodnia, nikt nie ma potęgi do sprawienia tego, by po poniedziałku, nie wtorek i środa następowały, ale niedziela zaraz. Kto zaś sobie przypisuje taką potęgę, ten głupi, arcygłupi, a gdy przyjdzie do

czynu, arcysłaby i nędzny! Płód jego — potworem, jak dziecko w drugim lub trzecim miesiącu, dobre do gabinetów anatomicznych na naukę i przykład, ale nie do niw żywota. Radzę — kończy ironicznie — komunizm krakowski zachować.

W liście do Bronisława Trentowskiego rozwija te same myśli: Zetnij głowę narodu, wyrznij szlachtę, a zostanie lud bitny, ciemny, rozpasany na chwilę, który nie mając przeszłości, nie znając przyszłości, obecność swoją za pewien byt dobry odda w ręce pierwszego lepszego Attyli, metodę mającego, to jest kadry wojskowe.

O tej porze wiele czartów moralnych grasuje u nas, przerażenie, zawiść, zła wiara, niby nowe obiecują życie, a w zapasie nic nie mają do dania, prócz śmierci drugiej, pociągniętej pewnym życia pokostem na chwilę. Kto z grobu chce zmartwychwstać, ten niech wie, że tylko w świetle się zmartwychwstawa, bo światło i dobro i wszechmiłość, wszelkiego życia warunkiem. Z nieprzyjaźni tylko dalsza nieprzyjaźń, rozterka, rozstrój i rozsyp. Z miłości i życie i gmach, a miłości nie ma bez Boga. Czytaj historyę Żyrondystów Lamartina. Tam dopiero widać jak dalece ci bohaterowie rewolucyi tchórzami byli, wszyscy tchórzami przed opinią, przed ludem, do tego stopnia, że wciąż poświęcali ludzkość i własną ideę bojaźni, jaką ich napełniły wrzaski motłochu. Takie same serwilisty i dworaki, jak owi zrzuceni przez nich królewscy. Brak Boga, to znamię rewolucyi francuskiej i dopiero tu się wykazuje, że bez Boga najwyższe inteligencye, najszaleńsze odwagi ludzkie są tyle, co głupstwo i tchórzowstwo, bo nie opierają się na absolutnem źródle, wciąż się wahają, wciąż nie pewne siebie, dziś głową niebios sięgające, jutro w krwi i błocie. Ale że się tak cały naród i przednie umysły i serca mogły w danej chwili wyrzec Boga, to winą niezawodnie wielu szalbierstw i zbrodni przez wieki cicho i w spokoju dopełnianych przez króli i szlachtę, równej

ci się zbrodni dopuszczali, jeżeli nie gorszej. Nie odrzucali Boga, ale go chcieli wziąć za narzędzie. Otóż tak się pomylić nad naturą Bożą jest prawie tyle, co ją zaprzeczyć. Któż Boga kiedy użyje? Kto go eksploatować będzie bezkarnie? Aż strach pomyśleć i też strach patrzeć, jaka kara spadła po wiekach na tych biednych i głupich, co się kusili o takie niepodobieństwo. Smutne dzieje świata. Módlmy się do miłości wiekuistej. — Dowiedziawszy się o rewolucyi 1848 r. w Paryżu, lęka się o swój naród i przypomina przepowiednie Chrystusa o „obrzydliwościach spustoszenia". „Lękam się — powiada — czy lada chwila nie nadchodzi, lękam się, by u nas zaraz odbiciem się paryskiem nie buchnęli.... i znów przymuszeni nie legli! Byleby dużo niebosk ich komedyi, nie wygrzało się na świecie". W liście pyta Bronisława Trentowskiego z Badeniu 1849 r.: „Czytałeś manifest w New Jork wydany przez Unię niemieckich wychodźców, obiecujący za głowę cesarza austryackiego trzydzieści tysięcy guldenów, króla pruskiego 25.000, jakiegobądź króla lub księcia 20.000, Windischgraetza lub Jellaclücha 15.000. Takiemi brudy zabijają się stronnictwa. Pamiętasz w Nieboskiej Komedyi o klubie morderców scenę. Sprawdziło się". Na zapytanie Adama Sołtana, co się stanie z Francyą, odpowiada: Oto myślę, że 1852 nie będzie wstrząśnień ostatecznych, to jest takich, coby rozerwały społeczeństwo, że wojsko da radę jeszcze czerwonym. Na jak długo? Nie wiem, bo jużci przyjjdzie dzień zwycięstwa dla czerwonych, krótkiego wprawdzie, jednak niechybnego; dziecko bowiem nim się sparzy, kazań o ogniu nie rozumie, tak samo lud. Dopiero po nędzy powszechnej, nazajutrz po zwycięstwie, zrozumie to olbrzymie dziecko, że takiemi środki raju się na ziemi nie otrzyma, a wtedy pochyli czoło w dół, serce zaś podniesie ku Bogu! Lecz powtarzam, to się jeszcze 1852 nie stanie.

Czy ty wiesz — pyta w tymże roku — czy ty wiesz, co się działo w Nowem Mieście podczas cholery? Cała Niebоska Komedya w miniaturze. Mieszczanie chcąc miasto spalić i zrabować, ściągnęli ze wsi okolicznych chłopów i t. d.

Następny list jest jakby żywą ilustracyą »Nieboskiej«: Po czasach ostatecznej pychy rozumu — powiada w liście do Trentowskiego — który zabierał się do uznania się jedynym Bogiem i do koronacyi własnej na gruzach osobistości Bożej i nieśmiertelności pośmiertnej, musiał zdarzyć się przeciw-ruch, który także miary nie ma i przesądza.

Czy nie widzisz, że wyższe, złożone organizmy społeczne i polityczne, wszędzie trawione rozkładem chemicznym, rozrabiają się, że narody, ustawy, podania, wiary, stronnictwa nawet, dążą do rozwiązania się i ulotnienia; że z onego rozkładu dwa tylko wobec siebie najniższe, najprostsze, najpilniejsze żywiołowe pierwiastki pozostają sprzeczne, zażarte do bójki gotowe: ubodzy i nieubodzy! na tem chce za dni naszych skończyć historya świata. Jest to oświata najolbrzymiejszego materyalizmu: bo te obozy dwa, choć pałają ku sobie nienawiścią, jednakim goreją zapałem ku wspólnemu bożyszczu, a tem bożyszczem jest jadło, rozkosz, używanie, wygoda, słowem: cel materyalny. Wszystkie inne idealne odleciały z piersi ludzkich, on jeden je zastąpił i powtarzam, on dowodem, że rozkład chemiczny społeczeństw, czyli śmierć epoki wypracowywa się w jej wnętrzach! Katolicyzm jeden zosobiszcza narody śród plemion, a instytucye, hierarchie, rozmaitości i nastroje w narodach — tem samem, że bogaczom nakazując miłosierdzie i miłość, ubogim miłość i wiarę w pośmiertne życie, nie dozwala światu przemiany go rozbijającej na dwa tylko stronnictwa, bijące się o chleba kawał, lub sukna łachman, lub złota sztukę. Wierz mi, kiedy godzina takiej bójki zwierzęcej uderzy,

nie będzie miejsca na pobojowisku dla żadnego organizmu wyższego, dla żadnej narodowości, dla żadnej Ojczyzny, dla żadnego języka, dla żadnej sztuki, dla żadnej wiedzy i nauki. Nastanie także kościół powszechny, bezróżnicowy — ale złego! kościół ciał i chuci temi ciałami rządzących. W to patrz, w to miej wbite źrenice! bo to prawdopodobny koniec nasz, jeśli duch katolicki w przedziwnej mierze umiejący zosobiszczać wszystko, a wiązać one zosobiszczenia węzłem miłości, czyli harmonią zaprowadzać, nas od tego nie ocali...

Myśl ostatnią tak tłómaczy w liście do Adama Sołtana: »Jedno z dwojga: albo ojczyzny przyznane otrzymają w spokoju społeczeństwo, albo nastąpi ostateczny jego rozkład chemiczny na dwa jego pierwiastki najprostsze, najniższe, najostateczniejsze, najmateryalniejsze, posiadających i nieposiadających. Że ojczyzn nie ma, dlatego są tylko cielesne cele, a cele cielesne wcześniej, czy później wprowadzone być muszą logicznie do najprostszego wyrażenia, jakim jest bójka pomiędzy bogatym a nędzarzem. Ta bójka ostatnim jest wyrazem społeczeństwa — które zapomniało o Bogu i zaparło się ojczyzn. Koniecznością pchane, mimo wszystkie przedsięwzięte obrony, padnie ono jej pastwą. Czyż w poglądach tych nie przebija wyraźne tło społeczne „Nieboskiej“, w której rozgrywa się również śmiertelna walka posiadających z nieposiadającymi? —

Ponieważ zdaniem Tarnowskiego analiza społeczeństwa w Nieboskiej jest »najśmielsza, najgłębsza i najwszechstronniejsza, jaką dotąd w literaturach zrobiono«, przeto nie od rzeczy będzie wskazać tu na pewne rysy tej wspaniałej zresztą budowy. Już z przytoczonych wyjątków korespondencyi, ilustrujących myśl przewodnią »Nieboskiej« widoczne jest klasowe uprzedzenie autora i poetyczny jego punkt widzenia spółczesnych ruchów socyalnych. Na obóz demokratyczny, na lud patrzy poeta

jak na tłum rozpasany z hasłem: mord i używanie. Żeby morderstwa stały się zabawką tańczących, a nawet dzieci, jak to przedstawia Nieboska, jest również dalekiem od prawdy. Dziewczęta tańcując, wołają, jedna: „zabij dla mnie księcia Jana, druga dla mnie hrabiego Henryka, a nawet dzieci proszą ślicznie o głowę arystokraty“! Taniec wolnych kobiet i mężczyzn w około szubienicy i śpiew ludu zakończony refrenem „Hura — hura!“ jest niesmaczny i nienaturalny. Hr. Henryk na widok umierającego z wycieńczenia sił rzemieślnika, robi demokracyi wyrzuty, że głosiła obietnice równości i szczęścia ludzkiego, a daje ginąć podobnym pracownikom. Otóż zarzut ten jest o tyle niesłuszny, że rzemieślnik tu przedstawiony umiera wskutek przeciążenia pracą, czemu zawinili jego pracodawcy, a nie demokraci. Wprawdzie było między ostatnimi i są do dziś dnia tacy, którzy z hasłami wolności i równości uciskają lud, ale to chyba nie obrońcy jego ale faryzeusze. Przyznać jednak trzeba, że tacy i w rewolucyach mieli swoich przedstawicieli (choćby n. p. Żyrondystów).

Jeżeli lokaje, a nawet pomywaczki domagają się praw człowieka, jak to przedstawia sam poeta, to czyż rzeźnicy na wolności mogliby głosić zasadę — że „szlachta, to życie nasze — kto nas powoła, ten nas ma“.

Czyżby kobieta stojąca już na równi praw i obowiązków z mężczyzną, społeczeństwu, czy jak ona się wyraża „towarzystwu“ za to, że jej prawa przyznało, rozdawała swoją miłość. Czy może istnieć komunizm płciowy w społeczeństwie, o jako tako rozwiniętej osobowości. I obrzędy nowej wiary przez Leonarda, proroka wolności, odmalowane są tak jaskrawemi barwami, że zamiast wstrętu, budzą niewiarę w możność ich istnienia. Oto wybrane z pośród córek wolności kobiety, niepodległe i rozumne, tarzają się po zgliszczach, przez ogień i dym, w namiętnych podrzutach, wyciągając ramiona w boskim szale do

proroka i oblubieńca swego. A gdy jedną z nich wybierze sobie prorok, pozostałe, zazdroszcząc jej chwały i szczęścia, tańcują naokoło niego, albo cieszą się z nim „obłąkane w konwulsyach“.

Zwracam też uwagę na błędy charakterystyki Pankracego:

Prawo ludu wołające przez usta Pankracego do klasy panującej: „Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym, silnym“, ma za sobą zupełną słuszność, jeżeli założenie jest prawdziwe, a w obrazie nawet „chwały przeszłości“ okazuje wynik, że było prawdziwem. Ale zasada, aby nasyceni ustąpili głodnym, nie wygląda na „wzajemne bestyi pożeranie“. Jeżeli zaś ten lud — w tak ostrych, przesadnych zarysowany konturach w „Nieboskiej“ — łaknący dotąd chleba albo i wygód, przekraczał niekiedy miarę, to przyjdą czasy, kiedy doszedłszy do świadomości swoich olbrzymich sił, stawszy się zupełnie dojrzałym, inaczej mówić będzie i działać.

Coby to był za przewódca demokracyi, któryby „skąpił kilka słów prawdy“, ludziom proszącym go o nie, na klęczkach. Niedostatecznie też wytłumaczone jest gorące, ostatnie pragnienie Pankracego ocalenia Henryka, czy zmierzenia się z nim. Gdyby nawet Henryk był geniuszem, to jako ostatnia jednostka nie zaważyłby na szali społecznej. Zresztą w walce na języki Hrabiego z Pankracym ma przeważnie słuszność ten ostatni, czasem obaj, ale tylko do połowy, jak n. p. kiedy pod koniec rozmowy malują obustronnie zasługi i grzechy szlachty, a rzadko, prawie nigdy — Henryk.

Myli się Tarnowski twierdząc, że Pankracego „robak toczy“.

Jeżeli miał chwile zwątpienia, to były to tylko chwile. Wiara jego w sprawę, której się poświęcił, była stokroć silniejszą i trwalszą, niż ta, której chwałę głosił Henryk. Teorya równości społecznej Pankracego, to nie racya mo-

cniejszego, podług której słabszy nie ma prawa do życia, ale obrona uciśnionych, opieka moralnie, umysłowo, materyalnie wydziedziczonych.

Kiedy runęła ostatnia warownia uprzywilejowanych, Pankracy razem z innymi nie wczasuje po tylu nocach bezsennych, nie kładzie nawet głowy na kamieniu. Świadom, że z ostatniem westchnieniem dopiero połowa pracy odbytej, zabiera się po skończonej rewolucyi do pracy organicznej.

Ze śmiercią Pankracego wcale się nie skończy ten krwawy, nieboski dramat. Ostatnie słowa Pankracego niczem nie umotywowane, wyskakujące niby *deus ex machina* z tragedyi starożytnej, wypowiedziane bezpośrednio po owym programie pracy organicznej, dałyby się wytłumaczyć chyba tylko zanikiem sił umysłowych umierającego, ale nie zapowiadają wcale upadku sprawy, której bronił Pankracy i która po śmierci swego naczelnika wobec zupełnej przeciwników zagłady, pozostać musi na całej linii bojowej zwyciężającą, lubo tego zdaje się nie miał na myśli poeta. Chcąc wykazać bezskuteczność rewolucyi i upadek zwycięzców, trzeba było przynajmniej w dalekiej perspektywie pokazać, że zapowiedziana przez Pankracego druga połowa programu nie udała się, albo nie weszła w życie, że jak twierdzą przeciwnicy. wskutek n. p. wrodzonych przymiotów, równość nie dała się nawet przeprowadzić. Tego jednak w »Nieboskiej« nie ma, a samo nagłe, nie umotywowane porzucenie stanowiska, wywalczonego z takiemi ofiarami krwi i sił ludzkich, nie przesądza sprawy samej. Możnaby nawet przypuścić, że powołanie się Pankracego w ostatniej godzinie na zwycięstwo Chrystusa i jego nieśmiertelnej idei miłości bliźniego, oznacza, że lud, uprzątnąwszy wszystkie zawady w swym pochodzie, zacznie tę Chrystusową ideę urzeczywistniać.

Tarnowski tłumaczy koniec Pankracego jego charakterem trzeźwym, ścisłym i konsekwentnym. Przekona-

wszy się, że logika jego była złudzeniem, musiał zginąć, bo nie miał już o czem żyć dalej. W istocie jednak nie było czasu na wyprowadzenie ostatnich konsekwencyi, ani go one zawiodły, lecz owszem poprowadziły do zwycięstwa. Śmierć zaś jego — symboliczna — nie wypływała wcale z jego winy ani z jego czynów, ale z założenia autora. To, co mu przypisuje krytyka, że »przez niego na świecie została próżnia«, jest nienaturalnem — po wymordowaniu bowiem arystokracyi całego świata nie byłoby jeszcze próżni, pozostają przecież miliony ludu.

Pankracy świat dawny roztrząsł jak nawóz pod zasiew, ale »gdy przyszło do zasiewu — tak przedstawia Tarnowski — dopiero się opatrzył, że nie ma ziarna na zasiew, ani w nim, ani w tym porządku rzeczy, jaki stworzył«. Do zasiewu jednak nie przyszło — z powodu śmierci bohatera. Jeżeliby wolno było snuć wnioski ze zwycięstwa, to nie zgubi demokracyi próżnia, ani czczość przesytu, ani ospałość, nie zawojują jej kondotiery à la Blanchetti, ale popadnie ona jeszcze w cięższą niewolę, niż była u szlachty, w niewolę burżuazyi, której torują drogę w »Nieboskiej« figury w rodzaju Przechrzty. Słowa konającego rzemieślnika rzucają na to jutro dostateczne światło. Można wiele zarzucić Pankracemu, tylko nie to, że »wszystko obiecał, a dotrzymać nie umiał«. Ciągłe, nieustanne okrzyki radości motłochu, którym dowodził, wystawiają mu świadectwo uniewinniające go zupełnie z tego grzechu. Żeby go zaś »pogardzać trzeba« za to »że wszystko zniszczył« (?), wyciąwszy w pień resztę skazanej na wymarcie szlachty, a potem wykazać, że nie jego śmierć, ale nieudolność tylko była przyczyną, iż na zgliszczach przeszłości »nic nie postawił«, żeby lud w dążeniu swem do ideału przez krew i ruiny »zniszczywszy wszystko, zniszczył i siebie«, tak że po nim nic nie zostało, to trudno z »Nieboskiej« wyczytać. Wyjąwszy ostatnie słowa, nie wypowiada Pankracy nigdy i nigdzie, że

zagłada szlachty, zgniłej zresztą i robaczliwej w oczach poety, na nic się nie przydała, że to zniszczenie nie jest dobrem. Owszem on głosi wyraźnie zasadę, że dzieło zniszczenia odkupionem jest, jeżeli zrodzi dwa razy tyle życia, ile śmierci zadało, a że ten warunek będzie dopełnionym, to nie ulega zdaniem jego żadnej wątpliwości. Pankracy, jak Henryk, byli przeczeniem, a że przeczenia znoszą się, z tego nie wynika, że »konkluzya Nieboskiej to nicość najzupełniejsza«.

Delikatniej wycieniowana jest charakterystyka Henryka, jako romantyka, wzorowana na własnych doświadczeniach autora. Serce jego wielkie i dumne, ale opętał je chór złych duchów, na ich czele cień zmarłej kochanki uwodzicielki, a nad głową jego roztaczająca swe skrzydła sława w postaci orła wypchanego w piekle. Oczarowała go też swemi zwodniczemi wdzięki matka natura, uważana przez poetę za »dzieło Belzebuba«. Udaje on anioła chwilę nim zagrzęźnie w błoto, a szybuje ciągle po obłocznych krainach fantazyi. Nie wystarcza mu więc na długo życie rodzinne — obracające się w ciasnem kole spraw błahych. Wcześnie skruszy te ziemskie łańcuchy, które go pętają, porzuci nietylko żonę, ale cały ten »świat drobiu«. Niechaj te mrówki mozolą się źdźbłem swoim; jego wielka, nieśmiertelna dusza, jednym rzutem przelecieć chce niebo całe. Ale ostatecznie nic z tych szerokich ideałów nie urzeczywistni, a do drobnych obowiązków za wielki. Tę, której przysiągł na wierność i szczęście, sam strącił do rzędu potępionych — obłąkanych — a skoro uświadomi to sobie, układa w myśli z wyrzutów sumienia dramat. Atmosfera poetyczna, jaką naokoło wytwarza Henryk (żona i syn dostają obłędu), ciąży mu kamieniem na sercu. Zna wszystkie uczucia po imieniu, a nie ma w nim żadnej żądzy, żadnej wiary, ani miłości. Pozbawiony celu życia, nie znajduje w najszczęśliwszych warunkach zadowolenia. Nie słuchał głosu anioła stróża, aby schorzałych, zgło-

dniałych, rozpaczających pokochał, nie chciał być mężem wśród braci swoich, zginie więc puściwszy na marne swoje siły i zdolności. Na widok nożów motłochu i całego chaosu zemsty, dobywającej się z toni czasu na zgubę pana i jego spółbraci, gnany szałem rozpaczy, postanawia zemścić się za zhańbione popioły ojców, za zniewagę sióstr, w końcu marzy tylko, że w jedno słowo zamknie cały ten nowy, ogromny świat ludowy, a słowo to będzie poezyą całej przyszłości.. Kiedy już płomienie nienawiści wrogów pochłaniają cały jego obóz, występując do ostatniej, rozpaczliwej walki, cieszy się jak dziecko, że jest panem, władzcą, wodzem tych wszystkich, którzy mu byli wczora równymi Znaki niechybne swego zgonu pozdrawia serdeczniej niż wprzódy witał dni szczęścia i wesela, »bo — jak powiada — nie pracą, nie przemysłem — nie podstępem doszedł końca życzeń swoich, ale nagle, z nienacka, tak jak marzył zawżdy«. Słusznie rzuca na niego chór głosów podziemia potępienie za to, że »nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie i myśli swych«. Dni kilka chwały rycerskiej, znikomej, a potem zwątpienie i rozpacz — oto treść jego życia. W ostatniej godzinie opuszczony przez wszystkich, znienawidzony, nawet przez najbliższych, rzuca się w przepaść z »przekleństwem poezyi« na ustach.

Już w przytoczonych rysach charakteru Henryka widać pewne niekonsekwencye. Wynikają one z samego założenia poety. Nie brak wszakże i pewnych sprzeczności.

Hrabia Henryk — sam w siebie nie wierzy — walczy, ginie, i poświęca się dla myśli, w której »nie ma słuszności i prawdy — w którą nawet nie wierzy«. A przecież powiada autor na innem miejscu, że: »On może wierzyć w straszność i zwycięstwo swojej sprawy«. Pojęcie poezyi w części pierwszej »Nieboskiej« nie jest »fałszywem« jak twierdzi Tarnowski, który zresztą tak trafnie ją scharakteryzował. Kto życiem swem nie stwierdza prawdy głoszonych przez siebie ideałów, dla kogo sztuka

jest tylko igraszką palców, albo jak u Henryka odblaskiem chwały, słowem kto nie uprawia poezyi z pobudek społecznych, temu ona sypnie kilka kwiatów na głowę i odwróci się, a on zwiędłemi bawiąc się, splata sobie grobowy wieniec. Nieboska Krasińskiego jest ostrą krytyką tej romantycznej poezyi, oderwanej od życia i potrzeb społecznych, której przedstawicielem jest Henryk.

Dr. Emil Habdank Dunikowski

Wyżyna Podolska.*)

Stepy!... Hura!... stepy!...

Mimowolnie wyrywa się nam z piersi ten okrzyk, którym niegdyś z bogatym łupem z dalekiego świata powracające konne zastępy — wśród dźwięku surm i kotłów z rozwiniętymi sztandarami — ojczyste witały stepy, gdy w najdalej na wschód wysuniętym zakątku naszego kraju — wzdłuż rosyjskiej kroczymy granicy.

Tak, stepy!... Któż zdoła opisać urok — tej bezbrzeżnej, ukwieconej równiny?... Kto pojmie to uczucie, które serce do żywszego pobudza tętna i naszej istocie skrzydeł udzielać się zdaje, kiedy na ognistym rumaku, otoczeni ciepłym, świetlanym oceanem, w wysokie, woniejące wjedziemy trawy?...

Łagodny zefir z Czarnego Morza, igrający około naszych skroni, pobudza trzciny i szuwary do tajemniczego szmeru i szepcze nam do ucha opowieści z dawnych, zamierzchłych czasów.

Ach tak!... Niegdyś wyglądały te stepy inaczej! To co dziś pozostało, to tylko resztka nieznaczna z minionej świetności, albowiem pług rolnika niszczy bez miłosierdzia urocze dzieci Flory, ażeby tylko zrobić miejsce złotym fałom bujnego zboża.

I ludzie byli inni Jakież to okropne, ogniem i krwią napisane dzieje, tych dziś tak spokojnie przed nami drze-

*) Czytane przez autora w Kole.

miących stepów!... Wszak niedaleko stąd ten »straszliwy »czarny szlak«, po którym ciągnęły niemal co roku dzikie, krwi chciwe hordy, niosąc śmierć i pożogę w kulturne kraje zachodu...

Daleko po za Polskę nie dostały się one nigdy. Ta święta twierdza, to wspaniałe przedmurze zachodniej cywilizacyi, nie było tak łatwem do zdobycia Lecz ile to krwi kosztowało!... Liczne mogiły, wznoszące się obok naszej drogi, kryją spruchniałe kości bohaterów, którzy w spełnianiu najświętszych obowiązków złożyli życie na ołtarzu ojczyzny — skrapiając krwią swą — rodzinną ziemię.

Lecz niechaj wspomnienie smutnej przeszłości nie psuje nam chwili obecnej. Z wesołem sercem i wrażliwym umysłem spieszymy na wschód, ażeby zbierać wrażenia tej zajmującej podróży. Jeszcze jeden rzut oka z kopca na Wysokim Zamku na pływający w zieleni u stóp naszych gród Lwa, a potem dalej w stepy!...

Lecz jeszcze chwilkę... Nim opuścimy to urocze nad stolicą królujące wzgórze, musimy się w dalszej rozpatrzeć okolicy, ażeby cel naszej podróży porównać ze sąsiedniemi połaciami ziemi. Jakoż nie potrzeba być wcale fachowym geologiem, ażeby poznać już na pierwszy rzut oka, że z naszego miejsca spostrzegania możemy wyróżnić trzy krajobrazowe żywioły, wchodzące w skład Galicyi wschodniej.

Na południu, tam hen w kryształowej dali, zamyka siny rąbek Karpat nasz widnokrąg. Jest to północno-wschodnie przedłużenie Alp, więc góry pasmowe, sfałdowane, których pierwotnie poziome, w kredowem i trzeciorzędnem morzu złożone warstwy — wzniosły się skutkiem działania siły, powstałej przy kurczeniu się skorupy ziemskiej do przeszło 2.000 m. wysokości nad poziom morza.

Od zachodniej strony wpada nam w oczy podmokła, piasczysta, tu i ówdzie ciemno-zielonymi, sosnowymi bo-

rami pokryta, już do porzecza Wisły należąca nizina, której rumosze i błędne głazy przybyły do nas wraz z dyluwialnymi lodami z dalekiej północy. Jej fauna i flora okazuje wybitny północno europejski typ, jakoż w samej rzeczy nie jest ona niczem innem, jak tylko dalszym ciągiem północno-niemieckiego i polskiego niżu.

Zupełnie inny przedstawi się nam obraz, skoro tylko wzrok swój zapuścimy w daleki wschód — obraz nieznany zresztą ani w zachodniej, ani też południowej Europie. Tu zaczyna się wyżyna podolska, — na ziemi galicyjskiej tylko mała część tej olbrzymiej płyty, która powoduje ten ciekawy krajobrazowy wygląd północnego wschodu Europy. Nie ma tu wcale tych w górach tak pospolitych fałdów, albowiem skały krystaliczne i warstwy t. zw. paleozoiczne — owe pozostałości prastarych oceanów, które niegdyś szumiały na naszej ziemi, kryjąc w swem wnętrzu dziwny, obecnie już wygasły świat zwierzęcy, leżą prawie poziomo i nie okazują pozornie żadnych późniejszych zaburzeń. Potężna ta płyta — owa kra pierwotna, która stawiła opór fałdującej sile przy ściąganiu się skorupy ziemskiej nie wyszła jednakże z tej walki bez szwanku. Liczne szczeliny przecinają ją w rozmaitych kierunkach, olbrzymie płaty zapadły się wzdłuż t. zw. linii uskokowych, a brzeg całej wyżyny odznacza się linią przełomu, wzdłuż której starożytne pokłady runęły setki, a może nawet i tysiące metrów w głąb.

W okolicy Lwowa zatraca płyta podolska swoje wybitne cechy. Któżby bowiem sądził, spoglądając na urocze wzgórza w bliskości miasta, noszące nawet niesłusznie miano gór, że to są resztki wyżyny? A przecież tak jest. Nie są to bowiem żadne góry, lecz w postaci wysep i raf pozostałe resztki płyty potarganej i pogryzionej niszczącem, a odwiecznem działaniem płynącej wody. Pomyślmy sobie dolinę miasta wypełnioną napowrót tym materyałem, który w biegu tysiączek lat spłynął z wo-

dami do morza, natenczas mioceńskie pokłady Wysokiego Zamku i wzgórza wystawowego połączą się ze sobą i nie będzie już żadnych gór, lecz jedna nieprzerwana wyżyna.

Zachodnia granica płyty zaznacza się całkiem dokładnie w krajobrazie stromą ścianą. Wybierając się z Podzamcza koleją w naszą podróż — jedziemy około 80 km. wzdłuż tej ściany.

Po prawicy błądzi oko nasze po uroczym, gajami i krzakami ozdobionym stoku, zbudowanym u dołu z kredowej opoki, u góry z wapieni i piaskowców mioceńskich, a wznoszącym się aż do 412 m. nad p. m., po lewicy zaś roztacza się wielka, podmokła nizina, dalszy ciąg północno-galicyjskiego niżu.

Jesteśmy na europejskim dziale wód pomiędzy Bałtykiem a Czarnem Morzem. Źródła, wytryskujące u stóp podolskiej ściany, szlą swoje wody przez Bug do Wisły, potoczki zaś i strumyki biorące swój początek na powierzchni wyżyny, płyną ku południowi, t. j. do Dniestru.

Obok nędznych lepianek, świadczących raczej — o zupełnym braku jakichkolwiek wyższych potrzeb życiowych, niż o nędzy tutejszego wieśniaka, obok zasianych, niezbyt urodzajnych pól i mokrych łąk, pędzimy ku Złoczowu. Podróżnemu z zachodu, który pierwszy raz zwiedza Galicyę, wpada w oczy, obok ubóstwa wiejskich chatek, także zupełny brak szlachetnych sadów przy zagrodach wieśniaczych. Tylko dzikie lub wpółdzikie drzewa zacieniają zadymione i strzępiaste strzechy, więc leśne jabłonie i grusze, tarnośliwy, kwaśne wisznie, gorzkie czeresznie i co najwięcej, zabłąkane, na poły zdziczałe węgierki. Wieśniak nasz nie myśli bynajmniej o pielęgnowaniu szlachetnych drzew, twierdzi on bowiem, że sąsiedzi pokradliby mu niechybnie wszystkie lepsze owoce, gdy przeciwnie cierpkie dziczki tak mało mają siły przyciągającej dla współbliźnich, że wszystkie zostają nietykane dla jego prywa-

tnego użytku Za to ogromne przywiązanie ma on do wierzby. Bez zarzutu zbytniej przesady można twierdzić, że tutejszy wieśniak nie da się pomyśleć bez wierzby. Używa on jej zarówno jako budulca do swych płotów i szop, jako paliwa i do rozmaitych innych celów. Poczciwa galicyjska wierzba!... Prawie co roku pada ofiarą barbarzyńskiego spustoszenia, gdyż nielitościwy wieśniak obcina jej wszystkie gałęzie, tak, że pozostaje tylko niekształtny 2—3 m. wysoki słup, sterczący jak pręgierz wołający o pomstę do nieba, jednakowoż bolesna ta operacya zdaje się jej być dość obojętną, gdyż puszcza nowe gałązki i wkrótce potrząsa swą zielono-włosą głową Meduzy, uśmiechając się do swego okrutnego kata. Nie wiele ona także sobie z tego robi, że jest we środku robaczliwą i spróchniałą, że często posiada tylko kawałek kory, który wyłącznie załatwia cały proces odżywiania drzewa, jak również obojętnem jej jest zupełnie, czy gleba, na której rośnie, jest gliniastą, wapienną czy też marglową.

Z wyjątkiem więc stepów, gdzie w ogóle drzewa wszelkiego rodzaju są rzadkie, widać w całym kraju wierzby — galicyjski krajobraz wiejski nie da się pomyśleć bez tej karłowatej i kalekiej postaci, która jest raczej karykaturą drzewa, aniżeli drzewem samem. Jeżeliż więc do tego krajobraz taki ma być pełen życia, to potrzeba pomyśleć sobie obok wierzby, także maleńkie, poczciwe, z filozoficznym spokojem głód i zimno, ciężką pracę – i straszne tortury — znoszące konięta, które zaledwie że zasługują na tę dumną zoologiczną nazwę, — a przedewszystkiem naturalnie i królów galicyjskiego stworzenia, mianowicie chłopa w białej koszuli i — »last but not least« żyda z pejsami, w długim, ciemnym chałacie. Te cztery istoty należą w Galicyi nierozdzielnie do siebie... W okolicy Złoczowa opuszcza kolej nizinę i wjeżdża zwolna wśród głębokich przekopów w wyżynę.

Miasteczko to, leżące w przyjemnej, wypłukanej dolinie porzecza Bugu, a założone w pierwszej połowie XV. wieku, — przechodziło niejedną ciężką dolę, najcięższą w r. 1672, kiedy turecko kozacka horda pod atamanem Doroszeńką zniszczyła je doszczętnie. Obecnie pozostał jedynie zamek, zbudowany pierwotnie w r. 1450, później kilkakrotnie zniszczony i znów odnowiony, jako świadek burzliwej przeszłości.

Około 16 km. na północ od kolei leży, w pośród mioceńskich wzgórzy, wieś Podhorce ze swym sławnym zamkiem, wzniesionym przez Stanisława Koniecpolskiego w r. 1637, w którym później niejednokrotnie przemieszkiwał król Jan Sobieski. Liczne zabytki z czasów tego króla bohatera — relikwie narodowe, ściągają licznych wycieczkowców do zamku, którego właściciel, książę Sanguszko — otacza te drogie nam pamiątki staraniem i czcią. Wśród głębokich wcięć kolejowych, odsłaniających całe ściany opoki kredowej, dostajemy się do Tarnopola, gdzie opuszczamy kolej — i rozpoczynamy naszą wędrówkę konno i piechotą.

Jesteśmy obecnie w metropolii galicyjskiego Podola, liczącej 26.000 mieszkańców. Jednostajna i dość nudna — około 304 m. nad poziom morza wzniesiona okolica — jest pod względem klimatu okrzyczana jako Syberya galicyjska, albowiem z żadnej strony nie zasłonięta wyżyna, — ma wszelkie cechy typowego, nieprzyjemnego, lądowego klimatu. Ostre miesiące zimowe, w których rtęć nierzadko spada poniżej 20 C., gorące lato z upałem często ponad 30 C., nagła zmiana ciepłoty i dokuczliwe wiatry — usprawiedliwiają tę złą sławę klimatu tarnopolskiego.

Miasto same nie posiada wiele osobliwości. Oprócz starego zamku, służącego dzisiaj jako koszary wojskowe, i pięknego kościoła parafialnego — nie ma nic nadzwyczajnego, lecz okazuje zwykły typ naszych prowincyonal-

nych miast, mianowicie w środku ożywiony, śmiecisty rynek, ładne przedmieścia z miłemi willami i małymi schludnymi domkami, ukrytymi wśród zielonych sadów i różnobarwnych kwiatowych ogródków — a wreszcie nadzwyczajnie brudna i cuchnąca część żydowska.

Niezwykle wygląda Tarnopol podczas jarmarków, a zwłaszcza na świętą Annę, kiedy to odbywa się nadzwyczaj ożywiony targ na konie. Zresztą słynie ze swego handlu zbożem.

Prawdziwą ozdobę miasta stanowi wielki (5 km. długi, a 1 km. szeroki) staw, — jeden z największych w Galicyi, na którego to brzegu leży wspomniany zamek. Liczne stawy i stawki, tak charakterystyczne dla krajobrazu podolskiego, zawdzięczają swe powstanie więcej przyrodzie, aniżeli sztuce. Wszystkie wody wyżynowe płyną w głębokich dolinach, które sobie wygryzły i wyrzeźbiły w ciągu tysięcy, a może i setek tysięcy lat. Łatwo zrozumieć, że stosownie do jakości materyału skalnego, raz twardszego, drugi raz miększego, przeciwstawiającego więc rozmaitą siłę odporną takiemu niszczącemu działaniu wody — dolina będzie w jednem miejscu węższa, w drugiem szersza. Każde takie zwężenie ma warunki do utworzenia się błót i stawów — a sztuczna, na poprzek doliny wzniesiona grobla, pomaga temu przyrodniczemu procesowi i przyczynia się do podniesienia poziomu wody.

Udajemy się ku południowi. Lekko falista równina, z bujnem, kołyszącem się zbożem, wśród którego przeważa pszenica, — roztacza się przed naszemi oczyma. Skrzeczenie koników polnych, brzęk pszczół, śpiew przepiórek i tysiączne inne głosy przyrody, łączą się w jeden, pełen harmonii koncert, towarzyszący nam w naszej podróży.

Okolica nie jest bynajmniej tak bardzo ubogą w drzewa, jak tego może spodziewaliśny się w naszym pierwszym wstępie na Podole. Jakkolwiek sosna niżu znikła zupełnie,

to przecież spotykamy za to małe, jasno zielone gaiki i lasy — wśród których buk, grab i dąb — pierwsze zajmują miejsce — przyczyniając się niemało do urozmaicenia krajobrazu. Także dawne wyobrażenie nasze o gładkiej jak stół, nieprzerwanej powierzchni wyżyny, nie odpowiada rzeczywistości. Już tutaj, w naszych pierwszych krokach na wyżynie, mamy przedsmak tych wspaniałych zjawisk erozyi (wypłukania przez wodę), które później, dalej na południu, będziemy mieli sposobność podziwiać. Mała przechadzka po tej, pozornie nieprzerwanej płycie, zaprowadzi nas na brzeg głębokiego jaru w dyluwium. Żółta, niewarstwowana glina tworzy strome, prawie pionowe ściany, w której liczne otwory służą rozmaitym ptakom jako gniazda. Jar taki jest zupełnie suchy i tylko po ulewnym deszczu szumi u spodu spieniona, mętna woda, która go pogłębia i rozszerza. Podpatrujemy tu przyrodę w jej potężnem, dla ludzkiego oka wprost niedostrzegalnem prawie działaniu, widzimy tu zarodek późniejszej wielkiej doliny erozyjnej.

Kilka km. przed Mikulińcami spostrzegamy po raz pierwszy taką dolinę erozyjną, mianowicie wcięcie Seretu. Jest to potężny, prawie prosto ku południowi ciągnący się jar, na którego ścianach widać dokładnie skutki tego niszczącego, gryzącego i rzeźbiącego działania wody płynącej.

W takiej to dolinie tętni ludzkie życie, tu w głębi leżą ukryte miejscowości jedna za drugą, nanizane jak perły na nitkę — i to powtarza się wszędzie na Podolu. Bardzo często — znajdując się na szczycie wyżyny, ze zdziwieniem spostrzegamy, że na całym, przeszło tysiąc km. obejmującym widnokręgu, ludzkich osad nie widać wcale, i gdyby nie uprawne pola, to możnaby uważać całą okolicę za bezludny, pusty step.

Jak mur pionowy, sterczą przed nami ściany doliny. Na spodzie widzimy czerwono-brunatny spąg, na tym spoczywa wązki, zielony, później szary pas, przechodzący

u stropu w białe lub żółtawe wstęgi, a wszystko w bardzo regularnem ułożeniu.

Geolog poucza nas, że rzeka przecięła tu poziomo ułożone warstwy, odsłaniając nam w taki sposób wewnętrzną budowę wyżyny. Najgłębsze pokłady składają się z prastarych, brunatnych lub cisawych piaskowców, znanych w kraju pod nazwą piaskowca trembowelskiego, a cenionych jako znakomity materyał do schodów i chodników. U ich stropu widać zielone piaski i margle górno kredowej formacyi, poczem następują piaski i wapienie mioceńskie, na których kończą się morskie pokłady. Na górze spoczywają wielkie masy niewarstwowanej gliny, która wreszcie przechodzi w urodzajną pruchnicę, okazującą miejscami miąższość jedno- a nawet kilkumetrową. Jest to ten słynny, nadzwyczaj urodzajny podolski czarnoziem.

Szczególniejszą jest asymetrya dolin tego rodzaju, objawiająca się w tem, że wschodni stok doliny jest stromy, pozbawiony roślinności, zachodni zaś łagodnie pochylony i pokryty wielką ilością gliny.

Geolodzy tłumaczą zjawisko to, przyjmując, że wszystkie poboczne dopływy Dniestru, płynące w kierunku południkowym — otrzymują i otrzymywały dawniej — skutkiem stoczystości wyżyny ku wschodnio-południowej stronie — wody opadów atmosferycznych z zachodu, skutkiem czego zachodni brzeg spłukuje się, a rzeka musi się posuwać ku wschodniemu brzegowi, podmulając go od spodu. Według nowoczesnych pojęć — nasza glina jest osadem atmosferycznego pyłu, — jeżeli więc przyjmiemy, że tak samo jak dzisiaj, tak i podczas formacyi dyluwialnej, przeważały na Podolu wiatry zachodnie, to łatwo zrozumieć, że osadzanie się tego pyłu powietrznego odbywało się głównie w miejscach po za wiatrem, a więc na zachodnich zboczach dolin.

Mijamy maleńkie miasteczko Mikulińce, z ruiną zamku z XVI. wieku, słynnego z niejednej bohaterskiej obrony przeciwko Turkom, Tatarom i Kozakom — i przybywamy do uroczo nad rzeką Gniezną położonej Trembowli.

Z głębi jaru rzecznego spoglądamy na czerwone zerwy, w znacznej miąższości rozwiniętego dewońskiego piaskowca, ozdobionego u stropu piękną ruiną starożytnego zamczyska. Dobrze zachowane mury zewnętrzne i wielkie baszty zarysowują się groźnie na pięknem tle błękitu niebios, jako nieme świadki tych krwawych dziejów, które się tu niegdyś odegrały.

Położenie zamczyska jest zarówno strategiczne jak i malownicze. Wzniesione na półwyspie, połączonym tylko z jednej strony przesmykiem z wyżyną, a otoczonym zresztą półksiężycową doliną rzeki Gniezny i potokiem Peczeniją wywiera na widza niezwykłe wrażenie.

Ze szczytu poczerniałych i omszonych murów biegnie oko nasze w daleki wschód, nie znajdując na bezdrzewnej płaszczyznie punktu oparcia. Złotokłose zboża, falujące we wietrze stepowym, tworzą przyjemne przeciwieństwo do zupełnie innego obrazu po stronie zachodniej, gdzie uroczy zielenieje bór. Wesołe miasteczko u stóp naszych, głębokie, czerwone, dewońskie jary, na których brzegu stoimy, zieleń lasów i złoto stepów, to wszystko łączy się w malowniczy harmonijny obraz.

Rozmarzeni łagodnym powiewem czarnomorskiego wiatru — układamy się na miękkim mchu, puszczając swym myślom i marzeniom wodze — i oto patrzcie, co za dziwo!.. Z omszałych zwalisk, z poczerniałych baszt, wychodzą zakute w zbroje postacie, o twarzach opalonych, a oczach błyszczących stanowczością i poświęceniem... To waleczni przodkowie nasi, jedni z tych, którzy w obronie ojczyzny, chrześcijaństwa — i całej cywilizowanej ludzkości, przelewali krew swoją w zapasach z dzikiemi hordami wschodu.... Lecz i bohaterską niewiastę spostrze-

gamy między temi postaciami. Któżby jej nie znał?... Każde polskie dziecko opowie nam jej dzieje. Wszakżeż to Anna Dorota Chrzanowska, małżonka Samuela Chrzanowskiego, komendanta zamku trembowelskiego w r. 1675.

Kiedy to w tym roku dwukroćstutysięczna potęga tatarsko-turecka, pod wodzą wielkiego wezyra Ibrahima Szyszmana wpadła do Polski, otrzymał Chrzanowski od króla Sobieskiego rozkaz, ażeby swoją chorągwią, liczącą zaledwie 200 ludzi, obsadził zamek trembowelski i bronił go do ostatniej kropli krwi.

Nieprzyjaciel nie dał na siebie długo czekać. Już 20. września rozpoczęło się regularne oblężenie, albowiem Chrzanowski odrzucił ze wzgardą wszelkie zawezwania do poddania się, mimo że jego chorągiew, wzmocniona jeszcze około 30 rycerzami ze sąsiedniej szlachty, stanowiła śmiesznie małą załogę w obec potęgi Ibrahima.

A przecież nie dali się! Szturm po szturmie odpierano zwycięsko, tak, że nieprzyjaciel widział się zmuszonym — rozpocząć podkopy i zakładać miny, z których cztery wybuchło, nie wyrządziwszy zamkowi żadnej szkody. W tych to straszliwych przeprawach, kiedy zamek lada chwila mógł wpaść w ręce nieprzyjacielskie, postanowili niektórzy małoduszni z pomiędzy szlachty — układać się z Ibrahimem o dobrowolne wydanie zamku, ażeby tylko uratować swe życie, gdyż wiedzieli, jak straszliwa, męczeńska śmierć czekała zwyciężonych, żarliwych obrońców. Skorzystali oni z chwili, kiedy waleczny Chrzanowski stał w najbardziej zagrożonym miejscu w boju z Janczarami — i zgromadzili się w jednej z odległych wewnętrznych komnat, ażeby naradzić się nad wydaniem twierdzy.

Tymczasem bohaterka nasza, poznawszy zapewne, co się święci, podsłuchała w sąsiedniej komnacie całą rozprawę. Z iskrzącem okiem — i licami zarumionemi od wstydu i gniewu, wpadła pomiędzy spiskujących, wyrzucając im nierycerskie, małoduszne przedsięwzięcie, poczem

niezwłocznie popędziła — nie zważając na grad kul — do małżonka, ażeby go przestrzedz przed tą nową, najgroźniejszą miną, mającą lada chwila wybuchnąć wewnątrz zamku.

Zawstydzeni spiskowcy poprzysięgli raczej zginąć, aniżeli dobrowolnie wydać tę dla Polski tak ważną twierdzę w ręce nieprzyjaciela. Jakoż dotrzymali tej przysięgi, gdyż wytrwali w bohaterskiej obronie aż do 5. października, w którym to dniu Ibrahim, na samą wiadomość, że Sobieski się zbliża z odsieczą — w dzikim popłochu opuścił Trembowlę.

Bohaterska zaś niewiasta żyje po dziś dzień w wdzięcznej pamięci całego polskiego narodu.

Badacz dziejów poucza nas, że za czasów Kazimierza Wielkiego, Andrzej Tęczyński położył podwaliny do późniejszej twierdzy, zakładając tu drewniany gród, który dopiero w r. 1631 doznał gruntownego przebudowania i otrzymał dzisiejszą postać. Odparł on niejedną potęgę nieprzyjacielską, aż wreszcie w r. 1688 — stał się pastwą nawały tureckiej, i od tego czasu pozostał ruiną, gdyż skutkiem odzyskania Kamieńca Podolskiego, Trembowla straciła jako twierdza swe strategiczne znaczenie.

Z Trembowli udajemy się na zachód przez piękny las, w którego orzeźwiającym chłodzie krzepimy siły nasze — do oczekującej nas podróży. Mijamy miasteczko Strusów nad Seretem, poświęcamy chwilkę oglądnięciu ładnego pałacu i kościoła, przekraczamy jar rzeki zbudowany podobnie jak parów Gniezny koło Trembowli z czerwonego dewońskiego piaskowca i spieszymy dalej na zachód ku miejscowości Zazdrość.

Jak gdyby za dotknięciem różczki czarodziejskiej zniknęła cała dotychczasowa rozmaitość krajobrazu; — zniknęły jary, zniknęły lasy i gaje!... Przed naszem zdumionem okiem roztacza się niezmierny step, spływający w drgającej jak płomień dali z błękitem niebios.

Można sobie wyobrazić, jak te stepy wyglądały przed trzema lub czterma dziesiątkami lat! Podówczas były jeszcze Pantalicha, Orzełówka, Zazdrość, Stepy Strusowskie itd. w całej swej majestatycznej wielkości i niezrównanym przepychu. To, co obecnie widzimy, to tylko nieznaczne resztki dawnej świetności, gdyż z każdym rokiem wcina się pług coraz głębiej w serce stepów — i niezadługo te piękne córy dzikiej przyrody ustąpią zupełnie miejsca nudnym, regularnym bruzdom pooranej roli. Więc dalej naprzód!... Niech ten typowy obraz wschodnich naszych kresów — znajdzie odźwierciedlenie w naszej duszy, nim zaniknie zupełnie!...

Pogodne, błękitne niebo z płomieniejącą kulą słońca, lekko poruszone, orzeźwiające powietrze, cudny widok rozległej jak morze płaszczyzny, napawa nas rozkoszą, która sprawia, że każdy nerw nasz drga chęcią do życia... Na rączym siedząc rumaku czujemy w sobie coś z istoty orła, który właśnie wysoko w górze nad nami zataczając silnemi skrzydłami szerokie koła, upatruje zdobycz. Kultura coraz to mniejsza — podolska prerya występuje w całej swej okazałości.

Wspaniały, miękki, kwieciem utkany kobierzec rozściela się u nóg naszych. Bujna, soczysta zieleń wysokich traw, złoto-żółte jaskry, różane kwiecie ślazu, liliowe dzwonki i tysiączne inne kwiaty we wszystkich barwach tęczy łączą się w harmonijną całość, zachwycającą serce i oko.

Lecz co to przed nami?.. Tam w dali, gdzie błękit niebios spływa z zielenią stepu i powietrze drga i faluje jak płomień pożaru — spostrzegamy olbrzymie ptaki, które nieruchomo — jak gdyby rzeźbione z kamienia, spoglądają na nas z uwagą i nieufnością.

To wielkie dropie, olbrzymy między ptakami stepu. Obecnie jest ich obawa człowieka zupełnie nieuzasadniona, albowiem teraz lato, a więc czas ochronny, ale za kilka

miesięcy, skoro tylko pierwszy przymrozek zwarzy kwiecie stepowe, — wtenczas rozpoczną się wesołe łowy. Sprytnie trzeba się brać do dzieła, albowiem ptak ten jest bardzo ostrożny. Na wozach drabiniastych, w prostych strojach wieśniaczych, zbliżają się myśliwi do stanowiska dropi, zataczając około nich coraz to węższe koła. Od czasu do czasu gubi się z wozu nieznacznie jeden myśliwy po drugim i leży spokojnie w zeschłej trawie. Ciężkie ptaki przypatrują się ciekawie temu podstępnemu działaniu, nie podejrzywając z razu niczego, aż kiedy koło opasujące je zbyt się zacieśni, — natenczas poczynają niezgrabnie biedz w jednym kierunku — i zrywają się wreszcie, lecąc niezbyt wysoko nad myśliwymi. Naówczas liczne hukną strzały i kilka tych olbrzymów ptasiego świata ważących każdy do 20 kg. — z głuchym łoskotem runie na ziemię.

Okolica zaczyna się ożywiać. Jedziemy obok wielkich trzód, odbywających przy studniach spoczynek poranny. Obfite skrzypy, podobne do małych sosenek, trzeszczące pod kopytami końskiemi, zdradzają blizkość moczarów Maleńkie jeziorka, których ciemna woda przegląda przez szuwary i trzciny, liczne, podmokłe błotka, w których koń nasz grzęźnie po pas, zmuszają nas do odbycia dalszej podróży pieszo.

Cóż to za rozkosz dla myśliwego, co za rozkosz dla miłośnika przyrody! Któż byłby w stanie opisać to wszystko, co około nas lata, pływa i biega, któż zdołałby przedstawić to bujne życie ustrojowe, tętniące w mokrym stepie w tysiącznych postaciach...

Z głośnym okrzykiem zrywa się przed nami przestraszona rodzina czajek, prześladując nas na każdym kroku swem przeraźliwem: kiwit, kiwit.. Całe stadka dzikich kaczek, pomiędzy niemi także ciekawe, północne gatunki, lecą z głośnem kwakaniem ponad głowami, dążąc do odleglejszego jeziorka. Piskliwe kszyki strzelają jak piorun

w powietrze i doprowadzają początkowego myśliwego do rozpaczy swym szybkim lotem w zygzaku. Zato ciężki dubelt leci spokojnie sznurkiem nizko ponad ziemią, dając się brać łatwo na cel nawet i mniej wćwiczonemu w szlachetnym kunszcie łowiectwa.

Już po za odległością strzałową błyszczą na ciemnym tle sitowia srebrne czaple, których kosztowne pióra wzbudzają pożądliwość myśliwego. Z podziwienia godną obojętnością na przemoczenie nóg i późniejszy katar, stoją — te wspaniałe ptaki godzinami w wodzie, czyhając na zdobycz. I żurawie nie należą do rzadkości, jakkolwiek ich ciąg jeszcze się nie rozpoczął, ale te jeszcze ostrożniejsze aniżeli czapla, i łowiec może o szczęściu mówić, jeżeli mu się uda dostać je na strzał.

Za to poważny bocian nie wie co to obawa i przechadza się napuszyście w naszem najbliższem sąsiedztwie, gdyż jest pewnym, że mu się nic nie stanie. Niechaj myśliwi prawią ile chcą o jego szkodliwości, niech spychają na jego grzeszne sumienie wszystkie młode kuropatwy, a nawet zajączki, — my nie będziemy do niego strzelać, gdyż to serdeczny przyjaciel z naszych najmłodszych lat, gnieżdżący się na naszych szopach i wiejskich chatach — i sprawiający nam nieraz uciechę swem komiczno poważnem zachowaniem się. Zresztą strzał do bociana w obecności wieśniaka nie jest bynajmniej wskazany, lud bowiem wiejski jest przekonany, że każda krzywda, wyrządzona temu długodzióbowi, naraża człowieka na zemstę całego rodu bocianiego; przecież były wypadki — tak mówią — że bociany z zemsty podpaliły chatę, przyniósłszy w dzióbie tlejące zarzewie. Zresztą zabijanie bociana jest wielkim grzechem, pociągającym za sobą choroby, a nawet śmierć.

Więc idziemy z uszanowaniem obok bocianów, nie zaczepiając ich wcale. Nagle głuche bębnienie uderza o uszy nasze. To bąk — ten komiczny ptak, który uważa

za swój święty obowiązek przyjąć w tym ogólnym stepowym koncercie obowiązki fagocisty.

Na suchszem miejscu usiadło całe stadko większych, nieznanych nam ptaków. Dowiadujemy się, że to są kulony, typowe ptaki stepowe.

Zwolna zaczyna ucichać ten gwar świata zwierzęcego, słońce przeszło przez południk i leje żar na step. Czujemy zmęczenie i tęsknimy za cienistym, spokojnym kącikiem. W oddali na suchem wzniesieniu odkrywamy sadybę ludzką, więc uradowani spieszymy do niej. Jest to ubogi stepowy futor, — lepianka pokryta trzciną, obok tego szopa, a z tyłu w małym sadzie pasieka. Widok drzew napełnia nas radością, jakkolwiek ściśle rzecz biorąc, nie są to żadne drzewa, tylko skarłowaciałe wisznie i czereśnie, bzy, tarnina i inne krzewy, ale cienisty ich chłód jest nam przyjemny.

Liczne ule stoją oparte o płot lub pod krzakami, pilne pszczoły brzęczą i pracują, — bo też i dużo do roboty, wszak cały step w kwieciu. Stary, poważny wieśniak, typ bartnika stepowego, wita nas z głęboką czcią i zaprasza do chaty. Jest on bardzo gościnny i rozmowny, boć przecież widział wiele świata i jadł chleb z niejednego pieca!.. Wysłużył 18 lat przy wojsku, przebył włoską wojnę, był załogą we Wiedniu, a nawet miał to szczęście mówić z cesarzem! Teraz na starość — step i pszczoły są mu całym światem. Częstuje nas chlebem razowym, mlekiem, serem i miodem, nie szczędząc zachęty do jedzenia, co jest jednakowoż zbytecznem, gdyż po naszej porannej przechadzce jesteśmy porządnie głodni.

Zarówno dla darów bożych, jak też i dla wzorowego porządku w chacie i pasiece — mamy słowa najżywszego uznania, co widocznie starego bardzo cieszy. To tylko skutki — jak powiada — subordynacyi, którą zaprowadził u siebie; — bez subordynacyi nie mógłby żyć, a jego pomocnicy — dwaj czy trzej młodzi chłopacy — wiedzą

dobrze — tu znaczący gest ręką — jakie są skutki złamania subordynacyi.

Po tym rozkosznym posiłku — układamy się wygodnie w cieniu krzaku czarnego bzu do spoczynku na miękkiej murawie. Błądzimy okiem po spokojnym stepie drzemiącym w żarze słonecznym, i wciągamy chciwie słodki, nektarowy zapach hreczki kwitnącej tuż obok pasieki. Melodyjny brzęk pszczół jest nam łagodną kołysanką, wprowadzającą nas w ten tak przyjemny, pół senny, pół marzący stan. Uwolnieni od więzów fizycznego istnienia, błądzimy po oceanie swiatła wśród muzyki sfer, czarodziejskiej woni...

Lecz cóż to?... sen czy rzeczywistość?... Niedaleko sadu, tuż za zagonem hreczki, zjawiają się na stepie małe brunatne potworki, które w zwinnych skokach bawią się w słońcu. Nie są to postacie wymarzonego świata, lecz prawdziwi mieszkańcy stepu — z krwią i kościami. Zrywamy się z naszego legowiska i w tej chwili zwierzątka znikają jak cień, lecz ponieważ żądza wiedzy bierze górę nad pociągiem do »dolce far niente«, zbliżamy się ostrożnie do małych pieczar w stepie i stoimy cierpliwie na straży.

Po chwilce okazuje się w otworze zgrabny łebek z ciekawemi, czarnemi oczkami, nareszcie całe zwierzątko, króre siada na tylnych łapkach, myje się, gwiżdże, aż całe towarzystwo razem się zbierze.

Ładne to stworzeńko, o wiele zgrabniejsze od chomika, jest na zachodzie i południu Europy zupełnie nieznane, jest to bowiem suseł, mieszkaniec północnego wschodu. Wyżyna podolska jest także ojczyzną pewnego rodzaju psa preryowego, mianowicie bobaka, którego zwinne, zabawne, małpie ruchy, rozweselają często podróżnego.

Tymczasem nadszedł i wieczór. Wspaniała, życiodajna gwiazda, — ta królowa dnia — skłoniła się w dalekim północnym zachodzie w całym swym majestacie do łoża

10

utkanego ze złota i purpury, fioletowe mroki zalegają step. Gospodarz odradza nam na seryo puszczać się na noc w podróż. Noc nie jest przyjaciółką człowieka, moglibyśmy łatwo zmylić drogę i wpaść w bezdenne moczarzyska; zresztą błąd i inne złe duchy hulają nocą po stepie.

Zostajemy. Spoczywając na miękkiem, wonnem sianie, spędzamy noc na wolnem powietrzu. Terkot chruściela i rechtanie żab rozpoczyna koncert wieczorny, do którego przyłączają się wkrótce tysiączne głosy. W odległych oczeretach połyskują błędne ogniki, rozkoszne powietrze nocne rozpiera nam piersi, cudowne zapachy upajają nasze zmysły... O skłoń ku nam swe ciemne pełne tajemnic oko, i ogarnij nas całym swym czarem, ty słodka, boska nocy stepowa!...

* * *

Następnego dnia udajemy się ze stepu na południe w okolice bardziej zamieszkane. Przez bujne łąki i uprawne pola prowadzi drożyna nasza obok krzyżów, świętych figur i kapliczek, które pobożna ludność wznosi wszędzie obficie Niestety, ze stanowiska sztuki, te oznaki bogobojnego umysłu tutejszej ludności nie wytrzymują żadnej krytyki Obrazy i posągi świętych, rzeźbione i malowane przez domorosłego wiejskiego artystę, który jest w stanie w pięciu minutach przemienić wizerunek jakiejś świętej niewiasty, przez domalowanie brody, na św. Mikołaja, bardzo ulubionego w tych okolicach, są to właściwie karykatury. Lecz co to szkodzi. Modlitwa, płynąca z serca przed takim obrazem, jest może żarliwszą, aniżeli przed madonną sławnego pędzla.

W większej odległości od dolin rzecznych są osady ludzkie dość rzadkie. Ale i w tym wypadku wyszukuje człowiek jary w glinie, w ogóle wklęsłości w terenie, ażeby się tylko ukryć przed wiatrami stepowymi.

Wioski, które tu mijamy, świadczą już swym zewnętrznym wyglądem o zamożności wieśniaka. Schludne domki z małymi ogródkami, w których nie śmie brakować ani malwa, ani piwonia, a przedewszystkiem ruta, wielkie stodoły i brogi, ładne bydełko, zdrowe, opalone dzieci — wszystko to dowodzi, że czarnoziem dobrze żywi swych ludzi.

Coraz to wyraźniej widać, że się zbliżamy do rzeki. Wskazują na to małe gaiki, rosnące nad wodami, i dachy domów ukrytych w rzecznym jarze... Od czasu do czasu możemy nawet zapuścić wzrok nasz w zalesiony, zamieszkany i ożywiony jar, aż wreszcie koło miasta Buczacza erozyjna dolina Strypy występuje przed nami w całej swej świetności.

Prawidłowość biegu lewych dopływów Dniestru wpada każdemu w oczy. Biorąc swój początek na północnej granicy wyżyny, płyną one prawie prostolinijnie i równolegle do siebie w coraz to głębszych jarach wygryzionych przez wodę — zjawisko widoczne u Złotej Lipy, Strypy, Seretu, Niczławy, Zbrucza, a tak samo u wszystkich prawie rzek Podola rosyjskiego. Stromo na dół prowadzi droga do jaru Strypy, tworzącej tu zakręt. Na łagodniejszych stokach doliny zabudowało się miasto Buczacz, sławne ze swoich starożytności; przeciwny brzeg jest stromy, zbudowany z czerwonych dewońskich piaskowców i ozdobiony u góry ruiną zamku. W mieście samem, należącem do najstarszych w Galicyi, przykuwa przedewszystkiem naszą uwagę mały, w najszlachetniejszym baroku zbudowany ratusz, założony przez Mikołaja Potockiego, znanego w kraju pod nazwą starosty Kaniowskiego. Przedsiębiorczy, zamiłowany w dziełach sztuki magnat ten, pozostawił w całej okolicy niejeden wspaniały zabytek budownictwa, jako świadectwo swego wysokiego zmysłu dla sztuki i ofiarności dla celów publicznych. Szerszej publiczności znany on jest niestety tylko ze swoich dzi-

wactw i bujnej fantazyi przekraczającej nie kiedy granice praw bożych i ludzkich.

Był on także ostatnim, który zamieszkiwał zamek w Buczaczu.

Czego nie mogły zdziałać szturmy Turków w latach 1672 i 1676 tego dokonał niszczący ząb czasu w jednem stuleciu: potężny, jeszcze w XIV w. założony zamek rozsypał się w ruinę.

Tożsamo i piękny rz.-kat. kościół, jak też i klasztor Bazylianów na wzgórzu, wreszcie także i zajmująca cerkiewka Pokrowy w greckim stylu zawdzięczają swe powstanie hojności starosty.

Jeżeli do tego dodamy jeszcze klasztor Dominikanów, cerkiewkę św. Mikołąja z ładnymi obrazami z XVIII. w., wreszcie maleńką, ale interesującą cerkiewkę na przedmieściu Nagorzanka, — to wyczerpaliśmy znaczną część, jakkolwiek nie wszystko, widzenia godnych zabytków Buczacza.

Niemniej zajmującą jest okolica miasta. Udając się na południe, na szczyt wyżyny, przyjdziemy do starego bukowego lasu, w którym śliczna ruina — t. zw. stary klasztor Bazylianów — zajmuje naszą uwagę. Na gruzach starożytnych murów rosną stuletnie buki i wiją się wiecznie zielone liście powoju, a ciemno-szmaragdowy barwinek, nasz wawrzyn galicyjski, tworzy bujne kępy, odbijające przyjemnie od szarego, zwietrzałego kamienia.

Lecz baczność!... Co to za dziwo przed nami?... U stóp naszych zieje przepaść, we wnętrzu której Strypa swoje nurty toczy. Zaledwie sto m. liczy w szerokości ten erozyjny (wygryziony) jar, którego czerwone, kamienne, 60—70 m. wysokie ściany, tak ślicznie rysują się na ciemnej zieleni lasu. W naszych podróżach po szerokim świecie już spotykalismy coś podobnego, jakkolwiek bez porównania we większych rozmiarach. Ziejąca ta czeluść u stóp naszych nie jest przecież niczem innem, jak tylko miniaturą amerykańskich kanionów. Arkanzas, Yellowstone i wiele innych rzek, a przedewszystkiem Coloradoriver

płyną właśnie w takich głębokich dolinach erozyjnych o prostopadłych ścianach. Wprawdzie wysokość ścian takiego amerykańskiego kanionu osiąga kilkaset, a nawet kilka tysięcy metrów, ale teoretycznie rzecz biorąc, mamy tu u rzek podolskich to samo zjawisko, jakkolwiek w mniejszej skali.

Wspaniałość tego dziwa przyrody zachwyca nas. Wprawdzie stojąc w wysokich górach na jakimś wyniosłym szczycie widzimy przed sobą o wiele głębsze doliny i potężniejsze skały, jednak wrażenie to jest zupełnie inne. Wydaje się to bowiem całkiem naturalną rzeczą, że gdzie są wysokie góry, tam muszą być i odnośne głębokie doliny, i niedziwi nas to tak bardzo, że ile metrów wyszliśmy w górę, tyle musimy spoglądać w dół. Żeby atoli gładka i na pozór nieprzerwana płaszczyzna okazywała nagle taką czeluść, taką bruzdę głęboką to jest imponującem. Nieobeznany z geologią spostrzegacz przypuszcza chętnie istnienie jakichś nadzwyczajnych katastrof, które porozrywały ziemię do jej wnętrzności, gdy w rzeczywistości tylko pozornie nieznaczna wprost niespostrzegalna gryząca siła wody zdoła w szeregu wielu tysiączek lat wywołać zjawisko tego rodzaju.

Udając się dalej ku południowi przybywamy w dwu godzinach do miasteczka Jazłowca, leżącego uroczo nad potokiem Olchowcem. Potok a raczej rzeczułka ta okazuje wybitnie usiłowanie rzek podolskich przestrzegania prostej linii ku południowi. Płynie ona bowiem w najbliższem sąsiedztwie Strypy przez znaczną przestrzeń i dopiero przebywszy 24 km. drogi, wpada do niej, — przecinając wyżynę głębokim, na zachód zwróconym kanionem.

Na stromych brzegach Olchowca wznosi się malowniczo ruina potężnego niegdyś zamku, założonego w XV. w., który w historyi wojen z dzikiemi hordami wschodu niezwykłą odgrywał rolę. Uwagi godnym jest także sąsiedni zamek, zbudowany przez ojca ostatniego króla naszego,

a przerobiony obecnie na zakład wychowawczy sióstr Niepokalanek.

Na szczycie wyżyny wpada nam w oczy zjąwisko bardzo cechujące dla wschodnich okolic Podola, szczególnie po prawym brzegu Dniestru. Są to liczne, lejkowate zagłębia o stromych ścianach, przerywające jednostajność uprawnych pól. Lejki tego rodzaju, szerokie u góry od kilku do kilkudziesięciu metrów, a 5—50 m. głębokie, mają swą przyczynę w geologicznej budowie okolicy. Albowiem w tej części Podola znajduje się bezpośrednio pod gliną formacya mioceńska, z licznymi słojami gipsowymi. Ponieważ gips jest łatwo w wodzie rozpuszczalny, przeto często się zdarza, że woda wypłucze taki słój, skutkiem czego zapada się w powstałą w taki sposób próżnię glina i próchnica tworząc lejek. Oczywista, że dla rolnika zjawisko to jest mniej przyjemne, gdyż takie zagłębie przepada bezpowrotnie dla kultury.

Tożsamo i liczne jaskinie gipsowe w tej okolicy, a przedewszystkiem sławna pieczara w Bilczu ze swymi krużgankami, ciągnącymi się setki i tysiące metrów pod ziemią, zawdzięczają swe powstanie tej samej przyczynie. Dla nieszczęśliwej ludności wiejskiej miały one niegdyś podczas napadów wschodniej hołoty niepospolite znaczenie, gdyż służyły za ochronne kryjówki.

Jedziemy dalej na południe. Mijamy Beremiany, gdy nagle okrzyk podziwu wydobywa się z piersi naszych!...

Przybyliśmy na brzeg skalistej, przeszło 100 m. głębokiej przepaści, w głębi której majestatyczny Dniester swoje modre nurty ku Czarnemu wiedzie morzu. Jednem rzutem oka obejmujemy znaczną część potężnej doliny, która w części wygląda jak typowy kanion, w części zaś, a mianowicie na zakrętach, okazuje na jednym, tj, wypukłym brzegu, strome, skaliste ściany, podczas gdy na przeciwległym wklęsłym tworzy półwysep, wznoszący się zwolna w terasach. U spodu doliny i na niezbyt stromych jej

stokach rośnie uroczy las i bujne krzewie, w miejscu tem atoli, gdzie Strypa wpada do Dniestru, widzimy krajobraz wzgórzysty, gdyż denudacya potargała wyżynę na luźne płaty.

Wzrok nasz biegnie na prawym brzegu strumienia w dal, na błogosławione, bogate w kukurudzę Pokucie, na wązkie pasmo Karpat, które w postaci ciemno-błękitnej chmury zamyka widnokrąg od zachodu.

Co za pyszny obraz przed nami, jakie to życie w tym obrazie!... Wysoko w powietrzu buja orzeł morski, krzykliwe mewy rzucają się z głośnym chichotem głową na dół w głąb doliny, ciężki pelikan, którego wiatry zagnały aż tu z ojczystych limanów, spogląda podejrzliwie na niezwykłe dla niego skały i zazdrości rybakom, wyciągającym właśnie wielkiego suma z sieci.

Flisacy, pędzący na spławach ku Czarnemu morzu, głośne szlą nam z dołu pozdrowienie, życzymy im szczęśliwej żeglugi i śledzimy ich okiem, dopóki nie znikną na zakręcie za czerwoną ścianą.

Tak!... czerwona, zielona i jeszcze raz czerwona .. Oto barwy tej okolicy. Wszystko, co nie należy do państwa Flory, jest tutaj na wschodzie Podola, dzięki silnemu rozwojowi piaskowców i innych warstw dewońskich, czerwone, a więc jary, ściany dolin, a nawet pył na gościńcach, z czego pochodzą liczne nazwy miejscowości z przymiotnikiem czerwony, a może nawet i sama nazwa Rusi Czerwonej.

Zajmującem jest także bezwzględne położenie formacyi dewońskiej na Podolu Jej górna granica osięga nad Dniestrem i jego dopływami miejscami wysokość dwustu metrów nad poziomem morza. A przecież głębokie wiercenie na placu wystawy we Lwowie, doprowadzone do 500 m., a więc blizko 200 m. pod poziom morza, nie zdołało nawet przebić spągu o wiele młodszej, górno-kredowej formacyi. Coś podobnego spotykamy i na południu

Podola nad Prutem, gdzie w bezwzględnej wysokości, w której już powinienby się znajdować dewon, napotykamy młode mioceńskie warstwy. Geolodzy mają więc słuszność, gdy twierdzą, że południowa i zachodnia granica naszej wyżyny odznaczasię gwałtownymi uskokami, wzdłuż których części starożytnej płyty zapadły się w głąb, a pozostała po nich próżnia wypełniła się młodszymi osadami późniejszych mórz

Tak więc zachwycając się teraźniejszością a dumając, o wielkiej przeszłości, kroczymy nad brzegiem ślicznego strumienia. Opuszczając lesiste Karpaty, które mu były kolebką, zbliża się on pod Mikołajowem do wyżyny podolskiej, tworząc przez dłuższy czas jej południową granicę, aż nareszcie wchodzi w nią całkiem w okolicy Niżniowa i staje się strumieniem wyżynowym. Stąd począwszy, nie otrzymuje on już więcej żadnych karpackich dopływów, gdyż odnośna część gór należy już do porzecza Dunaju przez Czeremosz i Prut, lecz zasila się tylko z lewej strony typowemi podolskiemi rzekami, które już poznaliśmy w naszej podróży. Płynie on majestatycznym, wypłukanym przez wodę jarem, którego ściany miejscami dochodzą do wysokości 150 m. Średni poziom rzeki leży obok Niżniowa 192 m. nad poziom morza około Okopów, gdzie galicyjską opuszcza ziemię 107 m., uwzględniając więc długość rzeki 238 km.. otrzymamy jako średni spad 0,373 m. na 1 km. Ponieważ atoli linia powietrzna pomiędzy obu temi wzmiankowanemi miejscowościami wynosi tylko 110 km., przeto ta cyfa 238 km. jest wyrazem licznych zakrętów rzeki, nadających jej szczególniejsze wejrzenie.

Tak więc przechadzka w podolskiej dolinie rzecznej jest zarówno pod względem geologicznym jak też i krajobrazowym bardzo zajmująca. Zapominamy tutaj zupełnie o wyżynie, zdaje nam się, że jesteśmy we wnętrzu karpackiej okolicy, albowiem urocze lesiste wzgórza, malownicze strome skały, otaczają nas ze wszystkich stron.

Nic więc dziwnego, że i prastare ludy, które przed tysiącami lat zamieszkiwały ziemię naszą, osiedlały się ze szczególniejszem zamiłowaniem w tych romantycznych, ukrytych jarach. Liczne groby skrzynkowe, ołtarze skalne i kurhany, przeznaczone dla kultu bożka słońca, kamienne i metalowe narzędzia i ozdoby — i rozmaite inne starożytności, tworzą tu wielkie pole dla badacza czasów przedhistorycznych.

Dla miłośnika myśliwstwa mają te lesiste kaniony wielki urok, albowiem obfitują w dziki, sarny, lisy, zające i ptactwo wszelkiego rodzaju.

Obcy podróżnik po Galicyi, który z własnego doświadczenia przekona się, że zła sława klimatu galicyjskiego, jest przynajmniej w północnej i zachodniej jej części zupełnie uzasadniona, z przyjemnością spostrzega tu znaczną zmianę na lepsze. Po raz pierwszy widzi winnice, w ładnych sadach przedmiejskich i właścicieli większych posiadłości znajduje morele, brzoskwinie, szlachetne jabłonie, grusze i t. p. Nie potrzeba dodawać, że tak samo warzywa wszelkiego rodzaju jak też i zboża udają się znakomicie.

Maleńka wycieczka na wodach dniestrowych należy także do programu podróży podolskiej. Nie mamy niestety parowców do naszego rozporządzenia, albowiem żegluga na Dniestrze jest jeszcze w kolebce. Pomimo ogólnego uznania ważności tej rzeki jako drogi handlowej i komunikacyjnej, nie postarano się dotychczas o podniesienie jej spławności przez regulacyę. Spławna część Dniestru wynosi po stronie galicyjskiej 547 km., jednakże z powodu licznych ławic piaskowych, mielizn i t p., mogą spławiać się statki o bardzo małem, 0,3—1 m. wynoszącem pogłębieniu. Musimy więc zadowolnić się tratwą, jeżeli nie czujemy w sobie na tyle awanturniczego usposobienia, ażeby puścić się w niebezpieczną podróż w małych, chłopskich czółenkach, sporządzonych z wydrążonego kawałka pnia, a przypominających bardzo kanoe Indyan amerykańskich.

Minąwszy zakręt, wpłyniemy w głęboki kanion o stromych lesistych brzegach. Dolina rzeki jest u spodu tak wązka, że podczas wysokiego stanu wody prawie niepodobna przejść ponad rzeką. Po raz pierwszy spostrzegamy koło miasteczka Uścieczka spąg dewonu, a najstarszą podolską formacyę na ziemi galicyjskiej, mianowicie sylurskie szaro-zielone iłołupki i ciemne wapienie z licznemi skamielinami. Im dalej ku wschodowi, tem potężniejszą staje się ta formacya, podczas gdy dewon traci coraz to bardziej na miąższości, wyklinowując się wreszcie zupełnie.

Właściwa podstawa, rdzeń całej wyżyny, nie jest w Galicyi widzialną. Okazuje się ona dopiero po za austryacką granicą koło Jampola nad Dniestrem w postaci czerwonego granitu, tworzącego tu te sławne dniestrowe szypoty, t. zw. progi.

Zmiana więc formacyi powoduje także zmianę barwy kanionów. Wszystkie ściany jarów i dolin, które na wschodzie od Uścieczka zwiedzamy, nie są już czerwone, lecz szare.

Po prawym brzegu Dniestru zaczyna się Pokucie. Nazwa ta nie obejmuje ani geograficznego, ani też geologicznego obszaru, nie jest nawet pod względem etnograficznym uzasadniona, chyba, że podniesiemy jako jej charakterystykę znaczniejszą ilość Ormian tam zamieszkałych.

Przez nazwę Pokucie rozumie się po prostu wschodnio-południową część kraju, mówi się więc o górach pokuckich, o pokuckiem podgórzu, a wreszcie i o pokuckiej wyżynie, która ściśle rzecz biorąc, nie jest niczem innem, jak tylko istotną częścią Podola.

Maleńka wycieczka do Horodenki da nam sposobność poznania tej ostatniej części Pokucia.

Jedziemy po falistej, ubogiej w drzewa, ale za to nadzwyczaj urodzajnej płaszczyźnie. Ponieważ tu trudno o opał, przeto wieśniacy używają do palenia nawozu krowiego, pomieszanego z posiekaną słomą. Widzimy więc

na wszystkich glinianych opłotkach, otaczających zagrody wieśniacze, tożsamo i na ścianach budynków, placki z tego materyału, suszące się na słońcu.

Tutaj rozpoczyna się dziedzina kukurudzy, tego ważnego zboża, stanowiącego prawie wyłączny pokarm ludu wiejskiego począwszy stąd, aż daleko do Wołoszczyzny. Wysokie kukurudzy, pokrywające okiem nieprzejrzane przestrzenie, zastępują tu niejako lasy i wnoszą przyjemne urozmaicenie w krajobraz. Ze strzech wiszą wszędzie całe pęki szułek kukurudzy, przeznaczonej na nasienie, obok tego całe snopy najrozmaitszego zielska, stanowiącego domową apteczkę wieśniaka.

Właściciele większych posiadłości uprawiają głównie pszenicę, a obok tego i kartofle, opłacające się bardzo dobrze przy tuczeniu wołów i fabrykacyi alkoholu.

Z miasta Horodenki, słynnej ze swego pięknego barokowego kościoła, zbudowanego przez starostę kaniowskiego, przybywamy na powtót nad Dniestr do Zaleszczyk, miasteczka leżącego na półwyspie, wznoszącym się tarasami, a powstałym skutkiem wielkiego zakrętu Dniestru. Naprzeciwległy bukowiński brzeg tworzy stromą ścianę, w której, jakgdyby w otwartej księdze możemy śledzić, wszystkie formacye, wchodzące w skład budowy Podola, a więc u spągu czarne wapienie i zielone łupki syluru, na tem czerwone piaskowce dewonu, później margle kredowe, wreszcie u góry pod gliną słoje gipsowe i wapienie mioceńskie.

Łagodny klimat, śliczne położenie miasteczka nad potężnym strumieniem, winnice, bujne sady z pysznymi owocami, wszystko to zachwyca podróżnego.

Około 25 km. na północ od Zaleszczyk leży mała miejscowość Ułaszkowce, słynna ze swych wielkich światowych jarmarków. Obecnie, w obec rozwoju kolei jarmarki te straciły swe dawne znaczenie, ale niegdyś były one zwłaszcza pod względem etnograficznym osobliwością

pierwszego rzędu. Obok kupców europejskich można tu było spotkać typy z najgłębszej Azyi w malowniczych i fantastycznych strojach. Jeszcze i dziś jarmark ten ma pewne znaczenie z powodu dość znacznego handlu zbożem, wełną i spirytusem.

Nasza podróż po Podolu galicyjskiem zbliża się ku końcowi. Na wschód od Zaleszczyk przekraczamy koło Gródka kanion Seretu, a w Ujściu Biskupiem kanion Niczławy. Niedaleko od ujścia Niczławy do Dniestru we wsi Michałkowie znaleziono w glinie jaru przed kilku laty pyszny szczerozłoty skarb, mianowicie koronę, spinki, naramienniki, perły, pierścienie i t. p. rzeczy, stanowiące obecnie ozdobę muzeum Dzieduszyckich we Lwowie. W ogóle starożytności, a zwłaszcza z czasów rzymskich nie należą tu na Podolu bynajmniej do rzadkości, pług rolnika wyoruje często monety, zbroje i inne rzeczy z tych odległych czasów, kiedy to potężna Roma i nad naszą władała ziemią.

Niedaleko od Ujścia Biskupiego spostrzegamy nowy żywioł w ukształtowaniu terenu, wpadający z daleka w oczy. Jestto pasmo wzgórz, ciągnące się między dopiero co nazwaną miejscowością a Sinkowem, przechodzące dalej przez Dniester do Bessarabii. Już na pierwszy rzut oka można poznać, że pasmo to nie ma nic wspólnego ze zwykłymi na Podolu kształtami erozyi, gdyż wygląda jakgdyby było nasadzone na wierzch wyżyny. Zbudowane jest z pokładów t. zw. sarmackich, a więc pozostałości tych wód, które oznaczają czas wysładzania się i zanikania mórz śródziemnych w tej okolicy.

Coś podobnego powtarza się także na wschodzie. Koło Podkamienia w pobliżu Brodów, bierze początek urocze, lesiste pasemko wzgórzy, noszące dźwieczną nazwę Miodoborów, które przekracza granicę zabranych prowincyi i ciągnie się dalej na południe aż poza Kamieniec Podolski. Geologia poucza nas, że to starożytna wapienna

rafa morska zbudowana ze skorupek mszywiołów, małż, robaków i innych istot morskich.

Przybywamy do ujścia Zbrucza a więc do najdalej na wschód wysuniętego zakątku kraju, i stoimy na wązkim cyplu pomiędzy głębokimi kanionami Dniestru i Zbrucza. Maleńka, zaledwie z kilku domów składająca się miejscowość, Okopy św. Trójcy leży malowniczo na szczycie tego cyplu i oznacza miejsce, gdzie niegdyś za polskich czasów znajdował się mały, polny fort.

Szeroki, pokryty zbożami step leżący u nóg naszych ma swe wielkie krwawe dzieje. Bez przesady można powiedzieć, że tu każda skiba ziemi zlana jest krwią ludzką. Ileż tu straszliwych rozegrało się bitew!.. W oddali szarzeją wieże Kamieńca Podolskiego, tej niegdyś tak ważnej twierdzy polskiej, tuż pod naszemi stopami leży Chocim, sławny ze zwycięstwa Sobieskiego nad Turkami.

Trudno nam przychodzi rozstać się z tem, tak ciekawem pod względem historycznym miejscem... Spoczywając na stromym brzegu kanionu błądzimy wzrokiem po tych rozległych polach znawożonych ciałami ludzkiemi i puszczamy wodze marzeniom.

Poważny ślepy starzec, z długą siwą brodą, prowadzony za rękę przez małego chłopczyka zbliża się do nas z uprzejmem pozdrowieniem. Instrument muzyczny zawieszony przez ramię, zdradza jego zawód. To lirnik, niezwykła, tylko na tu wschodzie znana postać, pół poeta, pół prorok, przedewszystkiem żyjąca kronika minionych lat.

Na nasze uprzejme zaproszenie siada obok nas, chwyta lirę do rąk i wkrótce jej melancholijne tony mieszają się ze szumem Dniestru zamierając wśród stepów w dali. Wkrótce i pieśń zadźwięczy,: prosta, ludowa, ale wzruszająca pieśń, opowiadająca o minionej świetności...

Był raz potężny ataman, Szach jego nazwisko, który kazał zbudować flotyllę z licznych, szybkich czajek, zebrał mołojców i dalej na Carogród. W mgnieniu oka zdobyli

waleczni mołojce wspaniałą stolicę na Złotym Rogu, tak, że padiszach widział się zmuszonym w swym własnym pałacu zaprzysięgać upokarzający pokój. Tożto była zdobycz przywieziona do domu!... To złoto i srebro!... te kamienie drogie i zbroje i dywany, a przedewszystkiem śliczne dziewoje odaliski!...

Dalej opowiada pieśń o atamanie Chmielnickim, o tym zdrajcy Polaku, który dla zemsty osobistej naprowadził na swą matkę ojczyznę różnego wschodniego tałatajstwa — a wziąwszy całe kozactwo za łeb dla swych prywat nych celów, stał się bohaterem hajdamackim.

Któż byłby w stanie wyliczyć te wszystkie postacie, występujące z pieśni przed nasze oczy?... Oto ataman Sahajdaczny, który był tak lekkomyślnym, że zamieniał swą żonę za tytoń i fajkę... oto Lach Serdeczny, który tyle wsławił się w boju... oto fantastyczny Rewucha, który pojechał hulać za morze,... oto nieszczęsny Potocki wojewódzki syn, który zaprzedał Polskę i Ukrainę i wiele, wiele innych...

Zasłuchani w pieśń nie spostrzegamy wcale, że już noc ogarnia stepy. Wielka tarcza księżyca wschodzi krwawo z poza burzanów i kurhanów i odbija się w wodach dniestrowych. Z głębi kanionu wznoszą się mgły i tumany nocne harcując ze swawolnym wiatrem po stepie.

Przerażony chłopczyna zrywa się, robi znak krzyża świętego, szepcąc siwobrodemu lirnikowi coś do ucha. Starzec wypuszcza z rąk lirę i zaczyna modlitwy za umarłych. Zdziwieni tem zabobonnem zachowaniem się naszych maluczkich, rozwijamy całą wiedzę książkową i zaczynamy wykład o wilgoci, punkcie nasycenia i tworzeniu się chmur i mgły.

Lecz stary z poczuciem wyższości uśmiecha się tylko do naszego wykładu. To nie są żadne mgły, lecz duchy upadłych tu wojowników. Niechrześcijanie poganie i ci chrześcianie, którzy zginęli obarczeni śmiertelnym grzechem,

nie mogą po śmierci znaleść spokoju, w księżycowe noce błądzą po stepach!...

Może... Któż wie ile prawdy jest we wierze prostaczka?...

Jakoż rzeczywiście!... Uwolnieni od więzów przesądu, spostrzegamy teraz inaczej, tak!... to nie same mgły harcują przed nami...

Cały step się ożywia, widzimy na nim przeszłość i teraźniejszość, nasze pojęcia o czasie przedstawiają się jako niezgrabny szablon podkładany w myśleniu naszem pod każdą rzecz...

Wielkie dzieje wyżyny leżą w jednym obrazie, bezcześnie we wszystkich szczegółach od najpierwszych początków.

Olbrzymia kra pierwotna na tężejącej skorupie ziemskiej, później dno oceanów, których szum o nasze uszy uderza. Ląd stały i znów morze ciepłe, nad którego brzegami palmy rosną. I znów ląd z dziwnymi ssakami, znów morze z wybrzeżem pokrytem wawrzynem, w końcu zimny ląd, a na nim nareszcie człowiek. Jego życie i rozwój, jego bole i niedole, wszystko to jasno przed naszemi oczyma, a obecna chwilka jest tylko drobniutkiem ogniwem we wielkim łańcuchu przemian, w tej wspaniałej czarnomorskiej wyżynie!...

Kazimierz Rojan.

Wróżba.

(Opowiadanie.)

Dziewczynka przyszła na świat poto chyba, aby być od pierwszej godziny urodzenia aż do zgonu szczęśliwą.

Otulono ją puchami i koronkami, na ktorych widniały znaki z hrabiowską koroną. Wysokie pokoje dostarczały jej podostatkiem świeżego powietrza; pieczołowite ręce uwijały się za każdą muchą, co chciała przejść się po małym, zgrabnym nosku spiącej dzieciny; gdy maleństwo zapłakało, zdawało się, że nietylko smucą się jej smutkiem rodzice i piastunki, lecz że wszystkie meble, kotary, zwierciadła, obrazy w spaniałych salonach drzą i wzdychają, i wszystkie drzewa w parku żałośnie trzęsą listkami. Natomiast jej uśmiech, jej pierwszy, niewyraźny szczebiot witano zewsząd z niezwykłem uniesieniem.

Helenka nim jeszcze zrozumiała że żyje, już wiedziała dobrze, iż wszystko co ją otacza dla niej wyłącznie istnieje; wiedziała dobrze, że wyciągnąwszy rączkę, musi dosięgnąć tego, co się jej podoba, inaczej musiałaby zapłakać — a płacz jej był groźny!

I tak rosła w puchach i miłości coraz większa, wzbogacając co dnia swój język dziecięcy nowymi wyrazami, a ruchy, minki i kaprysy, wdziękami.

Kiedy poczęła rozumieć znaczenie słów matki, dowiedziała się o sobie ciekawych rzeczy. Oto była niezwy-

kłem dzieckiem, dzieckiem jakiego nie ma ani u wujcia Jasia, ani u cioci Karoliny, ani między temi wszystkiemi dziećmi, co się snują po dworze.

Raz naprzykład opowiadała przy niej matka pięknej pani:

— Nie uwierzysz moja kochana, co to za niezwykłe dziecko. Kiedyś tu wyjechaliśmy na przejażdżkę przed zachodem słońca. Ona patrzy na cień kół powozu, padający z ukosa i woła klaszcząc w dłonie: »Mamusiu, mamusiu, patrzaj, podłoga się kręci.«

— Złote dziecko — wybucha piękna pani i chwyta w objęcia Helenkę — co to za dowcip, co to za słodycz w tych małych niebieskich oczkach.

Grad całusów spada na oczy Helenki, która chociaż nie może przypomnieć sobie ani przejażdżki, ani kręcącej się podłogi, przecież czuje, że wolno jej spojrzeć figlarnie z pod rzęs długich i uśmiechnąć się, gdyż niechybnie zasłużyła sobie na pochwałę.

Odtąd wszystko co powiedziała lub zrobiła, było pięknem, wdzięcznem, miłem, lubem, słodkiem. Do tych wyrazów przywykła tak dalece, że sama używała ich często, mówiąc: »luby ptaszek, miły rosołek, wdzięczna sukienka«... Gdy jednak pogniewała się kiedy na mamę lub bonę, używała jednego tylko wyrazu, lecz ten, mimo że był krótki, węzłowaty, zawierał w sobie wszystko, co przezeń chciala powiedzieć.

— Może podać ci Helisiu laleczkę? — pytała bona.

— Nie!

— Może pójdziemy do parku?

— Nie!

— To ja schowam się do kącika, a ty będziesz mię szukać?

— Nie!

— Więc jakże będziemy się bawić?

— Nie!

— Helisia dzisiaj niegrzeczna.

— Nie!

Gdy raz Helisia poczęła odpowiadać tym krótkim, węzłowatym wyrazem, nie pomogły już żadne prośby, ni groźby, a im więcej starano się ją zabawić, im więcej pieszczono, całowano, głaskano, tem uporczywiej powtarzała swoje »nie«, aż wreszcie zniecierpliwiona przy ostatnim »nie« zalewała się łzami, kładąc silny akcent na ostatnią zgłoskę wszechwładnego wyrazu. To już skutkowało.

Szósty rok życia był rokiem najczęstszego i najżywszego przeczenia. Zaszło bowiem w pałacu coś takiego, czego stanowczo zrozumieć nie mogła ani nie chciała. Oto zjawiły się jakieś panie, które niechętnie godziły się z wyrazem »nie«, lecz co raz natarczywiej sadzały Helisię przy stoliku, pokazywały jak się trzyma pióro, jak wygląda wielkie A, małe a, i inne tym podobne nieznośne rzeczy, które nic a nic Helisię nie obchodziły.

Ileż to było wtedy płaczu, ile goryczy w serduszku młodej panienki!... I gdyby nie ta luba, słodka, wdzięczna, miła mama, byłoby zapewne jeszcze gorzej. Ona jednak brała ją często w obronę przed nieznośną mademoiselle, powiadając łagodnie:

— Nie trzeba dziecka przymuszać, niechaj się tylko wtedy uczy, gdy ma ku temu ochotę. Zostawmy lekcyę na jutro; jutro Helisia sama przyjdzie i poprosi o naukę. Prawda Helisiu, że przyjdziesz?

— Nieee!!... — odpowiadała Helisia zanosząc się od płaczu.

A przecież po jakimś czasie nauczyła się czytać i pisać, zaś po francusku i po angielsku mówiła z wielką łatwością, nie wiedząc nawet o tem, że mówi obcymi językami. Zauważyła to tylko, że gdy przemówiła do mademoiselle jej językiem, to ta rozumiała ją dobrze, natomiast zagadnięty temi samemi słowami lokaj Franciszek, nie

mógł spełnić jej życzeń. Ruszał zabawnie ramionami i odpowiadał:

— Nie rozumiem, proszę jaśnie panienki.

Dziwiła się; później jednak przyszła do przekonania, że Franciszek jest pospolitym człowiekiem, i dlatego nie może rozumieć wszystkiego.

Helisia miała dwunasty rok, gdy po zimie spędzonej w pięknem, wielkiem mieście, przyjechała na lato do rodzinnego pałacu. Była w tym czasie już bardzo roztropną, rozwiniętą i posłuszną dzieweczką. Uczyła się grać na fortepianie, czytywała książki, chodziła z panią Właścicką na spacery, poznawała w parku kwiaty i drzewa, słuchała opowiadań o Rzymie i Troi, zastanawiała się nad wszystkiem — myślała.

Podczas tych wakacyj usłyszała z ust starej cyganki pewną wróżbę o swej przyszłości.

A rzecz miała się tak. Pani Właścicka, nauczycielka Helisi do historyi powszechnej i nauk przyrodniczych, dowiedziawszy się, że na łące za parkiem gromada cyganów rozbiła szatra, postanowiła zaprowadzić uczennicę do tych szałasów i pokazać jej typy wschodnie tej dziwnej bez ojczyzny ludności. Nauczycielka należała do tz. neoromantyczek, to jest do romantyczek starej, dobrej daty na punkcie instynktownych wierzeń i uczuć, przybranych atoli według nowej modły w maskę niewiary, wątpień i przyrodniczych pewników.

Rozmawiając ze starą cyganką, instynktownie bała się jej wróżebnych spojrzeń i uroków, aczkolwiek tłómaczyła sobie w duchu, że tak zwane uroki, mogłyby mieć jeszcze jaki taki łącznik z teoryą hypnotyzmu, lecz co do wróżb, to te są już bajką, szarlatanizmem. Mimo to wszystko miała ochotę zapytać starą o wywróżenie sobie przyszłości z ręki i tylko wstyd przed uczennicą powstrzymał ją od podobnego pytania. Swoją drogą opowiedziała Helenie

w obec cyganki, o kilku ogólnie znanych rysach natury cygańskiej, a między nimi także o manii wróżenia.

— Proszę pani — zawołała dziewczyna, strzygąc zabawnie oczkami — niech mi ona powróży.

Panna Właścicka przelękła się zrazu, jednak odpowiedziała z powagą i udanym spokojem:

— Któżby wierzył w ich wróżby. Jeżeli jednak pragniesz tego, niechaj będzie. Lecz przedtem każ jej obmyć sobie czarne ręce, bo może być na nich jaki zarazek zakaźnej choroby.

Tu nastąpił krótki i popularny wykład o zarazkach i bakcylach.

Cyganka spojrzała na nauczycielkę z pod czarnych brwi i odparła, że nie dotknie się białej rączki pięknej hrabianki, lecz że będzie patrzeć na dłoń z daleka.

Helisia nadstawiła dłoń.

Cyganka pochyliwszy się nad nią czytała chwilę w różowych linijkach, wreszcie rozpoczęła, trzęsąc tajemniczo głową.

— Szczęście panienki podobne do słońca. Raz dzień, raz noc. Jeżeli kiedy nastanie noc, a zapragniesz piękna panienko, by się ziściły twoje pragnienia lub złe przemieniło, wstań rano i spojrzyj na pierwszy promień wschodzącego słońca i obmyj oczy rosą, a stanie się czego zapragniesz.

Słowa te wzięła sobie panna Helisia do serca i nieraz o nich rozważała.

Dziwna rzecz, skeptycyzm w którym później urosła, uczynił ją obojętną na dogmata religijne, nie wierzyła w proroctwa, śmiała się z zabobonnej wiary ludu, a mimo to dla słów cyganki, na dnie jej duszy pozostał jakiś lęk, niewytłumaczona skłonność do przypisywania im pewnego znaczenia.

Oto gdy ojciec leżał na śmiertelnem łożu, przez trzy dni z rzędu postanowiła wstać o świcie i spojrzeć wscho-

dzącemu słońcu w oczy, aby swem poświęceniem ojcu ocalić życie. Niestety, za każdym razem obudzono ją za późno. I ojciec trzeciego dnia umarł.

To wydarzenie utwierdziło Helisię w przypuszczeniu, że wróżba cyganki była prawdziwą.

Kilka razy w życiu oglądała ona wschód słońca, lecz było to zawsze w porze zimowej, gdy wracała z balów do domu; nigdy jednak dotąd nie zdarzyło się jej ujrzeć wschodzącego słońca po przespanej nocy — a słowa cyganki wyraźnie brzmiały: »Jeżeli kiedy zapragniesz piękna panienko, by się ziściły twoje pragnienia lub złe przemieniło, wstań rano i spojrzyj wschodzącemu słońcu w oczy.«

A więc trzeba było przedewszystkiem spać całą noc, a potem wstać przed wschodem słońca, w tym tylko bowiem wypadku wróżba mogła się ziścić.

Helisia liczyła dwudziesty rok, gdy na pewnym balu poznała dorodnego młodzieńca, który bardzo jej się podobał.

— Ten, albo żaden — rzekła sobie w duchu.

Gdy się bliżej poznali, opowiedziała mu Helena o wróżbie cyganki i o swych wysiłkach czynionych w chwilach, w których kiedykolwiek pragnęła zastosować się do tej wróżby; nadmieniła przytem, że nigdy jeszcze wschodzącego słońca po przespanej nocy nie widziała.

Pan Wiktor ubawił się serdecznie opowiadaniem panny Heleny i zauważył w końcu, że cyganka musiała być sprytną kobietą, skoro tak dobrze ułożyła swą szaradę.

Według jego zdania, szarada ta nie oznaczała nic innego jak tylko: silną wolę i cierpliwość, gdzie wolą było słońce, a rosą cierpliwość.

Helena nie bardzo zastanawiając się nad tłómaczeniem znaczenia wróżby, postanowiła niedługo potem zastosować się do niej. Z niecierpliwością oczekiwała nadejścia wiosny i pierwszej rosy porannej.

Nakoniec nadszedł dzień oczekiwany. Cudowny poranek ozłocił ziemię. Ptaszęta śpiewały już w poblizkim gaju, pierwiosnki kwitły, a od rzeki zaciągała woń rozwijających się wisiorków łoziny...

Helena obudziła się przed świtaniem, wybiegła do parku i spojrzała z radością na perełki rosy, iskrzące się niby brylanty w pierwszych słońca promieniach.

W tej chwili usłyszała za sobą wybuch wesołego śmiechu.

— To pan?!

— Tak pani. Od dziesięciu dni przychodzę tu o świtaniu, oglądam promienie słońca i myję rosą oczy. Zdawało mi się, że myję nadaremnie...

Helena nie miała już czasu dotknąć białym paluszkiem pięknych brylancików na ziemi i pomazać nimi roziskrzonych miłością oczu, gdyż w tej chwili Wiktor ujął jej rękę, która odtąd miała należeć do niego.

Marya Konopnicka.

Ku swojej chacie.

Co mi nada, co pomoże
Cudza ziemia, cudze morze,
Kiedy moja dusza cała
Tam przyrosła, tam została,
Gdzie mój stary próg...

Co mi nada piękno cudze,
Gdy w niem tęsknię, gdy w niem nudzę,
Kiedy serce moje płacze
I ku chacie swej kołacze
Z tych dalekich dróg!

Obejdź lądy, opłyń wody;
Nie odtęsknisz swej zagrody,
Nie wydumasz zadumania,
Co ci stary dom osłania!
Stary pszczelny ul...

Oczy tylko patrzą twoje
W cudze niebo, w cudze zdroje,
Ale dusza ci z wyrajów
Drży do łąk, do swych gajów,
Do zroszonych pól...

W marmurowych chodzisz grodach,
Utęskniony po swych wodach,
Po tych wodach, co tam cieką
Strugą modrą i daleką,
Het przez łączny szlak.

Wskroś palm wiania słyszysz bicie
Skowronkowych piórek w życie,
I uciekasz w cztery ściany,
Spiewać, dumać na przemiany,
Co tam, gdzie i jak!

Ks. Jan Gnatowski.

Rzym za Nerona*).

(H. Sienkiewicza »Quo Vadis«.)

Nie jest może bez znaczenia zwrot najnowszej beletrystyki ku przeszłości nieraz bardzo dalekiej, zwłaszcza zaś ku chwili przełomu pomiędzy gasnącym poganizmem a jutrzenką chrześcijaństwa. W początkach naszego stulecia umysły znużone formalizmem i martwotą pseudoklasycznego kierunku, a podniecone epicznym nastrojem walk rewolucyjnych i napoleońskich pociągał ku sobie barwny, rycerski i awanturniczy romantyzm wieków średnich nie tyle może wewnętrzną swą treścią, ile powierzchownym czysto urokiem, tem, co w nim uderzało wyobraźnię i wrażliwość nerwów. Czytelnikom Walter Scotta dogadzało przedewszystkiem żywsze i bardziej oryginalne tło jego powieści, niż szara proza XIX. wieku po Waterloo. Zdaje mi się jednak, że do Rzymu z czasów Nerona i Marka Aureliusza pociąga nas co innego.

Jesteśmy znużeni, znużeni i zniechęceni aż do śmierci tem wszystkiem, co nas otacza. Rococo miało swoją piękność, klassycyzm cesarstwa miał swój charakter, nawet orgie zmysłowe regencyi, bachanalie umysłu Woltera i Encyklopedystów były zbrodnicze, ale przynajmniej zbrodnicze w wielkim stylu.

Ryszard III. i Lady Macbeth, Masynissa i Mefistofeles, są uosobieniem złego wśród ludzi i wśród demonów, ale mają przynajmniej posągowe kształty i tytaniczne roz-

*) Rzecz wygłoszona przez autora w »Kole«.

miary. My żyjemy w epoce małych żądz, lichych egoizmów i poziomych występków. Złe, na które patrzymy, nie jest przepaścią, ale bagnem; nie tłómaczy go walka ducha, ani wielka namiętność — jest trywialne i szare, jak nikłą i mdłą jest cnota naszych czasów. Cóż dziwnego, że z tej atmosfery dusznej i stęchłej, pełnej walk nie o idee, ale o interesy, że z tego otoczenia bez charakteru indywidualnego, bez własnego typu, bez skrzydeł i bez stylu, wyrywa się myśl i wyobraźnia ku światom innym, może nie lepszym, ale ciekawszym, żywszym, oryginalnym? Ci ludzie innej epoki, tak i między sobą i od nas różni, oni mają dla nas różnorodny urok. Jedni interesują tem, że w złem i dobrem tak niezmiernie oo nas więksi, inni, że w tej epoce, kończącej całą jedną wielką rasę i świetną cywilizacyę nerwami, rozstrojem duszy i wyczerpaniem ciała tak do nas podobni. I dla tego co nas od niej różni, i dla tego co mimo tych różnic jest między nią a dniem dzisiejszym wspólne, epoka Nerona i św. Piotra musi nas pociągać ku sobie i rzeczą jest zupełnie naturalną, że pociągnęła Sienkiewicza.

Spojrzmy na sztafaż obrazu. Rzym stary, przed pożarem, z republikańskiemi pamiątkami i gmachami pierwszych czasów, malowniczy, różnojęzyczny, ogromny, powikłany jak labirynt, z purpurą senatorską obok dziurawego płaszcza popolanów, z egipską Izydą i syryjskim Belem, obok rodzimej Westy i kapitolińskiego Jowisza, z rykiem lwów w cyrkach i wrzaskiem tłuszczy na ciasnych ulicach i pieśnią Anakreonta przy wieńczonej różami czarze. W dali złocisty szafir tyrreńskiego morza i lśniące w słońcu marmury cesarskich willi wśród mirtowych gajów Antium. Na tem tle oślepiających blasków i przepychów dwór Nerona — cesarski histryon, bawiący się w wielkiego poętę i artystę i szukający wciąż nowych wrażeń w rytmie pieśni lub konwulsyach konania — zgraja Tigellinów i Vitelliuszów, liżąca jego stopy i tucząca się krwią jego ofiar. Przy nich,

ale tak mało do nich podobny, magnat, belletrysta, estetyk nietylko w sztuce, ale i w życiu i jego orgiach, arbiter elegantiarum Petroniusz i Marek Viniciusz, gwałtowny, dzielny, młodzieńczy, straszny w gniewie, słodki jak dźwięk lutni greckiej w miłości, i stary Aulus, jeden z ostatnich Rzymian dawnego pokroju, i Pomponia, matrona rzymska i chrześcijańska zarazem, i słodka dziewica lygijska, i ten tłum klientów, proletaryuszów, niewolników w tylnich przedziałach senatorskich domów i na ulicach miasta, i ten inny tłum, rosnący w milczeniu i łzach w cieniach zamiejskich schronisk i w krwawej łunie neronowych pochodni, a wśród tego tłumu wyznawców i męczenników święte postacie apostołów.

Dwa światy więc przeciwne sobie i rozpoczynające ów bój śmiertelny półtrzeciawiekowy, od pierwszych ofiar w cyrkach i cezarowych ogrodach, do Konstantynowego zwycięstwa pod godłem krzyża. Świat pogański, nietylko w swej demonicznej ohydzie, ale i w swej największej piękności i w tem, co w nim było względnie najbardziej szlachetne, więc obok dworu Nerona, piękność form, świetność umysłu i wykwintność cywilizacyi pogańskiej w Petroniuszu, wojenna dzielność i siła w Marku, stara prawość i tradycya republikańskiej Romy w Aulu. Świat chrześcijański, zarówno w swych ludzkich zboczeniach, niedoskonałościach i pierwszych fanatyzmach, w których czuć już przedsmak przyszłych herezyj, jak w swym najczystszym, idealnym wyrazie, Kryspus obok Piotra. To ludzki sztafaż, personal dramatu.

Tło ogromne, czy przedstawia całość historycznego obrazu? W Irydionie, który jest o wiele krótszy, a formą swą tak wiele trudniejszy, poeta wprowadza czynników osobistych i dramatycznych pierwiastków więcej. Obok wykwintnych sybarytów z dworu Heliogabala i jego nikczemnych zauszników, obok chrześcijan, modlących się w katakumbach, jest i zarzewie buntów przyszłych wśród

stronników Hieronima, i przyszłych herezyi w Symeonie z Koryntu, jest północ, tęskniąca za bogami Odyna, jest skrawek Wschodu przy posągu wielkiego Mitry, jest Grecya, próbująca walczyć choćby spiskiem i intrygą i mścić się za krzywdy wszystkich ujarzmionych ludów, jest w przeciwieństwie do Heliogabala stary geniusz państwowy i stara rzymska cnota w Ulpianie.

Wszystkie te pierwiastki tak różne wiąże poeta w całość jedną i wprowadza w akcyę wspólną i w dramatyczny konflikt — a przyznać trzeba, że mimo tragicznego patosu, w jakim akcya i konflikt się rozwijają, mimo, że dramatyczny dyalog mniej od powieści do tego się nadaje, czytelnik ma przed sobą łudzącą panoramę tego potwornego a wspaniałego mikrokozmu, jakim był Rzym ówczesny. Czy w szerszych rozmiarach i korzystniejszych warunkach swego utworu Sienkiewicz czyni to samo, a może i lepiej?

Przypatrzmy się akcyi.

Marek Viniciusz, żołnierz wielkiego rodu, dorodny i dzielny jak młodzieńczy Herkules, pokochał pupilę Aula Plautiusza, córę króla Lygów, piękną jak jutrzenka. Ale córka barbarzyńskiego króla na małżonkę patrycyusza nie jest dosyć dostojną. Więc wuj i powiernik zakochanego młodzieńca, a nietyle lubiony, ile za swój dowcip, smak i wykwintność ceniony przez Nerona doradca, Petroniusz, nakłania Cezara, aby Lygię, jako zakładniczkę wojenną Rzymian, kazał porwać do pałacu, a następnie odesłał młodemu trybunowi.

W Lygii tymczasem utkwiła strzała Amora. Na wspaniałej uczcie u Cezara była chwila, gdy urok pięknego młodzieńca owładnął nią potężnie. Ale Lygia jest chrześcijanką — i kiedy trybun odurzony namiętnością i winem próbuje ją przyciągnąć ku sobie brutalną pieszczotą, Lygia usuwa się od niego, szczęśliwa, gdyby jej się dało obraz młodego patrycyusza usunąć z wyobraźni i serca.

Lygijski wierny jej sługa i opiekun, Ursem przezwany przez Rzymian, odbija ją z rąk Markowych niewolników i ukrywa wśród chrześcijan. Viniciusz, gdy ją znów próbuje porwać, ranny przez Ursa znajduje u chrześcijan schronienie, opiekę, przebaczenie, patrzy na ich życie tak zupełnie od wszystkiego co widział dotąd odmienne, uczy się ich religii, miłości i ofiary, i wreszcie, wraz ze światłem wiary otrzymuje z rąk książęcia apostołów szczęście swe na ziemi największe, Lygię, tę Lygię, którą go nowa jego wiara nauczyła kochać nową, czystszą i piękniejszą miłością. Ale nad dwojgiem młodych, rozkochanych w sobie, zawisły groźne chmury. Lygii nienawidzi Augusta, Poppea, i za to, że jej złemu oku przypisuje śmierć swego dziecka, i za to zwłaszcza, że Lygia od niej piękniejsza.

Cezara, co prawda, przebiegły Petroniusz zręcznem pochlebstwem zjednał dla Viniciusza i jego hymenu, ale podczas pożaru Rzymu Petroniusz zbyt wielką okazuje potęgę i przewagę nad szalejącymi tłumami, aby nie podrażnić Nerona, a gdy dla tych tłumów potrzeba rzucić ofiarę, przeciw której zwróciłaby się pomsta i gniew, skierowany dotąd do Nerona, Petroniusz wszystko stawi na kartę, aby od chrześcijan odwrócić wiszącą nad nimi zgubę, aby ją odwrócić zwłaszcza od Lygii i Viniciusza. Karta zawiodła i zguba wszechwładnego wczoraj faworyta cesarskiego postanowiona, a z nim zguba jego przyjaciół Lygia znajduje się w Mamertyńskiem więzieniu, z którego darmo próbuje ją wyzwolić Viniciusz.

Wyzwala ją dopiero lud rzymski, zebrany w cyrku, aby widzieć jej śmierć na rogach dzikiego tura, wyzwala litościwszy od Nerona i gotów w razie odmowy do buntu, gdy tura zgniotła potężna dłoń Ursa, i gdy obok wiernego Lyga, unoszącego na rękach zemdlone dziewczę, Viniciusz odsłonił przed tysiącem widzów w amfiteatrze blizny swe wojenne, błagając w zamian o życie ukochanej. Kończy się więc powieść jak inne, idyllą kochanków wśród

pomarańczowych gajów Sycylii, podczas gdy w Rzymie dalej płyną rzeki krwi, gdy zemsta Nerona dosięga Markowego przyjaciela i obrońcę, Petroniusza, gdy w rękach cesarskich katów Piotr apostoł i Paweł z Tarsu oddają ducha Bogu.

Byłoby komunałem mówić, że Sienkiewicz treść tę rozwija świetnie, z psychologiczną głębią charakterystyki i artystyczną maestrią faktury. Że tak będzie, wiedziało się naprzód, że tak jest, każdy już stwierdził lub twierdzi, czytając *Quo Vadis.* Zaznaczyć jednak godzi się, że autor miał do czynienia z tematem dla siebie nowym, a od poprzednich trudniejszym. Że on zrozumiał i odtworzył współczesnego człowieka w *Bez dogmatu* i *Połanieckich,* że odczuł i pochwycił polskiego chłopa, obok którego żył lat tyle — to było naturalne. Naturalne jeszcze, choć trudniejsze, było odtworzenie ludzi z XVII. wieku. Różni nas od nich wiele, nietylko zewnętrznie, ale i w duchowej naszej istocie, są oni przecież ludźmi zbliżonej epoki i jednej z nami cywilizacyi. W koło nas mnóstwo ich pamiątek i wspomnień żywych jeszcze — i jeżeli już nie myślimy i nie czujemy jak oni, to przynajmniej możemy łatwo wiedzieć, jak oni myśleli i czuli, możemy ich zrozumieć. Ze światem starożytnym jest inaczej. Zapewne, że zewnętrzną stronę jego życia znamy nieraz aż do drobiazgów, że potrafimy odtworzyć w Pompei wnętrze jakiegoś atrium i wiemy gdzie stały i do czego służyły jego sprzęty, zachowane w neapolitańskiem muzeum Burbonów. Zapewne, że wiemy dokładnie — uczono nas przecie tego do przesytu i znudzenia — jakiego kroju togę nosili panowie tych domów i sprzętów, jakie księgi zwinięte były w paczkach ich bibliotek. Ale co w tych ludziach tkwiło, jakimi oni byli naprawdę po za forum, między sobą i w głębi swej, jakiem było ich życie? O tem pisze się wiele, a wiemy naprawdę mało.

Wszystkie starorzymskie powieści — jest ich tyle

i takich nudnych — wyglądają zazwyczaj na inwentarze muzeów i wystaw archeologicznych: człowieka w nich się nie widzi. Sienkiewicz pokazuje go nam i nie wiem doprawdy, czy tego starożytnego człowieka ktokolwiek przed nim lepiej przeniknął i wierniej odtworzył.

Tak jest. Wszyscy oni, od miedzianobrodego Ahenobarba, jak Nerona nazywa Petroniusz, aż do ostatniego lanisty i niewolnika, wszyscy oni musieli być takimi, jakimi ich widzimy w powieści. I ten Cezar, potworny i płaski, a przecież obok aktora i pajaca mający w sobie coś z artysty i coś z poety — wszechwładny a tchórzliwy, okrutny bez miary, a na innych walący ohydę swych okrucieństw i pozujący na filantropa. I Petroniusz ze swym bezdennym brakiem zmysłu moralnego i egoizmem tak charakterystycznie pogańskim, umiejący jednak dla przyjaźni nie tylko egoizm, ale wprost samego siebie poświęcić. I Viniciusz ze swem okrucieństwem i nieludzkością, brutalny w żądzach i bezwzględny w czynach; i Chilon, przedziwny grecki filozof o ostrem żądle dowcipu i bezgranicznem łotrostwie serca, niestety rodzony brat Zagłoby, jeśli nie sam Zagłoba, przebrany w dziurawy płaszcz stoików, jak Marcus Viniciusz jest Kmicicem w todze, bramowanej purpurą. Cała bezwzględność, cała moralna nicość i przewrotność pogańskiego świata i pogańskiej etyki, wypaczająca najlepsze natury i najszlachetniejsze charaktery, pochwycona jest przez Sienkiewicza przedziwnie.

A jak on zrozumiał, jak odczuł pierwszych chrześcijan, duch, istotę Chrystusowej nauki i etyki. Z jakim pietyzmem chrześcijanina, z jaką subtelnością artysty przeciwstawił sobie postacie apostołów, takie zgodne, a tak różne, tak bardzo indywidualne, a tak wspólnie przeistoczone idealną nauką Jezusa. Piotr, skromny i cichy, ze słowami miłości i pokoju na ustach, wnosi zdaje się światło niebieskie ze sobą. Paweł, mędrzec ognisty i wymowny, przekonywający tych nawet, którzy, jak niegdyś człon-

kowie ateńskiego areopagu, nie chcą głosu jego do serca dopuścić, bo im nauka jego a zwłaszcza jej następstwa niedogodne. A za nimi cała owa cicha, pokorna, pełna miłości ciżba chrześcijan, świecąca w ciemnościach poganizmu cnotą i poświęceniem, jak podczas nabożeństw jej latarki wśród cieniów nocnych i korytarzy katakumb! Cały idealizm krzyża, cała istota nauki Zbawiciela, cała podniosłość i doskonałość i cała praktyczna mądrość chrześcijańskiego poglądu na świat i życie, na obowiązki tego życia i na stosunek do świata — wszystko to u Sienkiewicza występuje tak żywo i wybitnie, tak wszechstronnie, jak u żadnego chyba z chrześcijańskich pisarzy współczesnych.

A teraz — jaki sąd wydać o tej powieści?

Co w niej przedewszystkiem zwraca uwagę, to podwójnie, jedno od drugiego odmienne wrażenie, jakie się odnosi czytając ją w odcinkach dziennika i w książce. W odcinkach pojedyncze sceny, każda dla siebie stanowiące osobną, wykończoną całość, zadawalniają zawsze, olśniewają nieraz. Książka robi wrażenie mozaiki, bardzo pięknej i ogółem nawet harmonijnej, ale zbyt widocznie spojonej z wielu kamieni, których graniczne linie rysują się tysiącem zakrętów i psują jednolitość obrazu. Wynika to oczywiście z metody, jakiej używa Sienkiewicz, pisząc, z dnia na dzień, pojedyncze felietony wprost do druku; ale jeżeli ta metoda już trylogii przyniosła niezaprzeczenie ujmę, mimo większej swobody kompozycyjnej, jaką zostawiają romanse *de cape et d'épée* — o ileż więcej musiała ucierpieć na tem powieść, z natury swej wymagająca takiej jednolitości i harmonii wzajemnej szczegółów, jak *Quo-Vadis?* Oczywiście, że się w niej wszystko wiąże i jednoczy i wedle ułożonego z góry planu rozwija: zbyt wielkim jest Sienkiewicz artystą, aby być mogło inaczej. Ale podziwiając to, co się czyta, ma się co chwila wrażenie, że tego lub innego brakuje, że spojenie luźne, przy-

czepione. Brak tego ostatecznego poloru i wykończenia, które całości już gotowej nadać powinna w ostatniej chwili ręka autora, on daje się w *Quo-Vadis* odczuć bardzo żywo. Dzięki niemu sceny drugorzędnego znaczenia, pisane w szczęśliwszem usposobieniu, występują na pierwszy plan barwne, świetne, modelujące się z plastyką niezrównaną. Przeciwnie momenta takiego znaczenia, jak śmierć Apostołów, nawet jak koniec Nerona. u autora zwykłej miary byłyby jeszcze niepospolite, u Sienkiewicza, w porównaniu z tamtemi, wychodzą mdłe i zatarte. Są też czasem pewne długości opisów, które ze względu na ich piękność, uchodzą zupełnie czytane odrębnie w felietonie, które w powieści czytanej ciągiem, stają się zbędnym balastem. Natomiast częściej daleko czuje się, że niejednej rzeczy braknie, którą przy ostatecznem wykończeniu autor by dodał pewnie, czując, że dla całości potrzebna.

Reasumując wrażenia, jakie zostawia *Quo-Vadis*, ma się przed sobą szereg przepysznych zresztą scen, przesuwających się przed wyobraźnią, jak w kalejdoskopie, ale nie ma się wrażenia jednolitego ogólnego obrazu. Z tego błędu kompozycyi wypływa drugi. Zamiast jednego wielkiego obrazu starego Rzymu, który stanowi tło powieści, ma się całą galeryę przedziwnych scen, typów i opisów, które wszystkie składają się częściowo na taki obraz, ale w całości go nie dają. Zapewne, że dają go lepiej i zupełniej, niż inne powieści podobne, pod względem technicznym skomponowane i wykończone staranniej, ale pozbawione tej iskry geniuszu, którą się pali każde dzieło Sienkiewicza, a to ostatnie niemniej z pewnością od innych. Ale właśnie dlatego, że je stworzył i ożywił mistrz, dzieło jego wolno sądzić bezwzględnie i wolno żałować, że choć bardzo piękne i wielkie, doskonałem nie jest.

Wróćmy do „*Irydyona*“. Obraz starego Rzymu ze wszystkimi prądami, walczącymi w jego łonie, jest nie-

wątpliwie mniej szczegółowy, mniej barwny, mniej plastyczny: czy nie jest jednolity?

Czy ten Rzym u Krasińskiego nie występuje i nie ryje się w pamięci czytelnika niewielu rysami, ale tak żywymi, tak związanymi w całość, że się ma wrażenie jednej jakiejś olbrzymiej istoty? I czy na tle tego głównego czynnika inne nie występują dziwnie wyraziste, wykończone, harmonijne, jak iglice i łuki ostre, dokoła środkowej wieżycy średniowiecznej? Zapewne, że w *Irydyonie* występują przedewszystkiem idee, ale są one uosobnione w ludziach, a ludzie ci żyją, choć stoją na koturnie. I dlatego „*Irydyon*“ przedstawia się myśli jako jedna wielka i doskonała całość, którą oko ogarnie od razu. Ale „*Quo-Vadis*“ przypomina te przedziwne kościoły i ratusze starych miast hanzeatyckich, które ogląda się z wązkich zaułków, podziwiając cudne piękności szczegółów, bo całość otaczającymi gmachami zakryta.

Te wady kompozycyi jednak mają tylko drugorzędne znaczenie. Jest jeden zarzut zasadniczy, jedyny — ale ten istotnie wartość dzieła obniża, kierunek jego wykrzywia, choć w innem dziele to samo uchodziłoby za poważną zaletę.

Sienkiewicz wybrał jedną z najstraszniejszych, ale i najwspanialnialszych chwil w dziejach ludzkosci — i jak to widzieliśmy, czasy Nerona nie są dla niego tylko dekoracyjnym materyałem. Walka dwóch światów, poganizmu z chrześcijaństwem, krwawy tryumf krzyża w amfiteatrach i cezarowych ogrodach — to treść, to myśl przewodnia jego dzieła. Pisał je nietylko artysta, pisał je przedewszystkiem chrześcijanin — i wrócę jeszcze do znaczenia i zasługi, jaką to nadaje jego powieści. Ale właśnie dlatego, że tło tej powieści tak majestatyczne i posępne, że ścierają się w niej najżywotniejsze interesa i najwyższe duchowe aspiracye ludzkości, dlatego samego, że jej tytułem jest słowo wyrzeczone przez Zbawiciela do Piotra,

a godłem, cechą, treścią, której oczekuje czytelnik, historya początków chrystyanizmu w Rzymie, historya jego bohaterstw i nadludzkich poświęceń, dlatego samego miłość dwojga ludzi ku sobie, jak każde inne indywidualne uczucie, może mieć swe miejsce w opowiadaniu jako epizod, nie może go mieć jako oś środkowa, około której obraca się cała akcya *Quo-Vadis.*

Kompozycye choćby najpiękniejsze, czy miałyby to oryginalne znaczenie, jakie mają dziś, a tytuł, czy nie wydałby się uroszczeniem? *Gustaw* umiera z chwilą, gdy przed *Konradem* otwiera się praca i zaczyna cierpienie dla sprawy wyższej, niż świetlany sen pierwszej dziecinnej miłości. W „*Tadeuszu*“ dwoje młodych zajmuje miejsca tak mało — tak inną, droższą i piękniejszą niż ich dzieje, jest myśl przewodnia epopei. A choć w „*Przedświcie*“ o Beatrice jest niewiele tylko wierszy, poemat by raczej zyskał, gdyby jej tam nie było, tak pewnem jest, że nuta osobista, choćby najdźwięczniejsza, w niektórych warunkach musi się stawać rozdźwiękiem.

Miłość wzajemna Marka Viniciusza z Lygią Calliną ma niewątpliwie cały ów miękki, delikatny urok, jaki umie Sienkiewicz nadawać takim wiosennym idyllom. Z początku, u poganina, jest jako motyw zadzierżgający powikłanie dramatyczne potrzebną, a traktowanie jej charakterowi Viniciusza odpowiada zupełnie. Mniejsza o to, że przypomina zanadto Kmicicowe konkury o Oleńkę: w każdej epoce i społeczności, człowiek jest ten sam i podobnie objawia się jego namiętność. Później, gdy Viniciusz zostaje chrześcijaninem, zupełnie za złe nie biorę, że trwa w swej miłości i pragnie z Lygią się połączyć, ani mam pretensyę do Piotra Apostoła, że dłonie ich wiąże i miłości tej błogosławi. Ale za złe mam Viniciuszowi, że zostawszy chrześcijaninem, nie nauczył się — czy mniej kochać? nie, broń Boże! ale uczucie swe podporządkowywać wyższym, świętszym względom, że nie prze-

stał kochać Ligii dla niej samej i dla siebie, a nie rozpoczął kochać ją tak, jak się kochały małżeństwa chrześcijańskie czasów tych bardzo podniosłych i bardzo promiennych cnotą: kochać w Bogu i dla Boga. Naprawdę, ja go podejrzywam bardzo, że całe nawrócenie jego jest tylko jedną z form, jakie przybiera jego miłość, i że wiara w Chrystusa Pana i kult, jaki Mu oddaje, opiera się na zasadzie »do ut des«. »Wiem, że mi pogańscy bogowie nie pomogą i nie wierzę w nich, przypuszczam, że mi pomoże Chrystus, a przytem to Bóg Lygii. Wierzę więc w Niego, ale wierzę i czczę pod warunkiem, że mi Lygię ocali, że mi ją zwróci i że mnie z nią połączy. Inaczej — nie!«

A przytem, jest w jego rozumowaniu o wierze, o chrystyanizmie coś, co mi niemile przypomina Połanieckiego, kiedy ten także rezonuje o tem, że wierzyć bezpieczniej i wygodniej, bo to ostatecznie nic nie kosztuje, a daje szczęście i spokój duszy. Ale reprezentant warszawskiego domu handlowego jest tylko nieprzyjemnie prawdziwy, gdy rezonuje w ten sposób pomiędzy św. Pawłem a krzyżami rzymskich kościołów. Viniciusz rezonujący podobnie w przededniu neronowych mordów, jest mały i wstrętny. Chciałoby się go zapytać: a gdzież twa wiara w żywot przyszły, gdzie wiara w wielki dogmat chrześcijański zaparcia się i ofiary? Jak to! Cała potęga świata i cała potęga piekieł występuje do walki z wątłym jeszcze posiewem Chrystusowego ziarna — wyrok śmierci wydany na wszystkich twych braci w wierze; w katakumbach, na zebraniach wiernych wszyscy są pewni, że nadeszły ostatnie dni świata i że Neron jest zapowiedzianym Antychrystem — a ty masz jedno w sercu, jedno w myśli: Lygię i Lygię. Gdyby hordy barbarzyńców zalewały Italię i groziły Rzymowi zniszczeniem, a u ciebie w myśli i sercu było tylko imię niewieście, nikłe jak litery kreślone na piasku, byłżebyś godzien imienia Rzymianina? A toć przecie o doczesną twą ojczyznę by chodziło — ale tu chodzi

o wieczną, o tę, dla której z uśmiechem szczęścia i pieśnią dziękczynną ginie wkoło ciebie codziennie tysiące twych braci. A jeżeli Chrystus tej właśnie żąda od ciebie ofiary, jeśli chce aby Lygię rozszarpały dzikie zwierzęta w cyrku, bo jej przeznaczył wielką chwałę w niebiesiech? Co wtedy?

To darmo. Trzeba być konsekwentnym. Sienkiewicz, który tak umie przeniknąć głąb człowieka, który tak doskonale maluje wnętrze duszy u innych swych postaci, tu robi wyjątek. Poprostu nadto się wcielił w swego bohatera i uczucia jego odczuwa tak jak człowiek współczesny. Ale gdyby się był wczytał w pisma apologetów i w akta męczenników, gdyby zrozumiał, że one są taką samą prawdą jak uczty Nerona i Tigellina i jak filozofowania Petroniusza, opisane przez niego tak wiernie, gdyby dał się przekonać o tej prawdzie, którą tak pięknie wypowiedział apostoł, a dzieje Kościoła, nietylko wówczas, ale bez ustanku aż do najnowszych czasów potwierdzając tak dobitnie: że człowiek może zejść do najstraszniejszych otchłani, zostawiony samemu sobie i swoim złym instynktom, ale że równocześnie nie ma wyżyny bohaterstwa, do której wzbić się nie byłby zdolny, gdy go Bóg wspiera i napełnia duchem miłości i poświęcenia — on by zapewne Viniciusza i miłość jego dla Lygii przedstawił inaczej. Nie byłby jej poświęcił z ujmą całości, tych niezliczonych kart, jakie niepotrzebnie całkiem zajmuje w książce. Nie popsułby najpodnioślejszych scen, których wrażenia Viniciusz odczuwa, odczuwa wiernie i dobrze, ale niestety, zawsze i jedynie przez pryzmat miłości ku Lygii. Nie popsułby zwłaszcza końcowego wrażenia książki banalnem, idyllicznem zakończeniem — wyjściem Numy za Pompiliusza, w tej samej chwili, gdy nad młodem chrześcijaństwem rozpasane orgie pomstw Neronowych zaczęły dzieło zagłady. Lygia i Viniciusz winni byli zginąć na krwawej arenie — oni także, zginąć z radością i spokojem tych chrześcijan, których śmierć poprzedziła wyzwolenie

Lygii. To jedno zakończenie byłoby godne tematu powieści i powieści samej, ono jedno usprawiedliwiłoby miłość Viniciusza, dałoby świadectwo jego wierze, ono usprawiedliwiłoby także i autora, że najważniejsze momenta, mające ogólno chrześcijański charakter, jak śmierć Piotra i scenę *Quo-Vadis*, zbył tak krótko, jakby były podrzędne.

Ale, choć zbytnim liryzmem osłabiona i krępowana, myśl przewodnia książki występuje przecież dość jasno, rozwija się dość szeroko, aby z ostatniej powieści Sienkiewicza uczynić nietylko niepospolite dzieło sztuki, ale znakomity akt zasługi chrześcijanina, pierwszorzędną zdobycz chrystyanizmu. Sam ten liryzm już, choć go za wiele, i choć egoizmem u Viniciusza podszyty, on występuje przecież w tak szlachetnej formie, że przy obrazie o pogodniejszem tle i ciaśniejszych ramach zasługiwałby na odznaczenie wśród dzieł współczesnej belletrystyki. O ileż więcej na to zasługuje duch prawdziwie i głęboko chrześcijański, przenikający *Quo-Vadis?* Już w *Połanieckich* Sienkiewicz podniósł affirmacyę chrystyanizmu i katolicyzmu, i to nie zewnętrznych jego objawów, ani estetycznych form, jak to czynili inni, ale tak, jak nikt inny u nas, postawił zasadę, że wiara pozytywna i dogmatyczna, wiara Kościoła jest jedyną prawdą, jedyną gwiazdą przewodnią życia, jego jedyną normą, dźwignią i szczęściem. Tylko że w *Rodzinie Połanieckich* myśl ta, choć jasna i stanowcza, towarzyszyła wielu innym, nie była główną treścią książki. Jest nią w *Quo-Vadis.* Bo i o cóż Sienkiewiczowi chodzi w tej powieści? Czy o efektowne temata i sceny z czasów pożaru Rzymu? Gdyby tak było, inaczejby u niego wyszły katakumby, inaczej amfiteatr, inaczej apostołowie. Cały ten świat pogański, pełen przepychu i zgnilizny, on mu służy tylko za odbicie dla wybranych jego twórczości i serca, dla uczniów mistrza z Nazaretu. Jak wówczas, tak i teraz i dawniej, przeciw nauce Jego prowadzi się walka,

walka śmiertelna. Żelaznymi łańcuchami i coraz to ciaśniejszą obrożą praw przewrotnych, oszczerstw podstępnych i otwartych prześladowań krępują coraz to gwałtowniej, próbują zgnieść, zniszczyć, a przynajmniej rozerwać chrześcijańską społeczność. Najwięksi wrogowie wolności i postępu piętnują Kościół i jego wyznawców przymiotnikami wstecznictwa, ciemnoty, despotyzmu, odmawiają kościołowi prawa i misyi do przewodniczenia ludzkości, do otwierania jej dróg nowych, kojenia jej ran i rozdźwięków. I oto jak niegdyś, krzyż stał się dziś godłem pogardy i wstrętu dla wielu, odwrócili sie od niego mędrce świata i jedne za drugimi opuściły go ludy. Ale w dniach tych właśnie, gdy się zdaje jakby i godło Chrystusa i Jego wierni mieli już niedługo zstępować do ciemnic dla wyznawania tej wiary, uderzać ku niemu poczęły serca szlachetne. Wypędzono go w katolickich krajach ze stołecznych rynków i ulic, ze szkół i sądów, z murów profanowanych świątyń — a przecież do wyciągniętych jego ramion wciąż wraca ludzkość i wracać musi, im więcej na nią klęsk i zawodów się wali, bo tylko w cieniu tych ramion krzyża ochłoda i spokój. Wszystko się zmienia i przemija, krzyż jeden stoi, on jeden nie zawodzi. Od wieków filozofowie dają ludziom tłómaczenia zagadki wszechświata i niemylne panacea na jego nędze i troski, ale każde następne pokolenie wywraca i wyśmiewa to, w co poprzednie wierzyło, zamiast wierzyć w prawdę. Wszystko się rozwiewa, krzyż jeden nie jest złudzeniem, bo on jeden prawdą, i dla niego tylko, z nim jednym i w nim żyć warto na ziemi.

Oto co mówi Sienkiewicz w swej ostatniej powieści; oto co jest jej treścią, jej myślą główną i jej zasługą. Zapewne — nie on jeden to mówi. Nie da się zaprzeczyć, że na całym zachodzie, a po części i u nas reakcya religijnego ducha w filozofii, w sztuce, nawet w beletrystyce potężniejszą jest niż kiedykolwiek dawniej, potężniejszą tembardziej, im dłuższą była przemoc antychrześcijańskich

prądów, im więcej dziś jeszcze szkód przyszłych i groźby w nich się zawiera. Podczas gdy jedni, znużeni bankructwem materyalizmu i pozytywizmu, uciekają się do największych dziwactw, wpadają w najzdrożniejsze obłędy, tworząc szerokie koła buddystów, spirytystów, zwolenników wszelkich odcieni okkultyzmu i magii, inni, patrzący jaśniej i dalej, wracają wprost do źródeł prawdziwego piękna i prawdziwego natchnienia, jakiem jest chrystyanizm. Niektórym brak odwagi, jak francuskim neochrześcijanom albo konsekwencyi, jak Bourgetowi, który przecie w *Cosmopolis* i *Terre promise* tak stanowczo i z taką potęgą przekonania, wywiesił sztandar katolicyzmu. Inni są śmielsi, ale mniej z duchem chrystyanizmu oświadomieni, chrześcijanie i katolicy w sztuce, nie znający w życiu praktycznem katechizmu. Sienkiewicz przewyższa wszystkich. Przewyższa genialnością intuicyi, z jaką ogarnia i przenika każden dotykany przez się przedmiot, a więc przedewszystkiem istotę chrystyanizmu. Tę rozumie i odczuwa przedziwnie. Ale nie dość, że rozumie i odczuwa. On ją z całą bezwzględną odwagą i wytrwałością doprowadza do ostatnich konsekwencyi, czyni z niej nietylko podstawę życia, ale wykazuje, że życie żadnej innej nie ma podstawy, prócz tej. I jeżeli sztandar Chrystusa w wielkim boju dziejowym zwycięży, a wierzymy że zwycięży; i jeżeli w dniach tych pełnych posuchy i daremnego znoju nasze biedne pokolenie, w zwątpieniach i tęsknotach bezcelnych wyrosłe, niewiarą od dzieciństwa kołysane, cośkolwiek dla przyspieszenia tego zwycięstwa uczyni, niemałą część udziału w zasłudze autorowi *Quo-Vadis* słusznie się będzie należeć. I on, tak jak Piotr, uciekający z Rzymu, nie wahał się zawrócić, ażeby w walce dobrej krzyżowi dać świadectwo — i dlatego choć pewien jestem, że potomność wszystkie dzieła jego zachowa, ostatnie, „*Quo Vadis*“ zwłaszcza, chrześcijańskie pokolenia następnych wieków w szczególnej mieć będą czci i we wdzięcznej pamięci.

Dr. Albert Zipper.

Henryk Nitschmann.

Przekłady dzieł polskich na język niemiecki spotykamy już w szesnastem stuleciu, siedmnaste i ośmnaste pomnażają znacznie liczbę takich przekładów. Dzieła przekładane są treści politycznej i religijnej. Pod koniec wieku ośmnastego jednak okazują się pierwsze przekłady niemieckie dzieł poetycznych, n. p. Krasickiego i Niemcewicza*).

Większe zajęcie budzi poezya polska w Niemczech i większą odgrywa rolę w piśmiennictwie niemieckiem dopiero w bieżącem stuleciu, kiedy pod wpływem szkoły romantycznej zaczynają Niemcy tłómaczyć i przyswajać sobie po kolei wszystkie literatury świata. Wtedy zwracają się też ku literaturom słowiańskim, z których najpierw pieśni serbskie i rękopis królodworski, wtedy uważany jeszcze jako autentyczny, zwracają na siebie uwagę powszechną, między innemi starego Goethego, który w miarę przybywających mu lat coraz mniej zajmował się tem, co jego właśni ziomkowie na polu poezyi tworzyli, nierównie zaś gorliwiej zapoznawał się z rozwojem poezyi u obcych narodów. Jednak dopiero około i wskutek r. 1830 zajęli się Niemcy żywo piśmiennictwem polskiem, a polityczne stosunki były powodem takiego ogólnego zajęcia. W czasach politycznego zastoju, w czasach reakcyi Metterni-

*) Zob.: Kurtzmann, Die polnische Litteratur in Deutschland bibliographisch zusammengestellt. Posen 1881.

chowskiej, jaka po r. 1815 w Niemczech zapanowała, odczuwano żywo wszelkie tchnienie wolności, budzącej się u innych narodów. Najpierw entuzyazm dla Greków, wybijających się na wolność, najpierw sprawa grecka poruszyła w Niemczech wszystkie szlachetniejsze umysły; a że literatura nowogrecka wtedy właściwie nie istniała, a tłómaczyć nie było co, tem płodniejszymi okazywali się poeci niemieccy, tworząc pieśni na cześć współczesnych dziedziców sławy prastarej Hellady. Sprawa grecka wzięła pomyślny obrót, Grecy odzyskali utraconą przed wiekami wolność i niepodległość.

Powstanie listopadowe w Polsce 1830 r. odezwało się w Niemczech odgłosem silnym od Alp do Bałtyku, od Renu aż ku Wiśle. Mnóstwo poetów, pierwszorzędni, ale i poeci drugiego i ostatniego rzędu, każdy lokalnego znaczenia wierszopis, poczuwał się do obowiązku nastrojenia swej lutni na cześć dzielnego polskiego narodu, któremu szczęśliwa zdawała się świtać gwiazda. Gazety, czasopisma, pamiętniki z owych czasów przepełnione są artykułami pełnymi zapału dla sprawy polskiej; pieśni na cześć Polski śpiewają w Niemczech na każdem zebraniu towarzyskiem, bo co poeta stworzył, to wnet muzyk uczynił przystępnem dla najszerszego ogółu. Gdy Polacy po niepomyślnym wyniku powstania przez Niemcy ciągnęli ku zachodowi, przyjmowano ich z zapałem nie do opisania, płakano z wygnańcami i pocieszano ich nadzieją piękniejszej przyszłości, że to Opatrzność chwilowo tylko naród tak srodze doświadcza, aby mu tem piękniej, tem obficiej wynagrodzić straty w jasnej przyszłości. »Noch ist Polen nicht verloren« — od owych czasów weszło u Niemców w przysłowie i należy do stałych zwrotów języka niemieckiego.

W owych to czasach, r. 1830 i w następujących po nim latach, poczęto też na większą skalę tłómaczyć utwory poetów narodu, który tak potężne potrafił wywrzeć wra-

żenie na narodzie niemieckim. Mickiewicza »Wallenrod«, »Grażyna«, »Pan Tadeusz«, najjaskrawsze nienawiścią ku despotyzmowi północy płonące ustępy z »Dziadów«, okazały się w przekładach niemieckich i budziły powszechne zajęcie. Artykuły o Mickiewiczu i o innych poetach polskich, o piśmiennictwie polskiem w ogóle, spotykamy liczne po czasopismach ówczesnych. Wychodzą dzieła i broszurki historyczne o Polsce, zwłaszcza o powstaniu listopadowem, napisane z entuzyazmem dla sprawy polskiej, z życzliwością szczerą, gorącą.

Ale pomału sympatya Niemców dla sprawy polskiej stygnie, głównie pod wpływem rządów, którym zapał dla swobody i wolności był nie na rękę. Lojalni poddani stosują się do życzeń rządów: pierwszorzędny nakładca niemiecki, baron Cotta, w wydaniach dzieł hrabiego Platena z umysłu opuszcza jego »Polenlieder«, w których poeta wyrażał śmiertelną nienawiść do Rosyi, a największą sympatyę dla Polski.

Ale tłómaczenie poezyi polskich na język niemiecki mimo zmiany politycznych stosunków nie ustawało. Właśnie w ostatnich dziesięcioleciach spotykamy nieliczny wprawdzie, ale gorliwy zastęp ludzi, którzy trud i czas poświęcali na przyswajanie Niemcom skarbów poezyi polskiej. Wymienię tylko najważniejszych.

Obecnie tajny radca sanitarny w Düsseldorf, dr. Albert Weiss, od lat przeszło trzydziestu występuje jako poeta oryginalny, ale ta gałęź działalności jego schodzi na drugi plan, gdyż przedewszystkiem jest on tłómaczem, a to utworów poezyi polskiej. Tłómaczył bardzo wiele, a z biegiem lat do zadziwiającej doprowadził doskonałości. Podczas gdy dawniejsze tłómaczenia jego, jak np. »Maryi« Malczewskiego i »Ballad i romansów« Mickiewicza, nie wytrzymują probierza nawet pobłażliwej krytyki i zamiast przysporzyć nowych przyjaciół piśmiennictwu polskiemu, raczej odstraszać czytelnika muszą, przeciwnie późniejsze

prace jego są coraz lepsze, nawet bardzo dobre i zasługują na wdzięczne uznanie ze strony piśmiennictwa polskiego.

Ludwik Kurtzmann, niedawno zmarły w Poznańskiem. od młodości był gorącym przyjacielem literatury polskiej. Przetłómaczył »Pieśń o Ziemi naszej« Pola i »W Szwajcaryi« Słowackiego; wydał w oryginale niemieckim odczyty uniwersyteckie o literaturze polskiej ś. p. profesora Wojciecha Cybulskiego i przetłómaczył kilkadziesiąt poezyi zacytowanych w tych odczytach; wydał także bibliografię wszystkich przekładów utworów polskich, jakie Niemcy posiadają. Kurtzmann, szlachetny idealista, padł ofiarą swych przekonań. Zajęty w szkolnictwie W. Księstwa Poznańskiego, nie chciał iść w ślad wskazówek organów rządowych, a chociaż Niemiec i protestant, nie dał się użyć jako narzędzie polityki bismarkowskiej, która wojnę wypowiedziała wszystkiemu, co polskie. Atoli mąż tyle zasłużony również nie znalazł poparcia i uznania u Polaków; smutno to powiedzieć, kiedy otwierały się posady w bibliotekach polskich, jego, który słynął jako uczony bibliograf i dowiódł tego opracowanymi wzorowo katalogami księgozbiorów polskich, regularnie pomijano, chociaż językiem polskim w mowie i piśmie zupełnie władał. Otóż ani u swych rodaków, ani u tych, dla których pałał najżywszą sympatyą, nie zaznał miru.

Żywot jego — to pasmo nieszczęść i zawodów, a nawet po śmierci żadne z czasopism polskich nie poświęciło mu obszerniejszego nekrologu. W gazetach poznańskich były krótkie wzmianki, których z bardzo nielicznymi wyjątkami ani u nas, ani w Królestwie nie powtórzono *).

Zygfryd Lipiner, dziś bibliotekarz parlamentu wiedeńskiego, dał się poznać jako bardzo dobry tłómacz Mickiewicza. Dotąd wyszły »Dziady« i »Pan Tadeusz«.

---

*) Żywot Kurtzmanna skreśliłem w XIX. »Roczniku Samborskim« str. 154—162.

Sprzyjające okoliczności sprawiły, że Lipiner znalazł przyjaciół i protektorów, którzy od razu usunęli przeszkody, na jakie poeta lub tłómacz poetycznych utworów, a zwłaszcza tłómacz polskich poetów, dziś w Niemczech napotyka, i zapewnili jego pracom rozgłos i powodzenie.

Nie będę wyliczał wszystkich, ale wymieniłem kilku z najwybitniejszych orędowników piśmiennictwa polskiego wśród Niemców. Atoli nie wymieniłem jeszcze tego, który ze wszystkich talentem i działalnością należących do tej dziedziny pracy literackiej, największe bez wątpienia położył zasługi, który świadomie i statecznie przez długie lata dążył do tego, aby Niemcy raz przecie mieli pojęcie wszechstronne o piśmiennictwie polskiem. Co zamierzał, dokonał: szeregiem prac napisanych w ciągu długiego żywota, tym z ziomków swych, którzy pragną poznać rozwój literatury polskiej i najpiękniejsze jej dzieła, wygodną utorował ku temu drogę. Przyjaciel piśmiennictwa polskiego, a zarazem i Polski — wszak to musi iść w parze — najgorliwszy i najzasłużeńszy wśród Niemców — to Henryk Nitschmann, któremu niniejsze karty w pierwszym rzędzie poświęcam.

* * *

Henryk Nitschmann *) urodził się w Elblągu w Prusiech zachodnich, w powiecie gdańskim, w mieście, które dzisiaj liczy przeszło 40.000 mieszkańców, d. 26. kwietnia 1826 r. Ojciec jego był radcą sądu miejskiego. Cała rodzina Nitschmannów oddawała się zawodowi prawniczemu, trzej stryjowie Henryka i bracia jego stryjeczni wszyscy byli prawnikami. Także Henryk według woli ojca miał się poświęcić zawodowi prawniczemu. Gdy kończył ostatnią

---

*) Głównem źródłem biograficznem jest dzieło: *Elbinger Geistesleben im neunzehnten Jahrhundert* (wydawca A. Boldt — Mohrungen 1894). str. 183—188. O Nitschmannie pisały »Kłosy« 1881, Nr. 856, 857, »Biesiada literacka« 1891, Nr. 800, 801 i i.

klasę gimnazyalną, zaczął niedomagać. Były to późne skutki zbyt wczesnego natężenia umysłu. Wszak zaledwie cztery lata licząc, już czytał i pisał, a licząc lat sześć, Henryk umiał na pamiąć całą gramatykę łacińską, zwięzły podręcznik Brödera, którego w szkołach niemieckich powszechnie używano. Teraz więc, po latach, wystąpiły zgubne skutki niewłaściwie prowadzonego wychowania i przejmowały ojca trwogą o życie drogiego dziecka. Pobyt na wsi zalecali lekarze, zalecała sama rozwaga, więc przez lat kilka przebywał Nitschmann na wsi i wykształcił się teoretycznie a zarazem praktycznie w gospodarstwie rolnem. Zresztą nie krępowały go niepomyślne warunki majątkowe, wykształcenie zawodowe nie było dlań koniecznością — trosk o chleb powszedni, trosk o czem żyć będzie, nigdy nie zaznał. Pobyt kilkuletni na wsi wpłynął jak najpomyślniej na zwątlone zdrowie młodzieńca, nabrał on sił i rozwijał się nad podziw. Dlatego odłożywszy na razie myśl zakupienia majątku ziemskiego, postanowił skorzystać z pomyślnego zwrotu w wyglądaniu i zdrowiu i oddawać się przez lat kilka studyom na uniwersytecie. Obrał uniwersytet berliński, który słynął z wielu znakomitości naukowych, a nie mając na oku widoków praktycznych, słuchał takich wykładów i kształcił się w takich kierunkach, jakie odpowiadały jego pragnieniom i zdolnościom. Słuchał wykładów filozofii u Micheleta, historyi u Raumera i Rankego, egiptologii u Lepsiusa, geografii u Rittera, fizyki u Dovego, Magnusa i Mitscherlicha. Widać z tego wykazu, jak różnorodne umiejętności zajmowały umysł młodzieńca, który pragnął nadewszystko wykształcić się wszechstronnie. Nie poprzestając na wymienionych naukach, oddawał się także gorliwie studyom muzycznym, nauce kompozycyi i historyi muzyki pod kierunkiem znakomitego Marxa.

Pobyt w Berlinie po niejakim czasie Nitschmann zamienił znów na pobyt wiejski, zakupiwszy majątek ziemski

Pozary w Prusiech wschodnich, w powiecie królewieckim. Sielankowe zacisze nietylko nie przeszkadzało dalszemu kształceniu się, owszem zupełna swoboda w uroczym majątku pozwalała mu oddawać się poezyi i umiejętnościom. Natura jego na wskróś poetyczna doznawała w ustroniu wiejskiem najżywszych rozkoszy. W majętności swej założył Nitschmann duży park angielski, w którym zasadził głównie buki i brzozy, a w cieniu ich przysłuchując się tajemniczemu szmerowi liści i pieśniom słowików, przeżył dni szczęśliwe. Albo też na ognistych rumakach, które osobiście ujeżdżał, pędził przez błonia i knieje; miał opinię najdzielniejszego jeźdzca w powiecie.

Znał już Nitschmann języki klasycznej starożytności, a z nowożytnych oprócz niemieckiego, francuski i angielski. Teraz z żelazną wytrwałością wziął się do nauki języka polskiego, tak, że po trzech zaledwie miesiącach już porozumiewał się nim dosyć dobrze. Od Polaka, który dłuższy czas bawił był w Serbii, nauczył się także języka serbskiego. Przy tem nie zaniedbywał ulubionych umiejętności, biblioteka jego ciągle wzrastała i pomnażała się ważniejszemi nowościami. Z równym zapałem jak czytaniu i poezyi oddawał się Nitschmann muzyce. Doprowadził do perfekcyi w grze na fortepianie, na skrzypcach i na altówce. Że korzystał także z teoretycznego wykształcenia, o tem świadczy szereg kompozycyi, które wyszły nakładem firm Bote & Bock i Challiera w Berlinie. Są to następujące utwory: »Wieść o wiośnie« na altówkę lub skrzypce i fortepian; »Dziewczę u zdroju«, pieśń serbska do śpiewu; »Bądź zdrowa« na wiolonczelę lub altówkę i fortepian; i kilka kompozycyi na orkiestrę. Od 1869 r. począwszy był w Elblągu dyrektorem Towarzystwa muzycznego; z jakim zapałem oddawał się muzyce, najwymowniej dowodzi okoliczność, że skoro Nitschmann Elbląg opuścił, rzeczone Towarzystwo się rozwiązało.

Pierwsze prace literackie, które Nitschmann ogłosił, były to artykuły o rolnictwie w czasopismie fachowem. Już w czasie studyów gimnazyalnych jednak próbował Nitschmann sił swych na polu poezyi i między innemi przetłómaczył jeden z najpiękniejszych ustępów z Homera, księgę VI. Odysei, rymowanymi trochejami. Lecz dopiero daleko później, bo 1854 r., 42 lat temu, wystąpił publicznie z próbką poetyczną. Był to przekład z polskiego, wiersza Franciszka Morawskiego »Łza«. Piśmiennictwu polskiemu poświęcił też Nitschmann działalność swą głównie, chociaż pracował i w innych kierunkach. Wydał zbiór „*Album ausländischer Dichtung*“, w którego 4 tomach oprócz poematu polskiego pomieścił przekłady poezyi francuskich, angielskich i serbskich. Ułożył antologię poetów niemieckich, którą nazwał „*Deutsches Land und deutsche Lieder*“; doczekała się aż trzech edycyi. Napisał heksametrem powieść poetyczną z czasów Prus pogańskich p. t. »Logia«. W poemacie tym pociągają czytelnika w pierwszym rzędzie opisy przyrody, świetne krajobrazy ziemi pruskiej. Piękność ziemi pruskiej, okolicy pamiętnego w dziejach klasztoru, roztaczają przed oczyma naszemi także »Wspomnienia Oliwy« *(Erinnerungen an Oliva)*, które Nitschmann napisał prozą, przeplataną wierszami i udatnemi tłómaczeniami pieśni ludu kaszubskiego. Opracował Nitschmann także umiejętną monografię o ulubionym swym instrumencie, o altówce, rzecz w kołach fachowych ogromnie cenioną. Ale dla nas najważniejsza, zwrócić się ku jego pracom o Polsce i piśmiennictwie polskiem.

Pamiętam — małym byłem wtedy chłopcem — jak do rąk mi wpadła cieniuchna książeczka pod tytułem »Parnas polski« *(Der polnische Parnass)*, Gdańsk, księgarnia Bertlinga 1860. Książczyna zawierała zaledwie kilka poezyi polskich — oryginały, a obok nich przekłady niemieckie. Ten niepokaźny zbiorek był zawiązkiem, który zwolna się powiększając, w kilku wychodził edycyach, aż nareszcie

w czwartej, zmieniając równocześnie nakładcę prowincyonalnego na nakładcę światowej sławy, przedstawił się jako dzieło niepodobne do wydania pierwszego. Jest to książka: *Der polnische Parnass, Ausgewählte Dichtungen der Polen, übersetzt von Heinrich Nitschmann. Nebst einem Abriss der polnischen Literaturgeschichte und bibliographischen Nachrichten. Vierte, sehr vermehrte Auflage. Leipzig, Brockhaus 1875* — str. 382 w 8⁰. Dzieło zawiera rys dziejów literatury polskiej, napisany treściwie, i antologię bardzo obfitą utworów poetów polskich, bo razem około 200 (między innemi w całości Brodzińskiego »Wiesław« i Malczewskiego »Marya»), pióra 50 poetów, od Reja do Władysława Bełzy. Tak obfitego zbioru poezyi polskiej Niemcy do owego czasu nie mieli — tu mogli się zapoznać z charakterem tej poezyi, mogli dowiedzieć się o autorach, których poezye czytali, a o autorach i dziełach takich, których Nitschmann dokładniej nie uwzględnił, choć coś zasłyszeć. Także firma nakładowa Brockhausa przyczyniła się do tego, że książki prasa niemiecka milczeniem nie pominęła.

Zaledwie upłynęło lat pięć, wydał już Nitschmann nową księgę przekładów z poezyi polskiej. Wyszła u Friedricha w Lipsku, a autor nazwał ją *Iris*, gdyż jak tęcza z siedmiu barw się składa, tak ona zawiera utwory siedmiu poetów: Mickiewicza (między innemi cała »Grażyna«), Słowackiego (między innemi »Jan Bielecki« i »Ojciec Zadżumionych«), Pola (między innemi »Starosta Kiślacki«), Bielowskiego (między innemi »Pieśń o Henryku Pobożnym«), Morawskiego, Odyńca i Kraszewskiego.

Do tych dwu dzieł, które w niebywały dotąd sposób szerzyły wśród Niemców znajomość literatury polskiej, przyłączyło się nareszcie trzecie najważniejsze, którem godnie zamknął Nitschmann działalność swą przez lat wiele ku jednemu celowi zmierzającą. W 1882 r. wyszła u Friedricha w Lipsku po niemiecku napisana Historya literatury polskiej, która 1887 r. doczekała się drugiej

edycyi. Na przeszło 500 stronach dużej ósemki podaje autor rodakom swoim barwnie i ciepło napisany wykład całości dziejów piśmiennictwa polskiego od najdawniejszych czasów aż do dni naszych. Niełatwe było to zadanie, sprawić, by cudzoziemcy zrozumieli oświatę i literaturę narodu, o którym bardzo niejasne, błędne, często wprost dzikie mają wyobrażenia, Niemcy, u których ani na znajomość dzisiejszych stosunków, ani na znajomość warunków przeszłości narodu liczyć nie można. Tu trzeba było jednemu wszystko razem czynić, wszystko z początku wyłożyć — a robić to wszystko tak, aby czytelnika przyciągnąć, przytrzymać i ująć. Udało się to Nitschmannowi w bardzo wysokim stopniu. Na szerokiem tle historyi i oświaty polskiej występują znakomitsi przedstawiciele piśmiennictwa jasno i wyraziście, nie jak martwe i szare cienie, lecz jak pełne życia postacie. Około gwiazd pierwszorzędnych grupują się drugo- i trzeciorzędne; wszędzie zaś panuje ład i przejrzystość, jasność przedstawienia idzie ręka w rękę z lekkością stylistyczną »Jeżeli porównamy to dzieło«, pisze pewien krytyk polski*), »z naszymi podręcznikami, to ze wstydem wyznać musimy, żeśmy go nie przewyższyli, że książka pana Nitschmanna rzadko tylko stoi niżej, zwykle zaś o wiele wyżej niż nasze podręczniki.«

A oto słowa innego krytyka polskiego: »Z wstępu dowiadujemy się, że p. Nitschmann kocha przedmiot, który opracował. Zabrał się do roboty z sympatyą, która go ogrzewała aż do końca dzieła. Pisząc podręcznik literatury polskiej dla nie-Polaków, byłby p. Nitschmann dokonał, co zamierzał, gdyby, oparłszy się na źródłach polskich, stworzył przejrzystą kompilacyę. Wystarczało to najzupełniej. Ale wrodzona Niemcom sumienność nie pozwoliła autorowi na takie ułatwienie. P. Nitschmann nietylko że korzystał rozumnie z naszych źródeł, lecz zbadał

*) »Kwartalnik historyczny« 1889, III.

samodzielnie materyał żywy. Niktby nie uwierzył, a jednak prawdą jest, że p. Nitschmann, Niemiec, zna daleko lepiej współczesną literaturę polską od Polaków, autorów podręczników. I on włączył chwilę bieżącą do epoki Mickiewiczowskiej, lecz grupował autorów najmłodszych właściwie: czytał ich*).«

Do wyrobienia właściwych pojęć o piśmiennictwie polskiem u czytelników Historyi literatury Nitschmanna przyczynia się jedna jeszcze okoliczność. Ten tom Dziejów literatury to nie sam tylko wykład — i tu jest antologia jak w »Parnasie«, ale antologia, nie luzem idąca, lecz wpleciona do toku opowiadania. Obfite wyjątki z dzieł autorów polskich, przeważnie z dzieł poetycznych, illustrują rozwój literatury, charakteryzują poszczególnych poetów i zachęcają czytelnika do zaznajamiania się bliższego z utworami polskiej muzy.

Pozostaje jeszcze pytanie: jakim jest Nitschmann jako tłómacz? Czy może czasem nie należy do owych, których Włosi osławili przysłowiem: *traduttore — traditore!* — tłómacz — zdrajca! Broń Boże! Nitschmann jest przedewszystkiem sam poetą, ma umysł wrażliwy na wszelkie piękności poezyi, na najsubtelniejsze odcienie uczucia. Poemat, który czyta, który mu się podoba, działa na niego potężnie, nęci go i nie daje mu spocząć, póki go nie odtworzy w języku niemieckim. Jego przekłady naprawdę są tem, co trafnie wyraża pojęcie niemieckie — *Nachdichtungen.* Dlatego też nie zawadzają nigdy o szkopuł, o który rozbijają się nieraz najszczersze usiłowania tłómaczów; mam na myśli to, że czytają się zawsze lekko, płynnie, że czynią wrażenie oryginałów. A to jest pierwszy

---

*) »Niwa« 1889, Nr. 11. Recenzye prac Nitschmanna zawierają »Biblioteka Warszawska« 1880 (wrzesień), 1882 (t. IV.) »Przegląd Polski« 1882 (listopad), »Kłosy« 1882 Nr. 109. (Kraszewskiego), »Przewodnik bibliograficzny« 1882, Nr. 5. 1889, Nr. 1. i w. i.

warunek przekładu, jeżeli ma ująć sobie umysł czytelnika; czyż nie odrzucę precz utwór tłómaczony, jeśli tłómacz krok w krok niemiłosiernie pastwi się nad moim językiem ojczystym, tą najdroższą ojców spuścizną!

Przekłady Nitschmanna, ujmujące czytelnika łatwością wysłowienia i misterną formą, oddają z reguły także myśl oryginału wiernie i z właściwą subtelnością. Wyjątkowo chyba w ogromnej ilości przełożonych przez niego poezyi znajdziesz miejsce, któreby pod tym względem mniej zadowalało. *Interdum magnus dormitat Homerus.* Często pewne drobne usterki oryginału giną w tłómaczeniu Nitschmanna, wierszyk przełożony jest cackiem, brylancikiem bez skazy; chmurzyć się za to Polacy nie mają powodu. Że »Maryę« Malczewskiego podzielił na trzy pieśni, z których środkową przetłómaczył odrębnym wierszem, nie tym samym, co resztę — że »Wiesława« Brodzińskiego również dwojakim wierszem tłómaczył — tem, cokolwiekbądź powiemy, okazał, że jako artysta ma pewne fantazye, na które tuzinkowy tłómacz nigdy się nie zdobędzie. Ale bogacz może mieć fantazye, ma je czem opłacać.

Idea, która przyświeca całej działalności Nitschmanna, to owa idea braterstwa ludzkości, której klasycyzm niemiecki był najwłaściwszym wyrazem. Narody powinny się nawzajem porozumiewać, powinny się wzajem poznawać — a nie staną wrogo naprzeciw siebie. Najłatwiej i najpewniej zaś poznają się, zaznajamiając się wzajemnie z utworami poetycznymi. w których naród złożył uczuć swych kwiaty i swych myśli przędzę. Taką to ideą przejęty zwraca się Nitschmann do szlachetnych umysłów, do owych Niemców, którzy wolni od uprzedzeń, pragną poznać drogi ducha obcego narodu; najlepszym sercom swego narodu poleca klejnoty ze spuścizny genialnych synów polskiej ziemi. »Oby wszyscy moi ziomkowie« woła, »przekonali się, że zdanie, które umysł w nieświa-

domości pogrążony z trybuny parlamentarnej*) w świat rzucił: »Polacy nie mają literatury«, jest tak samo nieprawdą, jak wśród gęstej mgły okrzyk: »Niebo nie ma słońca!«

W Niemczech mamy przyjaciół szczerych mało — a w szczupłej garstce tych przyjaciół żadnego, któryby tak długo, tak wytrwale i z takim skutkiem pracował, aby piśmiennictwu polskiemu, przewodnim ideom narodu polskiego i samemu narodowi zjednać zrozumienie i życzliwość wśród Niemców**). Szczera, gorąca sympatya, uwielbienie dla Polski przebija się w każdem niemal zdaniu Nitschmanna. Największy zarzut, jaki możnaby mu uczynić, byłby ten, że w sądach swych o autorach zbyt może do pochwał skłonny — ale ta wada ma źródło swoje w niczem innem, jeno w tej jego rzekłbym fanatycznej sympatyi dla narodu polskiego.

Czyż za tyle dowodów miłości nie należy się choć małe uznanie? Za liczne przykrości, na które każdy Niemiec się naraża, skoro sztandar polskosci rozwija, za tyle usług i zasług, czyż nie powinien naród polski, a choć pewne warstwy jego, pomyśleć o jakiejś nagrodzie? Wszak wdzięczność jest cnotą, ale i obowiązkiem, nietylko w życiu jednostek, lecz także w publicznem.

W przyszłym miesiącu skończy Henryk Nitschmann lat siedmdziesiąt; rocznica ta podaje stosowną sposobność uczczenia męża tak bardzo zasłużonego, dzielnego orędownika Polski i Polaków.

6. marca 1896 r.

---

*) Junkier pruski, Hundt von Hafften.

**) Nitschmann zasilał i ciągle jeszcze zasila czasopisma niemiekie artykułami o nowościach literatury polskiej. Umieszczał takowe w następujących czasopismach: *Magazin für die Litteratur des In- und Auslandes, Allgemeine Österreichische Litteraturzeitung, Moderne Dichtung, Gesellschaft, Allgemeine Kunstchronik, Internationale Litteraturberichte.*

Michał Bałucki.

Dobroczynna dama.

Obrazek malowany w cieniu.

I.

Siedzieliśmy przy partyi szachów ja i mój przyjaciel Zenon, którego reumatyzm więził już od paru tygodni w domu i ubrał w szlafrok, pantofle i flanelowe powijaki na nogi. Zaczęliśmy właśnie trzecią partyę, gdy do pokoju weszła a raczej wbiegła lekko, szeleszcząc jedwabną suknią, pachnąca fijołkowemi woniami pani Zenonowa, w kapelusiku, który jak barwny motyl przysiadł na jasnych włosach i rzucał przeźroczysty cień na jej zarumienioną od prędkiego chodu twarzyczkę.

— Panowie przy szachach? — spytała podając mi rękę na powitanie. — Ach, to dobrze, to bardzo poczciwie z pańskiej strony, żeś pan przyszedł odwiedzić mojego chłopusia. On biedaczysko tak się nudzi teraz... Będziesz pan miał za to sto dni odpustu.

Mówiąc to, gładziła na przemian to jedną, to drugą rączką włosy swego małżonka, tuląc jego głowę do piersi — i na zakończenie tej pieszczoty pocałowała go w czoło, za co Zenon spojrzał na nią wzrokiem pełnym miłości i wziąwszy jej rękę, poniósł do ust swoich.

— Ależ ty spocona, aniołku.

— Bo biegłam prędko, żeby być na czas w domu. Myślałam, że jesteś sam.

— I cóż sesya? skończyła się już?

— Jedna już. Ale mamy dzisiaj jeszcze drugą.

— Dwie sesye? Nic mi o tem nie mówiłaś

— Bo też to stało się całkiem niespodziewanie. Wyobraź sobie, hrabianka Zenobia przyjechała nagle z Wiednia i zwołała na dziś posiedzenie w sprawie tych nieszczęśliwych Afrykanów.

— Cóż to za Afrykanie? — spytałem zaciekawiony.

— Jakto? Pan nic nie wiesz o tych naszych biednych murzynach, których kardynał Lavigerie...

— A! to i pani do tego należy?

— Jest przecież sekretarką — odezwał się mąż.

— I zastępczynią prezesowej w czasie jej nieobecności — dodała z dumą żona.

— Ależ to panie daleko zajechały ze swojem miłosierdziem — rzekłem z uśmiechem, zaprawionym pewną dozą złośliwości.

Uraziło to widocznie panią Zenonową, bo zmarszczywszy w kilka drobnych niteczek swoje czyste czołko, odcięła mi się ostro, mówiąc:

— Miłosierdzie ludzkie nie ma granic i na mile mierzyć go nie można.

— To prawda. Bliższa jednak koszula ciała, a my tu mamy pani w Galicyi tylu murzynów, nie tak może czarnych jak w Afryce, ale brudnych i zasmolonych, którzy mrą z głodu i zimna...

— My i o nich przecie nie zapominamy; mamy dla nich tanie kuchnie, obiady dla głodnych dzieci...

— Tak, tak — rzekł mąż, obejmując żonę ręką i tuląc do siebie — moja Natalka należy do wszystkich tych stowarzyszeń, chodzi na sesye, zbiera składki, urządza wenty, loterye, to wcielona dobroczynność, anioł-pocieszyciel dla biedaków...

— Skoro tak, to i ja pozwolę sobie wciągnąć panią jeszcze do jednego stowarzyszenia.

— Ależ z całą ochotą. Cóż to za towarzystwo?

— Szkoły ludowej...

— O! do tego to za nic w świecie! — zawołała z przestrachem.

— Dlaczego? — spytałem zdziwiony. — Czy pani się nie podobają cele, jakie sobie wytknęło to towarzystwo?

— Ja właściwie nie wiem, co oni tam za cele mają, ale ostrzegano mnie właśnie w tych dniach, żeby się tam nie zapisywać, bo to podobno wielu libertynów należy do tego towarzystwa... Ale ja tu gadu, gadu — zawołała patrząc się na zegarek — a tam hrabianka czeka. Ma nam odczytać dzisiaj projekt festynu ludowego na Afrykanów; coś tak wspaniałego, czego jeszcze Kraków nie widział. Przygotuj się mężusiu na nowy wydatek, będę sobie musiała sprawić nową suknię i to nie byle jaką, bo wszystkie panie sadzą się jedna nad drugą, żeby wspanialej wystąpić. Wiercińska aż z Paryża sprowadza sobie suknię na festyn. Ale o tem potem... będzie czas na to, bo termin festynu jeszcze nie oznaczony. Dziś głównie idzie o wybory. Nie uwierzysz, co ta Wiercińska wyprawia, żeby się dostać do komitetu. Łasi się i nadskakuje hrabiance Zenobii, jak suczka bonońska, że doprawdy wstyd patrzeć; ledwie na łapkach przed nią nie służy... Nieznośna baba, wszędzie się wciska, wszędzie chciałaby tylko rządzić i burmistrzować. Nie cierpię jej...

— To ta, coście się z nią raz posprzeczały o jakieś stroje?

— Ona śmiała utrzymywać, że ja przekupiłam pannę od krawcowej, żeby się dowiedzieć, jaką będzie miała suknię na balu i kazałam sobie taką samą zrobić. Jabym też potrzebowała ją naśladować.. ją... ją... co za grosz gustu nie ma. Ale czekaj, ja jej teraz pokażę, że moja suknia choć nie z Paryża, będzie sto razy lepsza, bo na niej nic się nie wyda. I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu... Gwałtu! siódma, a niechże ja lecę! No, bawcie się tu panowie dobrze, a nie ogrywaj mi pan mojego mężusia.

Ale, ale, prawda, pan nie wziąłeś jeszcze odemnie biletu na odczyt.

To mówiąc, zanurzyła rączkę w aksamitny woreczek i wyjęła z niego paczkę różowych bilecików.

— A może pan weźmiesz kilka? Pan masz tyle znajomości...

— Cóż to za odczyt? o czem?

— Przyznam się panu, że nie wiem, ale to będzie afiszami ogłoszone. No, wiele pan weźmiesz?

— Ani jednego, pani dobrodziejko — odrzekłem z uśmiechem.

— Fe, wstydź się pan! Szkaradny z pana sobek i egoista. Gdybyś pan wiedział, co to za rozkosz czynić ludziom dobrze, poświęcać się dla nich...

— I sprowadzać nowe suknie z Paryża...

— Panie, bo się pogniewamy — rzekła urażona.

— Będę miał sposobność przepraszać — odpowiedziałem wyciągając do niej rękę.

— Pod warunkiem — rzekła, podając mi swoją — że się pan poprawisz; a że należę także do towarzystwa apostolskiego, więc podejmuję się nawracać pana.

— Z całą przyjemnością jestem na usługi pani — rzekłem, całując jej rękę.

— Mam nadzieję, że mi się uda wciągnąć pana przynajmniej do paru naszych stowarzyszeń. Dziś jeszcze zacznę moją misyę; tylko proszę tu zaczekać na mnie i bawić mojego chłopusia. Zenonku, zatrzymaj tu pana na herbatę; ja wrócę najdalej za godzinę.

Dotknęła jeszcze raz ustami mężowskiego czoła, mnie rzuciła oczami ukłon i frunęła z pokoju — a my wróciliśmy do przerwanej partyi.

II.

Zenonowi jednak jakoś nie szła gra tak dobrze, jak przedtem, ciągle mylił się i poprawiał.

— Co się tobie stało? — spytałem zdziwiony — ty taki dzielny gracz..

— Ale bo widzisz, ta suknia zajechała mi w głowę i poburzyła wszystkie plany.

— Jaka suknia?

— No ta, o której mówiła Natalka, że musi sobie sprawić.

— A ty nie chcesz może?

— Nie chcę, bo nie mogę. Nie masz pojęcia, ile do roku wyjdzie pieniędzy na stroje i fatałaszki; to koncert, to wesele, to bal, to wenta, na każdej w innej sukni, bo niech Bóg broni w jednej dwa razy się pokazać, to *crimen* u tych pań. Jedna sadzi się nad drugą. a Natalka nie chciałaby być gorszą od innych. Mnie także o to chodzi, żeby moja żona nie była ostatnią... a wymówić się nie można, bo to wszystko na dobroczynne cele... Ona zaś należy do tylu stowarzyszeń, więc musi. No i przez to — rzekł zniżając głos — wpadłem w długi, o których nawet ona nie wie, bo co ją będę martwił takiemi rzeczami.

— Tak, dosyć będzie czasu, gdy zjedziecie po tej drodze do kategoryi wstydzących się żebrać, i na wasz dochód będą urządzać rauty, bale...

— Ty drwisz sobie, ale mój drogi, cóż poradzić na to? Jak się wlazło między wrony, trzeba krakać jak i one. Zresztą i dla tych biedaków trzeba przecież także coś zrobić.

— Dla jakich biedaków?

— No dla tych, dla których te panie urządzają owe rauty, bale, loterye, odczyty.

— Czytałeś Maxa Nordau'a *Die conventionelle Lüge?*

— Nie, cóż to takiego?

— To rozprawa o kłamstwach utartych, przyjętych i takich, które w zwyczaj weszły. Otóż nasze bale dobroczynne to także jedno z takich kłamstw społecznych, które się przyjęły i zaaklimatyzowały. Bo porachuj tylko, wiele z takiego balu dostaje się biedakom. Przypuśćmy, że się znalazło czterysta, pięćset osób, które się ofiarowały pocić i skakać na dochód biednych, to licząc przecięciowo za każdy bilet trzy guldeny, otrzymamy cyfrę 1.500 zł., z których tysiąc... jeżeli nie więcej. . pochłaniają zazwyczaj koszta, a reszta dopiero dostaje się biednym, czyli, że gdyby każda z tych osób dała guldena... chociaż jednego tylko guldena... rezultat byłby ten sam, a oszczędziłoby się w ten sposob tysiące, które mężowie i ojcowie wydają na stroje, kwiaty, dorożki i kolacye z okazyi takiego balu.

— Ale bez balu nie wyciągnąłbyś z pewnością ani połowy tej sumy od ludzi, bo każdy przecież rad się zabawić przy sposobności.

— A więc wychodzi na to, co powiedziałem, że takie bale są kłamstwem, bo przychodzi się na nie dla siebie, dla własnej przyjemności, dla zabawy i pokazania się, a kłamie się przed światem i przed sobą, że się przychodzi z litości nad biednymi.

Rozprawę tą przerwał nam przeraźliwy krzyk dzieci w trzecim pokoju. Ponieważ Zenon miał prawie ubezwładnione nogi reumatyzmem, więc pobiegłem zobaczyć, co się dzieje. Oczom moim przedstawił się następujący widok: Obrus zciągnięty ze stołu — wraz z tem, co na nim było, jak: książki, robótki — palił się płomieniem. Na ziemi lampa rozbita, a wokoło dzieci blade, wylęknione, krzyczące w niebogłosy z przerażenia i strachu.

Porwałem co tchu poduszki z dziecinnych łóżeczek i z pomocą kucharki, która przybiegła na krzyk dzieci równocześnie ze mną, stłumiliśmy ogień. Po chwili przywlókł się i Zenon za mną i zaczęła się indagacya, z której się pokazało, że bona, korzystając z nieobecności pani,

wybiegła na miasto za swymi sprawunkami, że panna służąca poszła po gazetę i spotkawszy znajomego kaprala, zatrzymała się z nim nieco dłużej przed domem, a tymczasem dzieci zostawione same, bez dozoru, posprzeczały się między sobą o bułkę czy o ciastko jakieś, wzięły się za czupryny i w tej zaciętej walce ściągnęły obrus ze stołu, a z obrusem lampę... I katastrofa byłaby gotowa, gdybyśmy ja z kucharką nie byli na czas przybiegli.

Po uspokojeniu wystraszonych i zabeczanych, wyburczeniu bony, która właśnie wróciła, i daniu admonicyi pannie służącej, żeby nigdy dzieci samych nie ważyła sie zostawiać, Zenon wrócił ze mną do szachów; ale nim jeszcze zdołaliśmy usiąść, dopędziła nas kucharka, żeby się spytać, co będzie na kolacyę, bo pani nic nie zadysponowała.

Biedny Zenon był w niemałym kłopocie, bo widocznie nie tęgi w sprawach kulinarnych, nie wiedział, co powiedzieć kucharce. Powodowany egoizmem, podpowiedziałem mu: zrazy nelsońskie. Chwycił się tego jak pijany płotu i rzekł ucieszony:

Doskonale, niech będą zrazy, tak dawno już nie były, a ja to pasyami lubię.

Potem przyszła bona spytać się, czy Wicia będzie się kąpać; kichnęła dwa razy, coby wskazywało, że ma katar — i czy Zdzisiowi dać lepiej olejku rycinowego łyżeczkę, czy powidełka? Ponieważ Zenon i na medycynie znał się nie wiele, więc wezwał na konsylium mnie i bonę, i we troje uradziliśmy, żeby Wicię tylko wytrzeć na noc zimną wodą, a Zdzisiowi zaaplikować dla prędszego skutku domowy środek.

Po załatwieniu się z tem wszystkiem, siedliśmy do przerwanej partyi. Zenon uspokojony już trochę, odzyskał całkiem przytomność umysłu, grał z uwagą i wpakował mi mata; potem ja jemu z kolei drugiego i zabraliśmy się do trzeciej partyi, gdy wtem lampa gasnąć poczęła. We-

zwana na pomoc służąca nie mogła nic temu zaradzić, bo pokazało się, że biegając dzisiaj całe popołudnie z listami do pań komitetowych, zapomniała nafty kupić i lamp nie ponalewała, a że było już po dziewiątej i sklepy z naftą były już pozamykane, więc musieliśmy partyę kończyć przy świecach. Wyglądało to trochę pogrzebowo... ale cóż było robić?

Koło dziesiątej wróciła pani Zenonowa, tylko jakoś w nienajlepszym humorze. Zburczała najprzód służącą, że nie pamięta o tem, co do niej należy, niby o nafcie; potem bonę, że Wici nie wykąpała — a wreszcie i nam się dostało za dysponowanie zrazów, skoro mięso twarde i należało zrobić z niego coś siekanego, n. p. kotlety.

Wysłuchaliśmy w pokornem milczeniu tej reprymendy, a ja z miną skruszonego grzesznika wyczekiwałem, kiedy pani Zenonowa rozpocznie ze mną zapowiedziane nawracanie, gdy ku wielkiemu memu zdziwieniu, przy końcu kolacyi, przyznała mi, że miałem zupełną racyę, potępiając te ich dobroczynne stowarzyszenia, że to wszystko komedya, zabawka dla zabicia czasu, że tam tylko ambicya i protekcye grają rolę, że noga jej nie postanie już więcej na żadnej sesyi, że wykreśla się ze wszystkich komitetów, stowarzyszeń i nie chce już nic o tem wiedzieć.

— Niech sobie tam — rzekła w końcu — zaprzątają głowy takie, co nic lepszego do roboty nie mają. Ja mam męża chorego, mam dzieci, mam o czem myśleć. To mi zupełnie wystarcza.

Zgłupiałem słysząc takie zdanie z tych samych ustek, które parę godzin temu mówiły o rozkoszy czynienia ludziom dobrze, poświęcania się dla biedaków.

I Zenon własnym uszom nie dowierzał i poglądał to na mnie, to na żonę oczami pełnemi podziwu i zapytań. Nie mógł zrozumieć tej cudownej przemiany, jaka zaszła w jego żonie.

Dopiero na drugi dzień zagadka mi się wyjaśniła, gdy w kronice jednego z miejscowych dzienników wyczytałem sprawozdanie z wczorajszych wyborów towarzystwa afrykańskiego, na których pani Wiercińska mianowana została zastępczynią prezesowej; sekretarką jakaś panna Dmuchalska—a o pani Zenonowej nie było wzmianki, nawet między temi paniami, które zostały wybrane do komitetu.



Ks. Jan Badeni.

Kraków a Lwów.

Zawsze mię do żywego irytowało pytanie, wywlekane przy początku rozmowy, lub przywoływane na pomoc, gdy bardzo już z rozmową było krucho.

— Czy pan woli Wiedeń czy Peszt?

— Czy pani bardziej się podoba Krynica czy Szczawnica?

— Czy ksiądz dobrodziej przekłada Lwów nad Kraków?

Tymczasem pokazało się, że nigdy nie należy się cudzą banalnością zbyt irytować, bo nie możesz ręczyć, czy i sam w nią za dni parę nie wpadniesz. Ot ledwie drugi miesiąc, jak we Lwowie osiadłem, a już nietylko inni nagabywają pytaniem: »Czy ksiądz dobrodziej przekłada Lwów czy Kraków?« — ale sam sobie, choć jeszcze nie bez uczucia wstydu, je zadaję...

Które miasto wolę, które bardziej do serca, do wyobraźni przemawia?

Jeśli o serce, o wyobraźnię chodzi, któż będzie chciał i śmiał wątpić?

Czyż mamy we Lwowie krakowski rynek, czy mamy maryacką świątynię, wawelskie ruiny i wawelskie groby; czy mamy nadzieję, że z ruin wawelski zamek powstanie?

Jeżeli chodzi o oko, o słuch, o powonienie, ma Kraków Kazimierskie i Stradomskie moczary i potoki, ale przecież i Lwów ma rywalizujące o lepsze z Wenecyą wonne laguny; rywalizujące o lepsze z Kazimierzem krzykliwe, żydowskie przekupki...

Jak tu, tak tam rozlega się na wszystkie tony pieśń kupiecka: Niech pan kupi makagigi! Niech pan futra kupi! Pomarańcze za trzy centy!...

I wybieraj teraz bracie młody, które pieśni, które wody milsze ci i głębsze w całem jestestwie wyrywają ślady? Wart Lwów Krakowa, wart Kraków Lwowa...

Więc w niczemby stolica całej Galicyi nie miała przewyższać stolicy W. Księstwa Krakowskiego? Szukajmy lepiej, może znajdziemy!

I tu partye i tam partye; nietylko partya ruska, partya żydowska, partya polska; ale wśród samychże Polaków ile różnych lewic, ile prawic, ile tuzinów środkowych, umiarkowanych stronnictw!...

Na zachodzie (rzecz szczególna, że to właśnie na zachodzie) kto stanął na lewicy, powiada: »Lewica jest, a prócz lewicy nie masz nic; a jeśli co jest, spalonem być powinno!«

Kto na prawicy, powiada: »Prawica jest, a prócz prawicy nie masz nic, a jeśli co jest, spalonem być powinno!«

Dwóch redaktorów mieszka w tej samej kamienicy i na tem samem piętrze, ale się nie znają. Czyż znać się mogą, czy nie znaczyłoby to zasad się swych zaprzeć?

Kiep jakiś — szepcze pierwszy — niebezpieczny człowiek, rewolucyą pachnie.

Niebezpieczny człowiek — szepcze drugi — kiep po prostu, stęchlizną pachnie, panie kochany!....

Dwaj literaci książkę wydali. Jeden popielaty, więc popielaty dziennik pisze o popielatej książce w artykule wstępnym, kronice i fejletonie Drugi szaro-różowy, więc szaro-różowy dziennik ogłosił nowinę: »Ciesz się Polsko! teraz dopiero dostałaś mędrca i wieszcza w jednej osobie.« Za to szaro-różowy dziennik nie wspomniał słowem o popielatej książce; popielaty dziennik nie wspomniał pół słowem o szaro-różowej książce. Górą partya, górą jej interesa!

Jest wynalazek, wielki wynalazek, Europa go nam będzie zazdrościć!...

Jest wynalazek — dobrze! Mniejsza o wynalazek lecz czyj wynalazek? Czy wynalazca — pytają popielaci — do popielatych należy? Czy należy do szaro-różowych?

— Nie! nie! niestety! on ani popielaty, ani szaro-różowy...

Biedny wynalazco, kupuj co prędzej popielatą togę; nie lubisz popielatego koloru, kupuj szaro-różową czamarę. Inaczej nie dostaniesz szeląga, nie marz o poparciu! Chyba nie mając już żadnej innej nadziei, zdecydujesz się i przebierzesz w chałat żydowski.

Tak na zachodzie. Na wschodzie (znowu rzecz szczególna, że to właśnie na wschodzie) redaktorzy, także nie wszyscy, nie bardzo się ze sobą kochają, lecz gdy potrzeba, gotowi na siebie popatrzeć, ba! porozmawiać, ba! udzielić sobie wzajemnie informacyi. Literaci, uczeni, różnobarwne przed sobą noszą chorągwie, ale nie wszyscy uważają za punkt honoru, udawać, że są na pół ślepi i żadnej innej prócz własnej chorągwi nie widzą. Znaleść się nawet podobno mogą — lecz to już tylko na wiarę entuzyastycznych przyjaciół Lwowa powtarzam — znaleść się mogą ludzie, potrząsający ochoczo kiesą dla każdej pięknej, ludziom pożytecznej, Bogu miłej myśli, choćby ta myśl nawet nie w ich zaścianku na świat przyszła...

Czytam te pochwały Lwowa rodowitemu Lwowianinowi. On się uśmiecha i studzi zapał wykrzyknikiem: »Tylko zbyt prędko się nie entuzyazmuj, mój drogi!... Zaczekaj... Przeczekaj...«

Zgoda! Może przy dłuższej obserwacyi niepoczciwe chmury i tę gwiazdeczkę zasłonią. Ale chyba nie! Bądź co bądź, Lwów jest stolicą choć tylko Galicyi; Kraków dawno, jakże dawno przestał być stolicą Polski!..

El . . . . y

Fragment.

Galicyo moja! i ty Lodomeryo
Z Wielkiem Krakowskiem Księstwem — pieśń wam niosę,
Pieśń wystrojoną z dziwną fanaberyą
W różne błyskotki, choć ma nogi bose,
Jak ty Galicyo — i jak ty w pół seryo
A w pół ze śmiechem łez lejącą rosę,
Aby w niej obmyć rąbek swej bielizny,
Którą zbrudziła dla dobra Ojczyzny.

Trudno nie pisać satyr w takiej chwili,
W której narodu ustrój się rozprzęga
I kształt dawniejszy do upadku chyli...
A żadna nowa nie wstaje potęga,
Aby zastąpić to, czemeśmy żyli,
I wytknąć drogę, co w świat przyszły sięga...
I gdy na gruzach pozostała rzesza,
Własną swą nędzę i boleść ośmiesza.

Trudno nie pisać satyr — prawda naga
Naszego życia zakrój ma satyry;
Spadła z nas dawna tragiczna powaga
I błotem zaszła suknia Dejaniry.
Więc choć nieszczęście swym biczem nas smaga,
Tryumfujące mogą szydzić zbiry,
I świat się cały śmieje — i my sami
W błazeńskiej czapce śmiejem się ze łzami.

Niech więc i pieśń ta dzwonkami potrząsa!
Niech nakształt owej starożytnej maski,
Połową twarzy śmieje się z pod wąsa,
A w drugiej groźne gniewu ma odblaski —
Niech z śmiechu zgrzyta! i niech z bolu kąsa!
I w grozę losów wplata komizm płaski —
Jak ty Galicyo, co trud apostolski
Spełniasz, wydając komików dla Polski.

Bo ty Galicyo, ty jedna swobodnie
Możesz nas bawić po Ojczyzny stracie,
Przedrzeźniać hasła przeszłości przewodnie,
I parodjować dziejowe postacie,
Kłaść na grzbiet kontusz, a w cholewy spodnie,
Przy politycznym zasiadać warsztacie
I krasomowstwem możesz błyszczeć w Sejmie,
Dopóki żyd ci koszuli nie zdejmie.

Tobie ach wolno bez żadnej obawy,
Że ci odsiedzieć wypadnie w Tobolsku,
Ojczystej mowy dzierżyć klejnot łzawy —
I nawet myśleć mogłabyś po polsku,
Gdybyś już większej nie nabrała wprawy,
W pół po krakowku a w pół po podolsku
Czuć i pojmować — co nie jest bez racyi,
Gdyż te narzecza uczą dyplomacyi.

Ty jedna tylko z wszystkich kraju części
Szczególnej losu zażywasz protekcyi...
I rząd ci sprzyja i niebo ci szczęści,
I nie masz knuta zbyt wymownej lekcyi,
Ani krzyzackiej na swym karku pięści;
I nic ci nie brak oprócz desinfekcyi —
Ale Herakles żaden się nie zgłasza,
Aby oczyścić tę stajnię Augiasza.

. . . .

Michał Lityński.

Na falach morza Jońskiego*).

W dniu 7. kwietnia 1895 r. o godzinie 6 minut 20 wieczorem bardzo zmęczeni całodzienną podróżą przybyliśmy do Brindisi. Na tej linii południowej kolei włoskiej wszystkie pociągi są zawsze przepełnione, a obojętność urzędników o wygodę i umieszczenie podróżnych jest wprost oburzającą. Mając bilety drugiej klasy, jechaliśmy wprawdzie pierwszą, ale tak przepełnioną, że trzeba było przez kilka pierwszych godzin podróży stać przy oknie wagonu, a dopiero później prawie przemocą zdobyć sobie miejsce do siedzenia. Urządzenie wewnętrzne włoskich, a jak się później przekonałem i francuskich kolei, nawet w wagonach I. klasy nie może iść w porównanie z austryackiemi; wagony z bocznymi korytarzami i zamkniętemi kabinami są tam jeszcze prawie nieznane, o rozmaitych koniecznych zwłaszcza w dłuższej podróży dogodnościach nie ma mowy, a przedziały drugiej klasy różnią się od trzeciej tylko cienkimi materacykami, przykrywającymi drewniane ławki.

Można więc sobie wyobrazić, że podróż w dniu gorącym, jaki był właśnie ów 7-my kwietnia, pozostawiała wiele pod względem przyjemności do życzenia, a nawet wspaniałe widoki nieznanych mi jeszcze południowych okolic Italii traciły wiele uroku wobec przykrości doznawanych. Kilka razy wyrzucano nas z wagonów na stacyach pod pozorem, że już jest miejsce w innym przedziale,

*) Wygłoszone przez autora w »Kole«.

tymczasem wśród ścisku i gwaru urzędnicy gdzieś znikali, dawano sygnał do odjazdu, a my musieliśmy sobie znowu zdobywać miejsce przemocą. A przecież to jest dzisiaj jedna z pierwszych światowych arteryj komunikacyjnych, główna linia łącząca Londyn i Paryż, Berlin i Wiedeń z wielką drogą handlową wiodącą na wschód do Indyi i Australii. Szczególniej od czasu otwarcia kanału Suezkiego w r. 1870, odżyła ta starożytna Via Apia, przecinająca uroczą Kampanię, a następnie niezmierną, stepową i dopiero w pobliżu morza urodzajną równinę Apulii. Ostatecznym punktem tej drogi jest już za czasów rzymskich główne miejsce przeprawy na wschód port Brundisium, dziś Brindisi, który razem z tą drogą odżyło do dawnego znaczenia.

W chwili naszego tam przybycia ściemniło się zupełnie. Od czekającego na stacyi portyera hotelu de l'Europe dowiedzieliśmy się na wstępie, że tam oczekują nas koledzy przybyli wcześniejszymi pociągami, więc zaraz pod jego przewodnictwem wyruszyliśmy piechotą do miasta szeroką, piękną i czystą ulicą.

Po dłuższym pobycie w krzykliwym Neapolu, z wyjątkiem Chiaji i Lizyppu najbrudniejszem mieście na świecie, sprawia to miasteczko południowe jak najlepsze wrażenie. Tu chociaż o tej porze wszystkie ulice i place napełnione robotnikami wracającymi z warstatów nadmorskich, mimo to jednak brak tej przygłuszającej wrzawy neapolitańskiego portu, więcej czystości, spokoju, ludzie nie napastują przechodniów, a nawet grzecznie z drogi ustępują.

Idziemy wprost na piękną marinę, to jest brzeg morski, wysadzany aleą drzew zielonych, a nad samem morzem obszernym brukowanym chodnikiem zakończony. Morze, jakby wielka, ciemna, zwierciadlana szyba, rozlega się o krok przed nami i wypełnia olbrzymi basen portowy prawie okrągłego kształtu. I tutaj cisza i spokój; olbrzy-

mie okręty spoczywają nieruchomo obok siebie i tylko światła latarń wysoko na rejach zawieszonych odbijają się w ciemnej toni i migocą na jej gładkiej powierzchni, mieszając się z odbiciem gwiazd zasianych teraz na pogodnym błękicie nieba. Noc cicha i ciepła zawładnęła ziemią i morzem i uśpiła świat cały w łagodnym uścisku, tylko plusk wioseł na łódkach strażniczych przerywa czasem tę ciszę i głośne stąpania ludzi kręcących się po wybrzeżu. Od strony miasta zamyka marinę szereg wił i domków piątrowych o jasno oświetlonych oknach; z nad domów zwieszają się chorągwie o barwach nie dających się teraz rozpoznać. Agencye rozmaitych towarzystw żeglugi morskiej mają tu swoje biura, wyszukujemy między nimi biuro Lloyda austryackiego i kupujemy bilety okrętowe do Patras; dowiadujemy się zarazem, że parowiec, mający nas zawieść do Grecyi, przybędzie o północy. Teraz dopiero wracamy do hotelu de l' Europe, położonego w śródmieściu. Po drodze już spotykamy się z kolegą prof. Dorschem z Kaden, a w restauracyi hotelowej zastajemy i innych towarzyszy podróży wesoło biesiadujących. Po serdecznem powitaniu dowiadujemy się, iż oprócz dwu kolegów z Czech i Tyrolczyka Mayera, którzy już od tygodnia bawią w Grecyi, wszyscy zresztą stypendyści austryaccy w liczbie siedmiu i dwie towarzyszące nam panie znajdujemy się razem i razem do Grecyi popłyniemy. Z wyjątkiem mnie, prawie wszyscy po raz pierwszy mają odbywać podróż morską, więc rozmowa na ten temat trwa ożywiona w czasie kolacyi i dopiero o 10-tej wszyscy razem wyruszamy do portu i tu spacerujemy, oczekując przybycia naszego parowca z Tryestu. Jakoż około 11-tej w nocy, majtek stojący nad brzegiem morza wskazuje nam w oddali na ciemnej przestrzeni dwa światełka, białe jasne i czerwone, migocące i znikające co chwilę — to nasz okręt, który najdalej za pół godziny tu przybędzie. Przechadzamy się więc dalej w porcie

i przypatrujemy innym okrętom. Najpierw zwraca naszą uwagę kolosalny parowiec, stojący tuż przy samym brzegu. Jakby olbrzymi kilkupiątrowy pałac wznosi on się dumnie, a długie szeregi okien w kajutach piętrzących się nad sobą, zabłysnęły teraz światłami. Mrowie ludzi, jakby całe miasteczko, zaległo górny pokład, a po wybrzeżnej terasie spaceruje mnóstwo młodych mężczyzn i dziewcząt, wesoło i głośno rozmawiając. To wszyscy Anglicy i Angielki, odjeżdżający za chwilę do swojej własnej piątej części świata, Australii. Chociaż na długo, może na zawsze, wesoło jednak żegnają Europę.

Drugi wcale pokaźny parowiec włoskiego towarzystwa »Navigatione Italiana« odchodzi, jak się dowiadujemy, do Aleksandryi i także tuż przy brzegu stoi. Port Brindisi jest bowiem tak głęboki, że wszystkie okręty przybijają wprost do brzegu i nie potrzeba jak gdzie indziej przewozić się barką, co zwłaszcza w nocy nie należy do wielkich przyjemności. Tu rzucają pomost obszerny opatrzony poręczami, a po nim przechodzi się wygodnie na pokład okrętu.

Tymczasem zbliżył się nasz parowiec i manewrując dłuższy czas bardzo ostrożnie obrócił się bokiem do brzegu, okazując na przodzie po włosku wypisane swoje imię »Achille«. Takiemu bohaterowi, pomyślałem, możemy się bezpiecznie oddać w opiekę, tem bardziej, gdy dążymy do jego ojczyzny. Ale zaraz zauważałem, że był nieco na lewą stronę pochylony; nawet maszt główny i komin wydał się nam na bok skrzywiony. Przytem był to okręt dosyć wąski i w tyle niestosunkowo więcej zanurzony jak na przodzie. To wszystko było dostatecznem do wywołania pewnego niepokoju, zwłaszcza ze względu na towarzyszące nam kobiety. Ale sława austryackiego Lloyda zbyt jest znaną i dlatego spokojnie weszliśmy na pokład, niosąc sami nasze pakunki, bo włoscy fakini chcieli nas na pożegnanie obedrzeć, żądając po dwa franki od tobołka.

Teraz dopiero pokazało się, że miałem słuszność co do pochylenia się tego okrętu na lewą stronę. Czy to pochodziło z niestosownego przeładowania jednego boku, czy już tak był zbudowany, nie wiem, ale ludzie załogi i oficerowie uspokoili nas zapewnieniem, że to okręt dobry i silny. Jeszcze pół godziny czekaliśmy na pokładzie i przypatrywaliśmy się oświetlonemu portowi i miasteczku obejmującemu port wielkiem półkolem. Byliśmy świadkami, jak gromkimi okrzykami żegnali się Anglicy zostający we Włoszech i odjeżdżający do Australii. Wśród tego prawie niespostrzeżenie wysunął się nasz okręt od brzegu, zdjęto linę przymocowaną do kamiennego słupa i teraz dopiero podniesiono ze zgrzytem, wśród kłębów pary buchającej z kotła, kotwicę. Zwolna zaczynają pracować tłoki potężnej maszyny i oddalamy się coraz bardziej. Jeszcze po obu stronach widać inne statki i długie mury ochraniające przystań, bardzo ostrożnie dosyć wąskim kanałem wysuwamy się wreszcie z portu i płyniemy zrazu wprost na latarnię morską na skale, osrebrzonej jasnem światłem księżyca. Ale po chwili skręcamy w prawo i wpływamy na pełne morze. Zwolna oswajamy się z pochyleniem okrętu, maszyna pracuje bardzo cicho i płyniemy ze średnią szybkością. Z kolegami wesoło rozmawiając, siedzimy do 12-tej w nocy na pokładzie. Już dawno zniknęły daleko na horyzoncie brzegi Italii i już ogarnęły nas zewsząd olbrzymie bezbrzeżne masy ciemnych wód morskich, gdyśmy wreszcie zeszli na dół i zaprowadziwszy nasze panie do osobnej kabiny, sami ułożyliśmy się do snu w sali głównej. Wzdłuż ścian okrętu dokoła długiego stołu był tam podwójny rząd łóżek po nad sobą na żelaznych słupach zawieszonych. Ja spałem, jak się to często zwykło czynić na morzu, w połowie ubrany; zasnąłem wkrótce zmęczony bardzo onegdajszą wycieczką na Wezuwiusz i całodzienną podróżą. Jakiś trzask obudził mię w nocy; spojrzałem na zegarek. Było wpół do 4-tej. Wyjrzałem przez okrągłe

okienko nad łóżkiem; chmury nagromadziły się na niebie, morze było niespokojne, fale szły wysoko i unosiły okrętem w górę i na dół. Zacząłem się niepokoić o nasze panie, więc cicho wyskoczywszy z łóżka zaglądnąłem do ich kajuty. Ale spały obie spokojnie, jak i wszyscy nasi towarzysze drugiej klasy, więc i ja się położyłem jeszcze i spałem do dnia białego. Obudził mię dopiero gwar na okręcie i w sali. Za chwilę byłem ubrany i wyszedłem na pokład. Cały był mokry i śliski jakby deszczem w nocy zlany, ale niebo wypogadzało się coraz bardziej. Morze o rannym brzasku ma barwę zielonawo szarą, srebrzącą się na grzbietach fal coraz jednak spokojniejszych Na lewo w sinej oddali roztacza się wspaniały widok na wybrzeże Albanii, którą tu stanowi długi łańcuch skalistych gór, pokrytych u szczytów licznemi płatami śniegu, przez co całość nabiera pstrokatej barwy

Wkrótce zjawili się koledzy, oprócz dwóch, którzy dostali choroby morskiej. Ci sami i w późniejszych podróżach morskich zawsze ulegali tej chorobie, podczas gdy wszyscy inni zdrowymi się czuli. Widocznie więc jest coś indywidualnego w skłonnościach ludzkich do tej słabości. Z pań jedna nie mogła podnieść głowy od poduszki, gdyż w tej chwili dostawała silnego zawrotu, ale w godzinę to przeszło tem bardziej, że odtąd bliżej brzegów spokojną przestrzenią morza płyniemy. Zawiązuję znajomość z dwoma Grekami, młodymi ludźmi, wracającymi z Włoch do swego miasta rodzinnego Smyrny. Mówili dobrze po włosku i byli katolikami, co prawie na wstępie rozmowy uważali za stosowne nadmienić. Wogóle zauważałem później, że katolicyzm nawet wśród Greków jest synonimem jakiejś wyższości, nie powiem inteligencyi, lecz pewnego uszlachetnienia uczuć i pewnej jasności zasad, nieznanej wyznawcom wschodniego kościoła Z pomocą tych nowych towarzyszy i z mapą w ręku oryentuję się w okolicy. Na prawo wynurza się z błękitnej już teraz toni Jońskiego

morza jedna większa a jedna mniejsza wysepka. To Olonòs i Erykuza od północnej strony jeszcze przed Korfu występujące. Tymczasem wspaniały widok przedstawiają na lewo albańskie góry Agro-castro, śniegiem u szczytów pokryte i stromo opadające ku morzu. Wybrzeże tu puste i skaliste z licznemi wgłębieniami i przylądkami. Tylko od czasu do czasu pokrywają się stoki skąpą trawą i niskimi krzakami, a w wąwozach bielą się niewielkie osady ludzkie. Na przodzie coraz bardziej rosną długą linią góry Korfu jako najciemniejszy punkt na horyzoncie i jako jedyny przedział między dwoma błękitami nieba i morza. Powietrze niesłychanie przeźroczyste, a cały krajobraz zalany potokami światła. O godzinie 10-tej rano zbliżamy się do wybrzeży Korfu. Zrazu płyniemy wzdłuż długiej linii skał czerwonych, porosłych zieloną trawą na szczytach, dalej widać pasmo bardziej nagie i jasno zieloną górę z licznemi trzodami pasących się długo-wełnistych owiec.

Na przodzie przed nami łączą się wybrzeża Albanii z Korfu i zdają się tworzyć jedną wielką zatokę, a tuż niedaleko na rafie ostrej, z poziomo ułożonych żółtych zwietrzałych kamieni złożonej, wystrzela w górę latarnia morska. W oddali widać wielki jakiś parowiec odpływający na lewo, my zaś zbliżamy się bardzo do brzegu. Dalszą obserwacyę przerywa dzwonek wzywający na śniadanie do dolnych salonów, a kiedy po niem wybiegam na górę, już się znajdujemy naprzeciw wspaniałej mariny Korfu. Na lewo, na stromej skale nad morzem wznoszą się mury cytadeli, zakończonej na najwyższej baszcie masztem przytwierdzonym jakby na okręcie bocznemi linami. Wprost nad zatoką piękne miasto w półkolu odbija swe białe domy w błękitnem zwierciadle morza. Tło zaś obrazu stanowi ciemna zieloność lasów, pokrywających stoki gór okolicznych. Na prawo wreszcie także twierdza na skale, to nowa forteca. W porcie stoi opodal na kotwicy piękny

biały jacht o dwóch kominach i wielkim półkolisto zakończonym przodzie ze złotym napisem, który jednak trudno było odczytać. Jak się dowiedziałem, był to statek cesarzowej austryackiej, bawiącej właśnie na Korfu. Obok olbrzymi, żółty, wieżowy okręt wojenny angielski.

Mnóstwo bark i łodzi, napełnionych ludźmi w różnobarwnych, lecz przeważnie czerwonych strojach, odbija w tej chwili od brzegu i na wyścigi ku nam wiosłuje. Wkrótce spuszczono na wodę schodki u boku okrętu, a pokład napełnił się w jednej chwili mrowiem ludzi i zamienił w jakiś wschodni karawanseraj. Więcej jak sto Turków, Albańczyków i Greków w narodowych strojach, w fezach czerwonych okolonych białymi zawojami, w krótkich kaftanach bez rękawów, w szerokich granatowych spodniach, lub znowu Grecy w bufiastych fustanelach i obcisłych flanelowych kamaszach w butach a raczej kierpcach z żółtej skóry, zwężających się ostro u palców i w górę wygiętych, a zakończonych sukiennymi pomponami. Wszyscy prawie przepasani bufiastymi, różnokolorowymi szalami, z zatkniętymi za nie pistoletami i nożami.

Wśród jakiegoś dzikiego krzyku, nawoływań i bójki, odbywa się mienianie pieniędzy, sprzedaż owoców, tytoniu, cygar i rozmaitych innych artykułów. Chcąc odwiedzić miasto, ledwie z biedą dostajemy się do barki, a po kilku minutach stajemy na lądzie. Nająwszy pierwszego lepszego przewodnika, idziemy przez wąskie, brudne ale przepełnione handlującym tłumem ulice na tak zwaną Spianadę, skąd śliczny roztacza się widok na cytadelę i na morze. Podwójna alea wysadzana drzewami przecina cały plac, a następnie wielkiem półkolem prowadzi do królewskiej willi Monrepos, niewielkiego, zgrabnego pałacyku w stylu renesansowym, wśród rozległego parku angielskiego. Bardziej niż sama willa zajął nas ów ogród, w którym już nie południowo europejska, ale podzwrotnikowa roślinność

w całej wspaniałości i nadzwyczajnej bujności się przedstawia. Oprócz całych gajów oliw, cyprysów, pomarańcz, cytryn i palm figowych, widzieć tu można w prześlicznych okazach magnolie, migdały, eukalyptus, banany, a nawet krzewy papyrusu i aloesu. Odźwierni pałacu powiadają, iż tu w ostatnich czasach bawił w gościnie przez dni 8 brat carski Jerzy.

Pałac cesarzowej Elżbiety leży dalej w głębi wyspy. Teraz nie można go było zwiedzać i dopiero w kilka miesięcy później wracając przez Korfu, mieliśmy sposobność oglądać i podziwiać to dzieło, co na wzór zamków króla Ludwika Bawarskiego przenosi człowieka w fantastyczną krainę cudów Wszystko, co tylko sztuka i natura południowa wspólnemi siłami stworzyć zdołają, mieści się w tym zamku Achilesa i oczarowuje widza. Każdy salon przenosi nas jakby w inne światy, inny pod względem stylu tak w architektonicznej strukturze, jak i w ornamentacyi. Widok z terasy na ogród przyozdobiony licznymi posągami i morze należy do najpiękniejszych na świecie.

W mieście zabawiliśmy godzinę jeszcze i zwiedzili ulicę żydowską i teatr o fasadzie podobnej do rzymskiego panteonu, wówczas dopiero na ukończeniu będącej i przysłoniętej rusztowaniem. Popołudniu silny upał zaczął być dokuczliwym. Powróciwszy na pokład, znaleźliśmy mnóstwo nowych podróżnych. Byli to Turcy i Grecy w wielkiej ilości, którzy już poukładali się na porozścielanych dywanach na pokładzie. Siedzą oni wszyscy na ziemi dokoła wielkich dzbanków szklanych z wodą, przez które przechodzą cybuchy nargilów; inni piją z metalowych imbryków czarną kawę. Śpiewy, krzyki, a nawet strzelanie z pistoletów na wiwat męszało się w jakiś dziki, nieznany nam przedtem gwar życia wschodniego. W kajucie pań zastaliśmy także zmianę. Kilka Turczynek w czarnych sukniach i chustkach z osłoniętemi twarzami rozsiadło się

nie na znajdujących się tam ławkach lub łóżkach, choć było dosyć miejsca, lecz na podłodze i palą papierosy.

W pierwszej chwili gdy tam wszedłem, były oburzone na taką śmiałość z mej strony, potem jednak zawarły znajomość z naszemi paniami zapomocą języka serbskiego, który umiały. Jechały one do Smyrny, a ich mężowie, kupcy, znajdowali się na pokładzie. Później do tego stopnia były dla mnie łaskawe, iż już się nie kryły, uśmiechały się, zwłaszcza jedna o wcale pięknych czarnych oczach, i obdarowywały mię za pośrednictwem naszych pań rozmaitemi słodyczami, których kobiety wschodnie zawsze mnóstwo przy sobie mają.

Po obiedzie wcale obfitym wyszliśmy na pokład górny, przepełniony licznem towarzystwem. To przeważnie Anglicy i Angielki siedzą na ławkach lub wygodnych krzesłach z bambusowej trzciny w napół leżącej postawie. Gdyby nie wielki baldachim płócienny, rozpięty nad całym pokładem, toby trudno tu wytrzymać, tak wielki panuje upał. Przed odjazdem z Korfu byliśmy świadkami interesującej sceny. Siedzieliśmy jeszcze po obiedzie chwilę w salonie, gdy nagle strzały armatnie następujące gęsto jeden po drugim wypędziły wszystkich na pokład. Pochodziły one z angielskiego statku. Na jego pokładzie widać było ustawioną w szeregach kompanię żołnierzy w czerwonych mundurach i białych płóciennych kapeluszach, uzbrojonych karabinami i bagnetami, które połyskiwały na słońcu. Na górnym koszowym pomoście chodził także jeden żołnierz z karabinem na ramieniu, odbywając straż widocznie. Pod dachem płóciennym, w tylnej części okrętu siedziało przy stole kilkunastu oficerów i panów w cywilnych strojach. Wkrótce potem odbiła od okrętu biała łódka, w której siedziało dwóch panów w czarnych strojach i cylindrach, a sześciu majtków wiosłowało regularnemi uderzeniami. Wskutek tego łódź szybko mknęła po błękitnem morzu, kierując się ku lądowi tuż obok naszego

okrętu. Z okrętu angielskiego w tej chwili słychać było krótkie ale donośne słowa komendy i znowu rozległo się w równych odstępach 12 strzałów armatnich. Tak żegnano gubernatora wyspy Korfu, który odwiedzał okręt angielski a teraz powracał z przybocznym urzędnikiem do domu. Wkrótce potem przeraźliwy zgrzyt łańcuchów podnoszonej kotwicy oznajmił nasz odjazd.

Jeszcze jakiś czas upajamy się wspaniałym widokiem Korfu, zatoki, miasta, cytadeli, spianady i ciemnej zieleni lasów pokrywających dalsze góry w głębi wyspy o łagodnie zaokrąglonych szczytach, lecz w miarę oddalania się statku, coraz bardziej giną we mgle sinej wybrzeża wyspy. Tylko na lewo jeszcze długo i daleko ciągną się skaliste brzegi Epiru. Słaba roślinność pokrywa szare skały; gdzieniegdzie tylko otwierają się one i wtedy widać zakręty i kaskady rzeki staczającej się gwałtownie ku morzu.

Wśród rozmowy i oglądania zmieniającej się nieustannie panoramy wybrzeży greckich, zeszło nam całe popołudnie aż do 6 tej godziny, o której znowu dzwonek zawezwał nas do dolnych salonów. Przy każdym stole siedzi zwykle kilku oficerów okrętu, pełniąc niejako rolę gospodarzy. Poznaliśmy wówczas także nowych naszych towarzyszy. Dr. Zingerle z Wiednia, młody jeszcze mężczyzna, udawał się w celach naukowych do północnej Grecyi, Epiru i Tessalii, drugim zaś był to dziesiąty nasz kolega z Austryi, prof. Riele z Berna morawskiego. Długie włosy opadające na ramiona, kulczyk w jednem uchu i broda rudo-blond czyniły go już bardziej zapomnianym typem niemieckiego pedagoga. Po Włoszech podróżował samotnie i dopiero teraz uważał za stosowne zbliżyć się do nas. Nie było to, jak później przekonaliśmy się, wypływem jakiejś dumy, lecz tylko zdarzającej się często u nauczycieli odrazy do życia towarzyskiego.

Daleko milszą była znajomość, którą zawarliśmy po obiedzie na górnym pokładzie okrętu.

Nie potrafię wyrazić przyjemnego zdziwienia, jakie mię ogarnęło, gdy tam zbliżył się do mnie jeden z oficerów okrętowych w uniformie i przemówił po polsku z intonacyą właściwą Krakowiakom:

— »Jestem Wacław Stablewski, lekarz okrętowy, Krakowianin; dowiedziałem się wypadkiem od jednego z kolegów Niemców, że na pokładzie naszego okrętu znajdują się Polacy; dla mnie, który już lata całe nie widział kraju, spotkanie takie jest wypadkiem szczęśliwym, spodziewam się, że państwo nie zechcecie uważać mej ciekawości jako natręctwa i nie odmówicie mi zaszczytu zawarcia znajomości.«

Można sobie wyobrazić naszą uciechę z tego niespodziewanego spotkania rodaka na morzu Jońskiem. Jest to uczucie tak miłe, jakby się na chwilę było przeniesionym do swego kraju, między swoich. Krew żywiej bije w sercu, serdecznie ściskamy sobie ręce i zaczyna się ożywiona, szybka rozmowa. Tembardziej było to nam przyjemnem, że z wyjątkiem kilku osób w Rzymie nikogo z Polaków nie spotkaliśmy od dwóch miesięcy, a już nieraz od czasu do czasu opanowywała nas owa dziwna tęsknota za krajem i swoimi. którą Niemcy określają pięknym wyrazem »Heimweh«. Nawet pełen czarów przyrody świat południa nie zdoła przygłuszyć owego serdecznego głosu duszy, który z coraz większą siłą woła do nas w miarę powiększania się czasu i przestrzeni dzielącej nas od ojczyzny: »Wszędzie tu pięknie i wspaniale, ale nie ma, nie ma tu dla was szczęścia, tylko tam na północy, gdzie teraz dopiero budzi się ziemia ze snu zimowego i z pod śniegu pierwsze wyrastają pierwiosnki.«

To też dźwięki rodzinnej mowy, usłyszane niespodziewanie na falach Jońskiego morza, z wielką siłą rozbudziły w nas to uczucie i od razu zbliżyły nas do siebie

tak, jakby na to w zwykłych stosunkach w kraju długiego trzeba czasu. Długo, długo siedzieliśmy razem, to w kajucie przy szklance Marsali, to na pokładzie wśród nocy cichej, jasnej, księżycowej, rozmawiając wiele o wszystkiem, ale zwracając się co chwilę do tego, co nam było wspólnie najdroższem.

Poznaliśmy wkrótce prawie całą historyę życia naszego miłego towarzysza. Był to młody 30-kilkoletni mężczyzna, dobrze zbudowany, przystojny blondyn z krótko przystrzyżoną brodą, o przyjemnym, męskim wyrazie twarzy, opalonej od wichrów morskich i słońca południowego. Już bowiem cztery lata podróżuje i zwiedził wiele świata. Wykształcony po nad średnią miarę, posiada wielki dar opowiadania i mówi gorąco, lecz myślą i uczuciem zwraca się ciągle do swego rodzinnego kraju i do swojej ziemi krakowskiej, nad którą nie masz w świecie piękniejszej, bo to jest »jedyna, jak jedna Matka Boska, co polskiej ziemi króluje«. Ale był jakiś odcień serdecznego bolu i smutku w tych jego wynurzeniach i myślach o rodzinnych stronach. Później poznaliśmy przyczynę tego; oto zostawił tam na cmentarzu krakowskim młodziutką żonę, która zaledwie po roku pożycia osierociła go wraz z dziecięciem, co na świat przyszło Rozpacz po takiej stracie wypędziła go z kraju i spowodowała do przyjęcia służby lekarza okrętowego.

W swoich podróżach widział i doznał bardzo wiele. Był w Brazylii, w Pernambuco, w Santos, gdzie spotkał właściciela kawiarni Dembińskiego i przypatrywał się smutnemu losowi naszych włościan, przez niesumiennych żydowskich agentów wyrwanych z ojczystej ziemi i przewiezionych na koszt rządu brazylijskiego do Ameryki, aby tam być zamienionymi w niewolników w plantacyach kawy. Pewnego razu, opowiadał, przybył okręt z Hamburga, przepełniony polskimi wychodźcami pod przewodnictwem żydowskich agentów. Ale chłopi, czy pod wra-

żeniem dalekiej i długiej podróży, w ciągu której pozbyli się większej części swoich zapasów pieniężnych, czy to z tęsknoty za krajem i obawy przed czekającą ich niewolą, oburzeni nieludzkiem obchodzeniem się z nimi już na okręcie od chwili opuszczenia brzegów Europy, zbuntowali się i nie chcieli wysiadać na wybrzeże Ameryki południowej. Gdy ich gwałtem wypychano, położyli się ławą na pokładzie i żądali, aby ich odwieziono napowrót do Europy. Dopiero sprowadzono wojsko i przemocą powiązanych, jak niegdyś murzynów afrykańskich, wysadzono na ląd i pognano w głąb kraju.

Tak bez żadnej opieki ciemny nasz lud pędzi za gwiazdą szczęścia w dalekie kraje, rzuca ojczystą zagrodę i ginie bez ratunku. Emigrują także Niemcy i inni, ale ci wiedzą gdzie i poco i znając język, chociażby tylko niemiecki, lepiej umieją sobie dać radę i znajdują oparcie i zarobek. A nasz włościanin pada w największej cześci ofiarą haniebnego wyzysku i ginie setkami na żółtą febrę lub wprost z nędzy i głodu, choć często zarobku nie brak i po 20 franków dziennie w plantacyach kawy przynoszącego. Pocieszyłem doktora, że obecnie nie dawno założone towarzystwo geograficzno-handlowe we Lwowie, żywo krząta się około opieki nad emigracyą, i że sprawa znajduje się już na drodze pomyślnego załatwienia, a mianowicie, jak słyszałem, mają być utworzone w Brazylii i w innych państwach południowej Ameryki, gdzie dąży ruch emigracyjny, urzędy opieki nad wychodźcami.

Potem opowiadał nam pan S. także o swoich podróżach do Egiptu i na wschód do Indyi i Cejlonu, gdzie się spotkał z Polakiem ks. monsignorem Zaleskim, wikaryuszem apostolskim Indyi. Katolicyzm czyni postępy wśród czarnoskórych Syngalezów, nad którymi z wielką dobrocią serca opiekuje się ks. Zaleski. Pan S. był świadkiem uroczystości dziecinnej i przywiązania maluczkich

do swego pasterza, którzy ich nietylko słowem bożem, ale i cukierkami i ciastami obdarza.

Dalej zwiedzał miasta portowe Indyj Zagangesowych, wyspy Sundajskie, a wreszcie Chiny i Japonię, gdzie się nawet w głąb kraju kolejami zapuszczał. Przywiózł stamtąd wspaniałą kollekcyę rozmaitych wyrobów i właśnie wiózł ze sobą część zbiorów, które zakupił dla pewnej agencyi w Konstantynopolu. Zaprosiwszy nas do swojej kajuty, pokazywał owe prześliczne rzeczy, jak kasetki, pudełka misternie plecione, wieszadełka, zabawki, latarnie wiszące na wyrzeźbionych z drzewa pajacach różnobarwnych, zawieszonych nad sobą w pozach gimnastycznych, laski z inkrustacyą i misterną nader rzeźbą wklęsłą w kształcie splotów wężowych w bambusie. Ale najdroższym i najciekawszym z jego zbiorów był portret jego zmarłej żony na wielkiej szybie z kości słoniowej, nieznanym u nas sposobem z nadzwyczajną pięknością i doskonałością wypalony. Fotografia tej kobiety o bardzo ujmującej powierzchowności, oddaną tu była z dokładnością i wiernością, nie pozostawiającą nic do życzenia. A przytem odsłonił się nam nowy piękny rys duszy naszego towarzysza, przechowującego wszędzie w drogiej pamięci swoję przedwcześnie zgasłą małżonkę.

Powróciwszy na pokład, opowiadał nam jeszcze wiele o swoich rozmaitych przygodach, a ja nawzajem musiałem mu mówić wiele o kraju, o naszych teraźniejszych stosunkach, o postępie chociaż powolnym, o wystawie krajowej i o widokach na przyszłość i wszystkich tych rzeczach, które go bardzo interesowały. Rozmowę tę ożywiały nam niezmiernie nasze panie, obie bardzo wesołego usposobienia i zadowolone tylu wrażeniami podróży. Jedna z nich, młodziutka jeszcze bardzo i piękna, odbywała właściwie podróż poślubną, gdyż bezpośrednio przed wyjazdem z kraju wyszła za mąż.

W obec tego można łatwo zrozumieć, jak przyjemnie upływały nam razem godziny, a do tego noc była przecudna, cicha i ciepła jak u nas w lecie, księżyc zaś jasny w pełni napajał cały przestwór dziwnym urokiem, a z prawej strony okrętu osrebrzał wielką przestrzeń morza na lekko zmarszczonej powierzchni. Z daleka na lewo gubiły się w cieniach głębokich niewyraźne kształty greckiego wybrzeża, a nasz okręt dążył dalej na południe, płynąc cicho i dosyć szybko, bo zegar węzłowy z długą liną, wlokącą się za okrętem, wskazywał 25 mil morskich na godzinę. Długa biała droga ciągnęła się za okrętem, utworzona z piany fal rozbitych śrubą na obie strony statku. Około 11-tej godziny wynurzył się na prawo przed nami w sinym zmroku ląd jakiejś wyspy z latarnią morską, a obok na lewo wkrótce drugi.

To Kefalonia i Itaka, przedzielone tylko wąskim kanałem. Nasi Niemcy, którzy dotychczas drzemali na krzesłach i ławkach, zaczęli się teraz nagle żywo sprzeczać i zgadywać, którędy okręt pojedzie, czy kanałem, czy więcej na wschód, zostawiając na prawo Itakę. W ogóle nie było pewności, czy to Itaka, a nie chcieliśmy przepłynąć obok bez świadomości, że to właśnie ojczyznę Odysseusa mamy przed sobą. Już zbliżyliśmy się do wyspy tak, iż płynęliśmy prawie u stóp wysoko wprost z morza wznoszących się gór ciemnych stożkowatego kształtu, a jeszcze nie było pewności głównie dlatego, że według naszego obliczenia — bo i nas to zainteresowało i wmieszaliśmy się do sprzeczki — okręt powinien był skręcić na wschód zupełnie, a tymczasem okrągła tablica kompasu wskazywała więcej SE, a nawet bliżej S. Wreszcie kapitan, do którego się w tej sprawie na wyższy pomost udałem, rozstrzygnął kwestyę: to była Itaka trójgłowa, ojczyzna wiernej Penelopy i nieszczęśliwego lecz chytrego Odysseusa.

Teraz w milczeniu pogrążeni patrzyliśmy na jej skaliste wyniosłe brzegi, rzucające cień głęboki na morze,

a chociaż nie mieliśmy szczęścia dotknąć się naszemi stopami tej ziemi, będącej kolebką jednego z najwspanialszych poematów starożytności, to jednak myślą przynajmniej przeniósłszy się w wieki bohaterskiej Grecyi, budziliśmy w sobie wspomnienia przywiązane do tej skalistej wysepki. Przyszło mi na myśl, że w tem samem miejscu i w takiej samej chwili musieli niegdyś płynąć owi żeglarze Feaccy, odwożący Odysseusa ze Scheryi czyli Korfu, poczem go śpiącego wysadzili na ląd i złożyli na wybrzeżu wraz ze skarbami otrzymanymi w darze od króla Feaków. I mimowolnie zaczęliśmy szukać owego miejsca na brzegu, który z taką dokładnością opisał wieszcz starożytny w XIII. pieśni swego poematu, iż sławny Schliemann po 3 tysiącach lat nie był w wątpliwości co do oznaczenia go jak najpewniejszego.

Jeden z kolegów Niemców, który wiózł ze sobą Odysseę, zaraz zaczął głośno deklamować ów ustęp, a ja za powrotem do kraju nie omieszkałem go wyszukać w pięknem tłumaczeniu naszego Siemieńskiego:

Pod Forkisa, morskiego starucha, wezwaniem,
Jest tam przystań w Itace; dwie groźne opoki
Sterczą u wnijścia, niby wrota tej zatoki,
Odpierajace fale, które burza pędzi
W przystań; więc też u cichej wybrzeża krawędzi
Nieumocowanych łodzi stoi rząd spokojny.
Wyżej, gdzie brzeg, tam rośnie oliwnik w liść strojny;
Jest i ciemna pieczara oliwnika blisko,
Boginiek, Najadami zwanych w niej siedlisko.
Wewnątrz dzbany i garnki dwouszne tam stoją,
Pszczoły w nich robią miody, jak w ulach się roją. .
Są i narzędzia tkackie, kamienne warstaty,
Boginki purpurowe na nich dzieją szaty.
Środkiem bije zdrój żywy; po bokach dwa wchody,
Od południa ten święty — stopa śmiertelnika
Przesiąpić go nie może — bogom się odmyka.

Tak w owej nocy cichej, ciepłej, a jasnej, na widok owych gór skalistych, wysterczających tuż przed nami

z głębokiej toni Jońskiego morza, ulegliśmy po raz pierwszy czarowi wspomnień klasycznych, budząc je w sobie z dziecięcą wiarą w zupełną prawdziwość wspaniałej mitologicznej przeszłości. Ale to już jest, jak się później przekonałem, osobliwszą własnością tej ziemi greckiej, że gdy się po niej stąpa, gdy się zwiedza ruiny i pamiątki jej zamierzchłych dziejów, niepodobna oprzeć się uczuciu wiary we wszystko, czego nas historya i mitologia razem nauczyły, a wszelki krytyczny, zimny rozbiór tam na miejscu wywołuje nawet przykre uczucie i nie zaspakaja wyobraźni, której tak dobrze z tym idealnym światem bogów, bogiń i bohaterów żyjących razem i dokonywujących cudów na ziemi. Tam z każdego kamienia, posągu, kolumny lub świątyni, z każdego pagórka, źródła lub gaju oliwnego, odzywa się echo młodzieńczych lat ludzkości z taką żywością i czystością, że nawet uczeni badacze przeszłości hellenskiej nie mogą się oprzeć temu urokowi i tej wierze, która zresztą i dziś jeszcze nie jest bezpłodną, jak o tem najlepiej przekonuje przykład Schliemanna. Dla niego nie było nic nieprawdziwego w podaniach greckich, ale też właśnie dzięki temu przekonaniu zasłużył on sobie wiekopomne imię, jako inicyator i właściwy twórca nowoczesnej archeologii helleńskiej.

Zwolna oddaliliśmy się od wybrzeża Itaki — w miarę tego odsłaniało się także jej wnętrze — łąki spadziste na stokach górskich, oświetlone bladem światłem księżyca i otulone mgłą sinawą; jakiejkolwiek osady ludzkiej nie podobna było ujrzeć, chociaż jest zamieszkałą przez lud prosty i ubogi, trudniący się chowem owiec i uprawą wina.

Długo jeszcze rozmawialiśmy na pokładzie na temat wierności Penelopy i ciekawych przygód jej męża, poczem z polecenia lekarza, który zwrócił uwagę na to, że nocna rosa może być szkodliwą, zwłaszcza paniom, udaliśmy się spać po tym dniu, tak pełnym przyjemnych i niezwykłych wrażeń.

Następnego dnia rano, jeszcześmy spali wybornie, gdy okręt zarzucił kotwicę w zatoce peloponezkiego miasta Patras. Ruch, który powstał na okręcie zbudził mię, wstałem i ubrawszy się, wyszedłem na pokład.

W półświcie widać było na lewo zatokę, w niej kilka parowców, a w głębi szereg piątrowych domów z arkadami u dołu. Wszystko dosyć brudne i jakby zaniedbane. Ale to już jest właściwością ruchliwych miast portowych, że często »treści poświęcają formę«. A jednak Patras jest po Atenach drugiem miastem greckiem na stałym lądzie co do ludności, gdyż ma 40.000 mieszkańców, a obok Aten i Nauplii trzeciem i ostatniem zbudowanem po europejsku. Na górze zamykającej widnokrąg za miastem rysują się potężne mury zamczyska, pochodzącego jeszcze podobno z czasów panowania Weneckiego w XV. wieku. Jeszcze przeszło godzinę pozostajemy na okręcie dla zebrania się, wypakowania tobołków i załatwienia formalności, poczem na jednej z licznych bark otaczających nasz okręt przewozimy się na ląd po dosyć niespokojnem morzu, gdyż nad ranem zerwał się wiatr zachodni i rozbija fale o murowane brzegi mola. Rewizya cłowa odbyła się bardzo względnie, a paszportów wcale nie żądano. Nasze tobołki ustawiono w wielkich stosach wprost na placu, gdyż dworzec kolei peloponezkiej znajduje się o kilkadziesiąt kroków od wybrzeża, a pociąg ateński odjeżdża z Patras około 8-mej rano. Tymczasem więc w towarzystwie dra S., który nas na ląd odprowadził, zasiadamy na werandzie jednej z licznych kawiarni portowych i pokrzepiamy się czarną kawą, gotowaną na sposób wschodni, a podawaną w metalowych kubkach, dobrym greckim koniakiem, mniej dobrą wódką zwaną Mastika i ciastami w rodzaju chleba tureckiego, zwanemi Lukumi. Zadziwieni byliśmy nadzwyczajną taniością wszystkiego. Za 10 zł. austryackich płacono nam 37 drachm greckich, których wartość obiegowa równa się frankom lub

lirom włoskim. Było to skutkiem bankructwa finansowego i niewypłacalności greckiej, już od lat kilku znanej, dlatego nigdzie za granicą nie można było nabyć papierowych pieniędzy greckich, a srebrnych i złotych chyba wcale nie ma, bo nigdzie się z nimi nie spotkałem. Dla turystów jednak jest ta taniość rzeczą bardzo wygodną i pożądaną. Po dwóch miesiącach naszego pobytu w Grecyi zaledwie o dwie drachmy mniej płacono za napoleondora.

Mały i brudny jak karczma dworzec kolei peloponezkiej, napełnił się tłumem ludzi w ubiorach bardzo rozmaitych i różnobarwnych. Obok zachodnio-europejskiego stroju było tam mnóstwo Greków w narodowych fustanellach, to jest krótkiej, białej, fałdzistej sukience na obcisłych wełniastych pantalonach, wielu także z turecka przebranych w fezach, krótkich kaftanach bez rękawów i nadzwyczajnej obszerności szarawarach granatowego koloru; kobiety wiejskie w białych chustach i żołnierze w mundurach bardzo zbliżonych barwą i krojem do tych, jakie nosi austryacka piechota. W tym ścisku z trudnością tylko udało mi się dostać do kasy i kupić bilety drugiej klasy do Aten, kosztujące po 18 drachm. Przy tej sposobności zauważałem, iż urzędnik dla ułatwienia sobie wymieniania pieniędzy rozcinał nożyczkami 10-drachmowe sztuki na połowę i jako piątki je wydawał. To jest dziś powszechnie w Grecyi przyjętym zwyczajem.

Pożegnawszy się serdecznie z panem S., wsiedliśmy do wagonów pociągu, który tymczasem stanął na torze w samym porcie tuż nad morzem biegnącym. Kolej jest wąskotorowa, a więc lokomotywa i wagony znacznie mniejsze od naszych, bo ten »Siderodromos« nowo grecki jest właściwie tramwajem parowym. Wzgląd na wielki brak gruntów urodzajnych i łatwość komunikacyi wodnej była słusznym powodem przyjęcia w Grecyi wąskotorowych kolei. Ale sieć ich, pomimo, iż obecnie istniejące

dobrze się opłacają, jest jeszcze bardzo niedostateczną i rozwija się tylko powoli skutkiem złych stosunków finansowych. Tak naprzykład kolej peloponeska, łącząca Ateny przez Istmos z Koryntem i Patras, dobiega na zachód tylko do Olimpii, a odnoga wschodnia łączy Korynt z Trypolicą w Arkadyi. Całe wnętrze półwyspu, Arkadya, Elida, Lakonia i Messenia, nie posiadają nietylko kolei, ale nawet i dróg dobrych. Podobne stosunki panują w Grecyi środkowej i północnej, gdzie małe linie kolei żelaznych w Tessalii tylko lokalne oddają usługi, a połączenie Aten z Larissą, a następnie z drogami żelaznemi w Macedonii, zawsze jeszcze należy do niespełnionych projektów. A jednak taka linia, otwierająca bezpośrednią komunikacyę kolejową ze środkową Europą, byłaby dla Grecyi niesłychanie korzystną, już choćby ze względu na ruch turystów z roku na rok powiększający się w tym kraju; choć podróż morzem w danych warunkach jest przyjemniejszą niż w zamkniętym wozie kolejowym, to jednak obawa choroby morskiej i burzy odstrasza dziś pewnie bardzo wielu.

Podróż z Patras do Aten trwa około 10 godzin, bo długość trwania przestanków i czas jazdy nie bywa tam jeszcze z taką ścisłością przestrzegany, jak u nas, ale w ogólności skargi podnoszone w tym względzie nie zdają mi się być dosyć uzasadnionemi. Za to zresztą czarowne wszędzie widoki skracają czas podróży, a kolej peloponeska obfituje w nie szczególniej biegnąc nieustannie po nad pełną niezwykłego powabu zatoką Koryncką. Zostawiam sobie na później szczegółowy opis tej części greckiego lądu, tak bogatej w wielkie pamiątki przeszłości, bo dopiero później w czasie podróży do Delf, Olimpii i wycieczki Peloponeskiej zwiedzałem ją dokładnie; w pierwszej chwili oczarowani byliśmy tylko wspaniałą, niezrównaną barwnością jej przyrody, kąpiącej się w nieopisanych blaskach światła. Rano w Patras było trochę niebo

zamglone, ale już w godzinę potem stało się jasnem, pogodnem bez najmniejszej chmurki i zapaliło się całe takim żarem światła złotego, jakiego my mieszkańcy północy nigdy nad głowami naszemi nie widzimy. U nas nawet w najjaśniejszy dzień letni jest dosyć mgły w atmosferze, pokrywającej zwłaszcza dalsze przedmioty i otulającej je jakby płaszczem sinawym; tam przeciwnie w niewidzianej przeźroczystości obszarach, napojonych światłem, zagłębia się oko daleko, daleko w przestrzeń bezmierną, rozróżniając najdokładniej plastyczność kształtów i czystość linii ograniczających góry, skały, przepaście, wybrzeża i wyspy najdalsze, malejące tylko na krańcach widnokręgu, lecz nie tracące ani wyrazistości, ani barwności swojej. Jest to coś tak niespodziewanego dla oka, iż wywołuje w pierwszej chwili w duszy radośne uniesienie, które potęguje się jeszcze niesłychaną żywością kolorytu wszystkich bliższych i dalszych przedmiotów. Szeroka ciemno-szafirowa wstęga morza wije się niespokojna u naszych stóp na lewo, tkając nieustannie misterną koronkę białej piany na żółtym piasku wybrzeża, a góry przeciwnego brzegu zatoki, tworzą nieustannie zmieniającą się panoramę niezrównanej piękności. Wąski tylko rąbek zieleni pokrywa łamaną w górze linią ich niższe stoki, wyżej nagie ściany skaliste mienią się w odblaskach świateł i cieni, nieba i morza, wszystkiemi barwami tęczy, to blado różowe, to żółte, to znów drgają w ognistej purpurze. A wyżej jeszcze ku stropom błękitu świecą się czyste linie nagich, zuchwale pnących się opok, a śnieżne płaty u szczytów lśnią się bajecznym blaskiem palącego się złota. Obydwa brzegi zatoki, to zbliżają się ku sobie, to oddalają, tworząc miejscami wśród stoczy górskich głębokie wcięcia, zapełnione ciemno-szmaragdową zielenią gajów oliwnych. Zaraz u wstępu wybiegają ku sobie z obu stron dwa wąskie pasy ziemi, zakończone na wpół zapadłemi w morzu warowniami Rion

i Autirrion, dalej szarzeją mury twierdzy Lepanto, a potem już tylko wyniosłe grzbiety górskie Parnasu i Helikonu śnieżnemi płatami pokryte zamykają widnokrąg. Na naszym achajskim brzegu pędzi pociąg kolei żelaznej nieustannie wśród jasno-zielonych pól, zasadzonych niskimi krzakami rodzynek tak zwanych koryntów, najważniejszego produktu dzisiejszej Grecyi; uprawa ich jest bardzo staranną, a liczne potoki przybywające z wyżyny arkadyjskiej, ujęli pracowici mieszkańcy w rowy i bruzdy i rozprowadzili w celu nawodnienia po całem wybrzeżu. W kilka tygodni później, w czasie wyborów do parlamentu greckiego, sprawa koryntów była główną podnietą walczących stronnictw Trikupisa i Delyanisa i dzięki tej okoliczności dowiedziałem się wiele bliższych o niej szczegółów, a ponieważ one rzucają dosyć jasne światło na obecne stosunki ekonomiczne Grecyi, więc już je tutaj przytoczę.

Przed dwudziestu laty rodzynki korynckie uprawiane były na przestrzeni południowego wybrzeża zatoki korynckiej, zacząwszy od miasta Koryntu aż do miasta Eghion, dziś główniejszej stacyi kolei żelaznej na tej drodze. Po za temi granicami uprawa koryntów jeszcze nie była znaną. Produkt ten zapewniał stały zysk i wielkie dochody mieszkańcom wyż oznaczonej części wybrzeża. Widząc to powodzenie niezmierne swoich sąsiadów, mieszkańcy wybrzeża od Eghion aż do Patras, zaczęli niszczyć własne winnice i ogrody i w gorączkowym zapale obrócili wszystkie grunta pod uprawę koryntów. Za tym przykładem poszli dalej mieszkańcy zachodniego wybrzeża na całej przestrzeni od Patras aż do Pyrgos, a nawet na wyspach Zante i Sta Maura (Leukadya). Nietylko niszczono winnice, ale wyrębywano nawet gaje oliwne, by wszystkie grunta użyć pod uprawę koryntów.

Ale wskutek tego produkcya rodzynek tak się zwiększyła, że nie można było łatwo znaleść zbytu, a cena

ich tak upadła, że często nie pokrywała już nawet wydatków łożonych na uprawę. Kraj niegdyś tak bogaty od Koryntu do miasta Eghion, wskutek uprawy koryntów, a od Eghion do Patras i dalej wydający oliwę, wino, i przenicę, stał się w krótkim czasie zrujnowanym i zadłużonym.

Deputowani wezwali rząd, aby postanowił nowe prawa i wynalazł środek zapobieżenia złemu.

Dawniejsi producenci skarżyli się na mieszkańców Patras i Pyrgos, którzy stali się przyczyną ich nieszczęścia. Nowi producenci narzekali znowu, iż stali się z bogatych żebrakami i wzywali rząd, by wynalazł nowe rynki zbytu i postanowił prawa opiekuńcze. Pod takiemi hasłami odbyły się nowe wybory do parlamentu, a Delyanis przyrzekał wszędzie i wszystkim dogodzić, choć sam był w wielkim kłopocie i nie wiedział właściwie, co zrobić z tą sprawą. Mieszkańcy Koryntu i Eghionu żądali, by wykorzenić korynty w miejscowościach. w których dawniej nie rosły. Patras i Pyrgos, rzecz prosta, nie mogły się na to zgodzić, gdyż niełatwo jest zamienić pola rodzynkowe na winnicę i oprócz wielkich kosztów, trzebaby pięć lat czekać, nim się wychowa nowa winnica. Czekać pięć lat, to znaczy tyle, co umrzeć z głodu. Upadek ceny koryntów pochodził nietylko z przyczyny pomnożenia się ich ilości, ale także i z tego powodu, że nowi producenci nie umieli tak dobrze uprawiać i konserwować rodzynków, jak mieszkańcy Koryntu i Eghion i wskutek tego ich produkcya była znacznie lichszą. Były propozycye w parlamencie, aby rząd zakupił wszystek produkt roczny i żeby zebrał takowy do magazynów rządowych, mieszając dobry gatunek ze złym i płacąc wszystkim producentom jednakową miarę. Projekty te nierozumne wywołały nietylko gwałtowną opozycyę, ale były wprost niemożliwe do przeprowadzenia, bo zkądże wziąć na to pieniędzy? Wówczas Delyanis podał następujący projekt:

»Każdy producent ma dostarczyć rządowi 20 procent rocznej produkcyi w naturze, zapas uzbierany w ten sposób ma być użytym na wyrób spirytusu, a wynikły dochód obróconym na utworzenie w przyszłości banku opiekuńczego, dla udzielania pożyczek i zapomóg na cele melioracyi uprawy koryntów.« Według tego projektu każdy producent miał prawo składać do magazynów rządowych jaki bądź gatunek, a jeżeli nie posiadał lichego, mógł takowy zakupić u sąsiadów. Zebrany zapas, stanowiący $^{1}/_{5}$ część produkcyi całego kraju, mógłby już w pierwszym roku przynieść piękny dochód i pozwolić na rozpoczęcie akcyi ratunkowej. Przytem miano także nadzieję, że przez to cena produktu się podniesie, a ilość złego gatunku się zmniejszy. Ale mieszkańcy Koryntu i Eghionu podnieśli okropną wrzawę, a deputowani tych prowincyi byli gotowi przejść do opozycyi, uważając to za krzywdę, żeby składać do magazynów rządowych 20 procent dobrego gatunku koryntów, bo złego nie posiadali, a jako rzecz niesłuszną i ubliżającą, aby mieli u swych sąsiadów kupować podły gatunek i tym sposobem sami przyczyniać się do podniesienia jego wartości. Wskutek tego protestu, zmodyfikował rząd swój projekt w taki sposób, że każdy producent ma prawo składać rządowi korynty albo w naturze, albo też płacić 90 drachm za każde 1000 liter koryntów mieszczących się w owych 20 procentach. Tym sposobem ułagodzono gniew Koryntu i Eghionu, a Patras i Pyrgos jakkolwiek nie bardzo zadowolone, bo wygodniejby im było sprzedawać podły gatunek swoim sąsiadom po dobrej cenie, musiały się zgodzić i umilknąć. Prawo zostało ogłoszone i już dziś obowiązuje. Nie wiem, jakie są obecne rezultaty całej tej sprawy, ale za naszej bytności w Grecyi wszyscy ją mieli na ustach, a umysły były bardzo rozgorączkowane. W drobiazgowej sprzedaży były rodzynki ogromnej wielkości, prawie jak nasze śliwki, nadzwyczaj tanie i za kilkanaście leptów (1 drachma ma 100

leptów) można było ich dostać całe oko, tj. około 1 1/2 kilograma. Także i inne owoce południowe, jak zwłaszcza pomarańcze bardzo słodkie, daktyle, migdały, oliwki i cytryny bardzo są tam tanie w przeciwieństwie do jabłek i gruszek, których tylko jest mała ilość.

Już w podróży na każdej stacyi zakupywaliśmy owoce, lub ciasta i wino, ale to ostatnie, zarówno białe jak i czerwone, jest dla każdego, pierwszy raz do Grecyi przybywającego, ciężką przeprawą do zwalczenia. Coś pić potrzeba w kraju tak gorącym, woda nie wszędzie jest zdrową, a wino ma w pierwszej chwili smak olejku rycynowego, a nawet z początku i w skutkach podobnem się okazuje. Pochodzi to z silnej domieszki żywicy, aby umożliwić jego konserwacyą w klimacie tak gorącym. Dlatego wina greckie, z wyjątkiem niektórych gotowanych gatunków, jak np. wyborne wino słodkie z wyspy Samos, lub sławne cypryjskie, mało bywają wywożone. Ciekawą jest rzeczą, że w głębi kontynentu, w Arkadyi naprzykład, górale mniej recynują i tam jest wino daleko smaczniejszem, podczas gdy w okolicy miast większych, a zwłaszcza w Atenach, nawet w pierwszorzędnych hotelach i restauracyach, podają wino recynowane. Za wina węgierskie, austryackie lub francuskie trzeba bajeczne płacić sumy. Ale po jakimś czasie można do greckiego wina przywyknąć, a nawet w niem zasmakować.

Na stacyi Korynt był dłuższy przestanek i tu przygotowano nam śniadanie, a raczej po naszemu obiad, u Greków przyjęty jest bowiem ogólnie, podobnie jak i we Włoszech, francuski sposób życia. Tu po raz pierwszy poznałem kuchnię grecką; rizotto, baraninę i rodzaj wielkich ogórków nadziewanych i silnie pieprzonych. Baranina na wszelkie sposoby przygotowywana i przypiekana jest rzeczą główną w gospodarstwie greckiem i jeszcze o niej nieraz mi przyjdzie wspominać. Za stacyą Koryntem idzie droga kolejowa, przez jakiś czas wzdłuż resztek staroży-

tnego muru Istmijskiego, tu i ówdzie z ziemi wyglądającego, a zbudowanego jeszcze w czasie wojen perskich przez małodusznych mieszkańców Peloponezu, po bitwie pod Termopilami i zburzeniu Attyki.

Wkrótce na długim żelaznym moście przebywamy niedawno otworzony kanał Korynck, o wysokich, prawie pionowych brzegach, wyciętych w żółtym piasku i skałach i koło nowo powstałej osady Kalamaki, dosięgamy Sarońskiej zatoki, mając już odtąd morze po prawej stronie. Kanał Korynck zawiódł na razie nadzieje w nim położone. Wprawdzie z powodu jednakowego stanu wody, w obydwu morzach, obeszło się bez wszelkich sztucznych środków i uzyskano dostateczną głębokość 8 metrów, ale przy szerokości wynoszącej zaledwie 23 m., nie mogą korzystać z kanału większe parowce, ani się w nim wymijać tak, że dziś tylko mniejsze statki greckie płyną w nim raz w tę lub w ową stronę, co za pomocą odpowiednich sygnałów uregulowano. Przy tem bardzo wysokie brzegi tworzą prawie pionowe ściany, z których piasek i odłamy skał zsypują się co chwilę w koryto i mogą się stać łatwo przyczyną nieszczęścia. Jest zamiar odpowiedniego rozszerzenia kanału, a nawet już w kilku miejscach widać było rozpoczęte roboty. W samym środku nad kanałem, o 3 km. od jednej i drugiej zatoki, wznosi się na najwyższem miejscu całego przesmyku Istmijskiego potężna latarnia morska. Przy ujściach kanału, tak w zatoce Koryncklej, jak i Sarońskiej, urządzono za pomocą ław półkolistych sztuczne porty, przy których powstały małe osady Istmia i Pozejdomia. Kanał ten skracający drogę z morza Adryackiego do Egejskiego o przeszło 300 km., może mieć w przyszłości ogromne znaczenie handlowe; dziś parowce Lloyda zawsze jeszcze na drodze do Konstantynopola i Smyrny, muszą opływać Peloponez, co przedłuża podróż o 24 godzin.

Dalsza część drogi, aż do Megary, należy do najśmielszych znanych mi w Europie dział budownictwa kole-

jowego. Tu potężne skały Geranei piętrzą się dziko nad morzem i opadają stromymi i pionowymi jak ściana stokami. Wąska droga wykuta w tych ścianach, przecina je wysoko nad morzem, a liczne zagłębienia przebywa na żelaznych mostach, zawieszonych wprost nad pieniącymi się bałwanami, których szum chwilami przegłusza turkot wozów pociągu kolejowego. Miejscami droga wrębuje się w skały i tworzy długie korytarze i znów okrąża przepaście, a podróżny wyglądający z okna wagonu widzi się zawieszonym i pochylonym nad straszną głębią, do której co chwilę usuwają się i staczają z pod kół pociągu liczne odłamki skał i żwir obok nich wysypany. Taki widok przejmuje dreszczem ciało i nie dziw, że Grecy dzisiejsi nazwali tę okolicę »kakè Skalà« tj. złe stopnie, a mitologia uczyniła ją miejscem pobytu strasznego rozbójnika Skirona, którego z tych skał do morza wrzucił bohater ateński Tezeusz.

Zapomniawszy jednak, co się dzieje pod naszemi stopami, zwracamy oczy na wspaniale otwartą zatokę Sarońską, z licznemi rozsianemi w niej wyspami i głębokiemi przystaniami. Z okna wagonu widać na prawo jakby wielkie mnóstwo zamkniętych jeziór i kanałów, a głębsze tło tego krajobrazu stanowią grzbiety gór Argolidy, Eginy, Salaminy i Attyki

Od stacyi Eleuzis oddalamy się od morza i wjeżdżamy na równinę Triazyjską, gdzie Demetera najpierw ludzi nauczyła uprawiać rolę. Dalszą obserwacyę okolicy przerwali nam liczni agenci ateńskich hoteli, którzy zawiadomieni widocznie jeszcze z Patras o przybyciu nowych gości z »Europy«, jak sami Grecy się wyrażają, teraz wyjechali do Eleuzis, ażeby zachwalać swoje domy i ściągać podróżnych. Agent hotelu »d'Athen« okazał się sprytniejszym od innych, bo aż do Patras wyjechał i tam nas zaraz wziął w opiekę i nasze pakunki wyekspedyował, więc już teraz musieliśmy się tylko opędzać natrętnym na-

gabywaniom innych agentów, którzy nawet w czasie ruchu pociągu z jednego wagonu do drugiego po bocznych stopniach przeskakiwali i wszędzie się wciskali. Nie mogę pochwalić tego zwyczaju nagabywania podróżnych już w drodze do Aten; możnaby przecież to zastąpić pisaną reklamą, a na dworcu tylko ustawić portyerów, jak to się wszędzie dzieje.

Ale co kraj to obyczaj. Gorszem wydało nam się to, że od jakiegoś czasu zaczął deszcz padać, a na niebie zbierały się tak groźne chmury, jakby miała nastąpić wielka jakaś burza. Tymczasem pociąg z niesłychaną powolnością windował się na niewielki pagórek, porośnięty gajem oliwnym, który między Parnasem a Ägaleosem zasłaniał jeszcze przed nami attycką nizinę. Wreszcie zdawało się, że już dalej nie podoła siła lokomotywy i trzeba będzie iść piechoto. Konduktorzy nawet powyskakiwali z wozów i wziąwszy widocznie przygotowane już worki z piaskiem, sypali na oślizłe od deszczu szyny przed kołami pociągu. Silniejsze tarcie, które przez to powstało, umożliwiło nam wreszcie wydostanie się na szczyt tego grzbietu, skąd odrazu otwiera się widok na »święty, kolumnami ozdobiony, fiołkami uwieńczony, zazdrości godny błyszczący gród Ateny«. Wszystko, co od lat tylu było w duszy naszej tylko tworem fantazyi, staje się od razu rzeczywistością. Ciemny a wąski Pentelikon na lewo, w głębi przed nami, zamyka widnokrąg szary w tej chwili grzbiet miodopłynnego Hymetu, a w takich ramach widać mrowie białych domów, zpośród których dwa dosyć ostre wystrzelają wzniesienia, na lewo Lykabetos z murami małego kościółka na szczycie, a na prawo — o od razu cię poznałem, ty wyśniony i wymarzony obrazie duszy i witam cię, jakby dawną znajomość, ty święty klejnocie starożytności Akropolis ateńskie, przybytku modrookiej bogini-dziewicy.

Andrzej hr. Fredro.

Jeżeli wiersze mają oprócz rymu
Dla czytelników nieść skutek dodatni,
Jeśli myśl nie ma zniknąć jak kłąb dymu...
Nie będę pierwszy, nie bedę ostatni.
A myśl to zwięzła, jej jędrnym wyrazem:
Zawsze uczciwie, ale zawsze razem!

Józef Popowski.

Solidarność narodowa*).

W Polsce upadającej podporządkowywał zbyt wybujały indywidualizm interes ogólny zachciankom jednostki i znalazł ostateczny swój wyraz w osławionem *liberum veto*. Na szczęście utraciła Polska byt polityczny nie w chwili największego upadku, ale w epoce odrodzenia, gdy duch publiczny ocknął się, stan rycerski wyrzekł się zdobytych w wiekowej walce przesadnych praw i przywilejów i pozostawił narodowi wiekopomną konstytucyę 3. maja, znoszącą *liberum veto* i elekcyę królów, nadającą prawa mieszczanom i zabezpieczającą włościanom opiekę prawa. W kilka lat potem Kościuszko usamowolnił włościan, powołując ich do obrony upadającej Polski, i pozostawił narodowi świetną tradycyę bohaterstwa ludu pod Racławicami.

Utrata bytu politycznego wywarła niezmierne wrażenie na społeczeństwo polskie, świadome tego, że »straciwszy tę ojczyznę naszą, już drugiej takiej nie znaleźć w chrześcijaństwie, ani w pogaństwie. Wszędzie niewola, sama tylko korona polska wolnościami słynie«. Niejeden, aby nie przeżyć tej ojczyzny, targnął się na własne życie; niejeden z zaćmionym umysłem lub w czarnej melancholii dożywał dni swoich.

Wiemy z zasad socyologii, że jednostka może popełnić samobójstwo, ale społeczeństwo nigdy. Ci, którzy

*) Rzecz wygłoszona w »Kole«.

nie mogli znieść ciosu rozbioru, są wymownymi dowodami istniejącego u nas patryotyzmu. Uczczono ich jako gorących miłośników »tej ojczyzny naszej«, ale naród, posiadający warunki bytu, musiał dążyć do odzyskania swej niepodległości drogą czynów.

Po ostatnim rozbiorze część wojska polskiego wyszła za granicę i stała sie zawiązkiem legionów, które pod wodzą wielkiego Napoleona, w przeświadczeniu, że służą sprawie narodowej, rozniosły szeroko po świecie sławę oręża polskiego. O legionach tych śmiało można powiedzieć, że w ich obozy schroniła się wymazana z karty Europy Polska.

Nie było bowiem zakątka dawnych ziem Rzeczypospolitej, któryby nie dostarczył swego legionisty; cała młodzież z goręcej bijącem sercem dążyła do legionów; starsi nie skąpili jej ani środków, ani pomocy do uskutecznienia jej zamiarów, a poklask i życzenia matron i dziewic polskich towarzyszyły im.

Jeżeli konstytucya 3. maja była aktem patryotycznej większości narodu polskiego, a powstanie Kościuszkowskie zbrojnym protestem garstki patryotów przeciwko gwałtowi, dokonanemu na Polsce, to wieloletnie istnienie legionów, rosnących liczebnie wskutek nieustannego przypływu ochotników z całego kraju, było pierwszym objawem tej solidarności narodowej, która po niezmiernej klęsce zaczęła się w nas wyrabiać.

Po upadku wielkiego Napoleona utworzył Aleksander I. na mocy postanowień kongresu wiedeńskiego Królestwo polskie i nadał mu wielkie swobody. Ale z jednej strony tradycye napoleońskie, pielęgnowane i krzewione przez byłych legionistów, były zbyt żywe w kraju, aby tenże mógł pogodzić się z istniejącym stanem rzeczy i zadowolić się względną swobodą części ziem dawnej Polski, i w sejmie warszawskim powstała gwałtowna opozycya.

Z drugiej strony trudno było samodzierżcy wszech-Rosyi zżyć się i oswoić z rolą króla konstytucyjnego.

Brat jego i namiestnik w Królestwie Polskiem, wielki książę Konstanty, był człowiekiem dzikim i namiętnym, a gdy liberalny i lubiący Polaków Aleksander I. umarł, a despotyczny i samowolny Mikołaj I. wstąpił na tron carów, starcie między miłującymi wolność Polakami a poniewierającą ich prawa i swobody władzą stało się nieuniknionem.

Przy takiem naprężeniu, dało istniejące od lat kilku sprzysiężenie w listopadzie 1830 r. hasło do powstania. Za tem hasłem poszło nietylko wojsko, ale rząd i cały naród. W powstaniu 1830 r. widzimy nowy objaw solidarności narodowej, która pod wpływem klęski upadku i wzrastającego patryotyzmu coraz bardziej wyrabiała się u nas. Po upadku powstania utraciło Królestwo Polskie konstytucyę, sejm i wojsko, a na Litwie i Rusi wygnano język polski ze szkoły i urzędów, zrusyfikowano administracyę, zniesiono liceum krzemienieckie, przeniesiono uniwersytet z Wilna do Kijowa i zrusyfikowano go, i rozpoczęło się gwałtowne nawracanie unitów.

Ale nietylko zbuntowanej Polsce dała się uczuć mściwa dłoń Mikołaja I. Wstąpił on na tron po trupach dekabrystów i nad całem państwem carów zapanowała reakcya, o jakiej nastepne pokolenia zaledwie będą mogły sobie wytworzyć słabe pojęcie. »Wsi narody mołczały na wsich jazykach«, mówi Szewczenko. Ale wszelkie społeczeństwo jest żywym organizmem i jako takie musi dawać zewnętrzne znaki życia. Temu prawu społecznemu podlegają i poddani cara i wielu młodych, pełnych nadziei Rosyan zmarnowało się, lub ciężko odpokutowało za to, że nie było w stanie przytłumić w sobie uczuć ludzkich lub zamiłowania wolności. Dość wspomnieć kilku pierwszorzędnych pisarzy rosyjskich. Puszkin przebył lat sześć

na wygnaniu, a po ułaskawieniu musiał przedkładać swe rękopisy szefowi żandarmów.

Dostojewski przebywał wiele lat na Syberyi w ciężkich robotach, a Turgenjew wpadłszy w niełaskę za nekrolog o Bilińskim, pierwszym krytyku rosyjskim, którego dzieła przeszły jednak przez cenzurę, uważał za wskazane wynieść się za granicę i dopiero na parę lat przed śmiercią uzyskał pozwolenia powrotu do Rosyi.

A jednak Puszkin, Dostojewski i Turgenjew byli to patryoci rosyjscy, prawosławni, zżyci z tradycyą caratu. O ile cięższem i trudniejszem było położenie Polaka, kochającego swą ojczyznę, wyznającego religię katolicką, w którym tradycye rodzinne i narodowe rozwinęły zamiłowanie wolności. Polak nigdy nie był pewnym jutra. Mógł on wprawdzie powstrzymać się od wszelkiego objawu patryotyzmu, który bywał niemiłosiernie karanym, ale ileż to razy odpowiadał on za cudze przewinienia, lub znalazł się w przymusowem położeniu. W domu jego znaleziono książkę zakazaną, o której mógł nie wiedzieć, żona lub córka jego nauczyła kogoś z domowników czytać po polsku, jeden z jego bliższych przyjaciół został zaaresztowanym i wskutek tego zaczęto go podejrzywać, tropiony emisaryusz prosił go o chwilowe schronienie lub przytułek, i on miał do wyboru: zhańbić się, lub narazić na zgubę siebie i swoją rodzinę. Polski ksiądz katolicki mógł być pociągniętym do odpowiedzialności za wyspowiadanie prawosławnego, lub gwałtem nawróconego unity, dysponowanie go na śmierć, ochrzczenie dziecka z małżeństwa mięszanego, w którym ojciec lub matka byli prawosławni. Dodajmy do tego fałszywe donosy, sztucznie przez urzędników wywoływane sprawy polityczne dla obłowienia się, lub wykazania wyższym władzom w Petersburgu istniejącego w dawnych ziemiach polskich wzburzenia umysłów, a przekonamy się, że żaden stopień oględności, ba nawet lojalności dla cara, nie zapewniał Polakowi spokojnej przyszłości.

Po upadku powstania 1830 roku prawie wszyscy ludzie wybitniejsi wyszli z wojskiem na emigracyę, majątki ich zostały pokonfiskowane, a w kraju zapanowała grobowa cisza. Przy zupełnym braku życia politycznego nowi ludzie nie mogli się wyrabiać, a młodzieńcy z gorętszem sercem, zanim zdołali uzyskać wpływ na swoich współbraci — na chwałę ówczesnego pokolenia wyznać należy, że tylko gorący patryota mógł się stać popularnym — przypłacali swoje uczucia utratą wolności i mienia. Odkryty spisek, niebezpieczeństwo grożące z tego powodu znajomym i sąsiadom spiskowców, pędząca nie wiadomo dokąd i z kim kibitka... wstrząsały do głębi społeczeństwo polskie. Niezmierny wpływ nietylko na dorastającą polską młodzież, ale na całe ówczesne pokolenie, wywierała bujnie na emigracyi kwitnąca poezya polska, zajmująca się prawie wyłącznie Polską, jej przeszłością i przyszłością. To wzywała ona naród do broni i zagrzewała go jak Tyrteusz do walki, to przedstawiała Polskę jako męczennicę, pokutującą za grzechy innych narodów. Pomimo cenzury i srogich kar za posiadanie książek zabronionych, krążyły pieśni patryotyczne z rąk do rąk, przepisywano je i uczono się ich na pamięć. Zarówno sprzysiężenia, które utrzymywały kraj w nieustannem wzburzeniu, jak i poezya, przyczyniały się do wychowania naszej młodzieży w duchu najgorętszego patryotyzmu. Przytem ucisk ciążący równomiernie na wszystkich, niebezpieczeństwa, na które wszyscy bez wyjątku byli nieustannie narażeni, zbliżały niezmiernie ludzi do siebie, a brak ludzi wpływowych, brak walk osobistych o polityczne znaczenie... skierowały wszystkie myśli i uczucia ku sprawie ogólnej. Przy pozornej ciszy grobowej i powszechnej apatyi tlało pod popiołem, patryotyzm rozszerzał się, pogłębiał się, brał górę nad wszelkiemi innemi uczuciami, tak iż cały naród bolał nad niedolą ojczyzny, i rzeczywiście — jak to szczytnie wyraził pierwszy polski

poeta — »nie było szczęścia w domu, bo go nie było w ojczyźnie«. Prawdę tych słów jaskrawo stwierdził w roku 1861 kraj cały, zaprzestając wszelkich zabaw, okrywając się żałobą i zanosząc przed ołtarze Pańskie błagalne wołania o zwrócenie mu ojczyzny i wolności. Już podczas pierwszych demonstracyj dostrzegamy wielką karność i ślepe posłuszeństwo dla przywódców, po większej części nieznanych. W roku 1863 poddaje się cały naród rozkazom tajemnego rządu i daje dowody niepospolitej ofiarności i wytrwałości; wielu poświęca majątek i życie i nie zaprzestaje walki nawet po utracie wszelkiej nadziei. To bezgraniczne poświęcenie, świadczące o niezwykłej sile uczuć patryotycznych w społeczeństwie polskiem, tłumaczy nam, dlaczego Polska — ta ojczyzna *liberum veto* — daje od roku 1861 nieustanne dowody karności, posłuszeństwa, solidarności i trzeźwości.

W wolnych społeczeństwach stronnictwa polityczne walczą o władzę, która im daje możność przeprowadzenia swego programu.

Są jednak pewne sprawy narodowe, co do których przeważna część narodu jest w zgodzie, co do których wyrobiła się pewna tradycya, które każdoczesny rząd w tym samym duchu prowadzi, tak, iż pomimo zmiany gabinetów, zachowuje się pewna ciągłość działania. Ale nie od razu dochodzi naród do poczucia solidarności. Dość wspomnieć, że jeszcze w końcu zeszłego wieku spotykamy w obozach i sztabach armii, walczących przeciwko rzeczypospolitej francuskiej, nietylko rodzinę królewską i tak ściśle z nią spojonych członków arystokracyi, ale nadto zbiegłych wodzów naczelnych wojsk rzeczypospolitej — jak Dumouriez, Pichegru i Moreau — a w roku 1815 w przeddzień przekroczenia granicy belgijskiej, przeszedł jenerał Bourmont, dowódca prawego skrzydła armii Napoleona, wraz ze swoim sztabem do obozu pruskiego, gdzie go feldmarszałek Blücher przyjął z wyrazem naj-

większej pogardy. Odtąd jednak nie miał już żaden cudzoziemiec zręczności przypominania Francuzom obowiązków ich wobec kraju. W 1870 i 1871 roku zarówno hr. Chambord, jak i dnia 4. września 1870 zrzucony z tronu Napoleon III. byli sercem i uczuciem z wojskami rzeczypospolitej; książęta Orleańscy ofiarowali jej swe usługi, jeden z nich walczył w jej szeregach pod cudzem imieniem, a potomek wybitnego wodza wandejskiego, jenerał Charette, utworzył oddział wolnych strzelców dla obrony tej rzeczypospolitej, przeciwko której przodek jego wraz z wojskami skoalizowanej Europy walczył w obronie króla. Słowem idea Francyi zwyciężyła i zarówno rodziny pretendentów jak i ich zwolennicy zrozumieli, że interesa Francyi były bronione przez wojsko walczące pod sztandarem istniejącego de facto rządu, i popierali je wedle sił i możności. Podobnież i u Włochów i u Niemców wyrobiło się poczucie solidarności narodowej dopiero w ciagu bieżącego wieku pod wpływem literatury i gorących patryotów obu narodów i przyczyniło się do zjednoczenia Włoch i Niemiec. Obecnie i Francuzi i Włosi i Niemcy mają rządy dbałe o interesa państwa i narodu, a we Włoszech i w Niemczech zespolone z narodem dynastye przechowują tradycye i czuwają nad ciągłością polityki narodowej. W tych państwach mogą zatem stronnictwa polityczne walczyć zawzięcie między sobą o swój program, bo którekolwiek z nich zwycięży, interesa narodowe nic na tem nie ucierpią, gdyż silnie rozwinięte poczucie solidarności narodowej nie dozwoli żadnemu stronnictwu szukać poparcia po za granicami kraju. A rząd, wyszły z łona większości popieranej przez obce mocarstwa, utraciłby swą samodzielność, podlegałby wpływom obcych, mających swe odrębne cele i zamiary, wówczas gdy rząd francuski powinien dbać wyłącznie o interesa Francyi, niemiecki o interesa Niemiec, a włoski o interesa Włoch, i tylko

w dobrze zrozumianym interesie swego kraju popierać to lub owo mocarstwo lub kojarzyć się z niem.

Natomiast my Polacy, będąc pozbawieni samodzielności i nie mając polskiego rządu, sami musimy czuwać nad swoimi narodowymi interesami. Za świetnych czasów Rzeczypospolitej, rząd nasz był wprawdzie słaby, ale też i nie groziło nam żadne poważne niebezpieczeństwo z żadnej strony, bo sąsiedzi nasi skierowywali swe wysiłki w inne strony, albo też byli słabsi od nas zarówno pod względem rozwoju umysłowego i ekonomicznego, a cały naród troszczył się o losy tej ojczyzny swojej i gotów był do wszelkich poświęceń dla niej. Z powodu niemocy rządu naszego marnowaliśmy wprawdzie nadarzające się nam pomyślne okoliczności rozszerzenia swego wpływu, swojej kultury i swego panowania, ale dobrowolna unia z Litwą, Rusią i Inflantami, oraz dążenia Prus wschodnich i bojarów moskiewskich do unii z Polską, świadczą wymownie o tym uroku, jaki wywieraliśmy na ościenne narody. W czasach upadku partykularyzm i wybujały indywidualizm wzięły górę nad poczuciem solidarności narodowej i zarówno stronnictwa, jak i potężne jednostki, bez skrupułu porozumiewały się z obecnemi mocarstwami nietylko w czasie elekcyi, ale i podczas panowania ukoronowanego króla.

Niejeden sejm został zerwany za instygacyą sąsiedniego mocarstwa, niejednokrotnie bywał kraj pozbawiony środków obrony w chwilach najgroźniejszego niebezpieczeństwa, a rząd polski skazany na niemoc. W XVIII. wieku wojska obcych mocarstw wałęsały się bezkarnie po kraju i Polska stała się nakoniec łupem sąsiadów, czyhających na jej zgubę. Dopiero w Polsce odradzającej się w niewoli, w miarę wzrostu siły uczuć patryotycznych w narodzie, rosło i poczucie solidarności narodowej. Już w legionach śpiewano: »Niemiec, Moskal nie osiędzie, gdy jąwszy pałasza, hasłem wszystkich zgoda będzie

i ojczyzna nasza«, a od 1861 roku solidarność nasza narodowa ujawniła się w całym blasku. W niezmiernie ciężkiem położeniu naszego narodu jest ona nieodzownym warunkiem lepszej przyszłości, powinniśmy ją zatem bądź co bądź utrzymać, jeżeli nie mamy wyrzec się naszych ideałów. A nie da się zaprzeczyć, że ta solidarność narodowa nakłada na nas ciężkie ofiary.

Wielki patryota węgierski Franciszek Deak mówi: »Życie i ojczyznę powinniśmy poświęcić dla narodu, ale ojczyzny samej narażać nam nie wolno.« Otóż od nas wymaga ojczyzna nietylko poświęcenia majątku i życia, ale swego własnego ja dla idei Polski, bo narażamy jej przyszłość. jeżeli nie zdobędziemy się na tę najwyższą ofiarę, dla utrzymania solidarności narodowej. Jeżeli zatem z jednej strony każdy patryota polski powinien być pojednawczym dla umożliwienia tej tak nieodzownej solidarności narodowej — to znów z drugiej strony patryoci polscy, mający jaskrawsze poglądy społeczne, powinni pamiętać, że tylko w granicach solidarności narodowej wolno im je przeprowadzać, aby nie stosował się do nich wiersz z hymnu narodowego: »że naszą przyszłość cofnęli wstecz«.

Adam Krechowiecki.

Pax.

I.

Wiatr dął mroźny z północy i zerwała się zawierucha tak straszna, jaka tylko na stepach szaleć może. Tumany śniegu niósł wicher Bóg wie skąd, z niedoścignionych przestworów, wzbijał je wysoko, rozpraszał w powietrzu, smagał nimi, jak miotłą olbrzymią, zasypywał drogi i przejścia wszelkie, a gdzieniegdzie, jakby na igraszkę, wznosił z nich na równej, niezmierzonej przestrzeni gmachy potworne, lub całe gór łańcuchy o poszarpanych szczytach, zmieniających co chwila swe kształty.

Słońce, które z rana wyjrzało na chwilę, cofnęło zaraz swe blade promienie i znikło poza białą, mroźną kurzawą. A o godzinie trzeciej z południa, wśród jęku wichru, przeraźliwego szumu i huku zamieci, stała się ciemność.

Powoli, z trudem, krok za krokiem, przebijały się przez zaspy duże sanie, czterema końmi zaprzężone. Z koni zdyszanych, zmęczonych, buchała para gorąca, a w niej tajały nieco tumany śniegu, że wśród tej pustyni zasypanej zamiecią, to jedno miejsce, w którem poruszały się istoty żyjące, było chwilami widoczne, bardziej przejrzyste; tworzyło światek odrębny — maluczki, marny i słaby wobec potęgi szalejącego orkanu.

Światek ten żył i walczył... Życiem i tą walką świadczył o swem prawie istnienia wobec brutalnej siły burzy, która go znicestwić chciała.

Kiedy niekiedy odzywały się stłumione głosy.

— Nie daleko już karczemka... dojedziemy! — mówił stangret, ponaglając konie.

— Nie zimno ci, synku? — rzekł starzec do siedzącego obok czternastoletniego chłopczyka.

— Nie, tatku, nie zimno...

Malec, zakutany w futro, otulony baranicą, przygarnął się do starego ojca. Pomimo futra było mu bardzo zimno; kostniał cały, wicher przenikał go do szpiku. Ale nie skarżył się i za nic w świecie nie byłby się przyznał, że małe nóżki łamie mu mróz, a senność klei powieki.

O sobie nie myślał w tej chwili; gryzła go troska o ojca. Ojciec już chory wyjechał z domu, który rozpadł się w gruzy. Wyjechał, aby nigdy do stron rodzinnych nie powrócić. Chłopak bardzo odczuwał boleść starca, chociaż w całej pełni zrozumieć jej i podzielić jeszcze nie mógł. Do niego uśmiechało się życie, uśmiechało się nawet to miasto, do którego jechali, a którego nie znał, wyobrażał zaś je sobie wspaniałem. Tam zresztą miał kuzynków i kuzynki, z którymi tak mu było dobrze bawić się w czasie wakacyi na wsi! Tę przyjemność będzie mógł mieć teraz codziennie. Uczyć się będzie pilnie — tak sobie postanawiał — ale po szkole, wieczorem, rozkoszna zabawa w gronie kuzynków i kuzynek, z których jedna zwłaszcza, Minia, takie cudowne miała oczy szafirowe i taka dobra była dla niego. .

Ale biedny ojciec!... On tak się zmienił ostatnimi czasy, taki był zgnębiony, taki bardzo nieszczęśliwy! Nie mówił nic, nie skarżył się, ale w oczach zapadłych, ponuro przed siebie patrzących, w ustach zaciśniętych wyrażała się nieukojona rozpacz.

— A tatkowi nie zimno? — zapytał z kolei mały Zygmuś.

Gwałtowniejszy podmuch wichru zatamował mu głos w piersi i zmusił do kaszlu.

Ojciec nie odpowiedział nic, tylko gwałtownym ruchem objął syna ramieniem i przytulił do siebie.

I tak milcząc już, zwarci w uścisku, posuwali się zwolna, z trudem, otoczeni zewsząd nawałą śnieżną, gorący miłością, z pełną duszą łez palących, wśród mroźnej wichury, grożącej lodowatym uściskiem śmierci. .

— Tatuś! mój tatuś kochany! — powtarzał Zygmuś...

II.

Mała karczemka przydrożna, napoły rozwalona, z dachem zapadłym, miała tylko jedną dużą izbę szynkowną i alkierzyk, w którym mieścił się arendarz z rodziną.

W izbie o kilku oknach, na wszystkie strony świata zwróconych, lecz powybijanych i pozatykanych brudnemi szmatami, lub zaklejonych grubym, »cukrowym« papierem — odsunięto z jednej strony ławę od ściany i na ziemi rozesłano kilka wiązek słomy i siana. Przykryto je derkami i przygotowano tak posłanie dla podróżnych, zapędzonych tu zawieją.

Szczęście, że ocaleli! Albo może nieszczęście. W języku ludzkim zowie się to jednak i szczęściem i ocaleniem.

Zygmuś napoły skostniały, ułożony wnet przez ojca na posłaniu, odczuwał teraz całą rozkosz ciepła, które zwolna przenikało jego wątły organizm. Czuł się spokojnym, bezpiecznym i po przebytem udręczeniu — szczęśliwym. Brudne wnętrze karczemki wydało mu się wybornem schronieniem; nie raziła go nawet woń wódki, przepełniająca powietrze.

— Tu nam będzie bardzo dobrze — prawda, tatku? — mówił i dużemi oczyma, uśmiechnięty, patrzał na ojca, który krzątał się jeszcze, przykrywając go ciągle i pytając: czy mu ciepło?

— Ależ ciepło, doskonale!... Niech się tatko zaraz także położy...

— Położę się — odparł ojciec — tylko się pomodlę... Ty także zmów pacierz, synku...

Zygmuś walczył już ze snem, nie chciał bowiem tak rychło stracić miłego wrażenia tej chwili.

Zaczął mówić »Ojcze nasz«, i sen go zmógł nagle.

Śniło mu się, że jest na wsi, u rodziców. Na wsi, pełnej zieleni i światła, które z wypogodzonego nieba spadało zdrojami ciepła i promieni na błogosławioną ziemię. Wokoło tyle zbóż dojrzałych, tyle kwiatów polnych, tyle woni, takie życie w powietrzu, taki ruch pracujących i w polu, i w chatach — że serce rośnie i rozszerza się tą pełnią istnienia... O, jakże piękny świat! jak rozkoszne życie! Świat taki — to wielki obraz o nienaśladowanych barwach, pełny rozmaitości i niepospolitego uroku; a życie w tym wyśnionym świecie — to poemat rozkoszny. Oto kuzynka Minia uśmiecha się zdala i uciekając zalotnie, woła Zygmusia po imieniu, czule patrząc na niego szafirowemi oczyma.

I Zygmuś biegnie bez pamięci; traci z oczu wszystko; leci wśród zbóż i kwiatów ku tej uśmiechniętej a ślicznej...

Aż nagle pociemniało wszystko... Przepaść otworzyła się przed nim. Dziwnie przykre poczucie pogrążania się w otchłań bezdenną wstrząsnęło nim od stóp do głowy, otoczył go szum i huk, jakby fal morskich. Zabrakło mu tchu i obudził się, otwierając szeroko oczy, przerażone łoskotem, który i teraz słyszał na jawie.

Wicher szalał z coraz większą gwałtownością, i zdawało się, że za chwilę obali nędzną karczemkę. Przez szpary w oknach wciskał się do izby, miotając garściami drobnego śniegu, który w słabem oświetleniu świeczki łojowej, stojącej na stole, migotał chwilę i spadał na podłogę białym pyłem. Dziwne odgłosy wycia, jęku, trzasku belek i krokwi napełniały powietrze

Zygmuś chciał zawołać: »Ojcze!« — gdy wtem ujrzał jego postać, siedzącą przy brudnym stole szynkowym.

Przygarbiony, skulony w starem futerku, jedną ręką osłaniał płomień świeczki, aby nie zgasł od powiewu wichru. Świeczka ta mała, źle oprawiona i przekrzywiona w mosiężnym lichtarzu, na który ściekały pełne krople łoju, już się dopalała. Wielki knot wyrósł na kształt grzyba, wśród płomienia brudno-czerwonego, który chwiał się i migotał, rzucając pełzające blaski na okopcone ściany.

Starzec siedział naprzeciw Zygmusia. Rysy jego twarzy, niezmiernie piękne, miały wyraz ponury. Czaszka kształtna, obnażona z włosów, które tylko ponad skroniami spadały siwe, była pochylona nad książką do nabożeństwa, lecz oczy w nią nie patrzyły; posępne, utkwiły spojrzenie w dal, w przeszłość szczęśliwą a niepowrotną, z uporem rozpaczy. Druga ręka szarpała kiedy niekiedy brodę białą, długą, rozstrzępioną w nieładzie.

Wpółsenny jeszcze, a przerażony Zygmuś patrzył sztywnie na ojca, nie mogąc się poruszyć, niezdolny przemówić słowa.

A wicher szalał z coraz większą wściekłością, targając wiązaniem dachu. Za każdym gwałtownym podmuchem, starzec rzucał wzrok w stronę Zygmusia i porywał się, jakby chciał biedz na ratunek i własnem ciałem osłonić syna, aby go nie zasypały gruzy walącej się karczemki.

Knot świeczki skrzywionej rósł coraz bardziej i coraz ciemniej było w izbie. Starzec złożył książkę i odsunął ją od siebie, lecz po chwili wyjął z niej mały obrazek, nędznie malowany, stary, zużyty. Oparł go o lichtarz i wpatrzył się.

Obrazek przedstawiał Chrystusa ukrzyżowanego: mały wzgórek zielony, a na nim krzyż wielki, podparty u spodu dwoma wysterczającymi kołkami. Na krzyżu rozpięte ciało Zbawiciela z ciemną przepaską u bioder; rana w boku zaznaczona plamą czerwoną; takież plamy, niby krew ściekająca od korony cierniowej, pokrywały twarz, pochyloną na piersi, niewyraźną, zamazaną.

Ale starzec musiał dopatrzeć się w niej cudu. Nie odrywał od niej wzroku, a w miarę jak patrzał, ponurość rysów znikała...

Przed chwilą szarpał się w sobie, niemocny a pełen goryczy.

— Za co Ty mnie karzesz, Boże! — myślał. — Bez winy straciłem wszystko: strzechę własną, dobytek, znaczenie... Siły sterałem w pracy dla Ojczyzny, a teraz iść muszę na poniewierkę tułaczą, bezdomny i złamany...

W migocącem świetle gasnącej świeczki cała postać Ukrzyżowanego zdawała się poruszać i mówić:

— Cierpieć za innych i dla innych, cierpieć bez winy i wytrwać *usque ad finem*, to szczyt Golgoty... A ty skarżysz się, człowieku!

W oczach starca stanęły dwie duże łzy. Wstrzymały się pod powieką, dławione przemocą... Gorycz walczyła jeszcze z rzewnością, z uczuciem rezygnacyi chrześcijańskiej...

— *Usque ad finem* szepnęły usta starca. Poświęceniem jednostki żyją pokolenia...

Drżące ręce złożyły się do modlitwy. A wicher miotał ciągle garściami suchego śniegu w okna zaklejone grubym papierem, który wydawał głuchy chrzęst. Starcowi zaś zdało się w tej chwili, iż w tym chrzęście słyszy jakby szept:

Pax! pax!

I spokój wnikał w rozrzewnioną duszę, z której teraz strumieniem potoczyły się łzy gorące, spływając po twarzy bez łkania i wysiłku.

Ten cichy płacz ojca poruszył Zygmusia do głębi. Po raz pierwszy w życiu widział przed sobą ogrom cichego cierpienia. Nie śmiał ani się poruszyć, ani zawołać, tyle było w tej postaci majestatu, tyle w tych łzach bez łkania uroczystej powagi.

Po chwili jednak porwał się i przypadł do stóp ojca, nie mówiąc nic.

Starzec w drżące ramiona ujął syna i podniósł.

— Zygmusiu — rzekł — ilekroć będzie ci ciężko w życiu, wpatrz się w ten obrazek... Z Krzyża tylko spływa ukojenie...

III.

Nazajutrz, gdy Zygmuś otworzył oczy, budząc się ze snu twardego, zadziwił się blaskom słonecznym, które się wdzierały przez zaśnieżone okna do brudnego wnętrza karczmy. Rozjaśniło mu się w duszy.

Świat znowu był uroczy po wczorajszej zamieci, zasypany nawałą śniegu, który brylantowo lśnił się w promieniach, tając zwolna.

— Wstawaj, chłopcze! — rzekł ojciec, niemal wesoło. Śliczna pogoda, Bóg łaskaw! Pojedziemy zaraz dalej.

I pojechali na dolę i niedolę.

Odtąd było Zygmusiowi nieraz ciężko. Ale ilekroć chciał skarżyć się i słabnął, wnet stawała mu w pamięci postać ojca, płaczącego bez łkania przed obrazkiem Ukrzyżowanego, w owej karczemce przydrożnej, w noc burzy zimowej.

I w takich chwilach, jak niegdyś ojciec, wpatruje się w stary, zużyty obrazek. A z Krzyża przychodzi zawsze ukojenie...

W zmierzchu dnia, gdy wicher jesieni jęczy, lub zamieć śnieżna szaleje, widzi on zawsze przed sobą postać ojca-tułacza, a w brzmieniu wieczornego dzwonu, wzywającego na modlitwę za zmarłych, dosłuchuje się głosu:

Pax! Pax! Pax!

Franciszek Konarski.

Plecy*).

Dość już naiwny świat karmiono
Bałamuctw surogatem,
Że głowa człeka jest koroną,
Że głowa rządzi światem.
Dziś inne nieco mamy zdanie,
Od bredni tych dalecy,
Dziś głowa fraszką jest, mospanie,
A grunt, to u nas — plecy!

Bądź mądry jak Salamon, bratku,
Miej głowę jak Mefisto,
Lecz gdy ci pleców brak w dodatku,
Zostaniesz — dyurnistą!
Gdyś głupi jak tabaka w rogu,
A plecy masz, mój bracie,
To załóż ręce, dziękuj Bogu,
— Zaszczyty spadną na cię!

Ot krewniak mój — to wzór człowieka,
Jak wół roboczy służy,
A dziesięć lat awansu czeka,
Poczeka jeszcze dłużej!
I dźwiga jarzmo, zdrowie traci,
Żyd skórę zdziera z niego.
Kto winien? — Głowa, niech go kaci!
Lecz plecy do niczego!

Przeciwnie, hrabia Artur młody
Jest w drodze do kayrery,
Ma urząd śliczny, mir, dochody,
A służy latek cztery!

*) Wiersz wygłoszony przez autora na raucie „Koła“.

Podwładni wprawdzie szepcą cicho,
Że głowa on zabita,
I cóż stąd, że z nim w mózgu licho?
— Plecy jak mur, i kwita!

Kolegę miałem; chłop siarczysty,
Dłoń mistrza, mistrza oko,
Uśmiechał mu się laur artysty,
Bo piękno czuł głęboko!
Więc z dumą jasną wszedł u czoła
Na targ światowej gildy,
Lecz biedak pleców nie miał zgoła
I dziś — maluje szyldy!

Chcesz więc mknąć w górę jakby strzała,
Nie ronić łez po stracie?
— Puść w trąbę wszystkie członki ciała
I pleców pilnuj, bracie!
A gdy ci w synku przyrost nowy
Chcą nieba dać przychylne,
Proś, niech się rodzi i bez głowy,
— Lecz plecy niech ma silne!

M. Frenkiel.

Wspomnienia.

Biegałem za nią, bo piękna była.
Biegałem za nią jak... zakochany.
Słuchałem głosu, kiedy mówiła,
Czasem jej wdzięków byłem pijany.
(Motto ze zbioru poezyj własnych)

Tak jest! Byłem zakochany, jak Romeo. Biegałem w ślad za ubóstwianą, jak posłaniec z powodzeniem uprawiający swój zawód.

O! moje buty!

Szatynką była, a oczy... O! szanowny czytelniku, takie oczy zobaczysz dopiero na wycieczce »Koła literacko-artystycznego« w Zimnej-wodzie.

Istne bławaty!

Trudno! Niegodzien byłem patrzyć w te cudowne, niebieskie oczy, to też teraz patrzy kto inny, także niegodzien, ale szczęśliwy

Profan. On nie potrafi odczuć całej wartości skarbu, jaki posiada.

Alboż on umie patrzyć w te piękne oczy tak, jak powinien patrzyć człowiek, który patrzy, nie dlatego, żeby patrzał, ale dlatego, żeby patrząc... ja tego nie jestem w stanie objaśnić tak dobrze jakbym pragnął, bo w rzeczach miłości jestem złym teoretykiem, ale koniec końców on tak patrzy, jak się naprzykład patrzy na talerz rosołu. (Ten nędznik jest smakoszem.)

Anielska istota, ani się domyślała, że spacerując w Jezuickim ogrodzie wraz z mamą i papą (posiadała oboje), ściganą jest moim żarzącym jak węgiel (kamienny) wzrokiem.

Nie domyślała się, że na Szumanówce, kiedy z niebiańską gracyą hollendrowała z tym...! (nędznik umiał się ślizgać), ja zapatrzony, niemy jak sfinks, z tą tylko różnicą, że sfinks nie marznie — stałem na brzegu stawu, przemarzły do szpiku kości, z czerwonym nosem i sinemi wargami, zachwycony, rozmarzony. Każde silniejsze zetknięcie się jej wdzięków z twardą skorupą lodową, bolesnem echem odzywało się w mem sercu.

O! wtedy cierpiałem bardzo.

I byłbym tak długo jeszcze cierpiał.

Ona byłaby długo jeszcze nie domyślała się cierpień moich, gdyby nie fatalny wypadek.

Pod opieką czcigodnych życiodawców swoich, lekką stopą, jak uosobienie wiosny, przebiegała aleje ogrodu.

Właśnie skierowała się w stronę, w którą ja naprzeciwko krocząc, cały we wzroku, pragnąłem nareszcie dziś dać jej poznać, że właśnie jestem tym, o którym ona prawdopodobnie nie wie.

Już... już... czułem prawie zapach herbacianej róży, zatkniętej u jej szybko falującego łona, już prawie czułem, że się rumieni pod moim palącym wzrokiem, gdy wtem zachwiałem się w moich posadach i... jak długi runąłem u stóp mojego anioła.

Na ulicy leżał obojętnie sprawca nieszczęścia — ogromny kamień.

Podcięta tak niespodziewanie moim ciężarem, z okrzykiem przerażenia usunęła się lekko na mnie...

Usłyszałem w górze nad sobą wykrzykniki:

»A to cymbał, panie!«

I poczułem poniżej karku, dwa szybko po sobie następujące dotknięcia jedwabnego parasola, kierowanego ręką papy.

»Cóż za głupi sposób chodzenia!« oburzyła się mama.

»A cóż za niezgraba!« Ten ostatni epitet wypowiedziany był głosikiem, który niestety odróżniłem od innych.

Na domiar wszystkiego on się znalazł, a pomagając jej powstać, słyszałem wyraźnie, jak swoim pozytywkowym organem zaintonował: »Nie, spacery tutaj staną się wkrótce niemożliwe.«

Pamiętam dobrze, jak wówczas wyglądał.

Kołnierz miał tak wysoki, że z pewnością nigdy nie widział, co się na ziemi dzieje. Marynarkę zaś perłowego koloru tak skąpo przykrojoną, że nie powinien był nigdy ukazywać się bez palta, ze względu na przyzwoitość publiczną. Nędznik!

Obecnie spacerują pod rękę, po tej samej alei. Pobrali się. On kołnierzyki teraz nosi niższe, ale za to dłuższą marynarkę. Nie wiem, dlaczego?

Nieszczęsny kamień usunięto z drogi. Ja spaceruję tam tylko, gdzie jestem pewny, że nie spotkam papy z parasolem, mamy bez parasola i córeczki z oczyma koloru bławatów.

Jan Kaźmierz Zieliński.

Fragment.

(Z dramatu.)

. . . .
. . . .

HENRYK
(książę słowiański. Wpada na scenę. Przerażony na widok Gryna).

Gryn! Gryn! Sam jeden!
(Rzuca się na niego).
A gdzie towarzysze?!
Gdzie syn mój! Przemów! Waldemar nie wrócił?
Żyje? Zwyciężył?! W niewoli? Zabity?
(Wstrząsa nim.)
Odpowiedz przecie!

GRYN (odsuwa go).
Nie żyje...

HENRYK.
Waldemar!!

GRYN.
Zabity...

SŁAWINA.
Waldemar! Mój syn! Zabity!!

HENRYK (rzuca się na Gryna).
A! Niegodziwcze!...
(Wstrzymuje się wskutek jego wzroku.)
Więc syn mój... nie żyje!
(Pada na krzesło.)

GRYN (ponuro).

Przez Rugjan zabity...

MŚCIWOJ.

Pomścim go ojcze.

SŁAWINA (płacząc).

Nie wróci!

EGDORA.

Umarł!

OLHA (półgłosem).

Zabity — morderca!!

HENRYK (zrywa się).

Do broni, do miecza! Śmierć i zniszczenie
Syna mordercom! Niech palą się miasta,
Pola i lasy! Niech gruzy pokryją
Całą tę wyspę! Do broni! Za dzidy!
Hej towarzysze! Zwołać Nordalbingów,
Najlepszych w bitwie, najdzielniejszych w boju!
Niech wyspę Rugjan trupami zaścielą!
Krwi mi potrzeba! Pomścijcie śmierć syna,
Co po mnie berło miał dzierżyć w swem ręku!
Pomścijcie księcia! We krwi się zanurzcie!
Niech wasze dzidy wnętrzności im prują!
Niech w piersi każdej tkwią wasze oszczepy!
Niech w łonie każdem tkwią wasze bełty,
Niech każdy trup wydarte ma serce!
Na koń, żołnierze! Na koń, Nordalbingi!
Ja tu przed Bogiem na miecz ten przysięgam
Że prędzej nie zaznam snu ni spoczynku,
Dopóki Rugjan łbów tyle nie zetnę,
Ile Waldemar miał włosów na głowie!!

SŁAWINA (z płaczem).

Waldemar luby — synu mój jedyny!...

ŚWIĘTOPEŁK.

Nie płaczcie, matko! Zemsty nam potrzeba!
Pomścimy brata! Pomścimy ci syna!

HENRYK (pada na krzesło).

Powiedz jak było.

GRYN.

O strasznie — okrutnie!
Jak wilki za żerem wśród nocy cichej,
Skradały się hufce z twym Waldemarem,
Płynąc łodziami ku Rugjan siedliskom.
Szpiegi wysłane doniosły poprzednio
Że lud tej wyspy w śnie błogim spoczywa
I z nikąd napadu się nie spodziewa.
Łodzie do brzegu przybiły, bo cisza
Była dokoła, a noc księżycowa.
Syn twój Waldemar szedł przodem, my za nim.
Do świętej góry prowadził nas śmiało,
Świątyni Rugjan, ich bogów siedziby,
Gdzie gaj zaklęty, płotem okolony,
Dęby święcone, spruchniałe, przegniłe,
Dwu i trzygłowe, różnokształtne bóstwa
Tajnymi znaki obarwione były.
Dziką, pogańską tę Rugjan zagrodę
Zburzyć chcieliśmy i zniszczyć: podpalić!
By przy tym ogniu, z szkieletu ich bogów,
Przy łunie świętych, palących się dębów,
Napaść na Rugjan, wymordować wszystkich.
Skarby ich zabrać i całą tę ziemię
Dla twego berła zagarnąć, pochłonąć. —
Kiedy już hufce gaj święty zajęły,
I w okół ściśle pierścieniem zamknęły,
Kiedy Waldemar płonące łuczywo
Miał pierwszy chciwie do dęba przyłożyć,

Wrzask srogi, straszny, do koła się rozległ,
Wycie piekielne, zgiełk, hałas i wrzawa
Zgłuszyły płomień, zaćmiły nam oczy. —
Zewsząd do koła — jak wzrokiem dosięgnie,
Hordy poganów, Rugjańskich żołnierzy!...
Kapłani, kobiety, lud cały Ranów
W cepy uzbrojon, w widły, sznury, miecze,
Okrążył nagle hufce twego syna!
Wpadł na nas z tyłu, pod wodzą kapłanów,
Siekał i rąbał, mordował, zabijał!...
Szpieg nas oszukał, zdradził przeniewierca:
Skryci w zaroślach, czuwali poganie!
Walka zacięta, zajadła, zażarta,
Trwała nie długo. Pokryci ranami,
Słabsi liczebnie, pomimo obrony
Mężnej, walecznej, wściekłej, rozpaczliwej,
Z pięć setek dzielnych, zaledwie czternastu
Żywcem schwytano...

SŁAWINA.

A syn mój — Waldemar?...

GRYN.

Na sznur go wzięli — żywego schwycili!

OLHA.

Jak on mojego — Boże sprawiedliwy!

HENRYK (wstaje).

A ty patrzałeś? Miecz ci został w garści,
I żyw tu jesteś?!

GRYN.

Jam walczył, mordował.

HENRYK.

A tych czternastu?

GRYN.

Strasznie poranili.
Nos, uszy obcięli, oczy wyłupili,
Ręce i nogi wszystkim odrąbali,
Potem drgające życiem jeszcze trupy
Na stos rzucili — w mych oczach spalili!

HENRYK.

A Waldemara? A syna mojego...

GRYN.

Srogo męczyli...

SŁAWINA.

Męczyli!

HENRYK.

Męczyli!
A ty patrzałeś! Broń została w ręku
I żyw tu jesteś?! Z tą wieścią złowrogą
Przed ojca, przed księcia stoisz obliczem,
Cały, bez rany, z niestrzaskanym mieczem!
Gdy ich chwytano, gdzie byłeś?! Gdzie byłeś?!!

GRYN.

W sercach Rugjanów — żelazo topiłem!

HENRYK.

I żyw tu jesteś! To dziwno — to dziwno...
(Siada na krześle).

GRYN.

Gdy wszystkich zabito, Waldemara losem
Przejęty cały, w bezsilności mojej,
W otworze dębu, spruchniałego wiekiem,
Cudem schronienie przed wrogiem znalazłem.
I tam z ukrycia, syna twego męki,
Jego konanie dokładnie widziałem...

ŚWIĘTOPEŁK.

Tchórz podły!

MŚCIWOJ.

Bezpiecznie!

KANUT.

Jak szczur w ukryciu!

GRYN (groźnie).

Ty twym szczeniakom zabroń szczekać, książę!

HENRYK.

Syna męczyli... więc jak go męczyli?

SŁAWINA.

Nie mów! Ach przestań! Nic wiedzieć ja nie chcę.
Serce mi pęka z żałości i z bolu!

HENRYK.

Pozwól, niech mówi, niech serce ojcowskie
Napełni zemstą opis syna męki!
Więc cóż?...

GRYN (ponuro).

Nie pytaj...

HENRYK.

Mów wszystko...

OLHA.

Opowiedz!

GRYN.

Pal w ziemię wbili...

SŁAWINA.

Pal w ziemię...

HENRYK.

Pal wbili!...

GRYN.

Brzuch mu rozpruli, wnętrzności wyjęli,
Na pal przybili i potem wciąż gnali
W koło i szczuli gorącem żelazem,
Dopóki wszystkie nie wyszły jelita!

SŁAWINA.

Przestań na Boga!

GRYN.

A potem kleszczami
Rozpalonemi, szarpali mu ciało.
Aż upadł, skonał i spłonął na stosie!

HENRYK.

Zbóje! Oprawcy!

SŁAWINA.

Matko ucierniona!
Syna twojego przenajświętsza męko!

ŚWIĘTOPEŁK — MŚCIWOJ.

Pomścim go matko!

KANUT.

Pomścimy go wszyscy!

HENRYK (wstaje).

Brzuch mu... rozpruli... pomnijcie synowie...
Ciało szarpali... wnętrzności wydarli...
Pomścić go bracia! O! pomści go ojciec!

(Do Gryna.)

A kto przewodził?

GRYN.

Kapłani!

HENRYK.

Kapłani!
Scierwo — oprawcy! Hej żywo, Świętopełk,
Gońców rozesłać! Do Sasów w Holzacyi!
Do dzielnych Połabian, Obotrytów ludu!
Zbroić się syny! Lutycy, Kicynie
Pomoc nam dadzą! Słać gońców czem prędzej
Do Cyrcypanów! Obławę zrobimy,
Jakiej nie było aż dotąd na ziemi!!

ŚWIĘTOPEŁK.

Sam pójdę ojcze, a wszyscy tu staną!

(Wychodzi).

HENRYK.

Kapłani! Zbóje! Nie spocznę ja wprzódy,
Aż wszyskich wnętrzności rękami temi
Z ciał waszych nie wydrę! Aż jelit waszych
Na pal nie okręcę! Dzicy Rugjanie
Na stosie z bogów, w płomieniu z ich drzewa
W okropnych mękach skonają i spłoną!
A potem... potem... gdy gruzy pokryją
Całą tę wyspę i trupów popioły,
Wetknę w ziemię waszą — Krzyż Chrystusowy!!

. . . .
. . . .
. . . .

Anna Neumanowa.

Obrazki z życia kobiet wschodnich*).

Pozwólcie mi, czytelnicy moi, iż przerzucę was nagle z szarej, zimnej Północy, z naszych śniegów i lodów, na ziemię słońca i czarodziejskich baśni, pod palmy, wachlarzami zielonemi rozpięte, nad tajemnicze wody Nilu, w starożytne mury Kairu, najpiękniejszego z miast wschodnich.

Inna tam natura, rozbujała pod wpływem ciepłego klimatu, ztąd różnica obyczajów, charakterów, pojęć, a tem samem stosunków towarzyskich i społecznych. Wiadomą jest bowiem rzeczą, że pod wpływem położenia geograficznego, pod wrażeniem rozmaitych zmian i przejść politycznych, różnie się też ukształciły stosunki, charaktery i zwyczaje ludów.

Mieszkańcy stref zimniejszych, zdolniejsi do wytrwałej pracy, do rozwagi i umysłowego rozwoju, szybciej też zdołali się otrząść z przesądów ciemnoty, inaczej ukształcili swe pojęcia o obowiązkach społecznych i towarzyskich stosunkach. Ludy zaś Wschodu, u których rozbujała, szybszym krwi napływem rozgrzana wyobraźnia, góruje nad innemi władzami ducha; ludy, spętane zasadami fanatycznej wiary, która bardziej schlebia namiętnościom ludzkim, niż na uwięzi je trzyma, nie zdołają tak łatwo wyrzec się zastarzałych swych pojęć i zabobonów, przyjąć zwyczaje i formy europejskiej cywilizacyi. Ta odrębność

*) Rzecz wygłoszona przez autorkę w Kole artystyczno-literackim.

jednak, barwność kolorytu, a tajemniczość przytem i niedostępność, jaką się do niedawna Wschód daleki otaczał, tworzą właśnie ten urok i powab, jakie ma on dla nas, zepsutych, przesyconych wrażeniami dzieci Północy i Zachodu.

Główną przeszkodą do rozwoju, tak towarzyskiego, jak i ekonomicznego na Wschodzie, jest stanowisko podrzędne, jakie w społeczeństwie tamtejszem zajmuje — kobieta; zniżona do rzędu niewolnic, skazana na bezmyślne, próżniacze życie w murach swego więzienia — haremu.

Wiemy dobrze, jak ważnym czynnikiem jest dziś w naszych społecznych stosunkach skrzętna praca kobiety, jak dodatnim bywa wpływ jej moralny na rodzinę i towarzystwo; kobieta muzułmanka, trawiąc życie bezczynnie*) jest, rzecby można, tylko ozdobnym sprzętem swego domostwa.

Nie mając żadnej ze światem styczności, nie zna ona ani warunków właściwych życia, ani wartości pracy, lub pieniędzy; nie pyta, co, ile kosztować może, lub jak się nabywa, gdyż zarządem domu zajmuje się tak zwany »sufradżi«, t. j. rządca, najczęściej »kislaraga«, przewódca eunuchów, z całą zgrają podwładnych mu murzynów. Zastęp tychże werbowany bywa potajemnie z granic Sudanu i Abisynii, a ponieważ towar ten, tem dziś cenniejszy, iż trudny do nabycia, mamy więc w Egipcie wielu baszów i bejów, którzy swe majątki i tytuły zawdzięczają temu handlowi. Dzisiejszy khedyw stara się usilnie o przytłumienie handlu niewolnikami, chociaż sam we własnym haremie utrzymuje liczne grono niewolnic, a u bram jego

---

*) Bogatszy muzułmanin uważałby za ubliżenie swej godności, gdyby żona jego zmuszoną była zająć się czemkolwiek; jeden z Beduinów opowiadał nam, iż obił żonę, zastawszy ją gotującą wieczerzę. »Na to mam służebnice« — dodał z dumą. »Czem więc zajmuje się twoja żona po całych dniach?« — pytałam dalej. »Bawi się paciorkami, patrzy w lustro i czeka mego przybycia.«

pałacu czuwa cały zastęp strażników haremu. Matka zaś khedywa, żona zmarłego Tewfika, chwaliła się przedemną pewnego razu z całą naiwnością, iż udało jej się nabyć dwie młode niewolnice, Czerkieski *), które przeznacza jako podarek dla syna, gdy tenże powróci ze szkół wiedeńskich.

Dopóki istnieć będą haremy, dopóty i handel niewolnikami istnieć musi; ustanie on dopiero z zupełną reformą uświęconego przez Islam zwyczaju trzymania kobiet pod strażą.

Zwyczaj ten (muszę to na pochwałę proroka powiedzieć) nie został utworzonym, ale uprawnionym tylko przez Mahometa, gdyż harem jest zabytkiem dawno minionych stuleci, spuścizną po rozwięzłych królach Assyryi i Etiopii. Nie istniał on w starożytnym Egipcie, przeciwnie na posągach i płaskorzeźbach widzimy żony przedstawione obok mężów, dzielące ich godności i zaszczyty. Dopiero w późniejszej Tebaickiej epoce spostrzegamy gdzieniegdzie na płaskorzeźbach kobiety, igrające i pracujące pod strażą eunuchów. Obyczaj ten został więc wprowadzonym bądź pod wpływem napływających z Azyi ludów, bądź pod przewagą, uderzających raz po raz o granice Egiptu, Etiopów.

Ale przypatrzmy się bliżej życiu kobiet po za murami dzisiejszych haremów; spędziwszy lat 14 na Wschodzie, a 8 w samym Kairze — miałam sposobność zapoznać się z niemi dokładnie.

Jeśli zwiedzając stolicę kalifów, miniemy modne europejskie bulwary, pełne ruchu i gwaru ulice i przeludnione arabskie bazary, a zabłądzimy w ciche, osłonione ogrodami, boczne dzielnice miasta, napotkamy tu i ówdzie olbrzymie mury obszernych zabudowań i gmachów; gdzieniegdzie balkoniki i okna, przysłonione rzeźbionemi mi-

*) Jedna z nich jest dzisiejszą khedywową.

sternie kratami, ukazują się z poza palm i szerokolistnych bananów. U murów bramy żelazne, zamknięte, tajemnicze, strzeżone przez zgraje murzynów o twarzach bezmyślnych, o policzkach obwisłych i potwornych często kształtach. To strażnicy tych murów, za którymi bogaci muzułmanie kryją swe »haremliki«, t. j. przybytki szczęścia.

Któż z nas, czytając poetyczne opisy Wschodu, nie utworzył sobie w wyobraźni szerszego obrazu takiego haremu? Wśród kosztownych tkanin i wzorzystych kobierców, w komnatach, błyszczących zbytkiem, w półświetle lamp różnobarwnych i jedwabnych zasłon, kobiety, pełne powabu i wdzięku, śmieją się życia rozkoszą, jak czarodziejki tych zaklętych gmachów.

Jakże inaczej jednak przedstawia się nam ten obraz, gdy uchylimy owe złotem tkane zasłony i zajrzymy poza kraty tych ozdobnych klatek.

Dość spojrzeć na znudzone, przed czasem zwiędłe, wybladłe twarze tych kobiet, aby się przekonać, jak smutne i ciężkie wiodą one życie poza tymi murami, które często 200 lub 300 niewolnic kryją przed okiem innych świata mieszkańców.

Jak wspomniałam powyżej, niewola, zniesiona pozornie jeszcze za czasów Ismaila baszy, istnieje w rzeczywistości w całej pełni.

Cóż zresztą począć z tyloma kobietami, które do ciężkiej pracy, ani do stosunków świata nie nawykły? Zdarzało się więc, że te nawet, którym się udało umknąć z pałaców, po nieudanej próbie użycia swobody, powracały dobrowolnie do haremów, pomimo trwogi przed strasznemi karami, jakie je tam czekały, albo odbierały sobie życie, nie znajdując przytułku, gdyż żaden muzułmanin zbiegłej niewolnicy w dom swój nie przyjmie, z obawy zemsty jej pana. Dlatego też najpożyteczniejszą instytucyą, jaką wprowadzili nowi uzurpatorowie Egiptu, Anglicy, jest niezaprzeczenie dom przytułku dla zbiegłych niewol-

ników i niewolnic, którym dają nietylko utrzymanie, ale zajęcie, ucząc kobiety szycia i służby, mężczyzn rolnictwa i rzemiósł.

Według przepisów koranu, przysłuża każdemu muzułmaninowi prawo posiadania 4 żon; dzisiejsi jednak muzułmanie rzadko z tego przywileju korzystają, bo też i małżonki ich kładą zwykle za warunek przy ugodach ślubnych, iż mężowie tylko w razie rozwodu — inne żony pojmować mogą. Znać tu już wpływ europejskich idei, które krok za krokiem, nawet za te niedostępne mury haremów, wkradać się zaczynają.

Nowość ta nie zmienia bynajmniej podrzędnego, przykrego stanowiska kobiety, wobec zgrai nienawidzących jej najczęściej niewolnic i podłych barbarzyńskich strażników, którzy mają wstęp do jej komnat o każdej porze, a czyhają na każdy ruch jej, na każde spojrzenie, aby ją oskarżyć przed mężem i panem, lub też użyć za narzędzie zemsty nad tym panem, jeśli do tego najmniejszy mają powód.

Kobieta haremowa nie zna wprawdzie troski o byt codzienny, nie pyta o jutro, ale to jutro przynosi jej tylko czczość i nudę; otoczona intrygami, nie śmie ruszyć się krokiem bez swych nieodstępnych strażników. Dnie całe spędza bezczynnie, czekając tylko, czy też chwilowy kaprys nie przywiedzie w jej progi małżonka, który zupełnie oddzielnie żyje, gdyż dawny obyczaj nie pozwala muzułmaninowi nawet jadać w towarzystwie kobiet, a najuboższy fellach wstydziłby się przechadzać po ulicy z żoną.

Nikt też niech się nie waży pytać muzułmanina o żonę, o jej zdrowie i powodzenie; można pytać o wielbłąda, o konia, o dzieci, ale pytać o żonę lub niewolnicę — byłoby uważane za najwyższą nietaktowność.

Bogatszy muzułmanin jest tylko chwilowym gościem w swym haremie, na który przeznacza według możności gmach osobny, albo oddzielną część domu. Ubogi Arab

oddziela jedną część izby lub chaty zasłonami i kilimkami i stawia u wejścia parę pantofelków, na znak, że za tą zasłoną znajdują się kobiety, więc gościowi wstęp tamże wzbroniony.

Beduin przeznacza na to część namiotu szczelnie zasłonioną, nikomu nie wolno zajrzeć za te zasłony, które to prawo ułatwia, jak mi mówiono, niezmiernie handel niewolnikami, upajanie się haszyszem i inne policyjnie karane przestępstwa, gdyż według praw koranu, nawet władze policyjne zatrzymać się muszą przed tą parą pantofelków, zagradzającą wejście do »przybytku szczęścia«.

Każdy zresztą Arab, choćby i mniej zamożny, stroi ten swój przybytek szczęścia we wszystko, co posiada kosztownego i utrzymuje w nim, o ile go stać na to, kilka lub kilkanaście niewolnic. Niewolnice te podzielone są na klasy i rozmaite mają rangi. Najpierwszą rangę zajmują te, które przeznaczone są do usługi pana domu. W bogatych haremach mają one osobne komnaty, a jeśli która z nich ma to szczęście, iż zostanie matką syną, wtedy przestaje nazywać się niewolnicą i rozmaitych dostępuje zaszczytów; wobec małżonki jednak prawej, stanowisko takiej faworyty jest zawsze podrzędne, nie śmie ona usiąść w obecności pani lub pań*) domu i musi słuchać ich rozkazów z założonemi na piersiach rękami i z oczami pokornie spuszczonemi. Dziecię jej tylko uważane być musi na równi z dziećmi żon prawych, a te mają obowiązek macierzyńską otaczać je czułością.

Drugą rangę zajmują w haremie służebnice pani domu; te nie mają wcale wstępu do komnat pana, a jeśli która widzi go przechodzącego, obowiązkiem jej jest spuścić głowę i nie postąpić krokiem, aż pan domu przejdzie koło niej.

*) Muzułmanin, jak wspomniałam, ma prawo mieć cztery prawnie poślubione żony — między sobą nazywają się one siostrami.

Każda z tych niewolnic ma osobne powierzone sobie zajęcie; jedna pilnuje klejnotów, czyści je i ubiera w nie swoją panią; druga ma dozór nad sukniami; trzecia przyrządza tytoń, nakłada fajki i robi cygarety; każda zaś ma dodane sobie podwładne, czarne niewolnice, które w haremach najniższe posługi spełniają. W haremach egipskich książąt, każde z dzieci ma swe niewolnice osobne, swój dwór niejako, a nikt w pałacu nie ośmieliłby się wydać najmniejszego rozkazu, nawet przyniesienia szklanki wody tej niewolnicy, która do tego nie jest przeznaczoną.

Starsze i zaufane służebnice zostają z czasem dozorczyniami (kalfasami), a przełożona nad całem gronem niewolnic, główna zarządczyni domu, nosi nazwę »kjahia«. W nagrodę wiernej służby, dostają niektóre niewolnice osobne w podwórzach haremowych pomieszkanie, a czasem i małżonka, którego im pan domu sam ze swej służby wybiera. Kobiety te pozostają jednak zawsze na służbie w haremie i na każde zawołanie przybyć muszą; większa część zaś niewolnic nie opuszcza nigdy więziennych murów pałacu i nie wychodzi krokiem poza obręb ogrodów haremowych. Czasami tylko zdarza się, że która z nich, wybrana, towarzyszy swej pani na przechadzkę pod strażą eunuchów i w ciężkich zasłonach.

Łatwo pojąć, jakich to kosztów wymaga utrzymanie takich haremów, tem bardziej, że marnotrawstwo, nieoględność i nieład w nich panują, to też wobec zmienionych dziś stosunków, wygórowanych potrzeb i wymagań, a zniżonej wartości pieniędzy, wszystkim prawie majątkom baszów i bejów grozi ruina, a dzisiejsze odaliski haremów, pozwalając sobie na rozmaite wybryki i naśladując zbytkowne wymysły europejskich kobiet, przepełniając komnaty haremowe kosztownemi fraszkami i cackami europejskiemi, wtrącają swych małżonków w przepaść — długów.

Znałam w Kairze księżnę, która, pragnąc na wzór Angielek używać konnej jazdy w obrębie swych ogrodów, sprowadziła z Paryża od Wortha 12 amazonek; inna znów winną była fotografom kairskim 60.000 fr. za fotografie, to też fotografie stały się dziś manią w haremach egipskich, a odaliski fotografują się w rozmaitych możliwych i niemożliwych pozach. Wprawdzie fotograf sam wstępu do haremów nie ma, zdjęcia więc robi żona lub córka fotografa, związana naprzód przysięgą, że nikt tych zajmujących obrazków widzieć nie będzie. Nie zawsze jednak przysięga ta dotrzymywaną bywa; zdarzyło się więc, że jednemu z kairskich baszów przysłano anonim fotografię żony jego, w stroju mitologicznej nimfy.

Dzisiejsi muzułmanie egipscy nie są już jednak tak surowi w swych pojęciach, aby karać śmiercią podobne wybryki. Szepcą po arabsku: »Malesz« (t. zn. »nic nie szkodzi«) i umizgują się ze swej strony do kobiet europejskich.

Zanim zapoznam czytelników moich z temi emancypantkami muzułmańskiemi, zajrzymy pierwej do tych haremów, w których starożytny obyczaj, o jakim wyżej wspomniałam, po dziś dzień panuje.

Jednym z najbardziej zajmujących haremów, które zwiedzałam w Egipcie, był harem matki exkhedywa, Ismaila baszy, ostatniej żony dzikiego satrapy Ibrahima.

Zmarła przed kilkoma laty staruszka, do końca życia królewskim otaczała się przepychem. Największy z pałaców »Kasr-Ani« — oddano jej na mieszkanie; pięćset niewolnic słuchało jej rozkazów, a zabudowania, pałac otaczające, zajmują obszar kilku kilometrów. Trzy podwórza oddzielają pałac od ulicy; w pierwszem są zabudowania dla strażników, w drugiem mieszczą się czarne niewolnice, w trzeciem dopiero, wśród wspaniałych krzewów, kiosków, wodotrysków, po ścieżkach, marmurem wykła-

danych, snują się w fantastycznych ubiorach, jakby milczące cienie, mieszkanki haremu.

Pałac sam, jako budynek, nie jest zewnątrz ozdobny, gdyż dawnym obyczajem, w Egipcie, nie zdobiono zewnątrz gmachów, aby nie budzić chciwości uzurpatorów i zawiści samych władców satrapów. Jak większa część haremów, pomałowany jest na kolor różowy, który u muzułmanów uważany bywa za barwę szczęścia. (Gdy kazałam pewnego razu przemalować drzwi mojej sypialni w Kairze, malarz Arab pomalował je jaskrawą różową farbą, utrzymując, że drzwi, wiodące do haremliku konsula, muszą być kolorem szczęścia ozdobione.)

Gdy przybyłam do pałacu księżnej Ibrahim, dwaj murzyni porwali mnie z powozu i wnieśli raczej, niż wprowadzili, do obszernego przedsionka, ozdobionego wodotryskiem, nad którym kołysały się kolorowe lampy, a dalej, przez szerokie schody, do przepysznej, wielkiej sali, w której licznie zebrane niewolnice czekały już mego przybycia. Te ujęły mnie znów pod ramiona i w milczeniu wiodły dalej, przez długi szereg salonów. Wszędzie bogate, perskie makaty pokrywają ściany; u drzwi jedwabne portyery, złotym haftem tkane, na posadzkach marmurowych puszyste i barwne dywany, a po rogach komnat olbrzymie świeczniki z weneckiego kryształu i kadzielnice złote, w które niewolnice rzucały wonne kadzidła, zapewne na cześć moją.

Mebli w tych salonach mało — wzdłuż ścian widać tylko nizkie, długie kanapy. t. zw. »mendżiry«, przykryte kosztownemi tkaninami, przy nich w półkole, ułożone na dywanach, haftowane poduszki, zastępują nasze taburety i fotele; gdzieniegdzie stoliki, wykładane perłową masą i kością słoniową.

Szaf lub innych pożytecznych sprzętów nie spotyka się w haremach; zastępują je misternie rzeźbione, lub w szafach ukryte półeczki, albo skrzynie ozdobne.

Księżna przyjęła mnie nadzwyczaj gościnnie; będąc cierpiącą, kazała przenieść się ze swej sypialni do »selahmliku«, t. j. głównego salonu, i powitała mnie, dotykając trzy razy mojej dłoni, starym obyczajem muzułmanów, którzy po trzykroć pozdrawiają, mówiąc: »dla ciebie, dla twego ojca lub męża, dla twej rodziny«.

Rozmowa toczyła się w języku tureckim, a lektorka księżnej służyła za tłumacza. Niewolnice długim rzędem stały wzdłuż ścian, nieruchome, jak posągi; niektóre z nich ubrane były w długie, arabskie suknie, przepięte złotymi paskami; inne miały wpółeuropejskie stroje, a na głowach modne czapeczki, lub sztuczne kwiaty, w czem, szczególniej murzynki, pociesznie wyglądały. Dwie niewolnice stały ciągle przy księżnej, oczekując jej skinienia; dwie inne ustawiono koło mnie, aby wielkimi wachlarzami, z piór pawich, powiewały ustawicznie nad moją głową, co rozdrażniało do najwyższego stopnia moje nerwy, nienawykłe do tego hołdu.

Sama księżna miała na sobie strój turecki: na szerokie, jedwabne szarawary spadała tiunika także jedwabna, haftowana, szarfą spięta. Na głowie kołpak, wyszyty złotem, powiązany był białą gazą, która okalała twarz i brodę, jak rańtuchy naszych wieśniaczek.

Rozmowa moja z księżną nie była zbyt ożywioną; polegała raczej na wymianie obopólnych grzeczności. Księżna wspominała z żalem o synie swym ukochanym Ismailu, i przedstawiła mi jakąś niezbyt młodą blondynkę, podobno jedną z emerytowanych żon Ismaila *).

Uskarżając się na reumatyzm, zaręczała mi księżna, że cierpienia tego, równie jak mgły, nie znano pierwej w Egipcie i że przywieźli je z sobą ze swej mroźnej ojczyzny Anglicy, *ces gens que je ne veux pas nommer.*

---

*) Khedyw Ismail miał 32 żon, oprócz licznego zastępu niewolnic.

Wypytywała mnie także z ciekawością, jakiej jestem narodowości; trudno to było wytłumaczyć, gdyż muzułmanki o geografii bardzo niedokładne mają pojęcie. Wreszcie lektorka księżnej, Francuzka, wyjaśniła kwestyę, opowiadając, że ze Stambułu trzy dni na północ jechać trzeba, aby dojechać do Lechii, t. j. do Polski.

Po dość długiej rozmowie, wniosły niewolnice kawę czarną w małych kubkach, tkwiących w złotej, brylantami ozdobionej oprawie; inne znów podały fajki o olbrzymich, przerażająco długich cybuchach. Wielkie bursztyny tkwiły w oprawie z drogich kamieni, a przed każdą z nas uklękła niewolnica, trzymająca tacę na popiół.

Przyjmując kubek kawy, ukłoniłam się księżnej sposobem tureckim, przykładając rękę do ust i czoła, i wyrecytowałam. wyuczoną już pierwej, formułkę: »Allah niechaj pomnoży dostatki w domu twoim« — na co księżna równie uprzejmie odpowiedziała: »Z tobą, o gościu mój! weszło już szczęście do domu mego.«

Pomiędzy niewolnicami księżnej dostrzegłam wiele młodych i pięknych kobiet; mówiono mi, że pochodzą one po większej części z Syryi, Georgii, Taurydy, dziećmi jeszcze przez podłych handlarzy do haremów sprzedane.

Poszukiwane są także Abissynki, z powodu łagodnego charakteru i pięknych kształtów.

Niewola w haremie księżnej Ibrahim miała być nadzwyczaj ciężką; ponure sceny opowiadają o jej okrucieństwie: fale Nilu, pod oknami pałacu płynące, często podobno w dawnych latach unosiły ciała zamordowanych, umęczonych ofiar, a gdy pewnego razu jeden z kuzynów*) księżnej poważył się pochwalić ręce usługującej mu niewolnicy, księżna rozkazała nazajutrz uciąć jej obie ręce i... ugotować.

---

*) Krewni blizcy, do 3-ciej linii, mają wstęp do haremu.

Nie chciałam wierzyć tak potwornej zbrodni, gdy jednak wyraziłam oburzenie moje jednej z dam haremowych, odpowiedziała mi najspokojniej: „*Ce sont det esclaves, leur vie nous appartient.*“

Przekonałam się zaś, że w opowiadaniu o tych okrucieństwach musiało być wiele prawdy, gdyż w lat kilka później, będąc przytomną pogrzebowi księżnej, słyszałam złorzeczenia i przekleństwa ludu, towarzyszące zmarłej aż do grobu, pomimo darów, zwyczajem arabskim hojnie między lud rozdawanych.

Inne już nieco pojęcia o niewoli spotykamy u młodszej generacyi muzułmanek, wychowanej przez francuskie i angielskie guwernantki, nie zawsze jednak szczęśliwie dobrane, a napływające dziś tłumnie do haremów. Są to niestety po większej części kobiety, chciwe zysku, schlebiające kaprysom swych uczenic i wyzyskujące ich nieznajomość świata. To też powierzchowne i niedokładne wykształcenie, jakie nadają młodym muzułmankom, nie wiele szczęścia przyniosło tym więzionym kobietom; przeciwnie, rozbudza ono wyobraźnię, podnieca myśl, a nie nadaje tego zadowolenia, tego spokoju, jakie w naszych stosunkach towarzyskich szersza wiedza i praca nad sobą wyrobić mogą w kobiecie.

Wychowaniu młodej muzułmanki brak najgłówniejszych podstaw: brak wiary, gdyż sam prorok nie żąda od kobiety wypełniania przepisów religijnych i zabrania jej tak wstępu do meczetu, jak i czytania koranu — brak poczucia obowiązku i godności osobistej, bo czyż podobna wpoić je w duszę kobiety-niewolnicy, strzeżonej przez — eunuchów i nienawidzącej tych węzłów, jakimi ją spętał dawny obyczaj? Dzisiejsza muzułmanka, nabywszy trochę wiedzy, nasłuchawszy się o mniemanej swobodzie kobiet europejskich, przeczytawszy kilkadziesiąt romansów francuskich, których stosy widziałam w haremach, tem boleśniej odczuwa swe podrzędne towarzyskie stanowisko.

Wiele też przyczynił się do złego nowy zwyczaj, iż bogaci baszowie mają w teatrze kairskim loże dla swych pań haremowych. Loże te osłaniane są kratami i koronkowemi firankami, tak, że tylko oczy i brylanty księżniczek błyszczą ponętnie z po za nich. Czy jednak pożytecznie jest dla nich patrzeć na takie widowiska, jak »Fru-fru«, »Niniche« i t. p., to wielkie pytanie.

W niektórych haremach istnieje dziś zwyczaj, iż młode dziewczęta (lat 10) wysełane bywają do europejskich instytutów na wychowanie. Z jak ciężkiem sercem wracają one potem w progi haremów, aby w latach 14 lub 15 przywdziać »jaszmak«, t. j. muślinową zasłonę, jak nieszczęśliwe czują się w otoczeniu bezmyślnych kobiet wschodnich — pojąć łatwo.

Gdy poznawszy śliczną córkę Szeryfa-baszy, która lat 4 przebyła w jednym z zakładów paryzkich, spytałam jej, dlaczego nie wychodzi za mąż, odpowiedziała mi ze łzami w oczach: »Ojciec był dotychczas tak dobry, że nie zmuszał mnie do zamęźcia, a wolę być niewolnicą ojca, którego kocham, niż niewolnicą obcego mi pana, którego może nienawidzić będę.«

Jak zgubne są skutki owej półcywilizacyi, przekonaliśmy się w Kairze przy zgonie księżnej Mansur, siostry byłego khedywa, która zrujnowawszy mienie i zdrowie na wybryki swej rozbudzonej fantazyi, padła w końcu ofiarą grasującej dziś w haremach: morfiomanii.

Była to jedna z najsprytniejszych muzułmanek, które poznałam w Kairze; znając dobrze język francuski, równie jak włoski i angielski, pochłaniała setki lekko pisanych i najgorzej dobranych książek, których najjaskrawsze ustępy często nam wygłaszała.

Miała też najdziwaczniejsze pojęcia o złem i dobrem; z najwyższem oburzeniem opowiadała mi, że u nas w Europie kobiety tak są bezwstydne, iż przy świadkach całują swych mężów. W oczach muzułmanki, przywykłej od

dziecka do ukrywania uczuć, ten ich objaw większą był zbrodnią, niż zdrada zręcznie ukryta.

Gdym ją raz przekonać chciała, że i w Europie kobieta niewolnicą jest obowiązków społecznych i domowych, krzyknęła z rozpaczą:

»Jesteście wolne, możecie czuć i myśleć!« i jak rozjuszone zwierzę jęła biegać wzdłuż i wszersz po salonie. Przestraszony eunuch podał jej etui z cygaretami, w których, jak mi mówiono, była silna przymieszka opium, a które księżna nieustannie paliła.

Wyjątkiem pomiędzy zdemoralizowanemi młodemi muzułmankami, była za moich czasów sama wicekrólowa, żona Tewfika-baszy, matka dzisiejszego khedywa. Umie ona połączyć postępowe idee, z dawnymi obyczajami haremowymi; harem, w którym przebywa, nie czyni wrażenia więziennych murów, a niewolnice otrzymują pewną małą płacę.

Wicekrólowa była jedyną żoną zmarłego khedywa, który idąc za wzorem europejskich małżonków, poddawał się chętnie pod pantofelek swej pani, słynnej z wdzięku i wrodzonego sprytu.

Ponieważ mnie, jako żonie konsula, przypadał obowiązek przedstawiania u dworu dam, z Austryi przybywających*), byłam więc częstym gościem w pałacu »Abdin«, którego jedno skrzydło, na zupełnie oddzielne podwórze wychodzące, zajmuje harem khedywa.

Wicekrólowa przyjmowała każdej soboty europejskie, każdego piątku arabskie damy, a między jednem i drugiem przyjęciem była tylko ta różnica, że myśmy witały wicekrólową zwykłym ręki podaniem, Arabki zaś przyklękają i całują kraj sukni, powtarzając po sto razy ukłony

*) Z Polek, do Kairu przybyłych, przedstawiłam wicekrólowej: księżnę Andrzejową Lubomirską, ks. Radziwiłłową, hrabinę Sohańską, Drohojowską i innych kilka dam naszych.

ręką do piersi, do ust i czoła t. zw. »Salahm«. W balach dworskich wicekrólowa udziału nie bierze, wolno jej tylko patrzeć przez zakratowane okna haremu, wychodzące na pałac, jak się bawią kobiety europejskie, jak błyszczą strojem i wdziękiem, jak flirtują z egipskimi baszami i bejami; biedne zaś żony tych ostatnich, nie mogą nawet mieć satysfakcyi natarcia uszów swym małżonkom za tę przewinę, bo srogie prawa haremu mężczyznom zupełną zapewniają swobodę.

W ostatnim roku pobytu mego w Kairze uczyniono dla wicekrólowej pewne ustępstwo: w czasie balu jeden z adjutantów khedywa oznajmił wszystkim paniom z koła dyplomatycznego, iż wicekrólowa oczekuje ich wizyty. Przeprowadzono nas przez długi szereg komnat, w końcu ukazały się strzeżone przez sześciu murzynów drzwi do haremu. Gdyśmy podniosły ciężką kotarę, ukazał się oczom naszym istnie czarodziejski obrazek: w pośrodku saloniku, obitego różowym jedwabiem, siedziała khedywowa w przepysznej toalecie, ozdobionej aż do dołu brylantami. Wysoki dyadem zdobił czarne jej włosy, a pulchną szyję otaczał kołnierz z drogich kamieni, misternie ułożony. Podziwiałam ją wtedy w całej pełni szczęścia i swobody; dziś śmierć męża i despotyzm syna przygnębiły ją i zmieniły do niepoznania.

Urządzenie sal w haremie wicekróla jest już zupełnie europejskie i wcale niegustowne. Jaskrawe obicia na meblach, angielkie dywany w olbrzymie kwiaty, na ścianach zwierciadła w złotych ramach i bardzo liche obrazy, wszędzie zaś mnóstwo fraszek i świecidełek, porcelanowych figurek, albumów z fotografiami młodych europejskich mężczyzn i t. p. nowości.

Gdzieniegdzie tylko wyziera z ukrycia misternie rzeźbiony sprzęcik arabski, lub cenny perski dywanik. Tylko sypialnia wicekrólowej urządzona jest z dawnym przepychem: nad srebrnem łożem upięta kotara, hafto-

wana jest prawdziwemi perłami, nawet poduszki klejnotami są ozdobione; mimopatrząc na ten przepych, przychodzą na myśl słowa księżniczki szwedzkiej, która, zwiedzając tę sypialnię, zawołała: *„C'est trop beau, on ne saurait on mettre la téte."*

Miałam parę razy sposobność rozmawiania sam na sam z wicekrólową, a jedna szczególnie z tych wizyt utkwiła mi żywo w pamięci. Otrzymawszy polecenie, aby w imieniu naszej cesarzowej, prosić o fotografię wicekrólowej z jej własnoręcznym podpisem, udałam się do pałacu w dniu, który nie był dniem ogólnego przyjęcia. Wprowadzono mnie do prywatnego saloniku khedywowej, a ulubiona jej niewolnica Azra, blada, wysmukła, czarnooka Czerkieska, dała mi do zrozumienia, iż pani jej zaraz się ukaże. Tymczasem wysłano na moje powitanie małe księżniczki.

Miłe to były dziewczątka, liczące wtedy jedna 11, druga 8 lat (dziś obie są już zamężne). Trzepały po angielsku o wiele lepiej, niż po turecku; szpecił je tylko ciężki, przesadny ubiór; małe te osóbki zdawały się uginać pod ciężarem atłasów, koronek i klejnotów, któremi je owieszono.

Wice-królowa nie dała mi długo czekać na siebie; ukazała się wkrótce w paryskiej, pysznej toalecie. Po zwykłych powitaniach, zwyczajem tureckim, pytałam o zdrowie wszystkich z rzędu osób rodziny khedywa. Dziękując, odpowiedziała mi księżna zarazem, że niezmiernie jest zadowoloną z umieszczenia synów w Theresianum w Wiedniu: *„I' espère que là bas, on en fera des hommes: içi on en aurait fait des poinses seulement."*

Po chwili rozmowy, niewolnice, w codziennych strojach z lekkiego muślinu i białych, złotem tkanych zawojach, wniosły stolik, bogatą przykryty makatą, którą »kjahia« (dozorczyni) ostrożnie podniosła. Ukazały się kubki kawy, tkwiące w bogatych oprawach.

Dopiero po kawie, gdyż tak każe wschodni obyczaj, spełniłam dane mi zlecenie i prosiłam o fotografię dla cesarzowej Elżbiety. Życzenie to austryackiej monarchini widoczną radość sprawiło wicekrólowej; obiecała spełnić je natychmiast, ale zarazem ubolewała nad tem, że cesarzowa, zwiedziwszy Aleksandryę, nie przybyła do Kairu.

Zapewniłam, że prędzej czy później władczyni nasza zechce zapewne zwiedzić to najciekawsze miasto na świecie; »ale — dodałam dalej — i my również spodziewamy się, że wasza wysokość zechce kiedyś odwiedzić synów w Wiedniu«.

— O nie, pani! — odrzekła wicekrólowa z uśmiechem— byłoby to przeciwne naszym zwyczajom i religijnym ustawom.

— A jednak — mówiłam dalej, niezrażona tą odpowiedzią — tak wiele zwyczajów tych zmieniono w ostatnich latach, że może i surowe prawa haremu pozwolą księżniczkom egipskim podróżować po Europie, jak to już miejsce miało potajemnie.

— Niestety! — odpowiedziała mi wicekrólowa z powagą — masz pani słuszność, że w ostatnich latach zbyt wiele zmieniono w obyczajach naszych. Cywilizacya wasza pochłania nas. My, panujący, powinniśmy jednak całą siłą starać się o zachowanie naszych tradycyj, naszych praw i zwyczajów, inaczej grozi nam zagłada i ruina.

Jak usilnie starała się wicekrólowa o zachowanie dawnych zwyczajów, przekonać się mogłam, przybywając do jej haremu w dniu pogrzebu jej babki. Na wieść o śmierci jednej z osób rodziny khedywa, wiedząc, że muzułmanie mają zwyczaj chowania ciał w kika godzin po śmierci, pospieszyłam natychmiast do haremu, aby złożyć kondolencyę i przypatrzeć się pogrzebowym obrzędom.

Dojeżdżając do pałacu, usłyszałam już z dala krzyk i pisk przeraźliwy, a stanąwszy w progu haremu, chciałam

się cofnąć w przerażeniu, gdy naprzeciw mnie wybiegły niewolnice z rozpuszczonymi włosami, w podartych szatach, z pokrwawionemi twarzami i piersiami. Szał udanej ich rozpaczy nie miał granic; paznogciami rozdzierały ciało, głowami biły o mury.

Wicekrólowa i znajdujące się w haremie jej krewne, siedziały na nizkich sofach, bez obuwia, z rozpuszczonym włosem i w rozwartych na piersiach sukniach. Wraz z »kjahią« zawodziły głośno, wyliczając cnoty zmarłej.

»O, matko nasza, najlepsza pani! Czemu nas opuściłaś? Czy zabrakło ci białego chleba, ryżu i łakoci? Karmicielko nasza! B a w o l i c o mlekodajna, która nosiłaś ciężar utrzymania naszego, czy źle ci było między nami? i t. d.

Kobiety nie brały udziału w orszaku pogrzebowym; nawet w pojazdach ukazać im się niewolno; ciało księżnej niesiono w otwartej trumnie, przykrytej bogatą makatą, szytą perłami. Orszak otwierał Kislar-Aga, potwornie otyły murzyn; za nim niesiono zasłonę muślinową księżnej i jej klejnoty. Dalej postępowały zakony derwiszów; uczniowie szkół rozmaitych i dygnitarze religijni powtarzali w monotonnym śpiewie wiersze koranu, za nimi postępowali baszowie i rozmaici dygnitarze arabscy, w »białych« rękawiczkach (bo tak każe zwyczaj arabski) i z rękami przed sobą w dół opuszczonemi na znak żałoby.

Setki żebraków cisnęły się dokoła, gdyż czekała ich dnia tego wspaniała uczta. Za orszakiem ciągnęły długim rzędem wielbłądy, obładowane owocami i ciastami; pędzono także stada bawołów i baranów, których mięso przeznaczone było na ofiarę dla biednych.

Na cmentarz nie dopuszczono chrześcijan, bo wzrok tychże mógłby przynieść nieszczęście zmarłej, gdy ciało jej przed samym grobem wyjęte zostanie z trumny i złożone w grobie z twarzą ku Mekce zwróconą.

Ciekawą będzie dla czytelników wiadomość, iż przy sposobności podobnych obrzędów, czy to przy uroczystościach arabskich, mężczyźni, t. j. dygnitarze arabscy i europejscy, ministrowie, konsulowie i inni, składają wizyty haremowym damom, ale w jaki sposób: Kislar-Aga wprowadza do swego selamliku, traktuje kawą i fajkami i poseła bilety wizytowe do haremu; po chwili powracający eunuch przynosi podziękowanie dam, powtarzając w ich imieniu tureckie: »teszeküreum«, albo arabskie: »kater herak khetir«, t. j. dziękuję.

*
* *

Ktoby pragnął widzieć haremy muzułmańskie w całym ich przepychu, niechaj je zwiedzi w dniach Bajramu, t. j. święta, kończącego post Ramazanu. W dniu pierwszym tegoż święta wszystkie muzułmanki, nawet te, które w murach swych haremów strój europejski przyjęły, ukazują się w narodowych, arabskich strojach, z białego jedwabiu, lub muślinu, gdyż dzień ten poświęcony jest pamięci umarłych, a kolor biały uważany był za barwę żałoby u dawnych muzułmanów. Krój sukni arabskiej zręczniejszy mi się wydał od tureckiego kostyumu; jest to suknia długa, powłóczysta, o szerokich rękawach, spięta szarfą haftowaną, lub przepaską złotą. Na głowach, tak zameżne, jak niezamężne kobiety, noszą leciuchne, gazowe zawoje.

Już w przeddzień święta całe miasto wre życiem i wesołością, która nawet za mury haremów się wkrada. O zachodzie słońca spieszą »ulemasy«, t. j. uczeni tłumacze Koranu, na wzgórza Mokattam, opodal od Kairu, aby dojrzeć wschodzący księżyc, za którego ukazaniem się głośne salwy z cytadeli Saladyna ogłaszają rozpoczęcie uroczystości.

— »Kullo saneh ente taïb« (wszyscy twoi niechaj wraz z tobą zdrowi zostaną) — woła z radością każdy

przechodzący Arab, a okrzyk ten odbija się tysiącznem echem w pałacach i w chatach.

W haremach przez noc całą murzynki pracują nad przyrządzeniem przysmaków na dzień świąteczny, gdyż te nietylko potrzebne do uczt wspólnych i przyjęcia gości, ale też w znacznej ilości wysełane być muszą na cmentarze, jako ofiara dla biednych za spokój umarłych.

W dniu tym najuboższy muzułmanin składa parę piastrów lub chleba kawał na grobie ukochanej osoby. Sługi i niewolnice otrzymują holne podarki i nowe ubiory, bo w święto Bajramu, każdy muzułmanin musi ubrać strój nowy; nawet biedny Fellah ubiera nową koszulę, a uliczny żebrak zarzuca nowy łachman na bronzowe ciało.

Dzień ten jest również dniem wspólnych odwiedzin i powinszowań, przyczem w haremach podają gościom napój, zwany »subia«, przyrządzony z ryżowej, sfermentowanej wody, z zapachem róż lub gwoździków. Jest to męczeński kielich dla europejskiego podniebienia, a jednak spełnić go trzeba, gdyż odmowa byłaby obrazą dla pani domu.

Prócz świąt muzułmańskich, obchodzą Arabowie w Egipcie święta staroegipskie, z dawnych wieków tradycyą przekazane, a każda z tych uroczystości ożywia nieco jednostajność i nudę haremowego życia.

Jednem z takich świąt starożytnych jest święto wiosny, t. zw. »Szam-el-nessim«, co dosłownie tłumaczone oznacza: wąchanie świeżego powietrza. W dniu tym, przypadającym wraz z Wielkanocnem naszem świętem, Egipcyanie żegnają świeże tchnienie wiosny przed nadchodzącą porą skwarnych wichrów »chamsinów«. Wszystko, co żyje, opuszcza mury miasta; mieszkanki haremów wyjeżdżają także w osłonionych pojazdach i pod strażą eunuchów ucztują w ogrodach Delty, przy koszach, pełnych ciast, mięsiwa i jaj barwionych, których łupiny zawieszają później u bram

domów dla ochrony od czarów i zarazy morowej, która dawnymi czasy, w porze »chamsinów«, często Egipt nawiedzała.

Inne znów święto przypada w dniu 15. czerwca, kiedy wody w Nilu wzbierać zaczynają; jest to święto zwane nocą łzy (»Leilot et Nuktah«) — gdyż według starożytnej legendy, jedna łza Izydy nad śmiercią Ozyrysa wylana, podnosi wody Nilu, które wzbierając, wyrzucają na brzeg ciało zmartwychwstającego boga i budzą do życia zamarłą naturę.

Legenda ta nieco przerobiona, przechowała się u Arabów, a noc łzy, uważana za nader szczęśliwą dla kochanków i nowo zaślubionych, obchodzona bywa igrzyskami na wodzie i zwabia nad Nil haremowe damy w »dahabijach«, t. j. okrętach żaglowych i w pojazdach, które poznajemy z dala jako haremne, po eunuchach siedzących na kozłach lub za powozem. Przed pojazdem wicekrólowej i księżniczek biegną »saisy«, t. j. laufry w muślinowych lekkich strojach i suto haftowanych dolmanach, z nogami obnażonemi, na których błyszczą srebrne obroże.

Przez lekkie firanki, któremi osłonione są okna pojazdów, widać błyszczące oczka i »jaszmakami«*) osłonione blade twarzyczki muzułmanek. Etykieta muzułmańska nie dozwala jednak witać je ukłonem; nawet wicekrólowej nikt się z ludu nie kłania, a europejskie damy udawać muszą, iż jej nie poznają, pomimo leciuchnej zasłony, zdradzającej rysy jej twarzy.

Pojazdy haremowe częstem są zjawiskiem w ulicach Kairu; każdego piątku, który jest dniem niedzielnym muzułmanów, widzieć można cały ich szereg w alejach Gezireh przy torze wyścigowym, na którym Anglicy urządzają swe zabawy (gymkhana meeting) i wyścigi. Z najwyższem zajęciem śledzą muzułmanki obroty dzielnych

*) »Jaszmak«, zasłona, zakrywająca twarz całą po oczy.

*

jeźdźców angielskich, i zdarza się często, że pomimo czujności eunuchów, biały kwiatek »henny« (symbol miłości Arabek) zręczną rączką rzucony, znajdzie się nagle u butonierki angielskiego oficera.

Wracając do opisu świąt arabsko-egipskich, dodać tu muszę, że najbardziej zajmującą uroczystością w Kairze, a w której i kobiety pewien udział biorą, jest zerwanie tamy Nilowej, t. zw. »Mussim-el Khalig«, czyli otwarcie przekopu, gdyż khalig jest to przekop główny, z którym łączy się cała sieć kanałów prowadzących wodę Nilu na pola Delty.

Dzień ten przypada około połowy sierpnia, gdy Nil, którego wody deszczami zwrotnikowymi*) wezbrane, nadzwyczaj powoli się wznoszą, pewnej wysokości dosięga. Wtedy to damy haremowe noc całą spędzają w dahabijach na Nilu, aby choć z dala patrzeć na igrzyska ludowe i ognie sztuczne, o świcie zaś usłyszeć natchnioną modlitwę, jaką »kadi«, najwyższy dygnitarz religijny Kairu, odmawia, błogosławiąc rzekę w chwili, gdy narzeczona Nilu (lalka w strój ślubny ubrana), tonie w spienionych falach. Wspaniały to obraz, jednakże nie ciekawość i nie podziw zwabiają tu niezliczone tłumy; Arabowie wierzą, iż namuł Nilu, pierwszy, który w chwili zerwania tamy do khaligu się przelewa, posiada władzę cudotwórczą i leczniczą. Mężczyźni z ludu rzucają się w mętne, przesycone błotem fale, w które bogaci baszowie drobne ciskają monety; kobiety zaś czerpią ten namuł do kubków i wysuszywszy w słońcu, zjadają chciwie. Czynią to szcze-

*) Deszcze w okolicy jezior zwrotnikowych i w Abissynii w porze wiosennej padające, zasilają Nil, który jednak, mając nadzwyczaj długą przestrzeń do przebycia, zaczyna się podnosić w czerwcu, a w połowie sierpnia dosięga wysokości około 22 pików. Zbyt mały lub zbyt obfity wylew, jest klęską dla kraju, dlatego też »munadi«, t. j. stróż Nilu, codziennie, w czasie wzbierania wód, ogłasza w ulicach Kairu ich wysokość.

gólnie kobiety bezdzietne, a w haremach przechowują namuł Nilu jako rzecz bardzo cenną.

* * *

Poznawszy się nieco z urządzeniem i zwyczajami haremów, przypatrzmy się młodej muzułmance w chwili najważniejszej jej życia, w dniu wesela, gdy z haremu ojca przechodzi do haremu męża, t. j. zmienia więzienie.

Wybór męża zależy od ojca lub opiekuna, narzeczeni nie znają się wcale, wiedzą tylko o sobie i swych obopólnych przymiotach za pośrednictwem swatki, t. zw. khatby, przyjaciółki lub krewnej, która kojarzy małżeństwa (w dzisiejszych postępowych czasach za pomocą fotografii), pannie młodej zaś cuda najczęściej opowiada o bogactwach i zaletach przyszłego męża.

O uczucie, o głos serca, nikt młodej muzułmanki nie pyta — szlachetne, idealne przywiązanie dwojga istot, będące u nas życia osnową, po której kobieta nić szarą obowiązków przesnuwa, nieznane jest na Wschodzie. Niewolnica, kupiona złotem, gdyż w muzułmańskim świecie nie żona mężowi, ale mąż żonie posag wypłaca, strzeżona przez przedajną służbę, przywykła do fałszu i nieufności, nienawidzi już z góry narzuconego jej przemocą małżonka, czyli pana, i zawczasu układa plany, jakby go najzręczniej zdradzić mogła.

Na dni ośm przed uroczystością weselną, zawartą zostaje ugoda ślubna między panem młodym a ojcem narzeczonej. Krótka formułka służy za przyrzeczenie wiary: »Poślubiam cię« — mówi pan młody. — »Przyjmuję cię« — odpowiada opiekun w przytomności sędziego i świadków, odczytujących modlitwy i odpowiednie ustępy z Koranu. Po długich targach pan młody wypłaca połowę ustanowionej posagowej sumy, drugą zaś połowę obowiązuje się wypłacić w razie rozwodu, lub też zapewnia słowem na

wypadek swej śmierci. Majątek żony pozostaje wyłącznie jej własnością, mąż tylko dochodami rozporządzać może. Jedyny to przywilej, jakim prorok obdarzył kobietę, chcąc tym sposobem zbyt częstym rozwodom przeszkodzić; nie zmienia to jednakże podrzędnego stanowiska kobiety, która ani umie, ani może rozrządzać majątkiem.

Uroczystość weselna odbywa się zazwyczaj w domu narzeczonego, a zaproszeni goście obowiązani są na dni kilka przed weselem posełać dary, jako to: ryż, cukier, owoce, nawet żywe barany. Za to czeka ich wspaniała uczta, a jeśli pan młody bogaty, to rozrywki i zabawy przez dni kilka.

W przeddzień wesela grono krewnych i przyjaciółek prowadzi pannę młodą do kąpieli; orszak poprzedzają mężczyźni, niosący srebrne kadzielnice, pełne ziół wonnych, kubki z różaną wodą, którą skrapiają przechodniów i rozmaite amulety dla odpędzenia czarów i złych spojrzeń. Dalej spieszą słudzy, niosąc bogate ręczniki, złotym haftem tkane i olejki do kąpieli, muzykanci z fletami i tarabukami, przekupnie słodyczy, którzy rozrzucają swój towar między lud i gości (na rachunek pana młodego oczywiście) i fellahy, rozdający bezpłatnie wodę, ponieważ przysłowie arabskie mówi: »Więcej zaważy przed tronem Allaha kubek wody, podany spragnionemu, niż sztuka monety.«

W pośrodku weselnego orszaku tańczy i skacze dziwacznie ubrany pajac, starając się odwrócić uwagę tłumu od panny młodej, a tem samem ustrzedz ją od uroków.

Pannę młodą wiodą pod ręce dwie kobiety pod baldachimem z pąsowego jedwabiu. Całą jej postać okrywa długa, aż do dna ziemi, zasłona, wyszywana blaszkami, monetami i szychem złotym. Biedna ofiara nic widzieć nie może i piekielne pod swą ciężką zasłoną przebywać musi męki; jedna więc z kobiet chłodzi ją nieustannie olbrzymim wachlarzem.

Jeśli panna młoda bogata, wtedy jedzie w powozie, przykrytym szczelnie pąsową, haftowaną makatą; u Beduinów ukazuje się na wielbłądzie, ustrojonym w pióra, złote blaszki, zwierciadełka i jedwabie, w lektyce także przykrytej; — orszak taki poprzedzają dwaj Beduini na koniach lub wielbłądach, potykający się lancami, jakby w turnieju.

W kąpieli, niewolnice złocą paznogcie u rąk i nóg panny młodej, albo malują je farbą czerwoną*), brwi pociągają węglem, a często barwią i włosy na kolor złotorudy, który od czasu pobytu ekscesarzowej Elżbiety w Egipcie, uważany jest w haremach za najpiękniejszy.

Panna młoda przepędza w łazienkach długie godziny, przyjmuje tamże podarki i powinszowania krewnych i przyjaciółek, dzieląc w zamian między swych gości owoce, słodycze i przysmaki, które pan młody przyseła dla uraczenia drużyny weselnej.

Z taką samą ceremonią odprowadza orszak pannę młodą w dzień następny do domu pana młodego; w chwili zaś, gdy panna młoda przestępuje próg domu, słudzy zarzynają przygotowanego na ten cel i ustrojonego w barwne wstążki barana albo bawołu, a narzeczona przeskoczyć musi przez strumień krwi świeżej i drgający jeszcze tułów. Ma to być wróżbą i zaklęciem szczęścia, a jest raczej wspomnieniem dawnych, bogom składanych ofiar.

Równie jak panna młoda, tak i jej narzeczony odbywa uroczysty pochód przez miasto, a w dniu wesela, wieczorem, dąży do meczetu, gdzie na jego intencyę derwisze urządzają mistyczne obrzędy i tańce. Drużynę poprzedzają chłopcy z pochodniami smolnemi, muzykanci i śpiewacy, zwani »synami nocy«.

Na podwórzu domu, w którym wesele się odbywa, i w poprzek ulicy, rozwieszają Arabowie na murach różno-

*) Służy do tego sok rośliny, zwanej »henna«.

kolorowe chusty, świeczniki kryształowe i latarnie, których blask zwabia tłumy oraz nowych gości. Każdemu, kto próg domu przestąpi, wolno brać udział w zabawach, każdemu również, choćby najuboższemu nędzarzowi, podaje służba kubek kawy, lub miskę ryżu.

* * *

Wkrótce po przybyciu mojem do Egiptu, otrzymałam zaproszenie na wesele jednego z baszów, mogłam więc przypatrzyć się wszystkim ceremoniom, które tu opisuję.

Gdym przybyła do pałacu, panna młoda znajdowała się już w haremie; umieszczono ją na wyniesieniu pod baldachimem z czerwonego jedwabiu. Wbrew starożytnym zwyczajom, które przy obrzędach weselnych strój czerwony przepisują, miała strój biały i takąż ciężką, prawdziwemi perłami haftowaną zasłonę, która całą jej twarz i postać zasłaniała, tak, że ani my jej, ani ona nas, widzieć nie mogłyśmy. U stóp jej usiadła, w pół leżąc, stara murzynka, podobno piastunka panny młodej, w różowej, wyciętej sukni, z wianuszkiem sztucznych kwiatów w krętych, kruczych włosach, w czem tak pociesznie wygladała, że patrząc na nią, trudno mi było wstrzymać się od śmiechu. Wygłaszała ona nieustannie rozmaite zalety panny młodej, to ciesząc się jej szczęściem, to znów narzekając na los, który wyrywał ją z dawnego otoczenia.

W haremie znajdowało się kilkaset tak arabskich, jak i europejskich kobiet; przyjęciem zajmowały się »kjahie«; oprowadzały nas one po pałacu, pokazując stroje i klejnoty. Podziwiałyśmy szczególniej ubior, przygotowany dla pana młodego, jako podarek ślubny od narzeczonej; był to dolman aksamitny, cały haftem pokryty; obok leżała szabla starożytna, w drogocennej oprawie, i dywanik perski, używany przez muzułmanów przy modlitwie.

Wkrótce zaproszono nas do uczty; zastawy stołów nie było; ugrupowałyśmy się przy niezliczonych małych stoliczkach, na których ustawiono wielkie, metalowe tace. Niewolnice znosiły srebrne misy, szczelnie przykryte, i stawiały je w pośrodu na tacach; wtedy kjahie zdejmowały pokrywy, zachęcając nas do jadła. Talerzy, widelców i nożów nie było wcale; uzbrojone w łyżki i kawałki chleba, sięgałyśmy do wspólnej misy — pieczyste rozrywały kjahie rękami, ofiarując nam najlepsze cząstki. Potraw było kilkanaście; nie brakło ani »kunafy«, t. j. ciasta przekładanego miodem i masłem, ani ulubionej w Egipcie jarzyny, zwanej »bami«*). Koronę uczty stanowił »kajmak« — są to kożuszki ze śmietanki, podane z konfiturą. Jako napoje, zamiast wina, roznoszono rozmaite syropy: z pomarańcz, fiołków, róż i szerawiowych liści. Przy końcu wieczerzy wniesiono wielką misę ryżu bez soli i masła ugotowanego; arabskie kobiety jadły ten ryż garściami.

Panna młoda nie brała udziału w uczcie; mówiono mi, że nie wolno jej przez dzień cały przemówić słowa, ani zażądać jadła lub napoju.

Po uczcie niewolnice podały nam wodę do umycia rąk i skropiły nas różanym olejkiem, poczem wprowadzono nas znowu do głównej sali, gdzie ukazały się arabskie tancerki i śpiewaczki. Nie zachwyciły mnie one bynajmniej; tancerki nie wyglądały wcale tak powabnie, jak nam je na obrazkach przedstawiają. Owinięte w grube, wełniane chusty, ruchy miały ciężkie i niezręczne; obracając się w małym kółku, z głową w tył zarzuconą, z oczami zamrużonemi, drżały nieustannie jak w febrze i starały się pantominą przedstawić sceny miłosne.

Śpiewaczki nuciły ballady, siedząc na ziemi i uderzając w takt o małe, dzwonkami opatrzone bębenki. Śpiew

*) Rodzaj drobnej tykwy.

ich jest rodzajem opowiadania, w rytmiczne zwrotki ujętego; opiewają najczęściej zdarzenia i sceny erotyczne niezbyt budującej treści.

Znudzona monotonnym śpiewem, wymknęłam się na balkon haremowy, gęstą osłoniony kratą, przez którą jednak można było widzieć podwórze pałacowe, zmienione w obszerny namiot. Pod namiotem ucztowali mężczyźni; chcąc się ich zabawom przypatrzeć, wspięłam się na palcach, by wyjrzeć przez mały otwór nad kratą, tuż zaś koło mnie młoda muzułmanka wychyliła kształtną główkę. Wnet jednak ukazał się murzyn i ująwszy wpół swą panią, odtrącił ją gwałtownie od okna, wołając brutalnie: »emszi!« (pójdź precz).

Biedaczce łzy wstydu zakręciły się w oczach; zacząwszy ze mną francuską rozmowę, skarżyła się na barbarzyńskie prawa haremu, które ludziom nieukształconym, wpółdzikim, dozwalają znęcać się nad oddanemi pod ich straż kobietami.

Nie miałyśmy jednak czasu na długą rozmowę, gdyż wkrótce usłyszałyśmy dźwięki hucznej muzyki, pochodnie smolne ukazały się na podwórzu i dano nam znać, że narzeczony przybywa. Radośny okrzyk t. zw. »zagharrit« rozległ się w haremie. Kjahie prosiły, byśmy ustąpiły z głównej sali, w której znajdowała się narzeczona, siedząca dotychczas nieruchomie pod swym baldachimem.

Mówiono mi, że powstanie dopiero na powitanie męża, gdy tenże zerwie jej z czoła zasłonę (zwyczaj każe mu okupić tę śmiałość wręczeniem podarku ślubnego) i po raz pierwszy w życiu spojrzawszy na twarz ukochanej, zawoła: »W imię Allaha, bądź mi pozdrowioną!« — »Bóg z tobą« — odpowie mu z cicha młoda kobieta, a pan młody nasyciwszy wzrok wdziękami lubej, uklęknie opodal i zwrócony ku Wschodowi, krótką odmówi modlitwę, dziękując Bogu, że mu dał towarzyszkę życia.

Mimowoli przychodzi na myśl śliczny wiersz Tomasza Moora:

Stokroć szczęśliwy, komu los przeznaczy
Dziewiczych wdzięków uchylić zasłonę,
Kto je najpierwszy pozna i obaczy,
Jak ów, co z nagła na bezbrzeżnej toni
Zaczarowany raj ziemski odkryje.
. . . .
(Czciciele ognia, tłum. Odyńca.)

Na zakończenie przyjęcia przy uroczystości weselnej, matka panny młodej wraz z kjahią wniosły tace, pełne cukrów i drobnych złotych monet, które rozrzucały między gości. Deszcz ten błyszczący trwał dość długo, a uważałam, że Arabki chwytały chciwie owe drobne blaszki, nie mające zresztą wielkiej wartości. Rozdano także między nas trawki złote, które zdobiły suknię panny młodej.

Zdarza się często, iż wdzięki panny młodej nie odpowiedzą oczekiwaniom pana młodego; nie wiele na to zważają muzułmanie, gdyż po roku wolno mężczyźnie inną pojąć żonę, albo rozwieść się z tą, której nie kocha.

Biedny fellah, który tylko kilkanaście piastrów zapłacił swej żonie, zebrawszy podobną sumkę, rozwodzi się kilka razy w życiu i wynagradza sobie tem brak — haremu*). Aby rozwód był ważnym, dość jest, jeśli mężczyzna przed sędzią albo przy świadkach po trzykroć powtórzy, że żonę odtrąca; zmuszona jest ona wtedy dom męża natychmiast opuścić. Kobiecie jednak żądać rozwodu nie wolno, choćby najnieszczęśliwszą się czuła w małżeń-

---

*) Za to używa żona fellaha o wiele więcej swobody, niż bogata muzułmanka. Zarzuciwszy na czoło niebieską chustę i zasłoniwszy twarz kawałkiem czarnej kitajki, ujętej metalową sprzączką koło nosa, młoda fellahinka przebiega ulice Kairu, roznosząc produkta wiejskie, jako to: jaja, warzywa, chleb z prosa pieczony i inne. Jeśli jest młodą i ładną, umie ona zręcznie uchylić zasłonę, lub odrzucić rękaw szerokiej koszuli, aby się pochlubić kształtnym ramieniem.

stwie. Mężczyzna zaś może żonę odtrąconą napowrót w dom przyjąć i może to czynić trzy razy z jedną i tą samą żoną, za czwartym razem jednak może Arab lub Turek odtrąconą żonę tylko w tym razie poślubić, jeśli ją po upływie roku inny mężczyzna poślubił i znów odtrącił. Łatwo pojąć, jakie stanowisko w rodzinie zajmuje kobieta, którą muzułmanie przerzucają sobie z rąk do rąk, jakby rzecz jaką bezduszną, pozbawioną czucia i myśli, tembardziej, że dzieci jej pozostają zawsze pod wyłączną opieką ojca i jego domu.

Najgłówniejszym powodem do rozwodów na Wschodzie jest bezdzietność, gdyż muzułmanie uważają liczne rodziny za dowód błogosławieństwa Bożego, a na kobietę bezdzietną patrzą z politowaniem, utrzymując, że się znajduje pod wpływem złych duchów (dżinnów).

To też kobiety arabskie udają się często do wróżbiarek, zamawiają czary i gusła, aby się z pod władzy »dżinnów« uwolnić.

Wogóle Egipt pozostał po dziś dzień ojczyzną baśni i legend, wróżbiarzy i czarodziejów. Gusła, wróżby, wiara w czary i nadprzyrodzone zjawiska, uzupełniają tu życie mieszkańców, stają się niejako niezbędnym pokarmem dla wyobraźni, której duchowa nie zużyła praca. W spuściźnie po starożytnych Egipcyanach przejęli Arabowie sztukę wróżbiarstwa, wykładania snów i odgadywania myśli. W Kairze na każdej ulicy spotkać można wróżbiarzy, ofiarujących swe usługi, sprzedających czarodziejskie leki i amulety.

W haremach przy każdej sposobności zwołują wróżbiarki: czy kto jest chorym, czy przedmiot jaki zginie, czy kto ciekaw uchylić przyszłości zasłonę, wnet niewolnice urządzają »zyko«, t. j. taniec mistyczny, przy którym zwykle jedna z nich wpada w stan jasnowidzenia i z pomocą wróżbiarki wyjawia najskrytsze tajemnice, podaje lecznicze środki i rozmawia z niewidzialnymi duchami,

przyczem ważną rolę gra silne, aromatyczne kadzidło, w którego skład wchodzą aloes, benzoet i inne odurzające zioła.

Życzliwości jednej z dam haremowych zawdzięczam, iż pozwolono mi przypatrzeć się zbliska czarodziejskim takim obrzędom.

Było to w haremie pewnego beja, który trzecią z rzędu pojąwszy żonę, nie mógł doczekać się syna; udano się więc do słynnej wróżbiarki sudańskiej, a ta po długich badaniach oświadczyła bejowi, iż żona jego znajduje się pod wpływem rozkochanego w niej, a zazdrośnego »dżinna«, t. j. złego ducha, i że potrzeba tegoż zwabić i namówić, aby swe czary na inną przeniósł kobietę.

Z rozkazu wróżki, wybrano kilka najpiękniejszych niewolnic i w dniu oznaczonym ustrojono je w bogate narodowe stroje: czerkieskie, tunetańskie, arabskie i t. p.

Czary odbywały się w podwórzu pałacowym, w pośrodku którego rozpalono ogień z rozmaitych drzazg i ziół, oblanych żywicą. Gęsty dym narkotyczny napełniał podwórze; wróżbitka rozkazała najpierw żonie beja przeskakiwać przez ten ogień, poczem odprowadziła ją do niskiej kanapki i uśpiła przez magnetyczne dotykanie rąk i nacieranie aromatycznymi olejkami.

Toż samo uczyniła z ustrojonemi niewolnicami, które jednak, na znak przez nią dany, powstały i zaczęły wirować i tańczyć dokoła ogniska. Oryginalny był to widok, ponieważ każda z niewolnic tańczyła swój narodowy taniec; zdawało się, że jakaś niewidzialna siła zmusza je do ruchu i nie dozwala zaprzestać tańca; z szeroko otwartemi źrenicami, z ustami spienionemi, upadały one prawie ze znużenia. Czasami wróżka zatrzymywała jedną z nich i ująwszy za rękę, szeptała jakieś kabalistyczne słowa i zaklęcia.

Tańce przeciągnęły się w noc późną, wreszcie przebudziła wróżbitka niewolnice, małżonce zaś beja kazała

spać aż do rana i ta istotnie nie przebudziła się, choć wszystkie te ceremonie bardzo były hałaśliwe.

Nazajutrz, gdyśmy się znów w podwórzu haremowem zebrały, wróżka, przebudziwszy młodą muzułmankę ze snu hipnotycznego, rozkazała wprowadzić na podwórze białego, naprzód już na ten cel przygotowanego barana. Ustrojono go we wstążki, klejnoty nawet i rozmaite świecidełka, poczem młoda kobieta, wsiadłszy nań, jakby na konia, siedm razy podwórze dokoła objechać musiała. Po tej nad wyraz komicznej ceremonii, barana w naszych oczach zabito, a wróżka, napełniwszy kubek krwią ciepłą, krew tę małżonce beja wypić kazała. Krwawa ta ofiara zakończyła czary; czy odniosły one pożądany skutek... nie wiem.

Spostrzegłam tylko, że z rozkazu beja wręczono wróżce spory zwitek złota i rozmaite podarki.

Wiara w istnienie duchów jest tak rozpowszechnioną w Egipcie, że nawet lud europejski, szczególniej grecki i włoski, ją podziela. Według mniemania Arabów, »dżinny« są to istoty pośrednie między aniołami i ludźmi; nie mając krwi i ciała, są dla nas niewidzialne, dzielą jednak nasze pomieszkania i zajęcia, mają swych władców, swe królestwa, i mogą wpływać źle lub dobrze na losy nasze. Dlatego też Arabowie strzegą się, by w niczem nie obrazić »dżinnów«, gdyż zemsta ich może być straszną.

Słyszałam często, jak służący nasi, przy zwykłych swych zajęciach, powtarzali z cicha: »Destur ja' mubarakin«, t. j. wybaczcie o błogosławieni! — a stłukłszy lub zniszczywszy jaki przedmiot, przypisywali to zawsze złośliwym »dżinnom«. Jeden z nich szczególniej, rodem z Berberu, zamykał się w takim razie na dni kilka w swej izdebce, pościł i pokutował, a ja musiałam się obyć bez zniszczonego przedmiotu i bez służącego.

Według pojęcia Arabów, są ludzie, którzy przez długie posty i modlitwy dochodzą do pewnej władzy nad

dżinnami; muszą jednak znać niektóre kabalistyczne wyrazy i znaki. Wtedy to posłuszne im duchy wyjawiają przyszłość, dopomagają w znajdywaniu skarbów, uczą różnych czarów itd. Setki książek znajdujemy w Egipcie, które podają przepisy, jak dojść można do tej władzy nad dżinnami.

Ciekawem byłoby istotnie dowiedzieć się, jakich stuleci zabytkiem jest owa czarnoksięska literatura, i czy Arabowie zabaśnioną swą wiarę z Azyi nad brzegi Nilu przenieśli, czy ją po starożytnych mieszkańcach Egiptu odziedziczyli.

Jednakże tak, jak trudno jest zbadać, jakiego morza ziarnem jest perła lub koral, co z rąk do rąk przechodzi, tak trudno dociec początku owych tradycyj i baśni, które przekazywane z pokolenia na pokolenie, powódź wieków przetrwały, lub przeniesione zostały przez wędrowne ludy z dalekich często wybrzeży.

Dusza ludu przechowuje te wspomnienia, tak jak łono ziemi przechowuje ślady zaginionej dawno przyrody i zgasłego przed wiekami życia.

Poznawszy bliżej kobietę i zwyczaje haremów, przypatrzmy się choć przelotnie innym Wschodu mieszkankom, tym, które w ciągłej będąc z Europejczykami styczności, przejęły już nie jeden nasz obyczaj, ale z drugiej strony, pozostając przez długie lata pod wpływem muzułmańskich pojęć, nie mogą po dziś dzień otrząść się z nich i wyzwolić. Są to najpierw kobiety koptyjskie, wiodące ród od prastarej egipskiej rasy, która, jak wiadomo, najpierwsza przyjęła chrześcijaństwo. U Koptów nie ma wprawdzie haremów, ale kobiety żyją zupełnie oddzielnie od mężczyzn, nie zajmując się ani głównym zarządem gospodarstwa, ani jakiemikolwiek sprawami poza obrębem czterech ścian swego domostwa. Jakkolwiek nie noszą one zasłony takiej, jak muzułmanki, wychodząc na ulicę, za-

rzucają na głowę t. zw. »habarę«*), t. j. płaszcz z czarnej tafty, który całą postać zasłania.

Przy koptyjskich obrzędach weselnych odbywa się również owa ceremonia z zarzynanym w progu baranem, a młodej mężatce nie dozwala obyczaj przez kilka tygodni po ślubie z domu wychodzić. W towarzystwie męża nie ukazuje się ona prawie nigdy. Na zabawach i zebraniach kobiety w osobnych bawią się salonach, w domach zaś europejskich tańczą te z nich tylko, które już nowemi przejęły się pojęciami.

Podobne życie wiodą w Egipcie Ormianki, Izraelitki (między któremi wiele pięknych spotykamy typów), kobiety syryjskie ze Smyrny, Damaszku i innych stron Małej Azyi pochodzące i inne Lewantynki.

Lewantynami nazywamy na Wschodzie ludność narodowości mięszanej, gdy n. p. ojciec z Syryi, matka z Włoch lub Francyi pochodzi, lub też ojciec Francuz, matka Arabka i na odwrót. Mięszane te małżeństwa wyrobiły w towarzystwie wschodniem osobną kastę, niejako łączącą w swym charakterze niedołęstwo wschodnie z wieloma przywarami Europejczyków.

Lewantynki są zazwyczaj piękne, wykształcenie ich jednak jest równie powierzchowne, jak wykształcenie muzułmanek, nie kształci więc umysłu i serca, ale potęguje raczej zamiłowanie w błyskotkach, próżność i chęć użycia.

Przez zleniwienie i bezczynne życie, nabywają często Lewantynki przerażającej tuszy, a nawet młodziutkie dziewczęta chód mają ciężki i ruchy niezręczne.

Najwyżej, niezaprzeczenie, pod względem umysłowym jak i moralnym wśród kobiet wschodnich — stoi Greczynka. Nie jest ona dziś tak posągowo piękna, jak nią była może w starożytności; to też jeden z francuskich

---

*) Jedna z bogatych dam koptyjskich mówiła, że nie pojechałaby nigdy do Europy, gdyż musiałaby u nas stroić się w kapelusz i zdjąć swoją habarę.

podróżników powiedzał: »Wenus uleciała dziś z Grecyi — Gracye tylko pozostały.«

Istotnie, Greczynka, będąc przeważnie małego wzrostu, drobnych rysów i śniadej cery, nie tyle jest piękną, ile powabną; jednakże, podczas gdy mężczyzna Grek spędza dnie całe na sejmikowaniu i spekulacyach pieniężnych, Greczynka, pełna życia, sprytu i wdzięku, jest duszą domostwa swego. Przejęła ona, tak od kobiet Wschodu, jak i Zachodu, główne zalety: od kobiet wschodnich przywiązanie do domowego ogniska, do którego ją starożytny obyczaj przykuwa, od nas zaś, kobiet Zachodu i Północy, miłość prawdziwą ojczyzny, uczucie, nieznane innym Wschodu mieszkankom.

»Gdybym nie była Polką, chciałabym być Greczynką« — powtarzałam często w czasie pobytu mego w Grecyi, jednakże zaręczyć mogę czytelnikom moim, że pomimo wrażeń barwnych, doznanych na Wschodzie, pomimo chwil uroczych, jakie tam spędziłam, pozostałam Polką duszą i sercem, a dziś, po długich latach wędrówki tułaczej,

Z radością wracam w progi rodzinne
Z krainy cudów,
Wracam, by z Wami życie wieść czynne,
Bolu i trudów.

I witać pieśnią na polskiej roli
Wschodzące kłosy,
I przędzę pracy w ciężkiej snuć doli
Na przyszłe losy.

Wracam, by słuchać, jak bór się skarży
W koronie szronów,
Jakie ma echa pośród cmentarzy
Modlitwa dzwonów.

Patrzeć, jak płaczą liśćmi złotemi
Kwiatów kielichy;
Żebrać o jedną garść polskiej ziemi
Na grób mój cichy.

Jan Kasprowicz.

Z cyklu „Nad przepaściami“.

Nad przepaściami ludzki duch
Zawisnął nieruchomy,
Wpatrzony w światła ciągły ruch,
W słonecznych nieb ogromy.

Wokół jasności taka moc
Wypełnia widnokręgi,
Jakby świat nie znał, czem jest noc,
Czem skryte jej potęgi.

Na miękką zieleń halnych łąk,
Na kamieniste ławy,
Blask z niewidzialnych płynie rąk
Perłowy lub złotawy.

Skrzy się i pali każdy głaz,
Siklawa ognie ciska,
Bór rozbłękitniał, tęczy pas
Wiesza się na urwiska.

Tonie w światłościach ludzki duch,
Jak nurek w mórz głębinie;
Zlewa się razem wzrok i słuch,
Granica zmysłów ginie.

Co było przedtem mocą barw,
Śród falistego drżenia
Staje się dźwiękiem setnych harf,
W melodyę się przemienia.

Ponad przepaście, ponad żleb,
Gdzie śmierć cierpliwa drzemie,
Rozbrzmiały hymny jasnych nieb
I ogarniają ziemię.

Ponad łańcuchy lśnistych gór
Płynąc falami słońca,
Śpiewa anielski wieszczy chór,
Że trwaniom nie ma końca.

Śpiewa (a pieśń ta jako chrzest,
Odradzający wiarą),
Że tylko życie prawdą jest,
A śmierć jest złudną marą.

Śpiewa, akordów dziwnych tok
Śląc na promienne drogi,
Że złudą tylko cień i mrok,
Że płód to ludzkiej trwogi.

Że prawdą światło, pełne łask,
Że nad tych dni zamętem
W spokój swój każdy łączy blask
W Wieczystem, w Niepojętem.

I dalej śpiewa złota pieśń,
Mknąc znikającym łanem,
Że widomego świata cieśń
Rozszerza się w Nieznanem.

W nieznanem oku ziemskich dusz,
Spowitych w ciał osłony,
Ćmiące niezgasłych odblask zórz,
Z bożego tchu zrodzony.

Ale kto starga przędzę ciał,
Ten, pijąc z czar zachwytu,
Będzie świadomość jasną miał
Bezkresowego bytu.

Więc stryj twój padł nagle, jak dąb strzaskany piorunem? — pytał starzec o srebrzystych włosach i oczach pełnych blasku, dwudziestokilkoletniego młodzieńca, który właśnie przybył z tą bolesną dla obydwóch nowiną. — Tak, szóstego dobiegał krzyżyka, ale gdybyś ty, jego bratanek, znać mógł jego młodość tak jak ja jego rówieśnik i przyjaciel. Co za siła ducha i ciała, jaki ogień, zapał, temperament, jaka niespożytość w doprowadzaniu do skutku tego, co robić raz założył!

Ileżeśmy przeżyli ze sobą chwil rozkosznych i smutnych, pełnych słońca i burz! Ach te wspomnienia, ta nasza młodość, ta piękna, nigdy niepowrotna młodość!

— Opowiadał mi często o panu — rzekł młodzieniec — i tak samo zapalały się iskry w jego oczach i tak samo biadał za młodością, która się już nie wróci!

— A gdyby możliwem było, iżby się wróciła, kto wie, czybyśmy wtedy nie przeklinali niewczesnego życzenia!

Według Lukrecyusza, choćby po śmierci czas pozbierał rozproszoną materyę tego, co było naszem ciałem i ustawił każdy element na swem miejscu, w takim porządku jak dawniej, i gdyby po raz drugi płomień życia zatlił się w nas, przecież odrodzenie to byłoby nam obojętnem, bo się pokruszył łańcuch wspomień.. Tak samo i z tem co się już raz przeżyło, z młodością i jej wspomieniami! Chociażby się wróciła, gdzież są nasi spółczesni, ci z którymi radowała się dusza nasza i cierpiała, z którymi walczyliśmy wspólnie i zwyciężali? Tak, niezawodnie,

nawet gdyby życie młodością zatliło na nowo w nas starych, odrodzenie to byłoby obojętnem...

Większość wszakże starców, za wyżebraną sekundę dłuższego życia, oddałoby wszystkie swe skarby. Mówiłże więc starzec szczerze?

Ten, któremu wspomnienia szlachetnie spędzonej młodości, rozjaśniają czoło zawsze, ilekroć otrząsnąć się chce z jarżma codziennych trosk, ten niech na to odpowie.

Edward Lubowski.

Stanisław Rossowski.

Wiara.

Młodzieńczy zapał, jak wezbrana rzeka,
W szalonym naprzód ciągle mknie rozpędzie,
On nie rozważa, nie liczy, nie czeka,
Zanim czas będzie.

Ślepo rzut jego pada, z dziką siłą,
Z naiwną wiarą, że tryumfy zbierze;
A jednak, ileż butnych fal rozbiło,
Skalne wybrzeże.

Przeto nad pędem, wstrzymanym w pół drogi,
Nad głosu nagle pozbawionem hasłem,
Nad migotaniem, ułudnej pożogi,
W zaczątku zgasłem;

Nad hardą rzeszą nieujętych niczem,
Błysków, wysilków, wrzawy i pogoni,
Ponad szaleństwem bezwiednie zbrodniczem,
Co siły trwoni;

Ponad daremnym rozmachem oręża
Z smutkiem się słania mądrość życia szata,
Wie ona bowiem, że tutaj zwycięża,
Nie szał, lecz — wiara.

Adolf Walewski.

Żywy nieboszczyk.

(Wielkie tragiczne wspomnienie małego komika.)

»I mnie w Arkadyi szczęścia dzień zabłysnął«, gdy po długiej tęsknocie za tragiczną rolą — dostałem ją z rąk niewygasłego w mej pamięci Stanisława Dobrzańskiego... Wielkie nieba! czyż jestem w możności opisać chwilę, w której stary woźny naszego teatru wręczył mi rolę »rycerza«, piszę wyraźnie »rycerza« Montgomery w »Dziewicy Orleańskiej«! Z bijącem sercem rozpocząłem czytanie, słowa nieśmiertelnego Szylera — jak szyki bojowe — stanęły przed oczyma mej duszy, wyobraźnia kreśli czarodziejską laską obraz śmiertelnej walki z nieubłaganą d'Arc!!!..

Ucząc się tej roli — widziałem siebie na tle niebotycznych lasów z olbrzymim mieczem w dłoni — żrące, palące — siekące — druzgocące słowa... nareszcie — ginę na scenie — umieram — publiczność zachwycona moim tragicznem kolorytem — płacze, wywołuje mnie — a nawet jeden z widzów wzruszony szczupłością mojej postaci — zaprasza mnie na kolacyę.

Nareszcie nadszedł dzień upragniony, dzień przedstawienia. Przyszedłszy do garderoby, pomyślałem sobie: *Aut Caesar aut nihil.* — Dziś losy się rozgrywają. Ubrałem kilka watówek słuszniejszych odemnie wzrostem kolegów,

chcąc w ten sposób wynagrodzić brak odpowiedniej tuszy do tej rycerskiej postaci. Ponieważ pobierałem bardzo małą gażę — krawiec udzielił mi jak najgorszą parę rycerskich butów, jakie szatnia Melpomeny posiadała... O, nie zapomnę nigdy tych butów — dziś jeszcze widzę te buty. Jeden miał tak zwany obcas, ale niestety drugi — brat jego przyrodni, wykrzywił napiętek, z niekłamaną boleścią opłakując stratę już nigdy niepowetowaną. Miejsca, w których powinny być biodra — owinąłem szerokim pasem. Wielki, potężny miecz przywiązano do mnie, na głowie umieszczono wspaniały szyszak z maleńkiem piórkiem i oto stanąłem przed zwierciadłem. Nasz kochany fryzyer nalepił mi wielkie, wspaniałe wąsy, składające się z dwóch oddzielnych połówek. Jeden z kolegów zapewnił mnie stanowczo, że rycerz Montgomery, którego on osobiście znał, tego rodzaju wąsy posiadał. Byłem wskutek wielkiej ilości watówek podobny do worka kawy, zaś wąsy moje przypominały jakiegoś węgierskiego patrona, wymalowanego w oberży małego miasteczka — ale to drobnostka. Siła tragiczna, którą rozwinę na scenie — zatrze niekorzystne wrażenie mej postaci. Nareszcie wychodzę na scenę — mówię wściekle — namiętnie, uderzam na dziewicę — ona uderza na mnie — przebija mnie — padam — robię kilka wstrząśnień śmiertelnych, kurczę się... i... umieram — w najstraszniejszych męczarniach!! Syt sławy leżę na scenie twarzą do publiczności i oczekuję uznania... gdy w tem słyszę z pierwszej kulisy głos jednego z moich kolegów: Waluś! pół wąsa ci odpadło z lewej strony.

Zimny dreszcz mnie przejmuje: a więc druga połowa wąsa z prawej, została. Ha — trzeba ratować to straszne położenie, więc zaczynam po raz drugi umierać, robię kilka wstrząśnień śmiertelnych, kurczę się i zrywam jedną połowę wąsa, upewniony, że drugiej już nie mam. Umieram po raz drugi z jedną połową wąsa — biedna ofiara wesołego żartu kolegi — i wtem słyszę śmiech kolegów za

kulisami i śmiech pomiędzy publicznością. »Diewica Orleańska«, nie wiedząc z czego publiczność się śmieje, a spostrzegłszy mnie w podrygach śmiertelnych, sądzi, że niezawodnie żądam zupełnego dobıca. Zbliża się ku mnie, a że była początkującą artystką, a w dodatku posiadała krótki wzrok, uderza mię mieczem po rozmaitych stronach mej postaci. To szukanie Achillesowej pięty rycerza Montgomery wywołuje śmiech — zasłona spada — wesołość wzmaga się do zenitu i oto tym sposobem zostałem wyleczony z mych urojonych marzeń do ról tragicznych.

Franciszek Zwilkoński.
(Pseudonim.)

Wyjście drzwiami.

DYALOG.

— Pani mąż?

— Siedzi w swoim pokoju zapracowany.

— A pani?

— A ja... Dlaczego pan tak nagle przechodzi z jednego pytania na drugie?

— Dlaczego?... Patrząc na panią, przypomniałem sobie męża pani, a zapytawszy o niego, czy mogłem nie zapytać o panią?

— Być może... nie wiem...

— Pani westchnęłaś?

— Ja?... nie!..

— Przepraszam — zdawało mi się... Prawdopodobnie westchnęła ta kamelia, którą tam pod oknem widzę — Pani się uśmiechasz? Czy szczerze?... Bo ja w to wierzę, że jak są paprocie, które w noc świętojańską zakwitają i odkwitają, przez chwilę wydźwięku północy — tak są i pewne gatunki najszlachetniejszych kwiatów, które szmerem liści przypominają ciche westchnienia nieszczęśliwej kobiety? —

— Któż to znów panu powiedział, że ja jestem nieszczęśliwą?!!

— Tak gwałtownie?... Nikt mi tego nie powiedział i zdawało mi się, że ja nie o pani mówiłem.

— A mnie się zdawało...

— Że przez porównanie chcę trafić do celu?... Mogę uspokoić panią, że nigdy nie uciekam się do porównań, które zazwyczaj nie dość wyraźnie tłómaczą nasze intencye.

— ...Każę zapalić lampy...

— Jeżeli chodzi o światło dla mnie, dość mi tego pomroku ozłoconego promieniami zachodzącego słońca... Czy może znów tem powiedzeniem wywołałem w sercu pani jakie niemiłe lub tęskne uczucie?

— Skąd tytuł do podobnego pytania?

— Bo mi się znowu zdawało, za co najmocniej panią przepraszam, że kiedy mówiłem o słońcu zachodzącym, z piersi pani uleciało westchnienie...

— Widzę że jesteś pan niepoprawnym recydywistą.

— Być może... Wszystko być może, a jednak mało jest jeszcze z tego coby być...

— Taki żal płynie z ust pańskich — czy doprawdy zrobiłam panu przykrość jakiem niebacznem i mimowolnem słówkiem?...

— Pani? — mnie? — przykrość?.. Odkąd mam zaszczyt znać panią, a to od tak dawna — dawna...

— Od trzech lat.

— Niech i tak będzie, więc od trzech lat, nie przypominam sobie, aby mi pani zrobiła najmniejszą krzywdę. Trzy lata, powiadasz pani... Raz tylko jeden, przed rokiem — pamiętasz pani?

— Nie wspominaj pan o tem co się stać musiało.

— A cóż się stać musiało? Więc pani pamiętasz, jak na balu uroniłaś jeden kwiat z gorsu, a ja schyliłem się i ochroniłem go od profanacyi. A pani...

— Ja — spostrzegłam, że pan kwiat podniósł...

— I w chwili, w której w najciemniejszym zakątku salonu, pytam się go o panią i mówiłem o pani — pani zbliżyłaś się do nas i zażądałaś zwrotu tego, co już się stało moją własnością i niemal cząstką mojego serca. Pani nie miałaś litości wyrwać mi ten kwiat?!

— To było moim obowiązkiem.

— Ach, obowiązkiem! Oddałbym wszystkie obowiązki za ten jeden kwiat!

— A ja oddałabym wszystkie kwiaty, byle tylko nie ominąć jednego obowiązku.

— Drwisz pani ze mnie!... A w czemże jeden kwiat upuszczony naruszał obowiązki?

— Nie o jeden kwiat chodzi. —

— Lecz o cały bukiet...

— Bez ironii, panie... Gdy kobieta zgubi kwiat i świadomie pozwoli podnieść ten jeden — konsekwentnie odtąd ona dalej gubi a on dalej zbiera.

— W tem nie masz jeszcze nic karygodnego.

— Że kwiaty się zbiera — nic, lecz że te kwiaty stają się symbolem nadzieji.

— A jeżeli on ją kocha!...

— Kocha! Ha ha ha ha...

— Śmiech ten pani —

— Ziębi pana — chociaż nie jest pusty, ale puste są te kobiety, które pozwalają szargać się miłości po ziemi na to, aby sie dostała w miejsce...

— Drastyczne powiedzenie!

— A czy nie również drastyczne to opuszczanie kwiatów — po to, aby tem prędzej zwiędły w rękach skrzętnego kwieciarza.

— Więc lepiej aby więdły w sercu kwieciarki? —

— Lepiej...

— O biedne kwiaty, skazane na zagładę! — Lecz — pozwól pani, mowa tu o kwiatach, a gdy chodzi o jeden, jeden tylko kwiat lotusu?

— Przypuszczasz pan, że ten jeden oprze się zwiędnięciu?

— Nie przypuszczam, ale jestem tego pewny.

— Ta pewność wbrew prawom przyrody jest nieuzasadnioną.

— Jeżeli miłość jest prawem nieuzasadnionem.

— Taką jest miłość nielegalna wbrew Bogu i pojęciu zacnych ludzi! A po takiej miłości czegoż się można spodziewać?

— Ciekawym.

— U was panowie tem gwałtowniejszy przesyt, im gwałtownieszy był wybuch. Pozostaje później mniej lub więcej miłe wspomnienie. oplatane grozą przebytych niebezpieczeństw i tym podobnych. A u nas —

— Słucham.

— Im bujniej wyrósł kwiat miłości — tem po nim więcej zostaje popiołów z ofiary serca i honoru.

— Przytaczasz pani regułę, która nie stanowi o wyjątkach.

— Ja nie znam wyjątków.

— Ale ja znam takie — i gdyby tylko serce chciało wziąć górę nad rozumowaniem filisterskiem — gdyby...

— Panie!...

— Pani... milczę... Tak pani, i teraz milczę, gdyż mi nie wolno przemówić — lecz na Boga! powiedz mi pani, czy to podobna, aby się milczało bez końca?!

— Jeżeli tak być musi...

— Nie, pani! Mimo wszelkie argumenta, koniec praw serca zawsze jest jeden i ten sam. w poniesieniu z obu stron ofiary.

— A ja znam inne rozwiązanie —

— Przez?

— Przez wyjście —

— Jakie, pani?!

— Drzwiami...

— Żegnam panią.

— Żegnam... pana...

Leon Gustaw Dziubiński.

Z albumu.

Był człowiek... młody, zdolny i do czynu chętny,
Na wszystko co jest piękne nie był obojętny,
A unosił się także fantazyą w obłoki,
I darł się tak jak umiał na Parnassa stoki,
Cały talent swój Muzom składał na ofiarę
I w snach swych kawalerskich ścigał sławy marę.
Zdawało się, że błyśnie talentem... Niestety,
Zniszczyły mu karyerę myszy i kobiety!...
Pierwsze w stosach poezyi znalazłszy biesiadę,
Papierowe natchnienia pożerały rade;
Drugie w sercu młodzieńca uczyniły wyłom
I stał się wkrótce koniec poezyi i... siłom!

* *

Ztąd morał, że laur sławy temu towarzyszy,
Kto się umie wystrzegać i kobiet i myszy.

Karyera śpiewaka podobną jest do podwójnej drabinki, przez którą przejść bez szwanku jest trudno nawet dla znakomitego artysty. Przedstawia ona przy wejściu drogę do sławy i szczęścia, na szczycie,— tryumf i chwałę, a z drugiej strony, po której niestety już zchodzić los każe — dekadencyę! (lecz tego napisu żaden dzisiejszy śpiewak czytać nie chce). Tak było dawniej; w późniejszych dopiero czasach fortuna przystroiła ją kwiatami, wieńcami, rozmaitemi błyskotkami, ba!... nawet drogimi klejnotami i wszystkiem, co tylko próżność ludzką pogłaskać może i na co pochwalne hymny a szumna reklama zdobyć się zdołają. Nic też dziwnego, że dziś kto tylko jakieś powołanie w sobie wynajdzie, najchętniej się do tej karyery garnie.

Lecz nie należy zapominać, że jest to w swoim rodzaju *via sacra*, po której, jak nas historya poucza, kroczyli kiedyś prawdziwi kapłani sztuki i że ich tam nie wiodła próżność lub chęć materyalnych zysków, lecz poczucie piękna, miłość i poszanowanie dla sztuki!

Dziś — śpiewacki proletaryat i t. z. teatromania zamieniły tą świętą drogę na coś podobnego do Monte Carlo, gdzie się stawia wszystko na jedną kartę — byle się czegokolwiek dobić; gdzie o przyszłości decyduje nie talent i praca, ale los szczęścia. Jest to więc walka nie o palmę artystycznego pierwszeństwa, ale zwykła gra, z której uda się przypadkiem wyjść magnatem, ale najczęściej wychodzi się zrujnowanym, a bywają także wypadki, że można stać się i żebrakiem!

Karyera śpiewaka ma niewątpliwie ogromną siłę przyciągającą, ale niestety, ileż to zawiedzionych nadziei, zwichniętych losów, ile wykolejonych z życia ofiar była już przyczyną? Sztuka, co prawda, nie wszystkich wzbogaca, ale każdego uszlachetnia; kochajmy więc ją nie dla karyery, lecz dla niej samej, bo żadne bogactwa nie zastąpią tego zadowolenia duszy i serca, jakie ona nam dać może! Nie róbmy z niej złotodajnego rzemiosła, a nadewszystko nie obałamucajmy wyobraźni młodych umysłów przedwczesnemi nadziejami świetnej przyszłości, nie mając pewności, czy to są prawdziwe talenta, a więcej będziemy mieli wzorowych śpiewaków i mniej patrzeli na smutne rozczarowania lub jeszcze smutniejszą — niedolę!

Walery Wysocki.

Władysław Bełza.

Do Deotymy.*)

Wszystko co zacne, wielkie i czczone,
Z niewieściej braliśmy ręki,
W takt serc niewieścich, pieśni natchnione,
I harf stroiliśmy dźwięki.

A Ten, co w chmurach duma ukryty,
Was za narzędzie brał boże:
Wlewał potęgę w ramię Judyty,
I pieśni natchnął Deborze.

On Cię przyoblekł w natchnienia blaski!
Więc za Twe pieśni promienne:
Odbierz w podziwie, nie czcze oklaski,
Ale te kwiaty wiosenne!

*) Wiersz wygłoszony przez Autora na raucie przez „Koło“ ku czci Deotymy urządzonym, przy wręczaniu Jej kwiatów od „Koła“.

Henryk Merzbach.

Janowi Zachariasiewiczowi.*)

Miałeś to szczęście, że na własnej glebie
Przez lat czterdzieści siałeś prawdy siemię,
I żeś nie płakał na wygnańczym chlebie,
Widząc z daleka obiecaną ziemię...

Każde Twe ziarno kwiat lub owoc dało —
Wiatr je ojczysty niósł po swojskich błoniach —
Więc z pracy, życia więcej Ci zostało,
Niż z wieńca chwały liść zwiędły na skroniach.

Czemże jednostka w pracy Syzyfowej?
Czem duch geniusza w stuwiekowym ruchu?
Czemże łza jedna w tragedyi życiowej?
Jedno ogniwo w boleści łańcuchu?...

Niczem! — A jednak na życiowej skale
Trzeba słać gniazdo, grzać biedne pisklęta,
I śpiewać dla nich radości i żale,
Aby uskrzydlić do lotu ich pęta!...

Kochać i cierpieć, cierpieć, kochać jeszcze,
I mieć odwagę wśród losów zawieji,
Miasto oręża dzierżyć pióro wieszcze,
I rozpaczając — walczyć dla nadzieji;

I drżąc, nie pytać, w poświęceń rozkoszy,
Czy wiatr nie zerwie gniazdeczka, czy głodne
Pisklęta na świat burza nie rozpłoszy —
Takie męczeństwo, czy życia nie godne?...

Na to niech serce narodu odpowie,
I „Koło“ lwowskie w bratnim majestacie. —
Ja Ci z daleka w nieudolnem słowie
Ślę duszę całą, dzielny jubilacie!

---

*) Wiersz nadesłany „Kołu“ przez Autora, w dzień święconego jubileuszu Jana Zachariasiewicza.

Rodoć.

Podziękowanie.*)

»Właściwością mojej natury jest, że to tylko dobrze wypowiedzieć mogę, co się w sercu mojem przetrawiło, skrystalizowało. Wrażenia świeże, wzruszające, ubezwławładniają mnie.

Tak jest w tej chwili. Serce mi bije, myśl błąka się i plącze. Wiem, że stoję tu wobec mężów, których praca i zasługi dla społeczeństwa, dla biednej Ojczyzny naszej, są doniosłe. Wiem, że działalność moja nawet mierzyć się z nimi nie może. Bóg dał mi kroplę talentu, cierpienie położyło mi uśmiech na usta, temperament parł do pióra, ot i pisało się. Daleki więc jestem od wszelkiej chełpliwości i jeżeli mam jaką ambicyę, to ambicyę pozyskiwania sobie serc ludzkich.

A jeżeli w mym śmiechu jest niejaka siła,
To dlatego, że gorzka łza go wykarmiła.

. . . .

Nabierzcież więc miłości garściami pełnemi
I wysypcie ją na mnie. O to tylko stoję,
Najmilsi bracia moi, lube siostry moje,
Chcę, byście mnie kochali. Niech to moją chwałą
Będzie, dumą, nagrodą, szczęśliwością całą.
Nie pragnę, by mi grób mój tłoczyły granity,
Z serc Waszych chcę mieć na nic
Wieniec niespożyty.«

*) Wypowiedziane na święconym przez „Koło“ jubileuszu 25-letniej działalności literackiej Autora.

Jan Zacharjasiewicz.

Podziękowanie.*)

»Zaszczyt dla mnie nie mały, żeście mię zawezwali, abym stanął przed Wami dla obrachunku długoletniej mojej pracy. Pospieszyłem na to wezwanie w nadzieji, że będziecie pobłażliwi, że zechcecie tylko dobre chęci moje ocenić, co zrobić chciałem i mogłem. Tymczasem zamiast życzliwego uznania, spotyka mnie nagroda tak hojna i tak sowita zapłata, że dalej nieco poza pracą moją szukać muszę powodów, które Was skłoniły do takiego postępowania. Powody te, jak mi się zdaje, są dwojakiego rodzaju. Społeczeństwo, jak człowiek pojedynczy, potrzebuje pewnego wychowania. Rozsądna matka daje dziecku pieniądz, aby on przez jego rękę przeszedł do ręki ubogiego jako jałmużna. Dziecko odczuwa wtedy zadowolenie dobroczynności i uczy się być dobroczynnem. Otóż i społeczeństwo potrzebuje owego prądu ożywczego, jakim są szlachetne i podniosłe uczucia. Prądy takich uczuć przenikają organizm jego, wzmacniają go i czynią odpornym na pociski różnorakiej niedoli.

»Czyimże zaś obowiązkiem jest wprowadzać społeczeństwo w sferę tych prądów szlachetnych i podniosłych uczuć, jeżeli nie tych mężów, którzy pracą, nauką i pu-

---

*) Wypowiedziane przez Jubilata na święconej przez „Koło“ 40-letniej rocznicy działalności literackiej Zacharjasiewicza.

blicznem zaufaniem stoją na czele społeczeństwa, a których dziś widzę przed sobą? W poczuciu tego szczytnego obowiązku urządziliście dzisiejszą uroczystość. Z ogniska jej ma daleko rozejść się ten prąd szlachetnego i podniosłego uczucia, które jest podstawą karności i siły społeczeństwa. Jest to uczucie wdzięczności dla tych, którzy bezinteresownie na niwie publicznej pracują. Wdzięczność uszlachetnia, miarkuje popędy ujemne, skupia ogniwa społecznego łańcucha, bez których nie ma zdrowego społeczeństwa. Otóż jako przodownicy społeczeństwa uznaliście za stosowne wprowadzić je w prąd tego pięknego, szlachetnego uczucia. Ma ono zakosztować tej szlachetnej rozkoszy, a zakosztowawszy, pragnąć jej dalej. Zdaje się, że i taki cel pedagogiczny miały u starożytnych narodów owe uroczystości nagradzania publicznie bohaterów i wieńczenia poetów. Społeczeństwo ówczesne uczyło się niejako pojmować uczucia szlachetne i wyższe. Uczyło się cenić i nagradzać bohaterów, czcić talent, siłę i pracę, a czując cześć dla nich, stawało się także bohaterskiem, silnem i pracowitem, chciwem kształcenia wyższych talentów. Drugi cel, jaki dawniejsi przodownicy mieli, a dzisiejsi mieć powinni na oku, jest, aby młodemu pokoleniu dać przykład, jak się ceni i nagradza praca dla ogółu podjęta i do takiej pracy je zachęcić. Otóż zdaje mi się, że w tych dwóch powyższych celach kazaliście mnie stanąć przed sobą, aby ze mnie dać przykład dla tak pięknej, a dla społeczeństwa koniecznej nauki. Jeżeli więc na Wasze wezwanie stanąłem, to uczyniłem to tylko w poczuciu obowiązku, że staję nie jako cel tak hojnej nagrody Waszej, która moje zasługi podnosi, ale że służę Wam jako środek wypowiedzenia społeczeństwu wielkiej a zbawiennej nauki i wprowadzenia go w prąd owych uczuć szlachetnych i podniosłych, które wzmacniają jak lecznicze prądy elektryczne. I taka służba dla ogółu jest zaszczytem. I za nią jestem wdzięczny, że pozwoliliście mnie ją spełnić.

I tylko ze stanowiska tej roli mojej przyjmuję od Was dzisiejsze zaszczyty, które złączone z tem, czego w dawnej naszej stolicy nad Wisłą doznałem, stanowią sowitą nagrodę za wszelkie trudy i ciernie długoletniej pracy mojej. Wlewa ona nowe siły we mnie, aby w tej pracy dalej nie ustawać!...«

Władysław Wszelaczyński.

„Ojcze nasz“ w więzieniu.*)

Tu tak ciemno — choć przecież słońce boże świeci —
Tu tak martwo — choć przecież żyją polskie dzieci —
Tu tak smutno — nikogo nie mam obok siebie
Tylko Ciebie „Nasz Ojcze, który jesteś w niebie!“

Tu tak cicho, że słyszę, jak pająk nić przędzie —
Tu tak straszno — że straszniej i w grobie nie będzie,
Lecz nadzieją przyszłości krwawe serce koję
I z poddaniem powtarzam: „Święć się Imię Twoje!“

Tu tak ciasno — a choć długie dni pędzę,
Tęsknotą i cierpieniem przeplatając nędzę,
W chwili czarnych rozpaczy łzą własną się poję
I Ciebie tylko błagam Panie „Przyjdź Królestwo Twoje!“

W ojca domu za szablą płakałem, za wojną,
Dzisiaj płaczę za ojcem, za chatką spokojną,
Za matką, za rodziną — i błagam ze łzami
„Bądź wola Twoja Panie w niebie jako i na ziemi!“

W domu miałem dostatek i chleba i mleka —
Dziś głód cierpię, pragnienie, niewolę; — kaleka —
W niczem sobie poradzic, ni pomódz nie może,
Więc choć „Chleba powszedniego daj nam dzisiaj“ Boże!

Wszyscy mnie odstąpili — a jeno wrogowie
Męczą mnie — i śmiertelne przenika mnie mrowie,
Lecz im przebaczam, Panie! bom i ja nie bez winy:
„A Ty — odpuść nam nasze winy, jako i my od-
[puszczamy!“

*) Wiersz ofiarowany Redaktorowi Rocznika przez śp. Autora.

Chcą, bym Ojczyznę zdradził, zdradził mych współbraci,
Niecny szpieg w ucho szepce, że hojnie zapłaci.
Panie, Panie! Knut zeszlij, do śmierci więzienie,
Śmierć zeszlij! Ale „nas nie wodź na złe pokuszenie!“

Boże! Ojczyznę moją rozszarpały sępy,
Zgnębione orle gniazda i orląt zastępy,
A nikt nie spieszy w pomoc — miej więc zlitowanie
I „zbaw nas odezłego“ Ojcze nasz, o Panie!

Do Henryka Jareckiego.

Życie człowieka, to ciągła walka i to nietylko z nieprzyjaciółmi w ciało ludzkie obleczonymi, ale straszniejsza walka w duszy samego człowieka: porywów do szczęścia i wesołości z pochopem do śmiechu i zwątpienia.

Kto tylko ma czyste sumienie, trochę silnej woli i pobłażliwości dla świata, ten nieprzyjaciół w ciało ludzkie obleczonych, obawiać się nie ma potrzeby i sam z nimi da sobie radę. Lecz aby pokonać tą walkę w duszy, tą walkę smutku z domagającym się praw swoich uśmiechem, tą walkę nadzieji ze zwątpieniem — na to nie wystarczają zazwyczaj własne siły człowieka i do tego potrzeba, aby przed tą szarpiącą się duszą stanęło iskrą Bożą zapalone światło — które smutek ugasić, a nadzieję rozniecić potrafi.

Wiedza przygnębia, poezya rozrzewnia, i oto pozostaje jedna tylko z cór bożych, która używając mowy wszechludzkiej i nie potrzebując być tłómaczoną, wprost mówiąc do duszy — i smutek gasi i nadzieję roznieca. A tą jest muzyka.

Witamy Cię więc jako kapłana tej bogini, który tonami duszy »Hugona«, »Jadwigi«, »Barbary«, a dziś grą uczuć serca ojcowskiego, przemawiał wprost do naszej duszy, stale i zawsze najszlachetniejszych tylko jej strun dotykając. Czcić talent i pracę to nie ofiara ani żadna łaska — to obowiązek, z obowiązku więc witamy Cię życzeniem sił do dalszej pracy dla Twojej i naszej chluby.

Powitanie Autora „Powrotu Taty“ przez Sekretarza „Koła“ imieniem Wydziału, z okazyi święcenia przez „Koło“ jubileuszu 25-letniej działalności artystycznej Henryka Jareckiego.

Jan Aleksander hr. Fredro.

Szachy.*)

Pewnego razu, gdy na szachownicy,
W bojowym szyku dzielni wojownicy
Stali, czekając swoich wodzów znaku,
By przeciw sobie ruszyć do ataku,
W czarnych szeregach powstał niespodzianie
Szmer, zgiełk i wrzawa, wreszcie zamieszanie.
Darmo wodzowie do ładu wzywają,
Daremnie krzyczą, płazują, latają,
Wszystko napróżno -- śród czarnych rycerzy
Hałas się wzmaga, zgiełk się coraz szerzy.
Aż król nareszcie, nad planem uśpiony,
Niemiłym wrzaskiem został przebudzony,
I grzmiącym głosem zapytać się raczy:
„Cóż, u stu dyabłów! cóż to znowu znaczy?"
Na to pion stary, przed królem na straży,
W tych śmiałych słowach odezwać się waży:
„Jeśli chcesz wiedzieć, Najjaśniejszy panie,
Co znaczy twego narodu szemranie,
To, że dość długo po tej szachownicy
Ślepo chodzimy jakby niewolnicy,
Jak kroczą tylko w powiciu narody,
Bez głosu w rządzie, ni ruchów swobody,
Wolnych wyborów, ni wolności prasy.
Inne nastały, inne dzisiaj czasy,
Nowym pragniemy odtąd chodzić torem,
I dla potomności stać się chlubnym wzorem;
Niechaj nie rządzi nami jedna kasta,
Nil sine nobis de nobis i basta."

---

*) Wiersz odczytany w „Kole" przez śp. Autora, b. z. prezesa „Koła". (Z Albumu „Koła".)

Gdy tak przemówił, dość ostro i sucho,
Król chrząknął, splunął, poskrobał się w ucho,
Lecz że był dobrym, spokojnym człowiekiem,
Rzekł: »Mniejsza o to, idźmy z naszym wiekiem.«
Zaledwie wieść ta w obozie gruchnęła,
Szalona radość piony ogarnęła;
Wnet się złamały już splątane szyki,
Nuż pląsać, skakać, wydawać okrzyki;
Ten jak Koń skacze, ów jak Błazen leci,
Poważną Wieżę udaje znów trzeci,
Kręci się cały ten zastęp szczęśliwy;
A że szał każdy zawsze zaraźliwy,
Więc sobie szaleć starszyzna zaczęła:
Błaznów przez pola skakać chętka wzięła,
Konik długiemi sunął szlichtadami,
A Wieże stanęły do góry nogami.
Królowa widząc, że król po oddaniu
Rządów, coś myśli znowu o chrapaniu,
Wdzięcznym uśmiechem przywabia Konika.
I gdzieś za Wieżę, cichaczem z nim znika.

Tymczasem w szyku zwartym, w jakim stali,
Naprzód w porządku postępują biali;
Skoro się czarny szaleniec nawinie,
Wzięty w niewolę, lub na placu ginie.
Aż wreszcie któryś z nich, tchórzem podszyty,
Jak krzyknie: „Zdrada!“ — bity czy nie bity,
Każdy ucieka, nogi za pas bierze,
Pokąd ich grube nie wstrzymały Wieże;
Inaczej — ery nowej zwolennicy
Byliby zrazu pierzchli z szachownicy;
Wszakże gdy z strachu nieco ochłonęli,
Razem jak jeden rozprawiać zaczęli:
Ten radzi protest, tamten barykady...
Cudne tam były i rady i swady;
Każdy się chwali, jak dzielnie był czynny,
Zaś klęsce całej jedynie — król winny.
Więc wszyscy wrzeszczą: „Precz z królem, do kata!
Sto dyabłów zjedzą, co dadzą nam mata!“
I tak się stało, przy Boskiej pomocy,
Biedny królisko wyleciał jak z procy;
By zaś Ojczyznę dzielnym dźwignąć ruchem,
Rzeczpospolitą obwołano duchem.

Każdy, co służyć krajowi jest skory,
Łapczywie chwyta urzędy, honory,
Nie szczędzi intryg, przekupstwa, mitręgi,
Byle się dostał do szczytu potęgi;
Każdy jest gotów, chociażby ze wstrętem,
Dla dobra kraju zostać prezydentem.
Nie jeden też ku temu ciche zwraca modły...
Lecz i niejednego nadzieje zawiodły.
Na zgromadzeniu walnem i zaciętem —
Z urny wyskoczył Błazem prezydentem.
Nim ogłosili ten wybór pachołki,
Już drugi Błazen pod nim kopał dołki.

Gdy nad zbawieniem Ojczyzny tak radzą,
Wściekle się szarpią i gryzą nad władzą,
Adjutant leci i Radzie melduje,
Że nieprzyjaciel naprzód postępuje.
Cicho jak mak siał... Wnet umilkły krzyki,
Pobladły twarze, skostniały języki,
Jak żona Lota — chwilę skamieniali,
Nie długo jednak dygnitarze stali.
Im bardziej który był w mowie zawzięty,
Tem szybciej teraz pokazuje pięty;
Wraz z prezydentem pędzą w różne strony,
By w kątach szukać skutecznej obrony,
Byle gdzieś znaleść bezpieczne ukrycie,
I dla Ojczyzny — zachować swe życie.
Lecz nieprzyjaciel zewsząd ich otoczył,
Potem bez strzału do obozu wkroczył,
I gdy morduje, rąbie, kłuje, płata,
Ostatni jęknął: „Przecie nie dał mata!“

Aureli Urbański.

Upiór.

Zanim żywego ducha mi ubito,
Nim noc go dusznej ogarnęła trumny,
W Prawdy jam wszechmoc wierzył niespożytą —
W mściwe, miażdżące Jehowy pioruny —
I w gwałtów ludzkich znikomość pajęczą —
W męczonych tryumf — w tych pogrom, co męczą —
Wiarą jam żył.

Lecz surm ich wrzaski, świat głuszące dumnie,
Ducha mi wstrzęsły murem. — — I skonałem.
Odarty leżę w rojeń moich trumnie —
Trętwy, rozpaczy przydeptany wałem.
Nie dla m ie słońca i światło i ciepło...
Mózg skostniał — serce pęknięte mi skrzepło —
I owo'm trup.

Wszelako w zimnej tej skorupie, sinej,
Niedodławiona przewala się mara.
Leżę — lecz nie spię... Przez czaszki szczeliny
Skrzyp mi tykoce myśli mych zegara:
Tik — — tak — — godziny sączą się pomroczne.
Leżę — lecz nie spię... Ha, nigdyż nie spocznę?
Piekło — nie śmierć.

Północ ospale wydzwoniły młoty,
Dźwiękiem zbudzone kładą się opary;
A już mną demon targa — i z martwoty
Cuci — i z grobu wywleka za bary —
Ah, i straszydłem z czeluści mnie ciska,
Nad nędznej ziemi ciche smętarzyska,
Co rzężąc, spią.

I po nad grody i niwy i bory,
Ściga mnie demon piekielną tą ciszą.
Ja, upiór — spiące je widzę, upiory —
Jak bruzdy cielskiem przygniotły i dyszą;
W ciężkiej, kamiennej tych olbrzymów pięści,
Miecza i kajdan żelaziwo chrzęści —
A ziemia drży.

Bezlistne lasy — bez szeptu ruczaje —
Ah, i strop nieba bez gwiazd, bez księżyca.
Przez pola zryte — bezsłowiczne gaje —
Obżarta pełza, gnuśna gąsienica,
Krwi, łez i potu trawiąca objaty.
. . . .
Ha — z piersi, wściekle szarpanej na szmaty,
Zrywa się ryk.

Oh, gdyby klątwy, co bezsilne huczą,
W pomsty się ścięły kamieniste grady!..
Jedną — potężną — światoburczą tuczą,
Niechby cyklonem spadł on grom zagłady —
W proch niechby strzaskał smętarzysko skute,
Pany i raby — niewolę i butę —
Onych — i nas!

Spokoju chcecie? — Sen mi wróćcie błogi,
Sen wieczny. Męki oszczędźcie mi dzikiej.
Łeb mi odrąbcie — złóżcie mi pod nogi —
A serce kołem przebijcie osiki.
Ot, i wam spokój — i mnie zmiłowanie.
Przekłóty upiór z grobu już nie wstanie —
Bez czucia — głaz.

Rodoć.

List panny Heluni do panny Mani.*)

Najukochańsza Maniu! droga moja duszko,
Całuję Cię serdecznie w pysio, w oczko, w uszko,
I przepraszam najczulej, moja ty stokrotko,
Za to, że choć ty do mnie, co prawda, że krótko,
Zawsze jednak pisałaś już po razy parę —
Ja do ciebie ni razu. Otóż dziś za karę
Myślę wysłać do ciebie aż kilka arkuszy;
Muszę dać się wygadać choć raz mojej duszy.
Zwłaszcza że zaszedł u nas, we Lwowie, ciekawy,
Bardzo ważny wypadek, co narobił wrzawy
W całem mieście okrutnej. Wyobraźno sobie,
Kilka dni temu, wieczór, kiedy siatkę robię
I smutna myślę o tem, jak ja w wielkim poście
Strasznie nudzić się będę, bo nawet i goście:
Jeżeli kiedy przyjdą, to nadzwyczaj rzadko. —
Wraca, jak zwykle, z miasta, ukochany tatko,
I z uśmiechem powiada, do mnie i do ciotki:
„Odłóżcie oto na bok te wasze robotki,
A powiem wam nowinę: Literackie koło
(Tu mnie mój drogi tatuś pocałował w czoło)
Dla dam raut elegancki urządza w sobotę.
I cóż? może pójdziemy? Czy macie ochotę?“
„Jabym miała chęć, tatku, zawołałam, ale
Kiedy strasznie się boję, bo wiem doskonale
Że wszyscy literaci to same geniusze,
Co mają wielkie serca i olbrzymie dusze,

*) Wiersz wygłoszony przez Autora w „Kole“.

Istoty znacznie wyższe po nad ludzkie plemię.
Jabym chyba przed nimi zapadła się w ziemię.“
Ale tatuś kochany machnął tylko ręką,
I powiada z uśmiechem: „Et pleciesz Helenko.“
Gdy nadto ciocia Milcia rzekła, że tam dama
Niejedna przecież będzie, więc nie będę sama,
Pomyślałam chwileczkę i jednym zamachem
Oświadczyłam że pójdę — chociaż z wielkim strachem.

A teraz Ci opowiem, jak to wszystko było:
W sobotę, koło siódmej, gdy się już ściemniło,
A my z ciocią robiły nasze toalety,
Tatuś napił się wódki i zjadł dwa kotlety;
Bo powiedział, że na czczo długo nie wytrzyma,
A na rautach dla panów zwykle jeść co nie ma.
Potem wołał, że późno, byśmy się spieszyły...
Ale ciocia krzyknęła, że i tak nad siły
Spieszy się i że zresztą iść jeszcze zawcześnie.
Więc tatko siadł i mruczał. Ja byłam jak we śnie,
Pełna wielkiej ochoty lecz i niepokoju.

Gdyśmy weszły do „Koła“, zaraz w przedpokoju
Spotkał nas wielki honor. Jeden pan wysoki,
Mocno przystojny, brunet, szarmanckimi kroki
Zbliżył się i wiódł ciocię pod rękę do sali;
My z tatusiem za nimi-śmy maszerowali.
Mnie zaraz posadzono w długim panien rzędzie,
I wszyscyśmy czekali, co też dalej będzie.
Ach Maniu, jaka szkoda że cię tam nie było!
Dopierożby zabawa była dla mnie miłą!
Zresztą miałam znajomyeh panienek tam mnóstwo:
Była Finia, Felunia, Lili, małe bóstwo,
Mania, Frania, Filipcia, Genia, Berta, Mincia,
Zuzia, Fruzia, Karolka, Tecia, Kocia, Tyncia,
Razem blisko dwadzieścia; oprócz tego mamy,
Babcie, ciocie, wujanki — bardzo miłe damy.
Zanim raut się rozpoczął, patrzyłam na panów:
Stali we dzwiach, kupkami, na kształt tulipanów.
Ciocia ich naliczyła coś cztery tuziny.
Drogi tatko miał racyę, bo żaden z nich miny
Nadziemskiej nie posiadał; owszem byli strojni,
Nadzwyczaj ugrzecznieni i wcale przystojni.

Z kupek tych wyciągali nasi tatusiowie,
Przedstawiając nam panów, jednakże panowie
Nie mogli z nami mówić, tylko się kłaniali.
Wnet brał ich inny tatuś — musieli iść dalej.

Ztąd widzisz, że na raucie było tyle osób,
Iż opisać ci wszystkich w żaden żywy sposób,
Moja Maniu, nie mogę. Lecz byli niektórzy,
Co jak gwiazdy świecili wśród rautowej burzy,
Do dziś widzę jednego: brunet, smagła cera,
Postać dzika, podobny stał do Lucypera.
Był także śliczny tłuścioch o kręconym czubie.
A ty wiesz, że tłuściochów ja passyami lubię!
Był jeden, co mówiono, że się kocha w Loli,
A jeden co miał minę, jak kogo ząb boli.
Dwóch było strasznie wielkich, jeden strasznie mały,
Trzech bladych, jeden chudy, a jeden wspaniały.
Blondynów było sześciu...
Wtem, ktoś klasnął w dłonie
I uderzył w klawisze. I jak na ambonie,
Pokazał się pan jeden, łysy, z rudą brodą,
I wystąpił przed nami z jakąś szumną odą
O wojnie i Bogu. — Był on średniej miary,
Nawet dosyć przyjemny — cóż! kiedy był stary!
Po nim wszedł na estradę drugi, ten był siwy,
I mówił nam dosyć długo różne piękne dziwy
O niewiast przeznaczeniu, bardzo poetycznie...
Tu muszę zauważyć, że choć raut był ślicznie
Pomyślany przez Koło i pięknie usnuty,
Należą mu się jednak w tym punkcie zarzuty:
Jak można, mając tyle Gustawów, Konradów...
Damom, na sam początek, pokazać — dwóch dziadów!

Wtem weszli na estradę trzej młodzi artyści,
Jeden był sam dyrektor, okropnie ogniści!
Skłonili się i Trio zagrali Szuberta:
Rzewnie, tęskno, uroczo, tak, że mała Berta
Ledwo że nie płakała. Po nich jedna sławna
Artystka udawała (ach! jaka zabawna!)
Młodą, wesołą śmieszkę; poczem na estradę
Wszedł mały, śliczny tenor i taką ruladę
Rzucił w przestrzeń, i śpiewał tak bosko, tak cienko,
Za nie mogłam wytrzymać; lecz ciocia: „Helenko,

Siedź spokojnie", szepnęła — więc siadłam cichutko,
I w nadziemskim zachwycie czułam się malutką,
Jak gwiazdeczka w noc ciemną, którą słońca blaski
Olśniewają i pieszczą. Zagrzmiały oklaski,
Tenor kłaniał się czule — nastąpiła przerwa.

Powstał gwar, w towarzystwie panowała werwa,
Zaczęły się rozmowy, tu para, tam para,
Ale panów połowa poszła na cygara.
Dano herbatę, ciastka. (Były doskonałe,
Ja zjadłam trzy, czy cztery, ale bardzo małe.)
Były jeszcze i lody, tylko nie dość słodkie;
Tak, posiliwszy nieco nasze talie wiotkie,
Właśnie kiedym mówiła coś jednemu panu,
Klaśnięto — i znów rozległ się dźwięk fortepianu
Zwanego fisharmonią. Ach! Maniu! ach! Maniu!
Jak ten z faworytami grał!... Takiemu graniu
Przysłuchują się w niebie chyba aniołowie!
Ja tonęłam w zachwycie. Następnie panowie
Znów o śpiew poprosili jedną pannę... Ładnie,
Bardzo ładnie śpiewała, tylko że dokładnie
Nie pamiętam, jak na złość, jaką to piosenkę,
Bo mnie ciocia szarpnęła znowu za sukienkę,
By pokazać prezesa. Właśnie wyszedł z tłoku,
Stanął, wziął świecę w rękę i z lewego boku
Przyświecał ciągle pannie, tej, która śpiewała.
Bardzo grzeczny, z pewnością mu się podobała.
Wiceprezesa Koła widziałam już wprzódy,
Z wstążeczką u surduta — ni tłusty, ni chudy.
Ta wstążeczka, to order, słyszałam od tatki,
Podobno zagraniczny, u nas bardzo rzadki.

Ale a propos panów, co kupkami stali,
Widziałam najwyraźniej, jak się do nas rwali,
Lecz nie mogli się dostać, bo grano bez przerwy;
Biedni, z pewnością dzisiaj chorują na nerwy.
Tymczasem na estradzie ujrzałam człowieczka:
Mały, pulchny, okrągły, biały, jak bułeczka,
Uśmiechał się i milczał. Wtem otworzył usta
I puścił grad wyrazów! Pantofle, kurczęta
Bransoletki, odciski, indyczki, armaty,
Alfa, Omega... O Boże! zapytałam taty,

Co to jest? ale odrzekł mi, że czasu szkoda,
Że tego nie zrozumiem, bo jestem za młoda.
Kiedy przestał, panowie strasznie mu klaskali,
A gdy się uciszyło, w jednym rogu sali
Ruszyły się do domu trzy, czy cztery panie;
Lecz ten pan z rudą brodą szedł na ich spotkanie,
Prosił, że ceremonia jeszcze nie skończona.
I zaraz na estradę wciągnął barytona.
Zgrabny chłopiec, choć śpiewał od tenora grubiej,
Lecz z prawdziwem uczuciem, co ja bardzo lubię.

Natem się ukończyły rautowe popisy.
Zostałybyśmy dłużej jeszcze, ale łysy
Jakiś pan ponamawiał naszych tatków wielu,
By z nim na kolacyjkę poszli do hotelu.
Więc tatkowie czemprędzej nas poubierali,
I musieliśmy wszyscy, choć z żalem, wyjść z sali.

Miałabym jeszcze z Tobą niejedno gadanie,
Ale jestem zmęczona, więc daruj kochanie,
Że już kończę, a zresztą zabrakło mi weny.
Kochaj mnie — sto całusów — od Twojej

Heleny.

Post scriptum. A pamiętaj kazać twemu tacie,
By się wpisał do „Koła"; żebyś na herbacie,
To jest raucie, co ma być znów za dwa tygodnie,
I ty była. Powiedz mu, że to teraz modnie,
Że wieczory i rauty wesoło tam płyną,
Że jest wist, tarok, piwo, szachy i domino.

Post scriptum jeszcze drugie, o panach tu kładnę:
Mówili żeśmy wszystkie były bardzo ładne;
Słyszałam to od tatki, z pewnością mówili.
A najwięcej to o mnie i o małej Lili.

Ludwik Brzozowski.

Zapomnienie.*)

(z Grüna.)

Kiedy Bóg stworzył skowronka i różę,
Rzekł: „Kwitnij różo i rozsiewaj woń!
A ty skowronku wzbijaj lot ku górze,
I kwiatom polnym pieśń wesołą dzwoń!“

Kiedy jutrzenkę zawiesił przy słońcu,
Powiedział: „Będziesz o poranku lśnić.“
A gdy kobietę utworzył na końcu,
Rzekł: „Będziesz kochać i miłością żyć!“

Ale stwarzając luba moja Ciebie,
Ciebie jutrzenko mych młodzieńczych snów,
Błyszczącą chwilę na nadziei niebie,
Widać zapomniał powiedzieć tych słów.

*) Z Albumu.

Aleksander — Władysław.
(Pseudonim.)

Z księgi kobiet.

Nie da się zaprzeczyć, mówi Laura Marholm, że druga połowa naszego stulecia ubogą jest w kobiety, któreby się na tle czasu bardziej uwydatniły. Znaczenie ich mniejsze jest teraz niż dawniej, teraz właśnie, kiedy więcej niż dawniej dla siebie żądają. Lecz jakież tego powody?

Znaczenie i wpływ kobiety — odpowiada wspomniana autorka — pochodziły zawsze więcej z tego, czem kobieta była, niż z tego, co działała, współczesnym zaś brak zdaje się w niezwykłym stopniu własnej istoty.

Działają też kobiety niby dużo, uczą się i piszą niesłychaną mnogość książek, wszystkiemu przewodniczą i na wszystko zbierają pieniądze, uzyskują stopnie doktorskie, zakładają stowarzyszenia i więcej niż kiedykolwiek występują w życiu publicznem. A jednak — mniej niż kiedykolwiek znaczą w tem życiu. Gdzież są owe, których salony były punktem zbornym dla najognistszych umysłów i najznakomitszych ludzi danej epoki? Nie ma ich. Gdzież są, których subtelny rozum współdziałał w ważnych i najważniejszych sprawach? Należą do legendy. Gdzież są te, których wpływ, powszechnie uznany, potężniejszym był od rady ministrów? Gdzież są owe, których miłość nieśmiertelne wzniosła sobie pomniki w utworach najwię-

kszych poetów? Gdzież są te, których gorące a uduchowione uczucie było mężczyźnie ciepłem życiowem, ramieniem, na którem się opierał i treścią, którą się żywił, skrzydłami, które go niosły w locie ku sferom nieznanym i odprowadzały w krainę pięknego, ciężkiego życia? — Były. Kobieta zaważyła dziś więcej jako masa i większość, lecz o tyle też straciła jako jednostka; o ile sfeminizowała ducha konającego naszego stulecia, o tyle ucierpiała porażkę jako płeć. Wpływ jej na poezyę przejawia się u największych wieszczów ósmego dziesiątka lat jako intenzywna, zajadła nienawiść. Natchnęła mężczyznę myślą napisania apoteozy wstrętu dla kobiety: — Tołstoj stworzył swoją »Sonatę«, Strindberg — szereg dramatów, Huysmaus — »En ménage«; u mniejszych gwiazd zaś spotykamy pewną nieufność wobec miłości, a gdzie nieufność dotrzeć nie zdołała, tam młodzi poeci stoją, opuściwszy ręce i już wcale dzisiejszej kobiety nie rozumią.

Owa uczciwa, nierozanalizowana zgodność, owa wierna, organiczna niemal spójność, jaką spotykamy w starszych stadłach małżeńskich, jakby znika. Z dwojga związanych ze sobą ludzi, zbyt często każde idzie własną drogą — albo też nerwowo wzajem się szukają, odnajdują na jakiś czas krótki i znowu się wzajem utracają. Czy wina to mężczyzn naszego wieku, czy też może kobiet?.

Przyglądając się życiu ujrzysz, że kobieta to właśnie tworzy i paczy, niszczy lub rozwija wewnętrzne życie mężczyzny. Dusza matki i żony z pośród wszystkich wybranej, wycisnąć też musi niezatarte piętno na wrażliwym i kochającym mężczyźnie.

Lecz kobieta dzisiaj więcej niż dawniej kieruje się rozsądkiem w działaniu i miłości. Wynika stąd, że ciepło z niej płynące zmniejsza się, co znowu sprowadza, jako reakcyę, ochłodnięcie mężczyzny w stosunku do niej. Współczesne wychowanie dziewcząt sprzyja powierzchownemu rozwojowi rozsądku, czyni kobietę więcej wyma-

gającą, a nie powiększa jej uroku; podnosi się wskutek tego przeciętny poziom niewieści i poczucie własnej wartości kobiecego ogółu, lecz owe głębokie oryginalne jednostki zanikają pod uciskiem większości i wśród ogólnej letniej temperatury.

Kobieta »myśląca« z końca dziewiętnastego wieku zdąża też ku temu, aby się obyć bez mężczyzny. Rys ten spotęgowany do ascetyzmu, jest najtragiczniejszym momentem w życiu i działaniu kobiet, w zwykłych zaś rozmiarach powoduje szary, zimny nastrój, stanowiący atmosferę ostatnich dziesiątków lat, sprawiając, że życie towarzyskie jest takie jałowe, że wywczasy nasze takie są nudne a uciechy — tak mroźne. Owo wielkie zło, wszędzie już widoczne, a wyślizgujące się z pod rąk, gdy je uchwycić chcemy — to zmniejszająca się intenzywność uczuciowego życia kobiety.

Kobieta współczesna tak już stała się rozsądną, że nie chce kochać bez odpowiednich rękomji, co więcej, sądzenie tak dalece jest już drugą jej naturą, że nie może kochać bez przeróżnych ubezpieczeń dla swego spokoju, pewności dobrego bytu i bezwarunkowej czci ze strony mężczyzny.

Na tej glebie uczuciowej wszystko zejść może; grunt ten jednak zbyt jest niepodatny dla szczerej, głębokiej miłości, kobieta zaś moralna stworzona jest przedewszystkiem do miłości. Miłość rozbudza w niej wielki dla siebie samej szacunek, a im więcej rozwinięty umysł i dusza kobiety, tem mniej bez oparcia na mężczyźnie obejść się może: on jest wielkiem jej szczęściem albo nieszczęściem, ale zawsze jedynym sensem jej życia. Przystaje ona też na życie szczęśliwe z mężczyzną i sądzi, że za pomocą rozsądnej przezorności ująć potrafi nieobliczalne to życie w małe zadanie rachunkowe. A zanim zadanie rozwiąże, sprawdzi je próbą, szczęście i nieszczęście obok niej przelecą, ona zaś zostaje sama, z próżnością wewnątrz, zwie-

dła, bez miłości, zwiędła w mądrze obrachowanem małżeństwie, zgorzkniała, pozbawiona treści, wśród szczęścia bez szczęścia, lub wśród nagle spadłej na nią niedoli.

Czy jednak to wstrętne hasło moralnie i intellektualnie upadłych meżczyzn: »górą interes, precz z poezyą życia«, może być sztandarem szczęścia kobiet — przyszłość okaże i Bóg upomni się o dotrzymanie wskazanej światu drogi. Oby to tylko stało się bez grozy bożej i gorzkich łez niewinnych.

Kto nie umie z piersi własnej
Wysnuć uczuć tęczy jasnej
I miłością świat obdzielić,
Kto nie umie raju stworzyć
I w nim szczęściem drugich ożyć
I w nich losy swoje wcielić —
Ten, choć duszy swej nie splami,
Nie wyprosi niebios łzami
Jałowemi.
Odkąd z raju nas wygnano
Trzeba kochać — i kochaną
Być na ziemi.

El.. y

Musset'a.

Do Panny.....

(Tłómaczenie.)

Tak jest, kobiety, przyznać wam muszę
Waszę potęgę niezmienną:
Jeden wasz uśmiech upaja duszę
Lub wtrąca w rozpacz bezdenną.

Jednem wejrzeniem, minką niedbałą,
Lub jednem słówkiem szyderczem
W serce, co wiernie was ukochało,
Godzicie ostrzem morderczem.

I słuszną dumę żywić możecie,
Gdyż dzięki męzkiej słabości,
Waszej potędze cóż zrówna w świecie,
Z wyjątkiem waszej zmienności...

Lecz z nadużyciem, zwykłą koleją
Władza moc traci uroku,
I ci, co cicho cierpieć umieją,
Rzucają was ze łzą w oku.

Choć gorycz z pełnej pijemy czary,
Cierpienie wyżej nas wzniosło;
Piękniejsza nasza rola ofiary,
Niż wasze katów rzemiosło.

Stanisław Rossowski.

Historja w życiu kobiety.

Kobiecych dziejów gwiazda zanim zblednie
Ma trzech okresów wyraźne znamiona:
Po dniach najmłodszych wschodzą wieki średnie
I starożytność chmurą obleczona.

W pierwszych o wielkiej sile i potędze
Bojowych dążeń świadczy mięszanina;
W życiu kobiety, jak w dziejowej księdze,
Od „reformacji“ okres ten się wszczyna.

W promiennej dobie, tłumiąc uniesienia,
Dziewczę nie walczy o sam tryumf z światem,
I choć tłum mężczyzn wdzięki jej ocenia,
Tryumfująca nie przestaje na tem.

Drobne jej ramię niestrudzone niczem,
Do innych celów wtedy się wytęża;
Oto chęć wstaje w serduszku dziewiczem,
By zreformować swe życie przez męża.

Ni zawsze jednak dzieje się tak samo;
Często weselnych los zabrania godów,
A wieki średnie czynią serce bramą
Przepuszczającą wędrówki narodów.

Kiedy zaś runą nadziei pomosty,
Gdy już nikogo nie wabi wzrok łzawy,
Panna poczyna pokuty i posty
I do krzyżowej bierze się wyprawy.

Czasem się budzi w niej jeszcze głód życia,
Śnią się jej jacyś wielcy i szlachetni,
Ale naprożno czeka ich przybycia
U schyłku wojny swej — trzydziestoletniej.

Poczem na grobie laurów i korony,
Na gruzach całej snów budowy szczytnej
Wschodzi, jak księżyc we mgłę otulony
Okres dewocji, okres starożytny.

Innem szczęśliwszem, oznaka królowej
Mirtowy wieniec na czole wykwita,
— Ona już dawno zdjęła djadem z głowy
I jest dziś sobie — ot, rzecz pospolita.

Dr. Emil Habdank Dunikowski.

Juliusz Payer.*)

W głębokiej zadumie spoglądamy na białe plamy na mapach planety naszej i trudno się nam pogodzić z tą myślą, że my królowie całego stworzenia — jak to siebie w naszej zarozumiałości nazywamy — nie zdołaliśmy dotychczas w zupełności poznać tego znikomego pyłu kosmicznego, stanowiącego naszą ojczyznę.

Niestety mimo pary i elektryczności, mimo wysiłków całej ludzkości, te plamy, jakkolwiek się zmniejszają, pozostają dla nas ciągle jeszcze zagadkami.

Nie mniejszą zagadką są ci śmiali pionierzy wiedzy, którzy z pogardą życia a we wzniosłej służbie postępu, zapuszczają się w te niegościnne okolice, ażeby je poznać i zbadać. Zdawałoby się, że jedna taka wyprawa, z której śmiały podróżnik wprawdzie tylko cudem uszedł śmierci, czyhającej na niego w tysiącznych postaciach na każdym prawie kroku, złamie jego energię i odbierze mu chęć do powtórzenia podobnej wyprawy.

A przecież tak nie jest.

Zaledwie powróci tenże z groźnych lodów biegunów lub straszliwego żaru równika, zaledwie ochłonie z przygód, które zagrażały jego życiu i zniszczyły mu zdrowie,

*) Rzecz wygłoszona z okazyi przybycia Juljusza Payera do Lwowa i podejmowania go w „Kole" przez reprezentantów świata naukowego. Payer nadesłał w liście do Redaktora Rocznika szkic wrażeń swych z podróży do bieguna północnego, który to szkic wejdzie jednak dopiero w tom II. Rocznika.

już zaczyna snuć plany na przyszłość, już marzy o nowej wyprawie, w której chce posiąść jeszcze większe zdobycze dla całej ludzkości.

Nie prosta ciekawość i nie żądza awantur są bodźcem tej szlachetnej determinacyi. Jest to święty ogień tlejący w sercu każdego szlachetnego człowieka, jest to najpiękniejsza strona ducha naszego: niesienie w ofierze dla ogółu wszystkich sił i życia jednostki Dlatego słuszną jest rzeczą, że szacunkiem i wdzięcznością płacimy tym pełnym poświęcenia współbliźnim a otaczając ich czcią, czcimy i siebie samych i ludzkość całą!..

Jednym z takich nieustraszonych pionierów jest Dr. Juliusz Payer. Zwiedziwszy dwukrotnie daleką północ i przyczyniwszy się znacznie do rozszerzenia naszych geograficznych wiadomości o tych tak mało dla człowieka dostępnych strefach, wybiera się nieodstraszony katastrofą swojej drugiej wyprawy, obecnie po raz trzeci na ocean lodowaty w zamiarze poczynienia nowych zdobyczy dla wiedzy i sztuki.

Już jako młody oficer czuł Payer w sobie nieprzeparty pociąg do badania przyrody i każdej wolnej chwili używał do śmiałych wycieczek alpejskich, które mu też już podówczas zjednały sławę nieustraszonego turysty. Niedostępne szczyty pasma gór Adamello i Presenella, Ortlera, Mt Cividale, Königsspitze, Vertein itd. były polem jego początkowych badań. Roczniki Petermanna w Gocie od roku 1860—1869 zawierają cały szereg artykułów geograficznych jego pióra, w których opisuje te przedtem niedostępne, tak zazdrośnie przez gnomów górskich strzeżone tajniki świata alpejskiego.

Po wojnie włoskiej w roku 1866, w której po bitwie pod Custozzą odznaczonym został wojskowym medalem zasługi, oddał się Payer z zapałem studyom geograficznym i z tego to czasu pochodzą znakomite jego mapy i opisy grup górskich Grossglocknera, Ortlera i Alp Tra-

foiskich. W roku 1869 otrzymał od Petermanna zaszczytne ale zarazem i trudne zadanie wzięcia udziału w II. niemieckiej wyprawie podbiegunowej, z którego to zaproszenia skorzystał i biorąc dwuletni urlop z wojskowego zakładu geograficznego, do którego był podówczas przydzielony jako porucznik, pospieszył do Hamburga, gdzie się zbierali członkowie tej słynnej wyprawy.

Była to tak zwana druga niemiecka podbiegunowa wyprawa, druga z tego powodu, że nie uwzględniając ekspedycyi Wernera w r. 1865, która straciła okręt przy samym wyjeździe z portu bremeńskiego, mamy do zanotowania przedtem w roku 1868 małą niemiecką ekspedycyę do Szpicbergów na żaglowcu „Grönlandya“, jako pierwszą niemiecką wyprawę północną

Ta druga z roku 1869 wyprawa, w której wziął udział i Payer, była obmyślaną i przygotowaną na szeroką skalę. Składała się z dwóch okrętów: silnego parowca „Germania“ i wielkiego żaglowca „Hansa“, który to ostatni był przeznaczony na transport węgli dla „Germanii“ a równocześnie jako magazyn wszystkich okazów przyrodniczych, które zostałyby zebrane podczas podróży.

Aż do 71° płn. szerokości płynęły oba okręty szczęśliwie razem. Dopiero w tem miejscu, kiedy chciano przeforsować prąd morski, niosący przez cały rok olbrzymie masy lodowców i kier lodowych z północy na południe, rozłączyły się podczas mgły i zimna oba okręty, aby już się więcej nigdy nie spotkać.

Żaglowiec „Hansa“ nie mając do pomocy siły pary, stał się wkrótce łupem zazdrośnych demonów północy. Niezmierny góry lodowe otoczyły go ze wszech stron i zgniotły w przeciągu kilkunastu godzin doszczętnie. Załoga zaledwie zdążyła schronić się na olbrzymią krę lodową, ratując znaczną część węgli i zapasów żywności na ten improwizowany i niebezpieczny statek.

Rozpoczęła się więc okropna podróż w straszliwej zimnej nocy podbiegunowej, podróż, która trwała od października 1869 aż do 13. czerwca 1870, od 71° aż do przylądka Fare-well (61° płn. szer.), gdzie nareszcie nieszczęśni podróżnicy, oczekujący przez kilka miesięcy każdej chwili rozbicia się kry i utonięcia w mroźnych nurtach lodowatego oceanu, odważyli się na wątłych czółenkach uratowanych z »Hansy«, dopłynąć do zamieszkałych wybrzeży Grönlandyi.

Szczęśliwsze były losy parowca »Germania«, na pokładzie którego znajdował się Payer. Przezimowano spokojnie koło wysp Sabine pod 75° 31'/$_{2}$, podziwiając i badając przepyszne zjawiska na niebie i lądzie. Na wiosnę r. 1870 przedsięwziął Payer w sankach cały szereg wycieczek, które doprowadziły do odkrycia olbrzymiego, a może nawet największego fjordu na całej kuli ziemskiej, »fjordu cesarza Franciszka Józefa«. Widok wspaniałej alpejskiej przyrody, o której istnieniu w tych szerokościach dotychczas nie mieliśmy pojęcia, nadzwyczajnie ciekawy świat roślinny i zwierzęcy, poczucie, że się stąpa po zaczarowanym kraju, którego przedtem nie dotknęła jeszcze noga ludzka — były sowitą nagrodą śmiałych podróżników za ich trudy i niebezpieczeństwa.

Powróciwszy do domu, zamarzył Payer o nowej wyprawie, mając tym razem już sam biegun połnocny na oku. W osobie hr. Wilczka znalazł szlachetnego mecenasa wiedzy, który nie szczędził kosztów, ażeby zamiar Payera doprowadzić do skutku.

W r. 1871 spotykamy ich obu, w towarzystwie marynarza z zawodu Weyprechta, na małym parowczyku na oceanie lodowatym. Była to tak zwana wycieczka rekognoskująca, a droga jej znajdywała się pomiędzy Szpicbergami a Nową Ziemią. Stosunki lodowe były tego roku tak pomyślne, że parowczyk dotarł we wrześniu aż do

79° półn. szer. bez najmniejszej przeszkody, mając przed sobą na północy zupełnie wolny Ocean. Widok ten był bodźcem i otuchą dla austryackiej wyprawy podbiegunowej, która za inicyatywą tych trzech mężów a z pomocą szerokich kół austryackich monarchii, przyszła w następnym roku do skutku.

D. 13. czerwca 1872 r. wypłynął pod komendą Wayprechta i Payera z portu Bremerhaven nie wielki, jednakże nadzwyczaj silnie zbudowany parowiec »Tegetthof« zaopatrzony w żywność na trzy lata. Zadaniem jego było udać się pomiędzy Szpicbergami a Nową Ziemią w miejscu, gdzie rok przedtem widziano zupełnie wolne morze, jak najdalej na północ, a ewentualnie dotrzeć aż do bieguna.

Lecz niestety, jak płonne są nadzieje ludzkie, jak słabe siły tego robaczka mieniącego się królem świata, wobec zimnych, nieubłaganych i nieobliczalnych sił przyrody!...

Już pod 76°30 otoczyły nieprzejrzane masy lodu nasz okręcik, i żaden z załogi nie przepuszczał podówczas, iż ten uścisk mroźny jest uściskiem śmiertelnym dla »Tegetthofa«!...

Pozbawiony samodzielności ruchu, płynął okręt wśród lodów z prądem na północ, a każda chwila groziła katastrofą... Ileż to razy nieszczęsna załoga zrywała się ze snu lub od stołu, ażeby uciekać na pola lodowe, gdyż okręt trzeszczał i pękał, grożąc zatonięciem.

Tak przeszła straszliwa zima podbiegunowa, a kiedy zajaśniało zimne słońce północy, poznali wszyscy, że okręt a z nim prawdopobnie i cała załoga jest niechybnie stracona, gdyż wszelkie próby uwolnienia się z lodowych więzów okazały się płonnemi!...

Więc majestatycznie zwolna jechali wszyscy dalej na północ, na śmierć nieochybną, gdy nagle zdziwionym oczom podróżników okazał się tajemniczy kontynent,

wzdłuż którego brzegów płynęli przez kilka tygodni wśród lodów.

Nieznany ten dotychczas ląd otrzymał na cześć monarchy austryackiego nazwę kraju Franciszka Józefa.

Tutaj zatrzymał się okręt podniesiony i przechylony przez lody wysoko na poziom morza, tak, że o uratowaniu jego i mowy być nie mogło. Załoga przezimowała pod 79°·51, a na wiosnę dotarł Payer w sankach aż do 82°5, wszędzie robiąc pomiary i wizując instrumentami aż do 83°. Zdecydowano się na powrót i 20. maja rozpoczęła się bezprzykładna awanturnicza odysea na łodziach i sankach, trwająca 96 dni. Przez kry lodowe szli piechotą ciągnąc na sankach łodzie i żywność, przez wodę płynęli w łodziach, ładując sanki na takowe, i tak po trudach, których najświetniejszy opis byłby tylko mdłym obrazem, dotarli pod 77°40 do wolnego morza.

Zachodziła tylko obawa, czy zastaną jeszcze w tej spóźnionej porze jaki statek rybacki w Nowej Ziemi, gdyż inaczej groziła wszystkim śmierć głodowa, o przepłynięciu bowiem w wątłych łodziach przez burzliwe morze Białe nie było i mowy. Na szczęście spotkano jeszcze spóźniony statek rosyjski kupca Feodora Woronina, który zabrał naszych rozbitków i zawiózł szczęśliwie do Vardöe w Norwegii. Wszystkim nam jeszcze żywo są w pamięci sceny z entuzyastycznego przyjęcia, którego w całym świecie cywilizowanym doznali nasi śmiali podróżnicy.

Po powrocie z wyprawy wystąpił Payer z wojska i oddał się nauce i sztuce. Już jako dojrzały człowiek wziął pędzel do ręki i został pierwszorzędnym artystą. Każdy z nas widział lub przynajmniej słyszał o świetnych jego obrazach, a przedewszystkiem scenach zycia i przyrody dalekiej północy — Sceny z wyprawy Franklina — Powrót wyprawy podbiegunowej austryackiej itd.

Bywajże nam, bywaj, zacny gościu nasz! Bawisz wśród narodu polskiego, który pierwszy z pomiędzy wszystkich

szczepów słowiańskich przyjął kulturę i cywilizacyę Zachodu i który światło tej cywilizacyi posunął o półtora tysiąca kilometrów na wschód Europy. Przez cały czas politycznego istnienia bronił on tejże cywilizacyi przed nawałąm dzikich hord wschodu i północy, a obecnie jakkolwiek politycznie nie samodzielny, postępuje raźnie naprzód na polu sztuki i nauki w szlachetnem współzawodnictwie z innymi ludami i umie ocenić i uczcić zasłużonych mężów bez względu na ich narodowość.

Eugeniusz Barwiński.

Karta z dziejów sejmowania w Polsce.*)

»Jeśli kto może ufać krzywdzącemu nas zdaniu, że rzeczy Polski nierządem stoją, zawstydźmy go i Boga kusić nie chciejmy.«
Mowa Jana Zamoyskiego na sejmie 1596 r.

Owa przysłowiowa złota wolność w Polsce nie znalazła poklasku u pisarzy XVI. wieku[1]). Kochał ją szlachcic rębajło, lekkoduch, niezdolny patrzeć jasno w przyszłość; zwał ją źrenicą Rzeczypospolitej, chełpił się, że Polska nierządem stoi, ten tylko, kto dbał więcej o swe własne interesa, tłómacząc się, że *ex privatis publica constant.* Ci

*) Rzecz odczytana przez Autora w „Kole".

[1]) Materyału do napisania niniejszego szkicu dostarczyła mi 350. księga Relacyj grodu lwowskiego, a mianowicie oblatowana tam na str. 195. *Protestatio ex parte conventus Wisznensis,* wynaleziona tam zupełnie przypadkowo. Ten pierwszorzędnej wagi dokument skazano bowiem na zupełne zapomnienie w ten sposób, że wydając w X. tomie wydawnictwa »Akta grodzkie i ziemskie« z archiwum bernardyńskiego regesta wszystkich oblatów w księgach grodu lwowskiego się znajdujących, wypuszczono przypadkowo właśnie wyż wspomniany akt. Prócz tego oparty szkic ten na dyaryuszu sejmu 1596, znajdującym się w tece Naruszewicza z tegoż roku w archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie. Odpis tam znajdujący się sporządzono z oryginalnego dyaryusza niegdyś własności ks. Radziwiłłów, dziś znajdującego się w bibl. Raczyńskich w Poznaniu (por. katalog bibl. Racz.); grzeszy on wielu błędami przez przepisywacza popełnionymi, które w naszej rozprawce sprostować się postaramy.

jednak, co jaśniej na sprawy Rzeczypospolitej patrzeli, przyznawali, że źle się dzieje, że tak się dziać nie powinno, że stan taki prowadzi do zguby. Zdawali sobie sprawę z tego, że zbytnia wolność i samowola jednych, krępuje, ukróca prawa i wolności drugich, że krzywdę im wyrządza; obserwacye te, prawdopodobnie niejednokrotnie poczynione, przebijają się później w ich pismach, mających na celu naprawę Rzeczypospolitej, wzywających do usunięcia takich anormalnych stosunków, w których już tkwiły zarody owego bezrządu, który później w XVII. i XVIII. wieku wnętrze Polski trawił i ją zgubił.

Wertując dzieła pisarzy wieku XVI., u trzech z nich napotykamy ustępy zupełnie do siebie podobne, narzekające na tę samowolę, mianowicie na nieporządki, które się do sejmowania wkradły.

Tak Orzechowski w swym Quincunxie z r. 1564 powiada: »Wiemy, co umieją sejmiki, na których duży słabego, śmiały mądrego łatwie z kluby swej wybija, ku swojemu pożytku sejmikiem kierując« [1]), a za nim jeszcze dobitniej toż samo Karnkowski w piśmie Exorbitancye i naprawa koła poselskiego (1596)... »Afektując urzędu drudzy z orszaki wielkiemi na sejmiki swe przyjeżdżają i tak się sami przez adherenty swe posłami obierają: skąd roście wielka zkaza wolności pospolitej.« [2])

Trzeci ksiądz Piotr Skarga, którego kazania pozostaną zawsze pierwszorzędnem źródłem do poznania współczesnych stosunków, w kazaniu szóstem »O monarchiej i królestwie« taką podaje charakterystykę sejmowania [3]):

»Osłabienie też majestatu królewskiego i mocy jego na dobro pospolite, szkodliwe bardzo, pochodzi ze złego szafowania i używania urzędu poselskiego na sejmach,

---

1) Ed. Turowskiego, p. 17.

2) Ed. Turowskiego, p. 8.

3) Ed. Turowskiego, p. 78—79.

dla czego ledwie się co kiedy dobrego postanowić może. Rzecz na początku dobra, poszła we złe bardzo używanie. Gdy się poselski ów urząd dalej szerzył, do tego przyszło, iż z niego teraz wielkie się dobrym radom przeszkody dzieją, i jeśli co do upadku koronie tej pomaga, jako sami między sobą często mówicie, tedy to samo koło najrychlej ją przewróci i zgubi. Patrzcie do jakicheście nieprzystojności i prawie dziecinnych i śmiechu godnych postępków i zagmatwania przyszli. Naprzód obieranie posłów na sejmikach takie jest: iż możniejszy i śmielszy czynią co chcą; albo się sami obierają i drudzy mało nie dożywotny sobie ten urząd czynią, albo takie wystawiają, którzy ich myślom i przedsięwzięciu służą. A szlachta w prostocie nie wiedząc co się dzieje, przyzwala i wrzaskiem wszystko odprawuje.«

Krytyka ostra lecz sprawiedliwa i słuszna. Jako naoczni świadkowie mówili ci pisarze z doświadczenia, karcili za to, na co nieraz własnemi oczyma patrzeć musieli.

Zaciekając się w badania przeszłości, mamy niejednokrotnie sposobność sprawdzić, jak trafne i prawdziwe są te słowa: sprawa, którą tu przedstawić zamierzyliśmy, może posłużyć jako ilustracya do nich.

Było to w roku 1596. Na Węgrzech wrzała zacięta walka wojsk cesarskich z nawałą turecką; oręż pogański odnosił coraz większe sukcesy, zdobyli już Komorn i Gran. Padł strach na Polskę: nawoływano zewsząd, aby pospieszyć na pomoc, bo pożar ogarniający dom sąsiada, groźny równie i dla Polski. Wzywano Polskę na pomoc: prosił papież, zapraszał cesarz do udziału w lidze, którą przeciw Turkom złożyć zamierzano. Od dwóch lat prawie ciągnęły się negocyacye w tej sprawie — daremne były jednak dotychczas zabiegi nuncyusza Malaspiny, stale w Polsce przebywającego — do uchwały jednak przyjść nie mogło.

Nieszczególnie przedstawiały się sprawy i wewnątrz w Polsce. Co chwila, jak gromu z czarnej chmury wiszącej na horyzoncie, oczekiwano ze strachem inkursyi tatarskiej, obawiano się znów powodzi tej, która w r. 1594 tyle szkód poczyniła; co chwili nadchodziły niepokojące wieści, co chwila wzywano do baczności, do pogotowia zbrojnego.

Kozacy broili wciąż dalej: nie zdołano ich jeszcze poskromić; jak strumień zerwawszy tamę niesie zniszczenie na żyzne pola, tak dziki tłum wyłamawszy się z karbów. pustoszył ziemie, miasta, wsie palił i rabował równo dwory szlachty, jak domy mieszczan i zagrody włościańskie. Rozpisywał król uniwersały, wzywając szlachtę, by chwyciła za broń, pomogła poskromić rozpasane tłumy w swym własnym interesie, bo sam funduszów na to nie ma[1]), poboru dotychczas nie złożono.

Niepokój był również i na Wołoszczyznie. Tam znów dowódca wojsk księcia Siedmiogrodu, Rozwan, strącił lennika Polski, wojewodę wołoskiego, wydzierał z rąk Polski tę ziemię. Utrata była tem dotkliwszą, że krok Rozwana ułatwiał Turkom i Tatarom zajęcie tej ziemi, której przedtem jako lenna Polski zaczepiać nie chcieli; mogli więc naraz Polacy ujrzeć w Wołoszczyznie Turków jako sąsiadów.

Horyzont okrywał się czarnemi chmurami, niebezpieczeństwa groziły zewsząd, trzeba było koniecznie coś radzić...

Sejm 1595 r. nic pozytywnego nie uchwalił, wysadzona z niego komisya nie zjechała się nawet; król postanowił więc zwołać nowy sejm.

»Z powinności i miłości naszej ku tej Rzeczypospolitej, chcąc tak wielkim a nieodkładnym potrzebom jej dogodzić i niebezpieczeństwom, które one od zaściennej

[1]) Ind. Rel. C. Leop. T. 350 p.

wojny zachodzą, w czas statecznie zabieżeć, złożyliśmy sejm walny koronny na dzień 26. marca« — pisał król w swych uniwersałach «[1])

Według zwyczaju miały poprzedzić sejm walny sejmiki ziemskie, na których wybierano posłów na sejm, i rozpatrując propozycyę królewską, dawano im odpowiednią instrukcyę; dla ziemi lwowskiej naznaczono go do Wiszni na 23. lutego.[2]) Wzywał król szlachtę, »ażeby baczna na smutny stan Rzeczypospolitej, groźne niebezpieczeństwa, posły stateczne, dobre i mądre na sejm walny koronny obrała, którzyby potrzeby koronne teraźniejsze, które całości, niebezpieczeństwu Rzeczypospolitej zachodzą, dobrze uważali, a nie swe prywaty, jeno zdrowie i bezpieczeństwo jej na pieczy mieli w tych tak wielkich trwogach teraźniejszych«.

Jeśli kogo, to właśnie mieszkańców ziemi ruskiej najboleśniej dotykało to, o czem król wspominał. Nikt nie był tak wystawiony na niebezpieczeństwo ze strony Turków, Kozactwa i Tatarów, jak właśnie oni, jak sami mówią, »gdyżeśmy *periculis magis expositi* są«, to też w niczyim interesie nie leżało bardziej to, aby jak najrychlej zabiedz tym trwogom.

Zapobiedz tu mogły jedynie tylko rady stateczne, do których król tak nawoływał: to też spodziewać się można było, że narady sejmiku w Wiszni odbędą się jak najspokojniej.

Tymczasem stało się zupełnie inaczej — sejmik stał się widownią krzyczącego bezprawia.[4]) Partya kasztelana

[1]) Ind. Rel. Cast. Leopol, T. 350 p. 102.

[2]) Ind. Rel. Cast. Leopol T. 350 p. 102.

[3]) Ibidem.

[4]) Następne opisane według wspomnianej Protestatio nomine conventus Visznen.

Czechowskiego Mikołaja Spytka Ligęzy [1]) chcąc przemocą przeprzeć wybór swych kandydatów, zjechała na sejmik zbrojno, mimo że statut z r. 1496 zabraniał noszenia zbroi na sejmikach; przywiozła ze sobą mnóstwo sług, hajduków, wójtów, sołtysów. Dalej, mimo że według ustawy prawo udziału w sejmiku przysługiwało tylko szlachcie w tym powiecie osiadłej, najechało wielu szlachty obcej »nigdy przedtem niesłychanych, nieosiadłych, przedtem nie bywających i niewidzianych«. Tak zebrani osadzili z bronią w ręku koło poselskie, ażeby zapewnić sobie przewagę.

Szlachta była w mniejszości, a *nec hercules contra plures*; tamci mieli umówionych swoich kandydatów; nieznani szlachcice »informati na propozycyę króla JMci nie dawszy sentencyi, z kartek posły mianowali«.

Przeciw takiej zmowie i przemocy była szlachta bezsilną; posłem wybrano między innymi wbrew prawu senatora — owego kasztelana Czechowskiego Ligęzę, który według prawa do obierania posłów należy, ale posłem od nas *contradicentibus nobis* być nie może«.

Widząc przemoc, próbowano choć paktować, usiłowano »racyami od przedsięwzięcia pana Czechowskiego odwieść, ażeby złożył wybór na posła, ale gdy widzieli, że on „*circa pluralitatem* złym przykładem i postępkiem ku skazie wolności naszych, a na oppresyę dobrych, wolnych ludzi introdukowany stoi, poselstwa odstąpić nie chce, wszyscy obywatele ziemi lwowskiej zgodnemi prośbami JMci prosiliśmy, aby na sobie przykładu złego i zwyczaju nie wnosił, i autorem namówienia prawa o tem nie był, nas nie turbował i nie rozrywał«.

Nic jednak nie pomagało; robiono nawet takie ustępstwo, że zgodzono się obrać posłem jakiegoby tylko

[1]) Nazwiska jego nie wymienia protestacya; dyaryusz fałszywie nazywa go Legoża. O nazwisku jego dowiadujemy się z aktu Cast. Leopol T. 350 p. 656.

zechciał szlachcica ziemi lwowskiej, byleby tylko sam ustąpił. Lecz i z tego nic; szlachcie więc, jak sama mówiła, »nadewszystko do suspicyej taka chęć do służby Rzeczypospolitej przychodzić musiała«, nie mogła cierpieć takiego bezprawia i wraz z wojewodą ruskim Herburtem założyła solenny protest przeciw temu wyborowi.

Protestacyą wpisaną do aktów grodzkich, doniesiono królowi o tem, prosząc o nowy sejmik, a na sejm uchwalono posłać z protestacyą Jakóba Leśniowskiego [1]), podczaszego lwowskiego, i Jana Swoszowskiego, pisarza ziemi lwowskiej.

Z protestacyi możemy poznać intencye tej szlachty, która została zgwałcona; przekonać się możemy, że nie była to wcale partya wywrotowa, że zupełnie godziła się na propozycyę królewską, wyraża się z najgłębszem uznaniem o działalności jego, »dziękują królowi za obmyśliwanie o nas i Rzeczypospolitej dobrem, potem JMPanom hetmanom, rycerstwu, których pracą, dzielnością i czynnością nieprzyjaciel pociechy nie odniósł, ziemia wołoska zatrzymana jest i rzeczy w swej mierze z nieprzyjacioły koronnymi, z pogany i chrześcijany zatrzymane są; na skończenie i zawarcie ligi gruntowne, tak, jako się na przeszłym sejmie namóciło, pozwalamy, o obronę krajów naszych dostateczną prosimy, na co i pobór równo z drugimi województwy dozwalamy«. Była to więc partya pokojowa, widząca jasno potrzeby, uznająca starania około zabieżenia im.

Sprawa na tem się nie skończyła.

Był to dopiero akt pierwszy tej tragikomedyi: ostatni, najciekawszy, miał rozegrać się na sejmie w Warszawie, tam miało się rozstrzygnąć, kto zwycięży, czy pokonani gwałtem i podstępem, czy wichrzyciele.

---

[1]) Dyaryusz (Teka Narusz. Nr. 96 p. 350 podaje zamiast niego »pana Krasickiego«. — Zapewne to pomyłka przepisywacza — bo oficyalnym aktom grodzkim łacniej można dać wiarę, niż kopii dyaryusza.

»Na początku sejmu tego — czytamy w dyaryuszu[1]) — panowie posłowie między sobą przez kilka dni dysputacye mieli strony posłów województwa ruskiego obranych niezgodnie.« Przybyli delegaci protestującej szlachty lwowskiej, Swoszowszki i Leśniowski, zanosząc skargi na nieprawny wybór i żądając rugów posłów. Poczęły się gorące spory między protestującymi a posłami nieprawnie wybranymi; tamci zarzucali im, że »ci się byli tam *cum praejudicatis animis* stawili i gwałtownie do tego wszrubowali się« — ci zaś zaprzeczali, że nic takiego nie czynili, coby się z prawem i wolnościami nie zgadzało, ale każdy z nich *„solito more“* tam przyjechał. Dalej zarzucali, że koło poselskie nie ma prawa ich sądzić, »lecz bracia doma«, że sejm bez ziemi ruskiej o niczem radzić nie może, bo o nich tu głównie chodzi — »nie mogą radzić o nas bez nas«.

Tyle o dyskusyi; ciekawy niezmiernie, kuryozum w swoim rodzaju, był wyrok Izby poselskiej w tej sprawie.

»To gdy panowie posłowie przypuścili na swój rozsądek, różni różnie rozumieli. Jednak przychylili się do tego, iżby to były wielkie rzeczy, gdyby protestacyami tak ważne rzeczy mieli rozrywać.«

Jakież motywa kierowały Izbą sejmową przy wyrokowaniu? Dyaryusz pozwala nam tu uchylić zasłonę, poznać w cześci motywa i usposobienie. »Nie po mniejszej części przedsiębrali, iż ci panowie posłowie od protestantów naganieni ludzie są wielkiej sławy i wielkiego baczenia. A gdybyśmy ich ruszyć mieli, jużby uszczerbek był honoru, bo by byli *in regestro civium factiosorum notati*, i prawo takich *poena honoris* karze, a nie życzemy tego, aby to miało na domie tak zacnych ludzi zostawać. I tak *„propter bonum pacis“* — dodaje dyaryusz — wszystkim siedzieć kazali, tak panom protestantom, jako też i drugim tym, którzy nierządnie byli obrani.«

---

[1]) Teka Narusz. Nr. 96 p. 349.

I tak mimo, że sprawa była jasną jak słońce, mimo, że krzywda była wszystkim jawna, większość stanęła nie po stronie srodze ukrzywdzonych, ukróconych w prawach, lecz po stronie wichrzycieli. Możny kasztelan wpływami swymi zwyciężył; droższy był większości jego honor niż sprawiedliwość. Słabsi nie znaleźli poparcia, możni znów byli górą, wygrali; była to jedna więcej ilustracya do słów Orzechowskiego: »duży słabego, śmiały mądrego łatwie z kluby swej wybija«.

Stanisław Barącz.

I.

Z „Sonetów“.

Tak nęci srebrnym szumem zdrojów górskich fala,
Gdy w dzień letniej pogody cała słońcem płonie;
Gdy wszystkie blaski nieba kołysząc na łonie,
Odbija skały, lasy i gór widma z dala.

Lecz gdy nocy pochmurnej tuman ją przewala,
A nagła nawalnica rozburzy jej tonie,
Słuchaj, jak wre ta fala, jak rozpaczą zionie,
Jak rozbita o skały jękiem się użala.

Taksamo serce moje, pogodne nadzieją,
Pieśń o szczęściu, miłości w swoich głębiach pieści,
A w pieśni życia cudne roztacza obrazy.

Lecz gdy nocy zwątpienia chmury je owieją,
Tak wre całe rozpaczą i jękiem boleści —
Jak ta fala w ciemnościach miotana o głazy.

II.

Dwie Azalie.

Dwie azalie na siebie patrzą w rozmarzeniu;
Tej lica lśnią białością, tej rumieńcem płoną —
Że nie mogą kwiecistą złączyć się koroną,
Stoją ciche i smutne, w tęsknoty omdleniu.

Lecz wzajemnie na słońca złocistym promieniu
Barwiących pyłków sobie posyłają grono;
Falą płynnego złota, co muska ich łono,
Łączą się te dwa kwiaty w wspólnem ubarwieniu.

A dwie dusze, miłości owładnięte siłą,
Rozdzielone przez losy, w tęsknocie i w żalach,
Żyją zamknięte w sobie — i toną w wspomnieniach.

W sferę duchów, nad wszystkich żądz ziemskich mogiłą,
Szlą swe myśli na złotych wyobraźni falach:
By złączyć się, gdzieś, za światem, w uroczych marzeniach.

Kaźmierz Rojan.

Co trudne — a co łatwe.

I.

Trudno kulawemu, tańczyć kotyliona,
Trudno śmiać się czule, gdy się wścieka żona,
Trudno jest nie umrzeć, żyjąc w Polsce z pióra,
Ale najtrudniejszem ze wszystkiego pono,
Pisać wiersz, aforyzm — pro publico bono.

II.

Łatwo stracić mienie, gdy nabyte spadkiem,
Łatwo jest z dziewczęciem romansować gładkiem,
Łatwo koło szklanek umieć chodzić czysto,
Łatwo być Farysem, gdy się jest cyklistą,
Ale ze wszystkiego, najłatwiejsze pono,
Wyśmiać rzec pisaną — pro publico bono.

Dr. Witołd Bartoszewski.

Wykształcenie polityczne u nas. *)

I.

Dające się od pewnego czasu odczuwać braki we wykształceniu politycznem obywateli naszego kraju, nasuwają konieczność zastanowienia się nad tą kwestyą i poddanie jej pod rozważny sąd światłego ogółu, dla którego kwestya ta ani obojętną ani lekką być nie powinna.

Jak wiadomo, ustrój wykształcenia w Austryi i Galicyi przechodzi trzy fazy.

Dziecko w szkole normalnej uczy się czytać, pisać i rachować.

W gimnazyum czy też szkole realnej, młodzież uczy się religii, języków, fizyki, matematyki, mineralogii, chemii i historyi powszechnej, lecz tej ostatniej tylko do rewolucyi francuskiej.

Uniwersytet wreszcie, stosownie do wydziału, przygotowuje wyłącznie fachowych teologów, prawników, filozofów, techników albo lekarzy.

Jeżeli teraz weźmiemy przed oczy typ ukończonego lekarza, technika, agronoma czy też filozofa, który z najznakomitszym nawet postępem przeszedł istniejące i obowiązkowe zakłady naukowe, musimy skonstatować dwa fakty. Po pierwsze, że ludzie ci nie wypierają się wcale i nie powinni zresztą wypierać się brania udziału w życiu politycznem, oraz drugi fakt, że ludziom tym daną była możność zrozumienia bardzo dobrze anatomii człowieka,

*) Rzecz wygłoszona i poddana dyskusyi w „Kole“.

budowy maszyn lub wydatności ziarna pszenicy, ale nie była daną najmniejsza sposobność pojęcia ustroju gminy, powiatu, kraju i państwa, nie mówiąc już o tak daleko sięgających wiadomościach, jak, co należy do zakresu władzy i działalności Sejmu lub Rady państwa. A powtarzam, iż ludzie ci w życiu politycznem chcą i winni brać udział, a następnie niejeden z nich wybrany posłem ma tworzyć ustawy czy też postanowienia, normujące najdrobniejsze i najsubtelniejsze stosunki tych ciał, o któtych ustroju przebyte zakłady naukowe najmniejszego nie dały mu pojęcia.

Co do wydziału prawniczego, to ukończeni prawnicy powinni wprawdzie znać ustrój gminy, powiatu i kraju, ale natomiast przeszedłszy też jedynie gimnazyum, w którem przerwano historyę na rewolucyi francuskiej, zaś na uniwersytecie, przestudyowawszy co najwyżej system austryackiego prawa politycznego, ze zupełnem pominięciem historyi dyplomatycznej Europy, historyi parlamentaryzmu, historyi militaryzmu, dziejów rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu, historyi rozwoju i stanu ustawodawstwa cywilnego i karnego w państwach ościennych itp., nie nabierają w regule ani należytej dozy zmysłu orjentacyjnego w sprawach politycznych, ani nie mają możności nauczenia się mówić i myśleć jędrnie a logicznie.

Na poparcie prawdziwości tych twierdzeń, wystarczy przez dłuższy czas brać udział lub choćby tylko przypatrywać się rozprawom w ciałach prawodawczych, albo w gminie czy też Radzie powiatowej, a fakt, jak wielu tam albo nie mówi nic wcale, albo mówiąc, mówi wcale niedołężnie, przekona chyba każdego, że młodzi »mężowie polityczni« u nas chodzą po omacku, nieuzbrojeni nietylko w doświadczenie, ale nawet we wiedzę.

Społeczeństwo nasze zdaje się też samo, choć może z niezupełną świadomością, odczuwać ten brak mężów politycznie wykształconych i niewystarczające działanie uni-

wersytetów. Wiekszość wytrawnych obywateli — chcąc też z synów swoich zrobić w przyszłości mężów krajowi pożytecznych, posełа ich na praktykę do urzędów politycznych, z góry zakreślając, iż praktyka ta ma na celu nie tyle karyerę urzędniczą, ile raczej ma być szkołą do nabycia wiadomości w życiu politycznem potrzebnych. Droga ta co prawda nie zupełnie odpowiednia, boć przedewszystkiem urzędy polityczne rządowe mają inne cele, niż wychowywanie mężów stanu, powtóre młodzi ludzie wstępujący do urzędu, aby tam tylko czas jakiś zabawić, nie pracują należycie i zagradzaja drogę tym, którzy dla ciężkiego chleba tam wstąpili, a wreszcie praktyka w urzędach politycznych nie daje i potrzebnych dla mężów stanu wiadomości. Dzieje się też zwykle, iż tego rodzaju młody człowiek przesiedziawszy kilka lat na praktyce w urzędzie politycznym, na przykład w biurze sanitarnem, wraca do ziemi, rozumiejąc bardzo dobrze urządzenie stosunków sanitarnych, ale nie rozumiejąc znów urządzenia i warunkow należytego prosperowania gminy, powiatu i kraju, tudzież nie rozumiejąc warunków korzystnego wzajemnego ich stosunku do siebie. Lecz tych można zaliczyć jeszcze do luminarzy, bo choćby przez samo zetknięcie się z innymi kolegami i sprawami a ostatecznie będąc prawnikami, mają choćby m o ż n o ś ć wiadomomości swe ekonomiczne i polityczne uzupełniać i rozszerzać.

Lecz w jaki sposób i gdzie ma najkardynalniejszych wiadomości politycznych nabierać teolog, lekarz, technik czy też filozof lub agronom. Ani w szkole normalnej, ani w szkole średniej, ani na odnośnym wydziale uniwersytetu nie słyszeli nawet, że stosunek gminy do kraju, a kraju do państwa, oparty jest na ustawie. Do urzędów politycznych ich wcale nie przyjmują, żadać zaś od tych ludzi samoistnego kształcenia się w kierunku politycznym, jest o tyle trudnem, że aby z ogromu wiedzy wydostać najpotrzebniejsze wiadomości, potrzeba przedewszystkiem

cały ogrom tej wiedzy objąć, a na to ani technik ani agronom nie ma ani czasu a może i środków.

Czyż więc ten materyał ludzi, tak bardzo zdolnych, ma być wykluczonym od należytego współdziałania w życiu politycznem, lub mają być skazani na to, aby wiadomości dorywczych nabierali dopiero w długiem życiu praktycznem?

Czyż nie szkoda tych młodych sił, które mogą być w ten sposób pożyteczne dopiero w latach zgrzybiałych i czy nie jest to może wprost niekorzystnem dla normalnego rozwoju społeczeństwa, składającego się z techników, agronomów, przemysłowców itp., iż rozwojem jego kierują jedynie reprezentanci jednego stanu prawniczego?

Jako sam prawnik ze zawodu, tem śmielej twierdzę, iż odżywienie żywiołu prawniczego innymi żywiołami, może być dla rozwoju i postępu społeczeństwa jedynie pożądanem i korzystnem; trzeba jednak, aby ten nowy żywioł odżywczy był zdolny do odżywiania, czyli aby był należycie politycznie wykształcony.

Myśli te nasunęły mi się, gdy po dłuższej podróży naukowej właśnie w celu badania wyższych zakładów naukowych za granicą, napowrót do kraju wróciłem. Zabierając też głos obecnie, nie myślę wcale wdawać się w dyskusyę: czy gimnazya, względnie studya uniwersyteckie u nas są należycie uorganizowane, lecz jedynie pragnąłbym, wskazując na fakt, iż nie ma u nas szkoły, któraby wychowywała czy też przygotowywała mężów stanu, oraz wskazując na pewnik, że społeczeństwo nasze bardziej może niż każde inne, mężów stanu potrzebuje, pragnąłbym zwrócić uwagę, iż uzupełnienie tych braków nie jest tak trudnem, aby przy dobrej woli nie dało się uskutecznić.

A zdaje mi się, że właśnie nam wskazanem byłoby dołożyć wszystkich sił do stworzenia takiej szkoły, która, produkując prawdziwych mężów stanu, mogłaby nam za-

pewnić przeważające stanowisko w państwie i świecie, stanowisko po nad wszystkie prądy górujące, bo stanowisko na wytrawności i nauce oparte. Jakiekolwiek bowiem są poglądy o naszem położeniu politycznem i naszej przyszłości, każdy chyba przyzna, że jedyną szlachetną drogą do uzyskania naszych celów i dążności, jest na razie droga wiedzy i nauki, a naszym jedynym celem zmuszenie świata do uznawania naszej przewagi umysłowej.

Tyle co do myśli, które mię powodowały do wystąpienia publicznego w sprawie braku wyższego zakładu nauk politycznych u nas.

O ile chodzi o rozwiązanie tych myśli, niech mówią na doświadczeniu innych narodów oparte fakta i rezultaty.

II.

Na wzór wypróbowanych już rezultatów szkół politycznych w Anglii, której najwytrawniejszych mężów stanu chyba nikt nie odmówi, oraz na wzór na przykładzie angielskim ugruntowanej wolnej szkoły nauk politycznych w Paryżu*), należałoby stworzyć i u nas wyższą szkołę nauk politycznych, której cele i kierunki w następujący sposób zakreślić się dadzą.

Przedewszystkiem wzniecić w narodzie cześć dla rzeczy wzniosłych. rozbudzić zamiłowanie do studyów mozolnych i to drogą wykształcenia ludzi doborowych, swojego rodzaju arystokracyi ducha, którąby pomału kierunek i ton narodowi nadała. Oto pierwsze zadanie nowej szkoły.

Dostarczyć krajowi ludzi światłych, obserwatorów bacznych i czułych na wszelkie prądy umysłowe swojego wieku, obywateli rozsądnych i kompetentnych we wszyst-

*) O ustroju wolnej szkoły nauk politycznych w Paryżu, bardzo dobrą relacyę zdał p. Michał Roztworowski, mój poprzednik jako uczeń tejże szkoły. Do jego relacyi też czytelnika co do szkoły paryskiej odsełam.

kich bieżących kwestyach politycznych — oto drugie główne zadanie szkoły.

Co do programów wykładów w ogólności, to przedewszystkiem wszystkie strony współczesne życia politycznego winny być w nim uwzględnione z równą starannością, obejmując niejako encyklopedyę umiejętności politycznych, ułatwiającą poznanie warunków, wśród których wypada nam żyć i działać, i czynników, z jakimi czy w polityce zewnętrzenej czy wewnętrznej liczyć się z konieczności musimy.

Drugą cechą programu byłoby udzielenie jak najszerszego miejsca sprawom tyczącym się całego świata cywilizowanego, a to w celu szukania u innych ludów dobrego przykładu do naśladowania a zarazem wytłómaczenia za pomocą badań porównawczych przyczyn rozwoju lub upadku pewnych teoryj lub instytucyj.

Cechą trzecią programu winna być jego praktyczność, to jest uwzględnienie potrzeb współczesnych. Młodzi ludzie wynoszą ze szkół średnich znajomość świata starożytnego a zrozumieć nie mogą świata dzisiejszego i rozglądają się po nim ze zdziwieniem, tracą lata na dopytywanie się i zasiąganie dorywczych wskazówek u ludzi często niekompetentnych, co pociąga zarówno dla nich jak i dla kraju nieraz bardzo opłakane skutki. Niepodobna znać wszystko i wszystkiego się nauczyć; niech mąż stanu i obywatel zna d o k ł a d n i e p r z y n a j m n i e j swoją epokę. Stąd wynika, że tło historyczne w programie stanowić powinien wiek XIX., a tylko dla spraw dyplomatycznych i administracyjnych sięgać ono może do połowy XVII. w., co wystarczy, aby odszukać w przeszłości ślady tych wielkich łuków, po których idziemy i zmierzamy w przyszłość.

Cechą czwartą nauk byłoby wprowadzenie empiryzmu do polityki a metody historyczno-krytycznej do wykładów. Za wykluczeniem metody dogmatycznej, przeciwko stoso-

waniu teoryj bezwzględnych i operowaniu abstrakcyami, przemawiają względy zarówno pedagogiczne jak i polityczne. Od młodzieńca lub od człowieka dojrzałego nie może wyższa szkoła wymagać jedynie uwagi, pilności i przyjmowania na wiarę tego, co z katedry usłyszy; przeciwnie, chodzić jej głównie winno o wyrobienie w nim zdrowego sądu drogą jawnego, odbywającego się prawie przed oczyma, grupowania, tłómaczenia i wyjaśniania faktów i zjawisk życia politycznego.

Wspomniawszy o konieczności praktycznego kształcenia mężów politycznych — jako jedno z najwybitniejszych zadań szkoły nauk politycznych, wytknąć należałoby po pierwsze, odbywanie tych studyów praktycznych pod kierunkiem profesora, który zejść winien niejako z katedry, aby zasiąść z uczniami za jednym stołem: komentować statystyczne materyały i przedstawić już nie wyniki badań, ale sam sposób zużytkowania umiejętnego źródeł bezpośrednich, a powtóre odbywanie posiedzeń, fikcyjnych kongresów, parlamentów czy też sejmów.

Pierwsze zadanie polegać winno na tem, aby profesor wybrał jakąś chwilę z historyi, np. rok 1795, rozdzielił role pomiędzy swych słuchaczy, powierzając każdemu z nich obronę interesów politycznych jednego kraju, następnie zbierał ich wszystkich pod swojem przewodnictwem na posiedzenie ogólne, i każdy z »delegatów« winien domagać się tego, czegoby dany kraj czy też państwo w danym momencie historycznym, ze względu na siłę wewnętrzną lub pomoc zewnętrzną, domagać się mogło.

Zadanie drugie polegać winno na sformowaniu z pomiędzy słuchaczy — całego sejmu, względnie parlamentu, z dwoma lub więcej stronnictwami, prezydyum, komisyami i t. d., poczem każda kwestya, wniesiona na obrady, opracowaną być winna przez referentów i przejść wszystkie stadya projektów w rzeczywistych Izbach roztrząsanych.

Zadania te i tym podobne nie mają bynajmniej na celu wzbudzenia w słuchaczach przekonania, że dorośli już do roli prawodawców lub mężów stanu; zaprawić one mają ich jedynie do głębokiego zastanawiania się nad sytuacyą polityczną wewnętrzną czy też zewnętrzną danego kraju i dać im możność nauczenia się mówić publicznie zwięźle, logicznie i zrozumiale.

W myśl tych ogólnych zasad ułożony program szczegółowy obejmować winien następujące przedmioty:

I. Zarys geograficzny i etnograficzny świata cywilizowanego.

II. Historya dyplomatyczna Europy od pokoju westfalskiego (1648).

III. Historya militaryzmu od Fryderyka II.

IV. Dzieje rozwoju doktryn ekonomicznych w dziełach ekonomistów i w ustawodawstwach.

V. Dzieje rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu we wieku XIX. na podstawie dokumentów statystycznych, tyczących się dóbr, ich obrotu, konsumpcyi i rozdziału społecznego.

VI. Dzieje skarbowości w Europie, począwszy od rewolucyi francuskiej.

VII. Historya parlamentaryzmu w Europie i Ameryce od r. 1776.

VIII. Historya i ustrój administracyi centralnej i lokalnej w Europie od XVII. wieku z szczególniejszem uwzględnieniem Austryi i Polski.

IX. Historya społeczeństwa europejskiego od roku 1789, to jest rozwój teoryi dotyczących społecznej organizacyi i ocena ich wpływu na społeczeństwo.

X. Historyczne i faktyczne stanowisko poszczególnych wyznań w państwie i kraju.

XI. Historyczne i faktyczne stanowisko poszczególnych narodowości w państwie, z szczególniejszem uwzględnieniem stosunków polsko-ruskich w Galicyi.

Na takich zasadach i celach oparta szkoła, mając za nauczycieli najwybitniejszych profesorów, jeżeli uzyska poparcie światłej części społeczeństwa, dostarczy też niewątpliwie krajowi ludzi światłych, obywateli »rozsądnych i kompetentnych we wszystkich bieżących kwestyach politycznych«, co wyżej jako cel szkoły założono.

Ułożenie programów i zyskanie dla szkoły tych najwytrawniejszych mężów stanu jest zadaniem organizatorów szkoły, o ile jednak chodzi o poparcie społeczeństwa, do niego samego wprost zaapelować należy.

Oddając też myśli i programy te pod sąd ogółu, niech mi wolno będzie zaznaczyć, że o ile każdy sąd wytrawny dla myśli tych korzystny lub niekorzystny, jedynie z najgłębszą wdzięcznością przyjętym będzie, o tyle też gorącą jest prośba, aby ci, którzy po sumiennej rozwadze pożyteczność tego przedsięwzięcia uznają, wedle sił swoich przedsięwzięcie to poprzeć raczyli; — bo że stworzenie tego rodzaju szkoły, jeżeli ma słuchaczom zapewnić i wszelkie środki naukowe i najwytrawniejszych profesorów, jest połączone z bardzo znacznymi trudnościami, o tem chyba wpominać nie mam potrzeby.

III.

Wielce szanowny dr. Antoni Molicki, roztrząsając moje myśli »O wykształceniu politycznem« i zapewniając łaskawie, iż za podniesienie tej kwestyi niewymowną wdzięczność musiał odczuć *każdy*, on sam zaś nadto nie ma słów na wyrażenie wysokiego uznania, jakiem jest dla myśli tej przejęty, podniósł jednak w sprawie proponowanego przezemnie rozwiązania tej kwestyi, kilka poważnych uwag, które zniewalają mię do odpowiedzi ze względu na osobę szanownego oponenta, oraz ze względu, że jak ze słów jego stwierdziłem, szanowny mój oponent podnosząc głos, dążył tylko do wyjaśnienia

kwestyi dla jej dobra i faktycznego pożytku, nie zaś, jak wielu, niestety, którzy nie mogąc swym krótkim umysłem pojąć jakichś idei i dalej sięgających myśli, najuczciwsze myśli i ludzi z miejsca zabijają, jedynie aby dogodzić swojej złości i głupocie.

Tyle w odpowiedzi na wstęp szanownego oponenta i jako odprawa innym.

Co do faktycznych zarzutów podnosi dr. Molicki że:

1. Proponowanej przezemnie szkole nauk politycznych zakreśliłem tak obszerny program, iż aby go wyczerpać odpowiednio, potrzebaby przynajmniej dwóch lat czasu.

2. Że proponowana przezemnie szkoła nie wyrównałaby ogólnych braków, gdyż szkoła moja byłaby przystępną jedynie dla zamożnych i »wielkich«, a zupełnie nieprzystępną dla »maluczkich«.

3. Że wyłączyłem dyskusyę, czy gimnazyum, względnie studya uniwersyteckie u nas są należycie zorganizowane, a właśnie ten punkt byłby owym punktem Archimedesa, z którego dałoby się podnieść tą sprawę i nadać jej korzystny kierunek.

4. Że podane w moim programie przedmioty dla wyższej szkoły nauk politycznych są tego rodzaju, iż *mogłoby* być traktowane w wykładach uniwersyteckich.

Co do pierwszej uwagi, że wyczerpanie postawionego przezemnie programu wymagałoby ze dwa lata studyów, nie mam nic do zauważenia przeciw tej uwadze, gdyż na wyczerpanie mego programu rzeczywiście przeciąg lat dwóch zakreślam; co do grona nauczycielskiego zaś nie ulega kwestyi, że składać się powinno jedynie z najlepszych i najwytrawniejszych sił, które materyał swój należycie opanowawszy, z tem większą łatwością przelaćby go potrafiły.

Drugi zarzut, że formowana przezemnie wyższa szkoła nauk politycznych, nie wyrównałaby *ogólnych* bra-

ków, gdyż byłaby przystępną jedynie dla zamożnych, to muszę podnieść, iż pojęcie »drożyzny« jest względne, że i dzisiejsze taksy gimnazyalne dla dość wielu też są za drogie i że wreszcie, chcąc tworzyć jakąś nową instytucyę naukową, trudno połączyć taniość z praktycznością. Wyższa nauka i wiedza, jak to sam szanowny oponent mi przyzna, nie jest dziś jeszcze nigdzie na świecie tanią. Tyle głośne, sławne i praktyczne Collegia Oxfordzkie naprzykład, dla bardzo małej tylko liczby garnących się do wiedzy są przystępne — ze względu na wysokość wkładek i opłat, nie mówiąc już o tem, że kto chce specyalizować się w jakiejś gałęzi wiedzy, rzadko kiedy może poprzestać na jednym uniwersytecie, który ukończył, lecz musi pójść w świat, do najsławniejszych ognisk wiedzy obranego kierunku, co też nie jest bez kosztów, i że wreszcie chcąc kształcić się do najdalszych granic, trudno poprzestać wyłącznie na wykładach uniwersyteckich, lecz przeciwnie trzeba szukać zetknięcia się z ludźmi we wybranym fachu biegłymi i śledzić ruch naukowy w tym kierunku przez zakupno dzieł, eksperymenty itp., co też nie jest bez kosztów.

Żądać zatem, aby tworząc zupełnie nową instytucyę, wymagającą ogromnych wkładów, zrobić ją zaraz tanią i dla ogółu przystępną, to zdaje mi się, trochę za wiele żądać. Może ona się stać tanią i przystępną dla ogółu po pewnym czasie, gdy cele jej i korzyści *przez cały ogół* należycie pojęte i poparte zostaną, ale nie od razu. *Paulatim summa petuntur!*

Zwraca dalej uwagę szanowny mój oponent, że wyższa szkoła nauk politycznych nie oświeciłaby *wszystkich*, co zasiadają dziś w Radach powiatowych, nie mówiąc o sądach gminnych. Niewątpliwie nie oświeciłaby wszystkich, ależ mimo tak rozgałęzionych szkół normalnych, nie wszyscy przecież umieją dziś jeszcze czytać i pisać; to też zdaje mi się, niechby szkoła moja oświeciła

w reprezentacyach krajowych więcej jednostek, niż obecnie jest oświeconych — to już i to byłoby pięknym rezultatem; ogół zaś, który idzie obecnie ślepo za niewykształconymi »prowodyrami«, szedłby wówczas choć ślepo, ale przynajmniej za wytrawnie wykształconymi. Na ogólne wytępienie głupoty nie ma środka. Nie było też zadaniem formowanej przezemnie szkoły oświecić zaraz cały ogół: tysiące i miliony, ale zapalić jedynie ogień, z którego poszczególne iskry, roznoszone po kraju, dalejby ogień wywoływać mogły. A że iskry ogień wzniecić mogą, o tem chyba obaj ze szanownym oponentem nie wątpimy.

Co do prawników w szczególności, projektem moim byłoby, aby wykładów szkoły politycznej słuchali po ukończeniu studyów prawniczych, w latach, które zwykle spędzają w stolicy po ukończeniu uniwersytetu, dla zdawania egzaminów czy też rygorozów, i w tem szukałem analogii, że jak medyk ukończony nigdy prawie od razu nie rozpoczyna samoistnej ordynacyi, lecz idzie kształcić się dopiero jako asystent czy też pomocnik jednego ze starszych kolegów, tak samo też i prawnicy, ci doktorowie *corporis juris* analogicznie do doktorów *juris corporis*, jakąś praktyczną szkołę przejść winni, zanim do krajania społeczeństwa przystąpią. Niewątpliwie skutki słuchania szkoły politycznej byłyby inne u prawników, którzy ukończywszy już prawo, dalejby się w niej tylko kształcili, aniżeli u medyków, agronomów, czy też teologów, którzyby w kierunku politycznym wyłącznie w tej szkole się kształcili, ale nie idzie mi też bynajmniej o to, aby lekarz umiał tyle i to wszystko co prawnik, ale aby były pewne tereny wspólne, na którychby się wzajemnie rozumieli.

Trzeci i ostatni zarzut, jaki szanowny oponent podnosi przeciw zarysowi moich myśli, jest, że wyłączyłem wyraźnie od dyskusyi kwestyę, czy gimnazya, względnie studya uniwersyteckie u nas są należycie urządzone, a zaś dr. Molicki wykazuje w dłuższym wywodzie, że niektóre

z przedmiotów, wciągniętych przezemnie w program wykładów szkoły politycznej, mogłyby być traktowane w uniwersytetach.

Otóż i w tej mierze zgadzam się z szanownym oponentem, że wszystkie nawet przedmioty, przezemnie w program wyższej szkoły nauk politycznych wciągnięte, *mogłyby* być traktowane w uniwersytetach, tylko że możności i fakty nie są synonimami; faktem zaś jest, że uniwersytety nasze, mimo kołatania dziesiątek lat o wprowadzenie wykładów z tych właśnie dziedzin, o które szłoby mi najbardziej, żadną miarą na to zgodzić się nie mogą. Niech przypomnę tylko w tej mierze podane na I. zjeździe prawników i ekonomistów we Lwowie wnioski ś. p. prof. dra Kasznicy względem wydziałów prawnych, jako wydziałów nauk społecznych, i że wnioski te poszły do kosza; niech przypomnę dalej, że jeszcze w r. 1886 samo ministerstwo oświaty podniosło kwestyę, czy nie należałoby niektóre gałęzie nauk społecznych wyżej podnieść, a wszystkie wydziały odpowiedziały przecząco.

Każdego znającego nasze stosunki uniwersyteckie — bardzo trafnie podniósł też prof. dr. Kasparek — uderzy sama przez się okoliczność, iż prawo prywatne kilkakrotnie i wszechstronnie bywa na naszych uniwersytetach uczone i pytane, a prawo publiczne, z wyjątkiem prawa karnego i procesu cywilnego, bardzo upośledzone zajmuje stanowisko. W trzech półroczach skupione są wszystkie umiejętności polityczne, w ostatnim dodana statystyka i oto wszystko, co ukończony prawnik wynosi z ław szkolnych zakładu naukowego do ruchliwego życia praktycznego. Jeśli uniwersytety nie przygotowują też należycie do przyszłego zawodu sędziego czy adwokata, to cóż, wobec widocznego upośledzenia nauk politycznych, mówić o przygotowaniu do rozlicznych zawodów publicznych, gdzie gruntowna znajomość nauk politycznych jest nieodzownym warunkiem działalności pożytecznej i skutecznej.

Niestety uniwersytety nasze wciąż zdają się być jeszcze pod ciosem, zadanym im przed niespełna 50 laty, gdy rząd nie żądał dla siebie od nauki oświecenia w sprawach politycznych; dla poddanych zaś uważał tą naukę za niebezpieczną, a w każdym razie za zbyteczną!

Faktem jest, iż do uzupełnienia uniwersytetów w kierunkach, szkole politycznej wskazanych, trzebaby przedewszystkiem długowiecznych propozycyj, następnie zmiany ustaw, aby w końcu dopiero projekty ugrzęzły na tak historycznym braku funduszów. Czyż wobec tego całe szeregi pokoleń mają być pozbawione wiedzy a społeczeństwo podpory, dlatego że ten, który mógł ją szerzyć, w rzeczywistości jej nie szerzył?

I oto powód, dla którego reformy uniwersytetów i gimnazyów w dyskusyę nie wciągnąłem, aby zanim słońce zejdzie, rosa oczy nie wyjadła. Dodam tylko, że na wydziale prawa uczą naprzykład prawa kościelnego, wykłada się historyę źródeł, interpretuje bulle i umysł słuchacza gubi w kwestyach, czy papież Urban VII. potępił zgromadzenie Jezuitek bullą czy też brevem »Pastoralis«, o ile zaś idzie o znajomość faktycznych stosunków o ile idzie naprzykład o znajomość tak zwanej polityki kościelnej, na to ukończony »kanonista« uniwersytecki odpowie na podstawie wyniesionych z uniwersytetu wiadomości albo że nie ma i nie może być polityki kościelnej, bo jest tylko polityka kościelno-polityczna, albo nic nie odpowie, a kwestya grawitacyi kościoła ruskiego do prawosławnego, albo kwestya stosunków polsko-ruskich, takiego ukończonego kanonistę zupełnie nieprzygotowanym zastaje i następuje to, co u nas w sprawie polsko-ruskiej z powodu nieopierania jej na podstawie historyi i nauki już nastąpiło, to jest: bezcelowa i bezskuteczna walka ślepymi patronami.

Wychowanie, zdaniem mojem, nie powinno też mieć za główny cel dostarczania prawników, doktorów, inży-

nierów, nauczycieli lub artystów, lecz powinno dążyć do rozwijania człowieka. Tylko to wychowanie można nazwać szlachetnem i zupełnem, które obdarza człowieka zdolnością wykonywania szlachetnie, uczciwie, dobrotliwie, sprawiedliwie i ze znajomością rzeczy, wszystkich obowiązków obywatelskich, zarówno prywatnych jak i publicznych. Tego zaś istniejące zakłady nie dają. Czyż wobec tego nie jest więc obowiązkiem ludzi, mających środki i siły, obowiązkiem wobec samej nauki, kraju i społeczeństwa, nie wyczekiwać możliwych reorganizacyj, lecz skupić w zwartą całość i drogą utworzenia szkoły nauk obowiązków publicznych, szkoły charakteru, że tak powiem, wystąpić do walki z coraz bardziej rozpanoszającą się potęgą nepotyzmu — o tem niech łaskawi słuchacze sami osądzić raczą.

Niewątpliwie, że zasady życia społecznego muszą wniknąć w duszę społeczeństwa, jak zasady wiary, ale jeżeli najczystsze zasady Chrystusowe nie dość jest powtarzać sto i tysiąc razy, aby wniknęły w dusze ogółu i zawsze znajdą się dusze o tak grubych pancerzach interesów realnych, że ich nie odczują i nie pojmą, tak samo też dla wszczepienia zasad życia społecznego nie dziesięć, ale sto takich samych nawet ognisk wiedzy w dzisiejszym wieku i w naszych szczególniej stosunkach będzie jeszcze za mało.

Józef Greliński.

Łza matki.

Kiedym opuszczał dom Matki przed laty,
Czysty na sercu, w nadzieje bogaty,
W świat — w życie — w przyszłość serce mi się rwało,
O! bom nie wiedział, co mnie czekać miało.

Lecz Matka moja snać przyszłość odgadła,
Bo patrząc na mnie, straszliwie pobladła;
A gdym ją pytał — nic mi nie odrzekła,
Tylko z jej oczu gorzka łza pociekła.

I długo — długo — gdym się rozstał z Matką,
Był dla mnie jeszcze jej smutek zagadką...

Aż gdy mi zapał świat śmiechem wystudził,
Nadzieje zdeptał, czyste serce zbrudził —

Treść życia sama gadkę rozwiązała...
Teraz wiem, Matko, czemuś ty płakała!

Kaźmierz Tettmajer.

Eviva l'arte!

Eviva l'arte! Człowiek zginąć musi —
Cóż, kto pieniędzy nie ma, jest paryasem,
Nędza porywa za gardło i dusi —
Zginąć, to zginąć, jak pies, a tymczasem,
Choć życie nasze splunięcia nie warte:
Eviva l'arte!

Eviva l'arte! Niechaj pasie brzuchy
Nędzny filistrów naród! My artyści,
My, którym często na chleb braknie suchy,
My, do jesiennych tak podobni liści,
I tak wykrzykniem: gdy wszystko nie warte,
Eviva l'arte!

Eviva l'arte! Duma naszym bogiem,
Sława nam słońcem, nam, królom bez ziemi!
Możemy z głodu skonać gdzieś pod progiem,
Ale jak orły z skrzydły złamanemi. —
Więc naprzód! Czyż jest prócz sławy co warte?
Eviva l'arte!

Eviva l'arte! W piersiach naszych płoną
Ognie przez Boga samego włożone:
Więc patrzym na tłum z głową podniesioną,
Laurów za złotą nie damy koronę,
I chociaż życie nasze nic nie warte:
Eviva l'arte!

Spis rzeczy.